Inny Świat



półrocznik anarchistyczny nr 1(52)/2021 cena: 12 zł (w tym 8% VAT)

ZATRZYMAĆ ZARAZĘ!

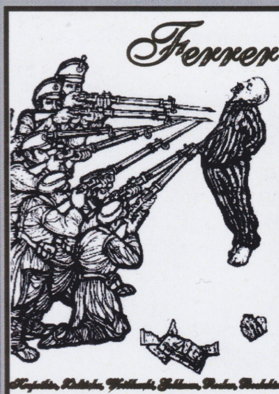
ANARCHIZM VS COVID 19

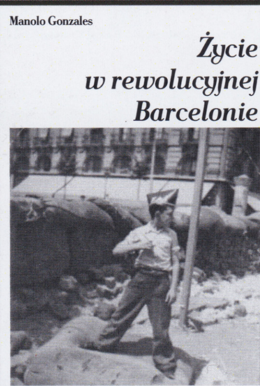
ISSN 1898-7680

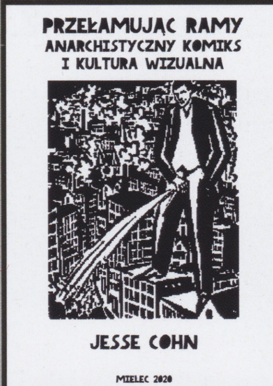


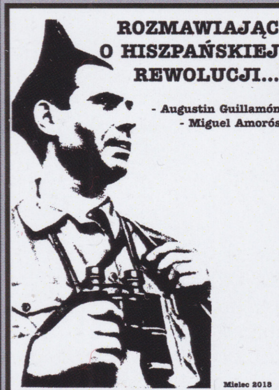
*Strajk Kobiet*Summerhill*Ferdinand Gross*Leśni Bracia*Rumcajs* Czarne kino*

CZYTAJ PRASĘ I LITERATURĘ ANARCHISTYCZNĄ!

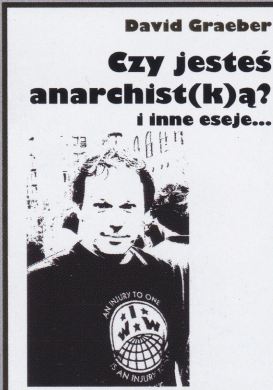




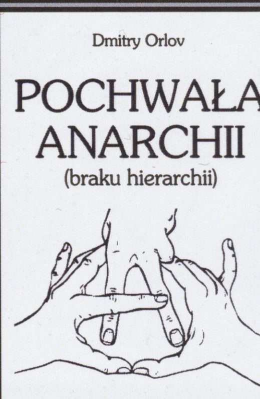


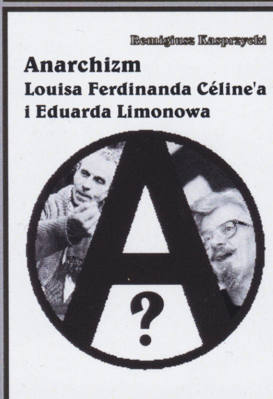












Powyższe oraz wiele innych broszur anarchistycznych znajdziesz na: www.bractwotrojka.pl/wydawnictwo Inny Świat

Spis rzeczy:

Inny Świat



półrocznik anarchistyczny www.innyswiat.com.pl

Pismo *Inny Świat* nie reprezentuje żadnego określonego kierunku w szerokiej gamie ruchów i idei anarchistycznych. Poglądy prezentowane przez poszczególnych autorów nie muszą być zbieżne z poglądami redakcji.
Pismo ma również charakter nie-komercyjny. Nikt z członków redakcji, ani osób współpracujących, nie odnosi z tego tytułu żadnych korzyści materialnych.

Kontakt z redakcją (propozycje tekstów i innej współpracy przy tworzeniu pisma): innykrawat@wp.pl

Redakcja: Janusz Krawczyk (**redaktor naczelny**) oraz zespół współpracowników

Do powstania tego numeru przyczynili się: *Didżej*, *freejazz*, Arkadiusz Jeleń, Konrad (Czarna Teoria), *Leon*, Aleksander Łaniewski, Natalia Krajewska, Krzysztof Lind, Magda Malinowska, Agnieszka Mróz, *Qrde*, Pat, Marta Rozmysłowicz, R. T., D. W., Małgorzata Ważyńska, *Wila*, Wrocławskie Rewolucjonistki, maciej wy, Ludwika Wykurz, *Zdzichu*.

Adres redakcji: ul. Kędziora 2/8, 39-300 Mielec

Wydawca: Oficyna Bractwa *Trojka*, Maciej Hojak, ul. Fredry 5/3a, 61-701 Poznań

Nakład: 100 egz.

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak sp.j., ul. Piwna 1, 61-065 Poznań

Słowem wstępu czyli Niech Żyje Anarchia!

Witamy w kolejnej odsłonie naszego anarchistycznego periodyku, która to - mamy nadzieję - będzie dla was niezmiernie interesującą lekturą. Numer ten rozpoczynamy *Otwartym listem poparcie dla białoruskich anarchistów-rewolucjonistów*. Sytuacja za naszą wschodnią granicą jest wciąż dramatyczna, a anarchiści i anarchistki, z których władza Łukaszenki robi ostatnimi czasy wrogów nr 1 swojego ustroju, stają na pierwszej linii społecznego oporu, za co spadają na nich represje; zatrzymania, aresztowania, więzienie... Sprawa czterech anarchistycznych partyzantów jest szczególnie bliska naszemu sercu, przez wzgląd na Igora, człowieka, który przeszedł już piekło białoruskiego systemu zniewolenia. Igor, jak zapewne wiecie, po uwolnieniu w 2015 roku mieszkał głównie w Polsce, gdzie znalazł wielu przyjaciół/ek i anarchistycznych towarzyszy/ek. Niemniej równie ważni są dla nas jego towarzysze niedoli, zatrzymani razem z nim na granicy białorusko-ukraińskiej, jak i inni represjonowani przez reżim Łukaszenki anarchiści/stki, antyfaszyści/stki i wszyscy, którzy dążą do poszerzenia wolności na Białorusi. By wspomnieć Mikołaja Dziadoka - anarchistycznego blogera i dziennikarza zatrzymanego i torturowanego przez policyjnych katów, Igora Bancera - znanego antyfaszystę, wokalistę zespołu MISTER X, Akihira Khanada - ucznia gimnazjum i anarchistę pobitego zaraz po zatrzymaniu, Iwana Krasowskiego - anarchistę, który po zatrzymaniu i pobiciu w sierpniu trafił do szpitala z urazem kręgosłupa a we wrześniu ponownie trafił za kraty, Andrieja Czepjuka - anarchistę i wolontariusza w Centrum Praw Człowieka „Wiasna", Nikitę Jemeljanowa - odsiadującego cztery lata za akcje bezpośrednie, Anastazję Kałasznikową - antyfaszystkę i wielokrotną mistrzynię i medalistkę w tajskim boksie i kickboxingu, Marfię Rabkową - anarchistkę i koordynatorkę w Centrum Praw Człowieka „Wiasna", Władisława Wladimirowicza - antyfaszystę zatrzymanego i pobitego czy antyfaszystowskich kibiców Partizana Mińsk: Tamaza Pipa, Timura Pipa, Witalija Shishlowa i Denisa Boltuta. Większość „przestępstw" jakie popełniły wymienione wyżej osoby to zazwyczaj: „chuligaństwo", „udział w masowych zamieszkach" czy „organizacja i przygotowanie działań rażąco naruszający porządek publiczny lub czynny w nich udział". Oczywiście to tylko represjonowani z kręgów anarchistycznych i antyfaszystowskich, ale należy brać pod uwagę to, iż zatrzymanych, pobitych i trzymanych w więzieniach jest na Białorusi tysiące ludzi, o różnych poglądach politycznych czy zapatrywaniach na życie społeczne, których łączy jednak sprzeciw wobec panującej tam dyktatury. Wobec tych faktów, biadolenie niektórych polskich lewicowców, iż upadek Łukaszenik oznaczać będzie neoliberalną europeizacje tego ostatniego „kołchozu Europy", wydaje się być jakąś niezrozumiałą farsą, ewentualnie świadomą obroną pseudo-socjalnego państwa, opartego na milicyjnej pałce. Z takimi ludźmi nigdy nie będzie nam po drodze...

O pandemii Covid 19 napisano już dużo i zapewne jeszcze dużo się napisze. Postanowiliśmy i my podjąć ten temat, choć głównie z perspektywy anarchistycznej i radykalnie lewicowej. Zdajemy sobie sprawę z tego, iż większość z tych tekstów pisana była w okresie trwania pierwszej fali zachorowań, niemniej nie uważamy by były one już nieaktualne, gdyż doświadczenia i obserwacje w nich opisane są w dużej mierze ponadczasowe i równie dobrze odnosić się mogą do drugiej, trzeciej i kolejnej fali, jaka zapewne jeszcze nadejdzie. Dalecy jesteśmy od siania teorii spiskowych na temat pochodzenia czy form rozprzestrzeniania się wirusa, niemniej ciężko nie zauważyć, iż pandemia stała się kolejnym elementem represji państwa wobec własnego społeczeństwa. Gołym okiem widać również to, iż w kryzysowej sytuacji państwo się nie sprawdza (i jest to kolejny przykład w historii), za to bardzo często sprawdza się jedna z podstaw anarchizmu: pomoc wzajemna. Państwo, jedyne co na funduje, to cały elementarz zakazów i nakazów oraz straszaka pod postacią nadzorowania i karania. Czy nie lepiej wobec tego dążyć do zniesienia państwa, które jest tylko niepotrzebną naroślą na ciele człowieczeństwa? My, jako anarchiści i anarchistki mówimy o tym od prawie dwustu lat, przed nami mówili o tym również inni radykałowie, którzy zauważali bezsensowność istnienia władzy politycznej i ekonomicznej.

Strajk Kobiet, największy protest społeczny w XXI-wiecznej Polsce i chyba jeden z największych protestów w tzw. Trzeciej Rzeczypospolitej, pewnie jeszcze niejeden raz będzie się odbijał czkawką dzisiejszemu rządowi, jak i przyszłym rządom w tym „państwie z kartonu". Być może mało kto spodziewał się takiej reakcji społeczeństwa na orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w/s dopuszczalności aborcji w przypadkach trwałego uszkodzenia płodu czy zagrożenia śmierci matki. Na pewno wszystkich zaskoczyła duża mobilizacja młodego pokolenia Polek i Polaków, którzy byli bardzo aktywną częścią protestów, wnosząc w nie pewną świeżość, choćby poprzez pomysłowość haseł na kartonach i transparentach. Społeczna konserwa była również zszokowana wulgarnością przekazu, ale czemu się tu dziwić, skoro władza ma w dalekim poważaniu społeczeństwo, więc i ono na daleko w d... władzę. Koniec protestu był raczej do przewidzenia, zwłaszcza gdy jego samozwańcze „kierownictwo" nie marzy o niczym więcej, jak o zajęciu stołków swych politycznych przeciwników. My postanowiliśmy skupić się na trzech aspektach Strajku Kobiet. Pierwszy z nich to wątki socjalne, o jakich piszą członkinie związku zawodowego Inicjatywa Pracownicza. Drugi: samoorganizacja anarchistyczna w czasie protestów, podana na przykładzie wrocławskich anarchistek i anarchistów i w końcu trzeci: represyjne zachowanie się państwa wobec owych protestów. Mamy nadzieję, iż ta ostatnia, dość szczegółowa analiza poczynań władzy i policji, będzie przydatna w przyszłości ruchowi anarchistycznemu, który z represjami ze strony państwa i policji spotyka się notorycznie.

Nowym, i mamy nadzieję, iż nie jedno czy dwurazowym, działem w naszym piśmie jest *Anarchia w edukacji*, gdzie chcemy prezentować różne podejścia ruchów wolnościowych (zapewne nie tylko anarchizmu...) do kwestii edukacyjnych. Państwo, które zdaje się mieć monopol na tym polu, narzuca poprzez kształcenie młodych ludzi, swoją ideologię; z poddaństwem, uległością, własną wizją historii (gdzie masy ludowe, stanowiące niegdyś 90% ludności, traktuje się jak stęchłe powietrze, w których notabene owe masy żyły) czy hurrapatriotyzmem, zahaczająca wręcz o szowinistyczny nacjonalizm. Poprzez prezentację różnych alternatywnych i praktykowanych form edukacji (mamy nadzieję, że nie będą to tylko przykłady historyczne...) będziemy chcieli się zastanowić, na ile jest w ogóle możliwe wyrwanie przyszłych pokoleń ze szponów państwowego szkolnictwa?

Historia od zawsze była inspiracją dla współcześnie działających i walczących anarchistów i anarchistek. Kolejny raz możemy powtórzyć, iż ruch, który nie zna swojej historii ani jej nie szanuje, nie jest nic wart. Mamy nadzieję, iż prezentowane w tym numerze materiały historyczne będą nie tylko ciekawe, ale również inspirujące. Szczególną uwagę zwrócić można na obszerny tekst o austriackim anarchiście Fedrinandzie Grossie, którego długie życie nacechowane było nieustającym zaangażowaniem na rzecz wolnego społeczeństwa, przy czym, jego walka odrzucała wszelkie formy użycia przemocy, a prezentowany przez niego anarchistyczny antymilitaryzm miały wyraźnie pacyfistyczny charakter. Zapewne nie w smak może to być dzisiejszym adeptom/kom ideologii libertalnej, fascynującym się akcjami bezpośrednimi, walkami z policją i innymi formami insurekcyjnymi, ale ruch anarchistyczny na przestrzeni swej historii nigdy nie był jednorodny i przybierał różne formy działania. Nie nam oceniać, czy pacyfizm był czy jest skuteczną metodą działalności, jaka prowadzona była w państwach faszystowskich, czy może lepszy byłby zbrojny opór? Różni ludzie podejmowali różne decyzje, wybierali własną drogę ku wolnościowemu społeczeństwu. A my na swoich łamach od zawsze prezentujemy ową różnorodność...

Ostatnie strony pisma postanowiliśmy poświęcić pamięci o tych, co odeszli w przeciągu 2020 roku, oraz w pierwszym miesiącu roku 2021. Przyznać trzeba, iż poprzedni rok był szczególnie pechowy dla ruchu anarchistycznego i musieliśmy się pożegnać z tak znaczącymi postaciami, jak Roberto Ambrosoli (twórca rysunkowej postaci Anarchika, który gościł w wielu anarchistycznych publikacjach na całym świecie), Lucio Urtubia (chyba najbardziej sławny fałszerz-anarchista), Stuard Christie (szkocki anarchista, który jak był młody to chciał zabić generała Franco, stając się później wyśmienitym historykiem ruchu anarchistycznego) czy w końcu David Graeber (uznany naukowiec, antropolog, otwarcie mówiący o swym anarchizmie). Prócz tych bardziej znanych nazwiska, z ziemskim padołem pożegnali/ły się również aktywiści i aktywistki o których być może nigdy nie słyszeliście, a którym również poświęciliśmy należyte miejsce, by pamięć o nich nigdy nie zginęła. Dla nas każda/y z nich był i jest ważny dla ruchu wolnościowego.

Numer zamykamy *Wprowadzeniem* do nowego, amerykańskiego wydania książki Piotra Kropotkina, *Pomoc wzajemna jako czynnik rozwoju*, które napisał zmarły w 2020 roku David Graeber, wraz ze swym przyjacielem, Andrejem Grubačiciem. Jest to z naszej strony nie tylko dodatkowy hołd złożony Graeberowi, który był wartościową postacią dla współczesnego anarchizmu, ale również ważny tekst w „czasach zarazy", potwierdzający to, iż jeden z fundamentów anarchizmu, jakim jest idea i praktyka pomocy wzajemnej, okazał się w tych kiepskich czasach czymś naturalnym, praktykowanym w wielu zakątkach świata.

Życzymy więc owocnej lektury całego nowego numeru i zachęcamy do dzielenia się z nami własnymi spostrzeżeniami...

JKK

OTWARTY LIST POPARCIA DLA BIAŁORUSKICH ANARCHISTÓW-REWOLUCJONISTÓW

Co się wydarzyło?

22 października 2020 roku w miejscowości Soligorsk (Białoruś) zaatakowano budynek administracji Państwowej Komisji ds. Badań Kryminalistycznych oraz podpalono puste samochody znajdujące się wówczas na parkingu należącym do Prokuratury Rejonowej w Soligorsku. W nocy 28 października podpalono budynek Komendy Drogowej Milicji w Mozyrzu. Wkrótce, grupa czterech anarchistycznych rewolucjonistów - Igor Oliniewicz, Dzmitry Dubouski, Dzmitry Rezanowicz oraz Siarhei Ramanau została zatrzymana przez grupę manewrową Straży Granicznej z Mozyrzu, w pobliżu granicy ukraińsko-białoruskiej we wsi Zabozie w rejonie jelskim (Białoruś). Zatrzymani są obecnie przetrzymywani w areszcie śledczym KGB w Mińsku. Zostali postawieni w stan oskarżenia na podstawie art. 289 Kodeksu karnego - akt terroryzmu popełniony przez zorganizowaną grupę przestępczą.

Anarchiści-rewolucjoniści

Każdy z zatrzymanych był już od wielu lat przeciwnikiem faszystowskiego państwa i regularnie doświadczał jego represji.

Igor Oliniewicz - anarchista z Mińska, były więzień polityczny białoruskiego reżimu. W listopadzie 2010 r. został schwytany przez służby specjalne w Moskwie, a w maju 2011 r. skazano go na 8 lat kolonii karnej o wzmocnionym rygorze na podstawie art. 218 ust. 3 - celowe zniszczenie mienia oraz art. 339.2 akt chuligański zorganizowanej grupy osób. Został ułaskawiony dekretem prezydenta 22 sierpnia 2015 r. W więzieniu napisał książkę *Jadę do Magadanu* która została przetłumaczona na kilka języków. W 2013 r. książka została wyróżniona przez białoruski PEN Club nagrodą im. Franciszka Alechnowicza za najlepszy utwór literacki napisany w więzieniu. W 2016 r. Igor otrzymał nagrodę im. Wiktara Iwaszkiewicza. Po uwolnieniu Igor mieszkał za granicą i czynnie uczestniczył w ruchu anarchistycznym.

Dzmitry Dubouski - anarchista z Soligorska. W 2010 r. w związku ze „sprawą białoruskich anarchistów" został wpisany na listę osób poszukiwanych. W listopadzie 2010 r. podczas próby zatrzymania jego i Igora w Moskwie przez FSB, Dubouski zdołał uciec. Przez 10 lat Dzmitry ukrywał się w Rosji i na Ukrainie, publikował dzienniki podróży i uczestniczył w ruchu anarchistycznym.

Dzmitry Rezanowicz - anarchista z Homla. Został zatrzymany 16 marca 2014r. po przekroczeniu granicy ukraińsko-rosyjskiej w Kursku. Legitymował się dokumentem swojego brata. Zatrzymano go pod zarzutem dokonania sabotażu na terytorium Rosji. FSB nie znalazła jednak wystarczających dowodów aby podtrzymać te zarzuty i wszczęła postępowanie karne na podstawie art. 332 ust. 1 rosyjskiego kodeksu karnego - czyli próba przekroczenia rosyjskiej granicy bez posiadania wymaganych dokumentów. Dzmitry był przetrzymywany w ośrodku deportacyjnym w obwodzie kurskim. Dnia 3 lipca sąd nakazał deportację Rezanowicza z Rosji oraz nałożył na niego karę grzywny w wysokości 15 000 rubli. 25 lipca Dzmitry został deportowany na terytorium Białorusi. Pozostawał aktywnym uczestnikiem ruchu anarchistycznego.

Siarhei Ramanau - anarchista z Homla. W 2013 r. Ramanau został skazany na dwa lata więzienia z wyrokiem w zawieszeniu za posiadanie w domu 14 gramów prochu. (Art. 295 § 2 kodeksu karnego). W 2014 r. skazano go na 6 lat więzienia, jednak w wyniku apelacji wyrok skrócono do 5 lat (Art. 295 § 3 kodeksu karnego). Został wypuszczony na wolność w lipcu 2019 roku, jednak cały czas stosowano wobec niego oficjalny nadzór milicji - nałożono na niego zakaz opuszczania miasta i zmiany miejsca zamieszkania, zakaz odwiedzania barów, restauracji, sklepów monopolowych, godzinę milicyjną od 22:00 do 6: 00 rano, cotygodniowy obowiązek stawiennictwa w jednostce milicji.

Wszyscy oni są już ukształtowanymi osobowościami o wyraźnych cechach moralnych i świadomych poglądach na życie. Każdy z nich to przekonany anarchista, każdy z nich jest ideologiczną i godną osobą. Każdy z nich jest bojownikiem o nową, wolną Białoruś, w której nie ma miejsca na arbitralność OMON, GUBOPiK i innych organów ścigania, gdzie nie ma miejsca na przemoc przeciwko wolności we wszystkich jej przejawach.

Dlaczego ich wspieramy?

Wszystkie oskarżenia, jakie postawiono anarchistom-rewolucjonistom są absurdalne, cyniczne i fałszywe. Zatrzymani anarchiści nie ukrywają, że brali udział w podpaleniach, niszczeniu mienia i sabotażu. Wszystko to jednak formy akcji bezpośredniej, które w żaden sposób nie przyczyniły się do czyjejkolwiek śmierci lub obrażeń. Nie było to celem ich działania. Jako anarchiści-rewolucjoniści wybrali oni drogę partyzanckiego oporu, a swoimi działaniami chcieli wesprzeć zbuntowany naród białoruski oraz przyczynić się do wzniecenia powstania ludowego. Broń jaką przy nich znaleziono, świadczy o tym, że świadomie podjęli zdecydowaną i ryzykowną walkę z terrorem państwa. Osobiście wierzymy, że posiadanie broni palnej jest prawem każdego wolnego człowieka, a nie tylko przywilejem brutalnych organów ścigania. Obecnie to państwo białoruskie zbudowane jest na przemocy wojska i milicji, stworzone i opłacane przez szalonego dyktatora, który bazuje na strukturach terrorystycznych. To państwo na co dzień gwałci kobiety, bije emerytów, strzela do nieuzbrojonych osób, torturuje osoby zatrzymane w wojskowych furgonetkach i w aresztach, włamuje się do mieszkań, niszczy samochody i rowery, demoluje witryny sklepów i kawiarń. Żaden anarchista nie działa w taki sposób. Anarchizm opiera się na samoorganizacji, pomocy wzajemnej i solidarności. Anarchizm to nie tylko chęć bycia wolnym. To walka z każdą formą ucisku, to walka o wolność. Tak, mieli przy sobie broń, ale nie użyli jej przeciwko ludziom. Tak, podpalali budynki, ale to one stanowią kręgosłup reżimu i dlatego zostały obrane jako cel. Nie było strat w ludziach. Tak, są powstańcami i rewolucjonistami. Jednak każda osoba ma prawo do powstania, zwłaszcza w kraju gdzie nie działają żadne demokratyczne mechanizmy, gdzie nie ma żadnego systemu sprawiedliwości, a każdy pokojowy protest spotyka się z radykalną przemocą za strony państwa. W przeciągu ostatnich miesięcy na Białorusi zatrzymano około siedemnaście tysięcy osób i wszczęto około tysiąc spraw karnych. W aresztach znajduje się ponad stu więźniów politycznych. Nawet za najbardziej pokojową formę protestu - strajk w zakładach pracy - władze skazują robotników na kary więzienia. Powszechny zakaz strajków, masowe zwolnienia, represje i nie wypełnianie obietnic, złożonych robotnikom przez władze Białorusi doprowadziły do tego, że Soligorsk - miasto górnicze i robotnicze - zostało wybrane przez czterech anarchistów, jako miejsce na przeprowadzenie akcji bezpośredniej. Ich działania miały na celu okazanie wsparcia robotnikom i górnikom z tamtego regionu oraz wyrażenie solidarności ze stawianymi przez nich żądaniami.

Wzywamy ruch anarchistyczny do powstrzymania się od słów krytyki, opartych na urywkach z zapisu przesłuchań towarzyszy, które celowo zostały opublikowane przez organy ścigania. Czas wszystko wyjaśni, a my z całą odpowiedzialnością zapewniamy, że nowe fakty dotyczące naszych towarzyszy zostaną w całości upublicznione.

Wyrażamy swoje pełne poparcie dla uwięzionych anarchistów oraz dla wszystkich Białorusinów, którzy powstali przeciwko dyktaturze i przemocy wojska i milicji oraz wzywamy Was wszystkich do walki o natychmiastowe uwolnienie Igora Oliniewicza, Dzmitryja Dubouskiego, Dzmitryja Rezanowicza, Siarheja Ramanaua, jak również wszystkich innych więźniów politycznych na Białorusi. Wzywamy wszystkich, którzy nie są obojętni, aby rozpowszechniali informacje o zatrzymanych, organizowali akcje solidarnościowe, oporu oraz stosowali wszelkie inne formy nacisku na reżim Łukaszenki, zarówno na Białorusi jak i za granicą. Pamiętajcie, że największym wsparciem jest kontynuowanie walki, której nasi aresztowani towarzysze poświęcili całe swoje dotychczasowe życie.

Przyjaciele i towarzysze w walce!

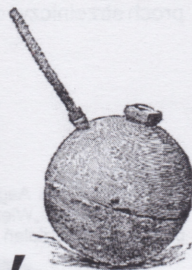
Pod listem podpisali się: **Kolektyw a2day.net**, **Kolektyw Pramień** (pramen.io), **Mikoła Dziadzok**, bloger, anarchista, analityk polityczny (/mikola.noblogs.org/), **Kolektyw Munroe effect** (telegram @munroe_effect), **Kolektyw Czarna Fala** (telegram @bwave_bot), **ACK Białoruś** (abc-belarus.org), **Akcja Autonomiczna** (avtonom.org), **Federacja Anarchistyczna Śląsk**, **Lukáš Borl**, anarchista, bloger (lukasborl.noblogs.org/), **Biblioteka Wolna Myśl** (dumka.be/ru), **Kolektyw Bojownik Anarchista**, **Projekt Antijob** (antijob.net/), **ACK Czechy** (abcnews.noblogs.org/), **ACK Grecja** (abcgr.espivblogs.net/), **ACK Galicja** (s. Kraków), **ACK Warszawa**, **161 Crew Poland**, **Kooperatywa wydawnicza Pilnik** (telegram @napilnik_bot), **Kolektyw Make (A) Great Again** (telegram @make_a_great_again_bot), **Kolektyw 325** (325.nostate.net/), **Ogólnopolskie pismo anarchistyczne „Atak"**, **The Chronicle of Resistance** (kronika.noblogs.org/), **Anarquia.info**, Brasil (noticiasanarquistas.noblogs.org), **Kooperatywa Wydawnicza Radykalna Teoria i Praktyka** (rtpbooks.info/), **Volná komunita VAP** (voiceofanarchopacifists.noblogs.org)



Od lewej: Dzmitry Rezanowicz, Dzmitry Dubouski, Igor Oliniewicz i Siarhei Ramanau

Międzynarodowy Tydzień Solidarności z Uwięzionymi Anarchist.k.ami

PROCH W DŁOŃ



Bezpośrednia solidarność z uwięzionymi anarchistami i anarchistkami: Gabriel Pombo Da Silva, Dinos Giagtzoglou, Alfredo Cospito, Anna Beniamino, Nicola Gai, Marco Bisesti, Christos Rodopoulos, Lisa Dorfer, Michael Kimble, Eric King, Monica Caballero, Francisco Solar oraz wszyscy anarchistyczni towarzysze w więzieniach całego świata.

„Jeśli o mnie chodzi wybrałem walkę […] uzbrojony stawiłem czoła społeczeństwu, bez pochylania głowy…"
- Severino Di Giovanni

„Palenie ateistów na stosach, potępienie homoseksualistów czy kazirodców, segregacja „szaleńców" i więzienie wyjętych spod prawa to tylko różne sposoby integracji i represjonowania każdego, kto przekracza granice wyznaczone przez normę […]. Więzienia, domy opieki, zdemokratyzowane terapie i leczenie ortopedyczne to tylko różne sposoby zastosowania tej samej wiary w model".
- *Canenero*, numer 3, 11 listopad, 1994

Międzynarodowy tydzień solidarności z uwięzionymi anarchistami jest owocem wysiłków kilku grup Anarchistycznego Czarnego Krzyża, które były zdeterminowane, aby umieścić w kalendarzu dzień solidarności dla naszych porwanych przez państwo towarzyszy. Od lata 2013 r. ta chwalebna inicjatywa daje nam możliwość potwierdzenia naszego bezwarunkowego wsparcia i wysłania silnego przesłania do wroga, potwierdzającego, że nasi bracia i siostry nie są sami. Ponadto w tym roku będziemy mogli poświęcić ten wysiłek towarzyszowi Stuartowi Christiemu, który właśnie nas opuścił.

Stuart, niestrudzony propagator anarchistycznej walki i architekt zmartwychwstania ACK w latach sześćdziesiątych XX wieku, promował solidarność z naszymi więźniami w tym niekorzystnym scenariuszu, który uczynił ich niewidzialnymi poprzez hegemoniczne narzucenie marksistowskiej wulgaty, potępiającym ich zmagania przez bardzo potężną machinę wzmacniającej się w nieskończoność z siedzibą w Moskwie i oddziałami w Hawanie, która uznawała swoich strategicznych sojuszników jedynie za „więźniów politycznych"(1) lub „jeńców wojennych" (2) i skazał na ostracyzm wszelkie inne działania, które nie były umiejscowione w logice „zimnej wojny" i operacji finansowanych z biur kontrwywiadu tzw. „realnie istniejącego socjalizmu".

Dlatego właśnie z zadowoleniem przyjmuję fakt, że w tym dniu solidarności nasze ograniczone środki są kierowane do konkretnych więźniów anarchistycznych, „czyszcząc" listę z osób autorytarnych, nacjonalistów, mizoginów, homofobów, szpiegów i fundamentalistycznych przywódców religijnych, którzy często widnieją na niektórych listach od charytatywnych i liberalnych chrześcijan na sterydach, którzy się koło nas kręcą. Przy tej okazji wymieniamy towarzyszy anarchistycznych lub antyautorytarnych ludzi bliskich propozycjom walki anarchistycznej, zamkniętych w lochach dominacji. Stąd znaczenie tego nowego tygodnia solidarności dziewięćdziesiąt trzy lata po sankcjonowanym przez prawo zabójstwie Nicoli Sacco i Bartolomiego Vanzettiego, towarzyszy, którzy postali nieugięci do ostatnich konsekwencji.

Notatki dla kontekstu

Pierwsze trzy dekady XX wieku były trudnymi latami dla działań anarchicznych, nękani postępem sił totalitarnych i nieustannym polowaniem na ich agentów. W powstającym Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich (ZSRR) krwią i ogniem narzucono czerwony faszyzm z Władimirem Iljiczem Uljanowem (Leninem) na czele; we włoskim bucie faszyzm dominował od 1922 r, gdzie dowodził Benito Amilcare Andrea Mussolini jako Duce z Włoskiej Republiki Socjalnej; na Półwyspie Iberyjskim faszyzm w stylu hiszpańskim utrwalił się po zamachu stanu dokonanym przez kapitana generalnego Katalonii Miguela Primo de Riverę w 1923 r. W Niemczech powstała Niemiecka Narodowosocjalistyczna Partia Robotnicza (NSDAP), która natychmiast zyskała poparcie wśród niemieckich robotników i chłopów motywowanych rasizmem i patriotyzmem; w Portugalii dyktatura wojskowa ustąpiła miejsca Estado Novo Antonio de Oliveira Salazara; w Polsce powstała dyktatura Józefa Klemensa Piłsudskiego i w Austrii austrofaszyzm z Engelbertem Dollfussem; wydarzenia, które dostarczyły ponurych perspektyw rozwoju naszych zmagań.

Jednak pomimo niesprzyjających warunków, chęć reorganizacji zgorzkniałej międzynarodowej koordynacji inspirowanej mityczną Czarną Międzynarodówką z 1881 roku, która przywróciłaby impet powstańczy Anarchii i zachęciła do rozprzestrzeniania się wojny przeciwko wszelkiej władzy, nabrała rozpędu wśród nieformalnych grup i anarchistycznych jednostek z tamtych czasów. Sacco i Vanzetti to tylko kilka nazwisk z tego zatwardziałego gangu, który zrobił wszystko, co możliwe, aby to marzenie się spełniło. Rozpowszechniając się na całym świecie, wielu z tych towarzyszy zdołało wytworzyć międzynarodową koordynację, która sprawiła, że propaganda czynu stała się ponownie konkretna/celowa. W tym celu Nicola i Bartolomeo w pierwszych miesiącach 1917 r. przenieśli się na północ Meksyku z zamiarem przyłączenia się do anarchicznej walki powstańczej. Szybko się rozczarowali, rozpoznając meksykańską „rewolucję" jako bratobójczą walkę między rywalizującymi stronami o kontrolę nad państwem. Po powrocie do USA dołączyli do grupy włoskich anarchistów skupionych wokół gazety *Cronaca Sovversiva*, gdzie również aktywnie współpracowali. Grupa ta przeszła historii z wywłaszczeniami i ich akcjami bezpośrednimi na całym terytorium Ameryki.

Energiczne działania tych towarzyszy uczyniły ich najbardziej prześladowaną anarchistyczną grupą przez władze federalne w Stanach Zjednoczonych. Jednak ugrzecznienie historii i nie tylko historii „oficjalnej", ale także historiografii o charakterze libertariańskim uciszyło ich działania i wkład teoretyczny. Anarchizm „legalistyczny" zadbał o zapewnienie Sacco i Vanzettiemu fałszywej historii, zamieniając ich najpierw w „ofiary", a następnie w „męczenników ", by w końcu kanonizować ich w taki sam sposób, jak robili to wcześniej z anarchistami, „Męczennikami z Chicago".

Za wyjątkiem wkładu historyka Paula Avirichа, który zagłębił się w anarchistyczną działalność tamtego okresu oraz eseju Alfredo Bonanno, pozostała literatura opublikowana w tej sprawie kładzie nacisk na „niewinność" towarzyszy Sacco i Vanzettiego i zaprzecza, jakoby byli zaangażowani w wywłaszczenie w South Braintree, za co zostali skazani na śmierć.

Wywłaszczenia były konsekwentną częścią działalności grupy, w której Sacco i Vanzetti byli mocno zaangażowani. W tym czasie doszło do niezliczonych wywłaszczeń. Zebrane fundusze zostały przeznaczone na pomoc współwięźniom i ich rodzinom, drukowanie anarchistycznej propagandy oraz opłacenie ataków tzw. represji na przedstawicieli władzy.

Zabójstwo Sacco i Vanzettiego w Massachusetts było bodźcem do anarchistycznych akcji w całym roku 1927 r., w Hawanie, Montevideo i Buenos Aires eksplodował dynamit w odpowiedzi na zbrodnię państwa. Pieniądze z wywłaszczenia w Paterson zostały zamienione na nitroglicerynę, niszcząc włoski konsulat w Buenos Aires; fundusze z nowego rabunku w Los Angeles staną się surowcem potrzebnym do potężnego wybuchu w siedzibie J.P. Morgana w sercu Wall Street; więzienie i tortury towarzyszy w jakimkolwiek mieście na świecie powodowały pewny odwetowy atak tam, gdzie wróg by się tego najmniej spodziewał. Solidarność międzynarodowa ponownie stała się rzeczywistością, która wykracza poza słowa!



Anarchiści vs. Wall Street, 1920.

Odpryski w gardle

Między 23 a 30 sierpnia ponownie będziemy mieli okazję ukazać życiorysy kryjące się za anarchistyczną walką i wyjawić - bez stawiania ich w roli ofiar - codzienne nadużycia, z którymi borykali się nasi towarzysze. Jednak te siedem dni antywięziennego aktywizmu to tylko symboliczny akt, który ma na celu szerzenie świadomości na temat sytuacji uwięzionych anarchistów. Z perspektywy nieformalnej i insurekcyjnej tendencji anarchizmu, cały rok to bezpośrednie akty solidarności z tymi, którzy są uwięzieni za promowanie walki przeciwko władzy we wszystkich zakątkach planety.

Dlatego gdy mówimy, że anarchistyczna solidarność to coś więcej niż słowa, nie tylko odwołujemy się do naszych towarzyszy w walce, czy do ekonomicznego i emocjonalnego wsparcia naszych więźniów, ale także ratyfikujemy podstawy naszej walki. Oczywiście nie ma bardziej odpowiedniego wsparcia dla naszych uwięzionych towarzyszy niż koordynacja ich ucieczki lub wysadzenie autobusu transportującego strażników, ale nie zawsze mamy środki na te spektakularne akcje; niemniej jednak istnieje wiele sposobów, aby okazać nasze wsparcie i twórczo oraz konkretnie wyrażać solidarność. Istnieje nieskończona liczba działań, które mogą utrudnić działanie przemysłu więziennego,a ich przeprowadzenie wymaga jedynie niewielkiego wcześniejszego rozpoznania. Pewne jest, że każdy atak na system dominacji poza symbolami zawsze przyniesie im radość, wywołując woń prochu i jego implikacje.

Więzienie jest często możliwością dla tych z nas, którzy uważają się za bezlitosnych anarchistów. Ukryte zagrożenie na każdym etapie praktyki. Kiedy jednak musimy zmierzyć się z tym niebezpiecznym faktem, nie oznacza to końca naszej wojny z dominacją, ale początek nowej walki pełnej codziennych bitew, które, aby z nimi walczyć i przetrwać fizycznie i emocjonalnie wymagają okazjonalnej pomocy naszych towarzyszy z zewnątrz.

Więzienie nie jest tym mitycznym miejscem, o którym marzą humanistyczni liberałowie. W stanie więźniów nie ma nic do wywyższenia. Jego wysokie mury nie są domem dla początkujących powstańców ani czystych anty-autorytarystów. Za drutem kolczastym znajduje się zepsute lustro w klatce, które odbija całe społeczeństwo.

„**W**ewnątrz" występuje ta sama fauna karierowiczów, autorytarstów, oprawców, religijnych fanatyków, donosicieli, moralistów, wykolejeńców i gwałcicieli. To właśnie w tym wrogim środowisku, twarzą w twarz z państwową bestią, trzeba przetrwać, tkając więzi powinowactwa/zażyłości, nie na podstawie ideologicznych założeń, ale w konsekwentnej i opornej praktyce, a do tego mieć tę pewność, że nie zostało się porzuconym, a każdy atak na ten system dominacji niesie za sobą dedykacje odprysków ładunku w gardle nasyconych siarką i azotanem potasu. W końcu wszystko, co możemy zrobić, to zdobyć proch strzelniczy i okazać solidarność, ożywiając Anarchię.

Gustavo Rodriguez
Planeta Ziemia, 17 sierpień 2020

Tłumaczenie: **Konrad (Czarna Teoria)**

Przypisy:

(1) Według Carla Aage Norgaarda, byłego przewodniczącego Europejskiej Komisji Praw Człowieka: „Więzień polityczny to osoba, która jest więziona z powodu swoich przekonań i działań politycznych". Pojęcie to jest regularnie stosowane do kwalifikowania politycznie transgresyjnych zachowań popełnionych z powodów politycznych. Kiedy te przestępstwa przeciwko Państwu lub Konstytucji zostały popełnione bez uciekania się do przemocy, osobie zazwyczaj przypisuje się bycie „więźniem sumienia" zgodnie z definicją Amnesty International: „Osoba uwięziona lub w inny sposób poddana przymusowi za swoje przekonania religijne lub inne przekonania", jak również za jego pochodzenie etniczne, płeć, kolor skóry, język, pochodzenie narodowe lub społeczne, stan majątkowy, urodzenie, orientację seksualną lub inne okoliczności, pod warunkiem że nie ucieka się do przemocy ani nie opowiada się za jej użyciem ".

(2) Artykuł 4 Trzeciej Konwencji Genewskiej o postępowaniu z jeńcami wojennymi z 1949 r. definiuje jeńca wojennego jako „osobę należącą do jednej z następujących kategorii, która wpadła w ręce wroga: 1. Członkowie sił zbrojnych strony konfliktu oraz członków bojówek i korpusów ochotniczych wchodzących w skład tych sił zbrojnych; 2. Członkowie innych bojówek i korpusów ochotniczych, w tym zorganizowanych ruchów oporu, należących do strony konfliktu i działających na ich własnym terytorium lub poza nim, nawet jeśli to terytorium jest okupowane, pod warunkiem że te bojówki lub korpus ochotniczy, w tym takie zorganizowane ruchy oporu spełniają następujące warunki: a) są dowodzone przez osobę odpowiedzialną za swoich podwładnych; b) mają stały znak rozpoznawczy rozpoznawalny z daleka; (c) noszą widocznie broń; d) prowadzą swoją działalność zgodnie z prawami i zwyczajami wojny; 3. Członkowie regularnych sił zbrojnych, którzy postępują zgodnie z instrukcjami rządu lub organu nie uznanego przez zatrzymującą ich stronę; 4. Osoby, które są powiązane z siłami zbrojnymi, nie będąc w rzeczywistości ich integralną częścią, takie jak cywilni członkowie załóg wojskowych samolotów, korespondenci wojenni, dostawcy, członkowie jednostek roboczych lub służb odpowiedzialnych za dobro personelu wojskowego, pod warunkiem że uzyskali zezwolenie od sił zbrojnych, którym towarzyszą, i że te ostatnie są zobowiązane do zapewnienia im w tym celu dowodu osobistego podobny do załączonego wzoru; 5. Członkowie załogi, w tym kapitanowie, piloci i majtkowie z marynarki handlowej oraz załogi lotnictwa cywilnego stron konfliktu, którzy nie korzystają z bardziej uprzywilejowanego traktowania na podstawie innych postanowień prawa międzynarodowego; 6. Ludność terytorium nie okupowanego, która w obliczu zbliżania się wroga spontanicznie chwyta za broń do walki z najeżdżającymi wojskami, bez odpowiedniego czasu, by ukonstytuować się w regularne siły zbrojne, jeśli nosi widoczną broń przestrzega praw i zwyczajów wojennych". Dostępne pod adresem:https: //www.icrc.org/es/doc/resources/ documents/treaty/treaty-gc-3-5tdkw (sprawdzono 16.08.2020). Tak zwane „armie powstańcze" i leninowskie grupy partyzanckie dodały do pojęcia „osoby, które zostały zatrzymane za złamanie ram prawnych przez publiczne wypowiedzenie wojny państwu, walkę o rewolucyjną polityczną zmianę strukturalną państwa".

WROCŁAW:
Z nienawiści do banków, kamieniczników i szefów. Z miłości do praktyki, zamiast wiecznego gadania.

Trzy różne grupy stworzyły trzy różne inicjatywy. Do konkretnych działań nie trzeba wiele więcej prócz chęci, by słowa zamieniać w czyny. Wrocław dzieli się informacjami o tym, co posiada - bo choć może nie jest to super rewolucyjne, to może zachęcić innych do tego, by wbijać kliny w ten system oparty na własności prywatnej środków produkcji.

Anarchistyczna Kasa Samopomocowa

Jesteśmy grupą znajomych, często się zastanawialiśmy jak sobie radzić z kryzysem finansowym. Każdemu z nas się przytrafił jakiś nieplanowany wydatek i nagle potrzebujemy kilku stówek. Znajomi nie zawsze mają oszczędności, albo chęć pożyczyć pieniądze na bliżej nieokreślony termin. Niechęć do banków, a już w szczególności do lichwiarskich parabanków, stawia nas pod ścianą. Wyszliśmy naprzeciw takim sytuacjom i zamieniliśmy słowa w czyny. 1 lipca 2020 roku została powołana Anarchistyczna Kasa Samopomocowa, czyli oddolna inicjatywa pożyczkowa, niezależna od instytucji finansowych, do której może dołączyć każdy zainteresowany. Składki są wpłacane co miesiąc przez wszystkich członków AKS, a pożyczkobiorca ma do dyspozycji całą pulę, jaka jest w kasie. Na działalności AKS nikt nie zarabia, dlatego też pożyczka nie jest oprocentowana, spłaca się dokładnie tyle, ile się pożyczyło. Uważamy, że jest to realna alternatywa dla komercyjnych pożyczek. Jednak działa odwrotnie; żeby wziąć, najpierw trzeba wpłacić. Anarchistyczna Kasa Samopomocowa powstała na solidnym fundamencie, czyli zaufaniu. Bez tego funkcjonowanie AKS nie miałoby sensu. Uważamy, że pomoc wzajemna jest elementarnym składnikiem dobrze funkcjonującego społeczeństwa. Zachęcamy do zakładania kas samopomocowych w całym kraju. Na spotkaniu założycielskim ustaliliśmy i spisaliśmy statut. Nie ogłaszamy się publicznie, by nie zainteresowały się nami pewne służby, jednak jeśli będziesz chciał, to dotrzesz do nas przez wrocławskie środowisko anarchistyczne.



Dom Socjalny im. Piotra Kropotkina*, Skłot Hulajpole**

REWOLUCJA ZACZYNA SIĘ W DOMU!

Dach nad głową jest podstawową potrzebą człowieka. Mieszkanie, w swojej podstawowej formie, nie powinno być takim towarem jak złoto.

Tworzymy swoistą anarchistyczną wspólnotę skłoterską, wspólnie mieszkając oraz angażując się w różne projekty polityczne i społeczne, z których jednym jest sam Dom.

Najpierw była myśl. Wszak tyle budynków, mieszkań, a nawet całych kamienic stoi pustych. Potem trzeba było poszukać ludzi, którzy chcieliby dołączyć. Bardzo ważne były wtedy spotkania i rozmowy by się poznać, doprecyzować wspólną wizję i zasady. Kolejnym etapem było znalezienie pustych budynków i wybrania tego, który najlepiej się nadawał na życie i działalność. A potem przyszło życie. Wiosną 2019 r. zaczęło się: wspólne mieszkanie, remonty, porządki, przysposabianie kolejnych pomieszczeń. Codzienne funkcjonowanie oparliśmy o cotygodniowe dyżury porządkowe. Ważnym elementem są spotkania Domu, organizacyjne, ale też dające możliwość dzielenia się tym co przeżywamy osobiście, niwelowania napięć w grupie.

Postanowiliśmy, że na terenie nie może być żadnych narkotyków i mięsa. Umówiliśmy się też, że alkohol pijemy tylko we własnych pokojach, podczas większych wydarzeń, ewentualnie przy wyjątkowych okazjach. Staramy się, żeby Dom był miejscem gościnnym i bezpiecznym. W ramach Domu funkcjonuje pracownia sitodruku, koncertownia, freeshop, biblioteczka, są pomysły na spółdzielnię hulajmaty, w której mogłyby znaleźć zatrudnienie osoby z niepełnosprawnością intelektualną.

To wszystko było możliwe tylko dzięki pomocy i wsparciu wielu osób, przede wszystkim ze środowiska anarchistycznego, które pomagały w remontach i porządkach, w zmaganiach z policją i urzędnikami, czy nawet w tak prozaicznych ale podstawowych sprawach jak zrobienie prania. Odbyło się kilka imprez benefitowych, z których był zakupiony sprzęt do instalacji fotowoltaicznej, materiały remontowe, czy dzięki którym mogliśmy wesprzeć protestujących w innych krajach (Kurdowie, Białoruś...) Był piknik sąsiedzki. Jesteśmy otwarci na różne inicjatywy!



To wszystko kosztowało dużo pracy, energii, wysiłku, stresu. Ale dało jeszcze więcej: okazji do poznania świetnych ludzi, doświadczenia pomocy, nauki życia pośród innych, zdobycia wielu praktycznych doświadczeń, wspólnego pokonywania przeciwności

WARTO BYŁO SPRÓBOWAĆ!

Hulajpole jest Domem, przestrzenią, w której realizujemy swoje potrzeby i marzenia ale równolegle jest protestem wobec braku polityki mieszkaniowej na szczeblu państwowym i miejskim, wobec oddania przestrzeni miejskiej w ręce deweloperki. Istnienie tego konkretnie miejsca na dłuższą metę stoi pod znakiem zapytania, gdyż teren należy do miasta. Został wysiedlony kilka dobrych lat temu, gdyż w jego pobliżu, dosłownie o metry, będzie przebiegała droga. Inwestycja podobno już ruszyła, na szczęście budynek nie jest ostatecznie przeznaczony do rozbiórki.

Zapraszamy do kontaktu z nami, zachęcamy do odwiedzin i namawiamy do tego, by brać sprawy w swoje ręce - chętnie pomożemy! Podważamy czynem „święte prawo własności prywatnej" i zachęcamy do tego innych potrzebujących.

Latem tego roku kolejne osoby zajęły pustostan zakładając skłot Pandemia. Kiedy piszemy te słowa jest koniec października, w całym kraju odbywają się ogromne demonstracje Strajku Kobiet, w którym anarchiści licznie uczestniczą. Wrocławskie Rewolucjonistki zajęły symbolicznie kolejną kamienicę w centrum i wywiesiły na niej wiele banerów.

Skłot Pandemia wykorzystując swoje położenie, wywiesza solidarnościowe hasła, a mieszkańcy sami także demonstrują. Dotychczas przedstawiciele miasta, policja, a ostatnio i wynajęta prywatna ochrona próbowała siłą eksmitować mieszkańców. Jednak ci skutecznie się bronią, a inni mieszkańcy ich wspierają. Przed laty wypędzono stamtąd dziesiątki rodzin, a teraz budynek ma być sprzedany prywatnemu właścicielowi.

Przed kamienicą został namalowany mural upamiętniający zamordowaną przez kamieniczników w Warszawie Jolantę Brzeską, a podczas jednej z obron wywieszonych zostało wiele banerów krytykujących wyprzedaż mieszkań kamienicznikom, których brakuje dla ludzi.

Kontakt: **hulajpole@riseup.net**

FUCK THE LAW, SQAT A LOT!

* Piotr Kropotkin (1842-1921) - rosyjski działacz anarchistyczny, naukowiec, pisarz. Napisał m. in. takie publikacje jak: *Wspomnienia rewolucjonisty*, *Pomoc wzajemna jako czynnik rozwoju*, *Zdobycie chleba*.

** Hulajpole - miasto na Ukrainie, będące siedzibą machnowców, anarchistów, którzy w latach 1918-1920 wznieźli na tamtych terenach antybolszewickie powstanie.

„Własność jest przyczyną cierpienia i nędzy w społeczeństwie."
- Pierre-Joseph Proudhon

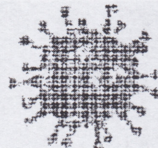
Spółdzielnia „Bez Szefów" - od słów do czynów

Pierwszego maja 2020 roku (data symboliczna) powołaliśmy do życia naszą spółdzielnię. Spisaliśmy zasady, które mówią m.in. o równym podziale zysków, samoopodatkowaniu się z nadwyżki (zarabiamy do 30zł/h, a reszta jest odkładana na rozwój spółdzielni, z czego 10% idzie na Konfederację Wolny Wrocław, czyli zrzeszenie wszystkich wrocławskich grup anarchistycznych) i czynią z SBS miejsce wolne od władzy i wyzysku. Usługi, które świadczymy dotyczą szeroko pojętej budowlanki. To dopiero nasze początki i nie wiemy jak się to wszystko rozwinie, jednak na tę chwilę jesteśmy dumni z tego, co robimy. Nasze zasady udowadniają, że praca może wyglądać inaczej niż ta, do której jesteśmy przyzwyczajeni, gdzie pracujemy, by wzbogacić właściciela firmy, a sami dostajemy ochłapy, gdzie jesteśmy kontrolowani i rządzeni. Przeciwko pracy najemnej - w słowach i przede wszystkim w czynach!

„Instynkt społeczny, poczucie solidarności i swobodne łączenie się wszystkich dzięki grupowaniu ludzi według ich potrzeb, złączy ludzkość w jedną braterską wspólnotę."
- Errico Malatesta.

Pozdrawiamy z Wrocławia i zapraszamy w odwiedziny!

PANDEMIA COVID 19 PERSPEKTYWA „OD ŚRODKA"



Zdrowie, rozumiane zarówno jako wartość indywidualna, jak i pojęcie odnoszące się do zbiorowości, stanowi czynnik o niezmiernie złożonych zależnościach. Poza aspektem genetyki i podatności konkretnej jednostki, na jego stan i dynamikę mają wpływ zarówno czynniki związane ze stylem życia, jak również oddziaływaniem szeroko pojętego środowiska oraz sposobem organizacji systemu opieki zdrowotnej w ujęciu społecznym, politycznym i ekonomicznym. Globalny problem epidemii-pandemii Covid 19, ujawnił się jako wynik destrukcyjnego oddziaływania na zdrowie publiczne, dotyczącego zarówno skali mikrobiologicznej, jak i administracyjnej. Analiza etiologii oraz patofizjologii rozwoju zespołu ciężkiej, ostrej niewydolności oddechowej spowodowanej reakcją zapalną organizmu w stosunku do wirusa SARS-CoV-2, zwanego potocznie po prostu koronawirusem, jest przedmiotem rozważań natury medycznej. Dość powiedzieć, że chorobotwórcze patogeny oraz wywoływane przez nie choroby znane są ludzkości od wieków, zaś ludzie od zawsze usiłowali sobie radzić z nimi tak jak potrafili, z różnymi skutkami. Diagnostyka i terapia samej choroby, jak również sprawa pochodzenia nowego koronawirusa to tematy, które poruszyć można w innym miejscu. Tutaj pragnę skupić się na całej organizacyjnej otoczce procesów medycznych, która okazała się mieć na nie wpływ większy niż się spodziewano - wpływ, który istotnie utrudnił i nadal utrudnia walkę z groźną chorobą, sprowadza zamęt i destrukcję, a tym samym ciągle przyczynia się do trwania i rozwoju globalnej epidemii ze wszystkimi jej konsekwencjami.

W dobie kiedy światowe rządy permanentnie zwiększają wydatki ze środków publicznych na zbrojenia, inwigilowanie obywateli przy pomocy coraz to nowszych metod i sprzętu, uposażenie policji i innych formacji zmonopolizowanej prawnie przemocy. W czasach stawiania pomników pychy władzy i kapitału w postaci pompatycznych obiektów sportowych, handlowych oraz rozrywkowych. Gdy łoży się ogromne sumy na kwestie związane z propagandą polityczną, przeprowadzaniem tzw. wyborów i utrwalaniem panującego politycznego *status quo*. Kiedy z pieniędzy pochodzących z podatków dotuje się prorządowe tuby propagandowe, a potencjalnych podatników traktuje się jak równych i równiejszych, zwalniając z opłat podatkowych instytucje takie jak kościół. Otwiera się jednocześnie drogę prawno-finansową światowym korporacjom czerpiącym globalne zyski dzięki wyzyskowi oraz uciskowi mas legalizowanemu przez władzę, wybucha epidemia groźnej choroby, której nie sposób na czas powstrzymać. Jak to możliwe? Otóż przyczyną zaistniałej sytuacji jest przede wszystkim nie sam groźny wirus, ale podatny grunt, na jaki przyszło mu trafić, czyli zdestabilizowany i zaniedbany system opieki zdrowotnej.

Od lat, przez wszystkie kadencje kolejnych rządów, nie sposób było nie zauważyć powracającego tematu „chorej" służby zdrowia, której ciągle brak pieniędzy, która nieustannie o coś się upomina i która, pomimo rzekomego zwiększania nakładów ze środków publicznych ciągle źle funkcjonuje. Strajki pielęgniarek, lekarzy, ratowników medycznych, fizjoterapeutów itd. były wyrazem i efektem tego, w jaki sposób kolejne rządy tanim kosztem próbują utrzymywać system opieki zdrowotnej. Każdy człowiek zdaje sobie sprawę, że potrzeby zdrowotne ludzi stanowią temat niezmiernie złożony, często uciążliwy i niewygodny, tym niemniej kosztowny, powszechny i ponadczasowy. Jednocześnie, każda władza dobrze wie, iż ze względu na stale rosnący zakres potrzeb zdrowotnych oraz rozwój standardów w ochronie zdrowia populacji, zdrowie publiczne stanowi dziedzinę, która wymaga ciągłego dofinansowywania. Z tego wynika, że niezależnie od tego, czy rząd da mniej czy więcej, potencjalne koszty i wydatki na ochronę zdrowia i tak stale będą rosły. Mając do czynienia z takim swoistym finansowym workiem bez dna, władza stosuje permanentną taktykę cięcia kosztów. Wie bowiem, że choroby i tak nigdy w pełni nie znikną, zaś upokarzani i często doprowadzani do ostateczności chorzy i tak przyjdą po „swoje". Cyniczne założenie polega na tym, że w razie czego frustracja ludzi odbije się na personelu opieki zdrowotnej, który będzie można przedstawić opinii publicznej w mediach jako wyrachowany, nieludzki, zepsuty i wiecznie roszczeniowy.

Gdy na przełomie 2019 i 2020 roku pojawiały się pierwsze sygnały o zagrożeniu epidemicznym związanym z nowym koronawirusem, stan tzw. służby zdrowia, zarówno pod względem sprzętowym, personalnym, jak i organizacyjnym, był - tak jak zresztą ciągle przez ostatnich kilka dekad (wcześniej mało kto pamięta) - niedostateczny, żeby nie użyć słowa dramatyczny. Z końcem lutego 2020 roku okazało się, że epidemia nie ominie Polski, więc zaczęto czynić przygotowania „na szybko". Nikt wówczas nie myślał realnie o leku czy szczepionce wymierzonej w chorobę wywoływaną przez koronawirusa. Była to (i jest nadal) sprawa przyszłości. Skupiono się zatem na środkach podstawowej ochrony, objawowego leczenia i niezbędnej profilaktyki. Okazało się, że nawet te proste produkty i metody zabezpieczenia zdrowotnego nie zostały zgromadzone na wypadek tego rodzaju stanu zagrożenia w wystarczającej ilości. Brakowało środków ochrony indywidualnej, w tym maseczek, przyłbic, rękawiczek oraz preparatów do dezynfekcji. Oferenci dostarczający tego rodzaju produkty do placówek ochrony zdrowia, biorąc pod uwagę fakt pochodzenia części spośród nich z Chin, często wycofywali swoje oferty i zrywali istniejące umowy. W magazynach krajowych pozostawała ograniczona i nieproporcjonalna w stosunku do skali potrzeb ilość tego rodzaju środków, zaś w szpitalach i przychodniach rozpowszechniała się nieoficjalna zasada oszczędnego używania tych, które jeszcze były do dyspozycji personelu. Przez pierwsze tygodnie epidemii, nie było dostępnych testów do badań w kierunku zakażenia wirusem, ponadto ilość specjalistycznej odzieży ochronnej była dramatycznie mała. Zawodził system wymiany informacji o potrzebach sprzętowych. Niezbędnych środków nie dostarczano na czas i w odpowiedniej ilości. Przez tego typu braki w zabezpieczeniu epidemiologicznym i sanitarnym, znaczna część personelu ochrony zdrowia, z racji kontaktu z zarażonymi, trafiała na kwarantannę, co sprowadzało postępujący paraliż kolejnych jednostek opieki zdrowotnej, w tym oddziałów ratunkowych, zabiegowych i placówek pomocy doraźnej. To z kolei stawało się przyczyną trwającej do dziś niewydolności i zaniedbań diagnostyczno-terapeutycznych w odniesieniu do innych niż Covid 19, a często dużo bardziej poważnych chorób, takich jak choćby nowotwory czy przewlekające się stany neurologiczne, hematologiczne, kardiologiczne, endokrynologiczne itp.

W kolejnych tygodniach i miesiącach trwania epidemii, na skutek działań rzekomo służących zapewnianiu bezpieczeństwa epidemiologicznego, zapanowało swego rodzaju paradoksalne zdystansowanie ludzi od systemu ochrony zdrowia. Ilość procedur i formalności towarzyszących zwykłemu przyjęciu do oddziału szpitalnego przybrała absurdalne rozmiary. Z wielu hospitalizacji diagnostycznych czy spowodowanych przewlekłymi bądź przewlekającymi się stanami chorobowymi w ogóle rezygnowano. Podczas gdy część oddziałów szpitalnych zamykano z powodu kwarantanny, inne dedykowano wyłącznie chorym na Covid 19, co stało się przyczyną terenowych dysproporcji i niewydolności placówek opieki zdrowotnej w zapewnianiu bezpieczeństwa potrzebującym pacjentom. Przez cały ten okres po dziś szwankuje system wymiany informacji pomiędzy szpitalami, pogotowiem ratunkowym i jednostkami transportu medycznego, co doprowadza do pożałowania godnych sytuacji krążenia karetek z ciężko chorymi ludźmi między kilkoma szpitalami, od jednego do drugiego, w poszukiwaniu miejsca dla pacjenta, którego stan wymaga pilnej interwencji szpitalnej. Co rano pod szpitalami i przychodniami specjalistycznymi ustawiają się tłumy ludzi oczekujących na wpuszczenie na teren poszczególnych placówek. Najczęściej nikt nie dba o to, by byli oni od siebie odizolowani - czekają w tłumnych zbiorowiskach i kolejkach po to, by dostać ankietę epidemiologiczną do wypełnienia, a następnie mieć zmierzoną temperaturę. Ludzie często stoją po kilka godzin za zewnątrz, bez względu na to, czy jest zimno, upał, silny wiatr czy deszcz, bez względu na swój wiek czy stan - osiemdziesięciolatki o kulach, kobiety w zaawansowanej ciąży, małe dzieci na czczo itd. Nie siedzą - bo nie ma na czym usiąść. I nie znajdują się pod choćby prowizorycznym zadaszeniem, tylko pod gołym niebem. W razie pogorszenia pogody gromadzą się wspólnie pod jakimś małym dachem, naciskając jedni na drugich i przepychając się nawzajem. Co rusz kolejna iskra zapala zbiorowe emocje, dochodzi do pretensji i awantur. Ludzie tkwią w urągającym godności i przyzwoitości upokorzeniu. Tego rodzaju sytuacje nie sprzyjają ograniczaniu zasięgu epidemii, a wręcz odwrotnie - jeśli jedna osoba w ściśniętym pod wejściem do szpitala tłumie okaże się chora, to zarazi kilkanaście kolejnych osób, które stały obok niej, a te przekażą chorobę dalej...

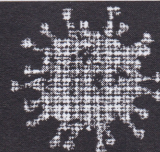
W tym samym czasie, dyrektorzy placówek medycznych wydają irracjonalne decyzje odnośnie organizacji pracy poszczególnych jednostek i komórek organizacyjnych. Nie wdając się w szczegóły, można jedynie zasygnalizować fakt, że władze samorządowe i administracja opieki zdrowotnej szukają obecnie oszczędności gdzie

tylko się da. Znane są przypadki ukrywania objawów u pracowników (np. wpisywanie fałszywego wyniku pomiaru temperatury) w nadziei, że nic się nie wyda i jakoś to będzie. Poza tym, zdarza się, że dyrektorzy, po uzyskaniu informacji o wystąpieniu objawów zakażenia u pracownika czy pracownicy skontaktowanej z pozostałymi osobami pracującymi w danej jednostce, sugerują wyciszenie sprawy i kontynuowanie pracy, zaś za kilka kolejnych dni okazuje się, że następne osoby zaczynają mieć objawy. Niezrozumiałe zachowania administratorów poszczególnych szpitali, którzy zamiast wprowadzać przestój i rotacyjny grafik pracy utrzymują pełną obsadę na wszystkich możliwych stanowiskach, również nie przyczyniają się do poprawy stanu systemu opieki zdrowotnej. Bywa tak, że w wypadku pojawienia się zakażenia Covid 19 na konkretnym oddziale niezakaźnym, zostaje on w całości zamknięty na co najmniej dziesięć kolejnych dni - pozostaje pusty i bezużyteczny, pacjenci muszą szukać pomocy gdzie indziej, a narażony personel zmuszony jest pozostać w domach. Czyżby nikt z osób decyzyjnych nie przewidywał, że w związku z takim stanem rzeczy stracą również i same szpitale?

Ryba psuje się od głowy. Trudno jest zrozumieć i zaakceptować decyzje władz centralnych, które wprowadzają rozliczne, czasem zupełnie nieuzasadnione obostrzenia epidemiczne (jak np. zakaz wchodzenia do lasów wiosną u.r), ostentacyjnie łamią wprowadzane przez siebie przepisy (np. wizyta przedstawicieli rządu na cmentarzu w rocznicę katastrofy smoleńskiej, pomimo obowiązującego zakazu), sieją panikę społeczną przy pomocy mediów, by zyskać akceptację opinii publicznej względem wprowadzanych ograniczeń, a następnie w związku z potrzebą przeprowadzenia wyborów prezydenckich rozpowszechniają przekonanie jakoby epidemia była w odwrocie. Organizują wiece i spotkania z wyborcami, zdejmują maseczki i w końcu doprowadzają do zbiorowego kontaktu ludzi ze sobą z okazji wyborów. Konsekwencje „odwoływania epidemii" na okoliczność wyborów odczuwalne są do dziś. Podobnie brzemienna w skutkach z epidemiologicznego punktu widzenia okazała się rezygnacja ze zdalnego nauczania i przywrócenie nauczania w szkołach w formie bezpośredniej od września. Jasne jest, że pozostanie młodszych dzieci w domach wiąże się z koniecznością rezygnacji z pracy przynajmniej jednego z rodziców lub opiekunów, co z kolei odbije się na systemie pracy i ubezpieczeń społecznych, o ile rząd nie wprowadzi stosownych ulg lub wsparcia dla osób pracujących. Jak te ulgi i wsparcie systemowe mogą wyglądać? Wystarczy przywołać przykłady szantażowania pracownic-matek przez pracodawców, stawiających im warunek: albo pracujesz albo opiekujesz się dzieckiem w domu i nie masz do czego tu wracać... A tego rodzaju przypadków było i jest aż nadto. Z wiadomych względów, opisane zjawisko uderza najbardziej w osoby pracujące na umowach śmieciowych, w tym również w obrębie tzw. służbie zdrowia.

Sposób zarządzania systemem ochrony zdrowia przez kolejne rządy oraz organizacja pracy na poziomie poszczególnych placówek medycznych doprowadziły na przestrzeni minionych dekad do opuszczenia kraju przez całe rzesze lekarzy, pielęgniarek, terapeutów itd. Uwłaczające warunki pracy, niskie płace, ciągłe przepracowanie, utrudnianie rozwoju zawodowego. Łamanie procedur oraz zasad bezpieczeństwa i higieny pracy sprowadzające ryzyko dla zdrowia i życia pacjentów, jak też personelu. Powszechny mobbing i szykanowanie związkowców przez dyrektorów, gerontokracja, wykorzystywanie młodszego pokolenia przez pokolenie wychowane na zasadach posłuchu wobec tzw. autorytetów i hierarchii wiekowej... To tylko część czynników, jakie zniechęcały i zniechęcają do podejmowania czy kontynuowania pracy w zawodach medycznych w Polsce. Władze nie stwarzają odpowiedniej ilości miejsc pracy, a wręcz często próbują likwidować istniejące. Nie otwiera się odpowiedniej ilości miejsc specjalizacyjnych w jednostkach zajmujących się szkoleniem medyków. W przetargach organizowanych przez poszczególne placówki zdrowotne zwykle wybiera się oferty produktów niskiej jakości w hurtowych ilościach, po tzw. konkurencyjnych cenach. Korzystają na tym przede wszystkim koncerny farmaceutyczne i duże firmy produkujące zaopatrzenie medyczne, jak również władze i osoby, od których poszczególne zarządzenia i decyzje zależą. Tracą zaś przede wszystkim pacjenci, a na postawiony między młotem a kowadłem personel medyczny zrzuca się odpowiedzialność za warunki, w jakich przychodzi diagnozować, leczyć i zapobiegać... Nie inaczej dzieje się i tym razem. Przepracowani, zdziesiątkowani, postawieni pod ścianą beznadziei lekarze, pielęgniarki, ratownicy, laboranci, terapeuci, sanitariusze oraz inni przedstawiciele i przedstawicielki zawodów medycznych obarczani są przez rząd i mówiące jego językiem media konsekwencjami i winą za braki personalne, zaniedbania i porażki na froncie walki z epidemią Covid 19. Politycy z rządu publicznie krytykują i oczerniają medyków za rzekome odmawianie pracy i niestawianie się na wezwania albo niepodporządkowywanie się zarządzeniom epidemicznym w formie oddelegowań do jednostek przeznaczonych do leczenia chorych na Covid 19. Zamiast wspierać i ułatwiać tę trudną pracę personelowi opieki zdrowotnej, administratorzy szpitali licząc każdą złotówkę nie zatrudniają z reguły nowych osób w miejsce tych wyłączonych z pracy na skutek chorób, zwolnień czy odejścia na emeryturę. Zmniejszoną ilość ludzi obarcza się dodatkowymi obowiązkami i odpowiedzialnością, często bez wdrożenia stosownych zabezpieczeń przeciwzakaźnych. Dochodzi przez to do kolejnych narażeń i zakażeń wśród samego personelu medycznego, spośród którego coraz więcej osób choruje i umiera w wyniku nabycia choroby Covid 19, trafiającej na podatny grunt ogromnego przemęczenia, stresu i wyeksploatowania psychofizycznego.

Z HISZPAŃSKIEJ PERSPEKTYWY



Redakcja poprosiła mnie, żebym napisała coś o koronawirusie z mojej hiszpańskiej perspektywy, gdyż jest ona nieco inna niż ta w Polsce. Po pierwsze w Hiszpanii Covid 19 znacznie bardziej szalał na wiosnę, choć tu gdzie mieszkam jest akurat odwrotnie. Ponieważ jest to wyspa (Majorka), szybkie zamknięcie portów i lotniska oraz wyrzucenie turystów na początku epidemii poskutkowało od razu. Na wiosnę mieliśmy bardzo mało przypadków. Mimo to przesiedziałam w domu dwa i pół miesiąca. Pierwsze dwa tygodnie były ciężkie psychicznie, chodziłam jak osa. Zwłaszcza, że wcześniej prowadziłam aktywne życie, codziennie ćwiczenia rano w gymie, spotykałam się z ludźmi i wyjeżdżałam gdzieś poza wyspę na weekend lub dłużej praktycznie co miesiąc. Potrafiłam sobie jednak zorganizować czas w domu: codzienny sport na tarasie, gotowanie i eksperymentowanie itd. Zajęłam się też w końcu swoim rozwojem wewnętrznym (joga i medytacja), nie myślę by był to czas stracony czy źle spędzony. Mimo wszystko, jak znów udało mi się wyjść na ulice i zacząć uprawiać sport czy spotykać z ludźmi, byłam szczęśliwa. Z podróżami było gorzej więc te wakacje były takie nijakie. Bardzo mi brakowało mojej corocznej podróży na wschód (Ukraina, Mołdawia, te klimaty). Mimo wszystko nie nudziłam się, bo w końcu mamy tu piękne plaże, góry i w tym roku bez tego najazdu turystów mogłam w końcu to docenić. W zeszłym roku byłam na plaży może, ze trzy razy, a w tym roku trzydzieści. Odkryłam też te zupełnie mi nie znane zakątki wyspy, co zawsze sprawia frajdę. W końcu spojrzałam trochę inaczej na miejsce gdzie żyję i doceniłam bardziej jego walory i przyrodę.

Od września niestety sytuacja się pogorszyła i znów nastała panika, że nas zamkną w domu. Mimo wszystko, jakoś sytuacja się unormowała. Choć przez pewien czas miejscowe władze zamykały poszczególne dzielnice. Na szczęście to się na razie skończyło. Ja od maja codziennie chodzę na moją kawę do baru i wróciłam do gyma (jest tam puściej i są określone normy, ale cieszę się z tego powrotu). Co do samej choroby, to było sporo przypadków wśród osób mi znajomych. Jeśli chodzi o przypadki śmiertelne, to dwa przypadki wśród rodziców dalszych znajomych. Najciężej przeszedł Covid 19 jeden z moich bliskich przyjaciół w kwietniu. Był przez miesiąc odizolowany w domu na wsi. Po chorobie cały czas nie wrócił jeszcze do siebie. Ma problemy z nerkami, wątrobą i poleciał mu wzrok. Chodzi na terapię prywatnie i akupunkturę. Na szczęście nerki i wątroba są to organy, które się regenerują, a on jest jeszcze młody. Staram się prowadzić w miarę normalne życie, ale nie lekceważę choroby. Do tej poty jakoś udało mi się jej uniknąć. Bardziej niż samej choroby boję się komplikacji zdrowotnych i spustoszenia w systemie odporności poniej.

Co do szczepionki, zaszczepię się jak będzie tylko można. Nie mam z tym problemu. Jak jechałam do Indii dwanaście lat temu to sobie wstrzyknęłam chyba z 10 szczepionek w ciągu miesiąca (na różne żółtaczki, cholerę, wściekliznę, tyfus, zapalenie opon mózgowych i sama nie pamiętam co jeszcze) i jakoś nic mi nie było, a nawet po pięciu miesiącach tam spędzonych w slumsach Kalkuty nic nie przywiozłam do Europy, gdy wszyscy coś łapali dookoła (tyfus, dengę, malarię, ameby). Widziałam zbyt dużo cierpienia z powodu chorób uleczalnych czy tych, na które można się zaszczepić. Dlatego jestem zdecydowanie za szczepieniem się, jeśli to możliwe. Noszę też maskę, choć oczywiście to nic przyjemnego. Dbam o higienę (częściej sprzątamy w domu), dezynfekuję zwłaszcza telefon bo kładę go w różnych miejscach. Nie wierzę w żadne spiski światowe, epidemie były od zawsze. Wystarczy przypomnieć, że w połowie XIV dżuma wybiła 35 % populacji Europy a w Wenecji 60 %. Dlatego nie dziwi mnie, że coś nowego się pojawia i że medycyna jest na razie bezradna. Problemem jest według mnie hodowla masowa zwierząt i parcie na dzikie ekosystemy, co sprzyja pokonywaniu bariery gatunkowej przez wirusy. Ale to już inny duży temat.

Natalia Krajewska

Struktury ochrony zdrowia nie mają realnego systematycznego wsparcia. Władza próbuje nadrabiać zaistniałe braki propagandą sukcesu, wiecznie żywymi tematami zastępczymi oraz informacjami o strategicznym rozwoju i wspieraniu walki z epidemią, podczas gdy co rusz brakuje łóżek i miejsc na leczenie chorych. Brakuje specjalistycznego sprzętu, w tym respiratorów, brakuje pojazdów sanitarnych, szwankuje komunikacja, ubywa personelu, jest coraz mniej siły i środków, a wirusowi nic albo niewiele staje na przeszkodzie, więc choroba rozprzestrzenia się tym szybciej i końca epidemii nie widać...

Co zatem robić w zaistniałej sytuacji? Od początku epidemii ludzie widząc, że na władzę nie ma co liczyć sami przychodzili sobie z pomocą. Wobec braku podstawowych produktów ochrony indywidualnej, wiele osób i całych grup zajęło się szyciem maseczek, produkcją przyłbic ochronnych i płynów do dezynfekcji. Środki te dostarczano na masową skalę do szpitali, przychodni, przytułków, noclegowni, domów opieki społecznej i innych miejsc. Rozprowadzano je na ulicach, podwórkach, w środkach komunikacji publicznej itd. Organizowano pomoc dla osób starszych i przewlekle chorych. Dostarczano im produkty spożywcze, leki i środki higieniczne. Służono sobie nawzajem pomocą logistyczną, prawną i informacyjną. Solidarność i wzajemna pomoc pozostawionych w tragicznej sytuacji obywateli okazały się czynnikami, które po raz kolejny w historii stanowią koło ratunkowe dla zwykłych ludzi, stających się ofiarami zaniedbań i destrukcyjnej działalności państwa i jego władz.

Wiadomym jest, że wyleczenie choroby czy zwalczenie wirusa wymaga odpowiednich środków. Optymalnym wyjściem z trwającej sytuacji zapewne okazałby się powszechny dostęp do skutecznego leku bądź szczepionki i całkowita eradykacja koronawirusa. Jednak póki co, ludzkość musi polegać na prostszych środkach i metodach walki z epidemią. Niestety, na skutek takich, a nie innych praktyk, środki i siły w przypadku Covid 19 nie zostały zabezpieczone w wystarczającej ilości. Potencjał, jakim dysponowało społeczeństwo uległ w znacznej mierze rozproszeniu przez zaniedbania organizacyjne. Zaś trwająca walka i podejmowane przedsięwzięcia obarczone są konsekwencjami błędnych i destrukcyjnych decyzji rządzących i zarządzających systemem ochrony zdrowia. To oni w ogromnej mierze odpowiadają za to co się dzieje. Ujmując rzecz hipotetycznie, można by powiedzieć, że gdyby osoby decyzyjne zajmowały się faktycznymi problemami i potrzebami ludzi, epidemia Covid 19 z całą pewnością nie miałaby tak wielkiego zasięgu, tak opłakanych skutków i tak odległych konsekwencji pośrednich, o ile w ogóle miałaby kiedykolwiek miejsce.

Można by teraz zastanowić się: czy zaistniała sytuacja to efekt tego, że państwo nie zadziałało? Otóż nie. Wszystko to, a przynajmniej większość tego, co się dzieje jest skutkiem właśnie faktu, że państwo działa. I to działa od tylu lat - w taki właśnie sposób, jak widać. Istotą problemu jest istota państwa jako takiego - istota samej hierarchii społeczno-polityczno-ekonomicznej oraz układu zależności, w którym decydujący głos mają ci, którzy są „na górze" - nieczuli, nieświadomi i niekompetentni lub po prostu wyrachowani i bezwzględni. To oni organizują życie masom i to oni odpowiadają za to, co dzieje się „na dole". Destrukcyjne efekty zależności władza-ludzie są znane od lat. Co jakiś czas przybierają masową formę wojen, kryzysów ekonomicznych czy tak jak teraz niekontrolowanych epidemii. Pozostaje pytanie - jak długo jeszcze?

Uogólniając, trudno w chwili obecnej przewidzieć, jak dramatycznymi konsekwencjami zdrowotnymi dotyczącymi jeszcze innych ciężkich stanów i chorób będzie przez najbliższe lata obarczona cała populacja. Bowiem Covid 19 to czubek góry lodowej. Zaniedbania w diagnostyce i leczeniu ludzi będą przez kolejne lata zbierać złe żniwo w całej populacji. I nie będą to oczywiście jedynie skutki zdrowotne...

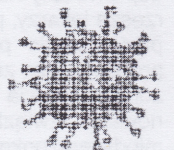
Na przełomie października i listopada bieżącego roku, kiedy rozwój epidemii dosłownie wystrzelił w górę, a do szczytu było jeszcze daleko, gdzieniegdzie zrezygnowani i pozbawieni nadziei na polepszenie sytuacji pracownicy i pracownice systemu ochrony zdrowia organizowali spontaniczne, małe protesty, w których wyrażali swój sprzeciw, bunt i niezgodę na dalsze walenie głową w mur nie do przebicia. Między innymi grupa lekarzy-rezydentów zainicjowała akcję palenia zniczy osobom zmarłym w okresie epidemii, w ramach której swoją refleksję na temat przyczyn ich śmierci wyrażano na dołączanych do zniczy kartkach, gdzie były symboliczne dane pacjenta lub pacjentki, a pod spodem widniało zdanie: „Zmarła/y na skutek zaniedbań rządu".

Ja jestem anarchistą i zarazem lekarzem. Widzę to co się dzieje nie tylko z perspektywy człowieka odbierającego informacje z mediów, ale też z punktu widzenia osoby pracującej w służbie zdrowia. Wszystko to tylko utwierdza mnie w utrwalanych od lat przekonaniach. To nie koronawirus jest naszym największym wrogiem, tylko władza mających krew na rękach, wyrachowanych cyników i sabotażystów, bez której wszyscy poradzilibyśmy sobie lepiej, szybciej i sprawniej. Wniosek jest jasny:

IM MNIEJ WŁADZY - TYM WIĘCEJ ZDROWIA
ŻYCZĘ ZDROWIA - WŁADZA PRECZ!

Zdzichu

PANDEMIA A REWOLUCJA SPOŁECZNA



„To, co było, jest tym, co będzie, a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie:
więc nic zgoła nowego nie ma pod słońcem"
(Kohelet 1.9)

Biblijny autor (a może autorka) wiedział, o czym mówi. Historia ma dla nas niewiele nowości, raczej nieustannie zmienne warianty powtarzającej się dialektyki władzy jednych i ucisku innych.

Epidemia dżumy, zwanej też czarną śmiercią z lat 1348 - 1350 była zapewne najgorsza w historii, zabiła jedną trzecią populacji Europy i pociągnęła za sobą jeszcze więcej ofiar w Azji i Afryce Północnej, gdzie nie prowadzono dokładnych statystyk. Nie była to pierwsza pandemia, a Covid 19 nie będzie ostatnią. Z psychologicznego punktu widzenia, ta może być jak dotychczas najgorsza, gdyż bardziej niż nasi średniowieczni przodkowie negujemy swoją śmiertelność. Powszechność nieprzewidywalnej śmierci każe nam przypomnieć sobie, że wszyscy jesteśmy śmiertelni.

Czy jednak pandemie mogą prowadzić do postępu społecznego, a nawet rewolucji? Już się tak zdarzało. Piotr Kropotkin wyjaśnia w swej *Pomocy Wzajemnej,* że podstawową siłą, która doprowadziła do ograniczenia indywidualnej wolności i lokalnej autonomii w kulturze Europy był powolny rozrost scentralizowanych państw. Społeczeństwo średniowieczne stanowiło *Gemeinschaft,* w naturalny sposób ewoluującą wspólnotę, podczas gdy rosnące w siłę państwa można określić zaproponowanym przez niemieckiego socjologa, Ferdinanda Tönnies terminem *Gesellschaft,* oznaczającym narzuconą z zewnątrz, sztuczną strukturę dominacji. Kropotkin nie znał prac niemieckiego naukowca, lepiej jednak niż ktokolwiek w tym czasie rozumiał ewolucję społeczeństw i systemów dominacji. Rządy wraz z rodzącym się kapitalizmem powoli zawłaszczały dla siebie społeczne funkcje, jakie pełniły wspólnoty. Średniowieczne miasta toczyły długą i twardą walkę przeciwko temu zjawisku nazwaną przez Kropotkina „wojną przeciw zamkom", na koniec jednak poniosły klęskę gdy nowo powstała klasa bogatych kapitalistów zawarła sojusz z państwem w celu wyzysku innych klas. „Największym i najbardziej brzemiennym w skutkach błędem większości miast", twierdzi Kropotkin, „było oparcie swej gospodarki na handlu i przemyśle kosztem rolnictwa". To właśnie wczesny kapitalizm przyniósł Europie Czarną Śmierć, podążającą stworzonymi przez niego szlakami handlowymi przez Eurazję. Dżuma była spowodowana przez bakterie, przenoszone przez pchły zamieszkująca na szczurach - trudne do uniknięcia w miastach średniowiecznej Europy. W odróżnieniu od Covid 19 nie była to nowa ich mutacja, ich DNA znajdujemy obecnie w prehistorycznych szkieletach, zaś sama bakteria pojawia się od czasu do czasu we współczesnym świecie, powodując lokalne epidemie w których śmiertelność dochodzi do 11%, pomimo zastosowania antybiotyków. Dżuma pojawiła się w Europie w roku 1348 za sprawą handlu z Azją, i w ciągu następnych dwóch lat doprowadziła do śmierci 1/3 populacji kontynentu, osłabionej wcześniej przez wieloletni głód. Mniejsze epidemie pojawiały się później sporadycznie, w odstępach 20 lat, gdy dorastały nowe pokolenia pozbawione odporności na chorobę. Jak to zwykle była, zaraza uderzyła najmocniej w najbiedniejszych. Bogaci mogli izolować się od niej w swych wiejskich rezydencjach. Podobnie jak dziś, biedacy z powodu chorób, na które cierpieli i złego odżywiania byli też najbardziej narażeni na ciężki przebieg zakażenia. Oczywiście, istnieje podstawowa różnica między rokiem 1348 a 2020, wówczas nikt nie rozumiał, co powoduje Czarną Śmierć i jak uniknąć zakażenia. Przykładowe metody jej leczenia polegały na stosowaniu okładów z pociętych węży, pocieraniu zmian chorobowych skórą oskubanego kurczaka (jeśli ptak zachorował, sądzono, że „wyciągnął" w ten sposób chorobę z ciała człowieka) i wznoszeniu odpowiednich modłów.

Będziemy tu rozpatrywać głównie sytuację w Anglii, gdyż dostępne źródła historyczne i kroniki z czasów średniowiecza są tu najliczniejsze, musimy jednak pamiętać, że zniszczenia spowodowane epidemią były dokładnie takie same w całej Europie i na Bliskim Wschodzie. Z tego powodu pierwsza post pandemiczna rewolta, zwana *Jacquerie*, wybuchła we Francji w roku 1358. Rewolta chłopska w Anglii (nazwa jest mało fortunna, gdyż brało w niej udział wielu rzemieślników i mieszkańców miast) miała miejsce w maju i czerwcu 1381 roku.

Europejskie gospodarki były w ruinie, jednak przed tymi którzy przetrwali epidemię pojawiła się szansa: było wiele wolnych miejsc pracy i zbyt mało robotników. Pojawiła się nadwyżka popytu na pracę chłopów pańszczyźnianych i wolnych włościan, uprawiających ziemie należące do szlachty. Nawet przed epidemią, rozwój wolnych miast (posiadających niezależność z nadania władcy, a nie będących własnością możnych) stwarzał szansą na większą niezależność i wyższe dochody rzemieślnikom i wykwalifikowanym robotnikom. Po ustaniu zarazy możliwość, oferowane przez miasta były jeszcze lepsze. Nawet jeśli pracownicy wiejskich posiadłości byli przypisani do ziemi, wielu z nich decydowało się na ucieczkę. Rady miejskie, zadowolone z napływu nowej siły roboczej, niechętnie wydawały zbiegów ich dawnym panom. Chcąc nie chcąc, wielcy posiadacze ziemscy musieli zacząć płacić swym chłopom w gotówce, ci jednak, wiedząc że są w uprzywilejowanej pozycji, domagali się większych swobód i większego udziału w wytwarzanym bogactwie.

Angielska arystokracja, reprezentowana przez parlament, zorientowała się że ekonomiczna i polityczna dominacja wymyka się jej z rąk, i zdecydowała się działać. Uchwalony w roku 1351 *Statut Robotników* stanowił, że muszą oni odpracować czynsz i inne zobowiązania wobec właściciela ziemi, zamiast opłacić je w gotówce, co było praktyką znaną już w tym czasie, choć niezbyt rozpowszechnioną. Co więcej, statut określał maksymalne płace za wiele prac na bardzo niskim poziomie, odpowiadającym stawkom sprzed epidemii. W efekcie wzrosło ubóstwo i zależność chłopów od posiadaczy ziemskich, a rozwój miast został zahamowany. W tym samym czasie, z powodu dramatycznego braku większości dóbr i usług ich ceny gwałtownie wzrosły. Żadne przepisy nie zakazywały bowiem spekulacji.

Trudno powiedzieć, jak zwykli ludzie zareagowali na treść *Statutu Robotników,* nie było sondaży opinii publicznej, a większość z tych, których dotknęły jego postanowienia była niepiśmienna. Wiemy natomiast, że liczba członków gildii rzemieślniczych i innych stowarzyszeń ludzi pracy rosła w latach 1350 - 1360, w miarę jak pracownicy zaczęli dostrzegać rolę zrzeszeń w zapewnieniu wzajemnej ochrony i pewnej formy solidarności. Gildie mogły zapewnić pomoc finansową członkom, którzy zostali pozbawieni pracy, opłacały też ich opiekę zdrowotną i pogrzeby.

Przez kilka następnych dekad zdecentralizowana, angielska ekonomia stopniowo się rozwijała. Było to relatywnie łatwe, gdyż większość wymiany towarów i usług odbywała się na poziomie lokalnym. Ceny stale rosły, podobnie jak płace, jednak ich wzrost nie pokrywał rosnących kosztów utrzymania. Większość chłopów musiała pracować przez kilka dni w tygodniu w majątkach kościoła lub poszczególnych klasztorów bez żadnego wynagrodzenia, zaś kościół stał się największym posiadaczem ziemi i majątku, wyprzedzając nawet monarchę. Nie sposób nie zauważyć roli, jaką kościół i państwo odegrały wspólnie w dziele wprzęgnięcia mieszkańców kraju w kierat ślepego posłuszeństwa. Wojna Stuletnia z Francją wciąż trwała - toczyła się w sumie 116 lat, od 1337 do 1453 roku, z kilkoma długimi rozejmami. Była ogromnie kosztowna i niemożliwa do wygrania.

Bezpośrednim powodem rewolty był podatek pogłówny, nałożony przez parlament w roku 1377, w wysokości czterech pensów od każdego dorosłego, bez względu na dochody, w celu finansowania dalszej wojny. Było to więcej, niż mieszkańcy kraju mogli znieść, a mimo to w roku kolejnym podatek został poniesiony do ośmiu pensów, zaś w roku 1380 do dwunastu, czyli jednego szylinga. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się to niewiele, jednak w lata osiemdziesiątych XIV w. niewykwalifikowany robotnik zarabiał około 2 funtów na rok, to jest 480 pensów, więc 12 pensów stanowiło poważny uszczerbek dla jego budżetu. W Londynie przeciętny robotnik zarabiał od 10 do 15 pensów na tydzień. Chłopi pańszczyźniani pracujący w majątkach możnych nie otrzymywali wypłat w gotówce, a mimo to wciąż musieli płacić podatek. Dla bogaczy nowa danina nie stanowiła żadnego obciążenia. W latach osiemdziesiątych wpływy z podatku pogłównego zaczęły spadać, gdyż coraz więcej osób uchylało się od jego płacenia. Poborcy podatkowi wykorzystywali wojsko do zbierania danin od opornych, co spotkało się z powszechnym oburzeniem.

Kronikarze z tamtego okresu, a za nimi większość historyków, opisują rewoltę z roku 1381 z punktu widzenia klasy panującej, co zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, kto opłacał ich pracę.

Podstawowym źródłem informacji jest spisana po francusku *Chronicle* Jeana Froissarta, który żył w tym okresie, nie był jednak naocznym świadkiem opisanych wydarzeń. Pisał on najpierw na zlecenie angielskiej królowej Filipy, a następnie brabanckiej księżniczki Joanny. Pierwsze angielskie tłumaczenie Kroniki z lat 1523 - 1525 używa określeń „przewrotny" czy „diabelski" w odniesieniu do zbuntowanych włościan, jednak sam Froissart dość obiektywnie opisuje przyczyny ich gniewu: „ci nieszczęśnicy podnieśli bunt, ponieważ jak mówili zmuszono ich by żyć w wielkiej podległości, zaś na początku świata nie było niewolników, a zatem jak twierdzili i teraz nikt nie powinien żyć w niewoli".

To podstawowa nowość tej rewolty: nie tyle konflikt z możnymi, bo ten był tak stary, jak sama historia, ile postulat, że wszyscy ludzie są równi, wywiedziony ze przyrodzonych praw jednostki. Istotą sporu była ideologia, w równym stopniu co pieniądze. Rebeliantów nie można nazwać anarchistami, jako że nie potępiali samego faktu istnienia władzy. Byli jednak ich duchowymi przodkami, jako że w odróżnieniu od uczestników wcześniejszych zrywów, nie domagali się powrotu do jakiegoś mitycznego złotego wieku powszechnej wolności i równości, lecz raczej ustanowienia przyszłego porządku, opartego na poszanowaniu tych wartości.

Jeden z przywódców rewolty, ksiądz John Ball („głupi ksiądz", jak go określił Froissart), według tradycji miał zadać jedno z tych pytań, które zmieniło bieg historii: „When Adam dolve and Eve span, Who was then the gentleman?" (w wolnym tłumaczeniu - Gdy Adam orał ziemię, a Ewa tkała, które z nich było panem, a które parobkiem?) Inspirowany przez egalitarną teologię Wyclifa, Ball przemierzył Kent i Wschodnią Anglię z początkiem 1381 roku, wygłaszając kazania w licznych miastach. Froissart przytacza ich fragment: „Dobrzy ludzie, sprawy nie idą dobrze w Anglii, i nie będą szły dopóki wszyscy nie będą równi, i nie będzie więcej chłopów ani szlachty, a wszyscy się nie zjednoczą, zaś lordowie nie będą takimi samymi ludźmi jak wy. Czym sobie zasłużyliśmy, by trzymać nas w niewoli? Wszyscy pochodzimy od tych samych rodziców, Adama i Ewy, a zatem jak mogą mówić, że są większymi panami od nas, zmuszać nas byśmy dla nich pracowali i za nich walczyli?"

Arcybiskup Canterbury kazał aresztować Balla, i gdy w maju 1381 wybuchła rewolta, przebywał on w więzieniu w Maidstone w hrabstwie Kent. Zdaniem Froissarta, powinien tam pozostać do śmierci „stałoby się lepiej, gdyby na samym początku został on skazany na dożywotnie więzienie, i nigdy nie został wypuszczony na wolność". Rewolta rozpoczęła się od utarczki lokalnych mieszkańców z poborcami podatkowymi w Brentwood w hrabstwie Essex i wkrótce rozlała na całą wschodnią Anglię. Rebelianci w Kent zdobyli więzienie i uwolnili Balla, który na czele rosnących stale tłumów udał się najpierw do Canterbury a następnie do Blackheath na przedmieściach Londynu, gdzie przemówił do rolników, rzemieślników i robotników niewykwalifikowanych. Większość z nich pochodziła z hrabstw Essex i Kent na wschód od Londynu, lecz mniejsze powstania zaczęły wybuchać w całej Anglii. Zdaniem Froissarta, Ball i jego towarzysze już wcześniej skontaktowali się z buntownikami w samym Londynie, wysłali też emisariuszy do Sussex, Staffordshire i Bedfordshire w nadziei, „że przyjdą oni z pomocą z drugiej strony Londynu tak, by otoczyć całe miasto i by król nie miał możliwości powstrzymać ich marszu".

Przywódcą tej armii obszarpańców był Wat Tyler, o którym niewiele wiemy, nie znamy nawet jego zawodu, jednak sądząc po jego umiejętnościach organizacyjnych musiał być byłym żołnierzem. Według jednej z legend, miał on przystąpić do buntu gdy poborca podatkowy napadł jego córkę i zerwał z niej suknię. Jakkolwiek by nie było, Tyler wkrótce stał się przedstawicielem tłumów maszerujących na Londyn.

Pierwsze, krótkie spotkanie z urzędnikami króla w Blackheath nie przyniosło rezultatów. 13 czerwca tłum przekroczył więc Most Londyński i przez dwa dni plądrował miasto, paląc urzędy i domy bogaczy, otwierając więzienia i zabijając każdego, o kim myślał, że ma cokolwiek wspólnego z władzą. Spłonęło również kilka domów publicznych, należących do burmistrza Londynu. Zniszczony został również pałac Savoy, własność królewskiego wuja i jeden z najbogatszych budynków w mieście, jak na ironię, na jego miejscu stoi dziś luksusowy Hotel Savoy, gdzie cena za apartament królewski to 14000 funtów za noc.

Rebelianci domagali się spotkania z królem Ryszardem II, wnukiem królowej Filipy. Wiara w monarchę była głęboko zakorzeniona w średniowiecznych umysłach, większość osób, nawet rozczarowanych sytuacją w kraju, wierzyła w cnotę króla, nawet pomimo licznych dowodów jego niekompetencji. John Ball nie zawahał się jednak uzupełnić prośby o spotkanie z władcą o mało subtelną groźbę: „Pozwólcie nam iść do króla, i pokazać mu, w jakiej niedoli żyjemy, pokazać, jak chcemy jej zaradzić, albo znajdziemy inny sposób by to zrobić". Doradcy Ryszarda przekonali go by zgodził się na spotkanie z Tylerem, Ballem i tysiącami wściekłych powstańców, do którego doszło na Smithfield dnia 15 czerwca. Spotkanie z początku przebiegało gładko, i król (który miał wówczas 14 lat i trzeba mu przyznać, że nie brakowało mu odwagi) zgodził się na wiele z żądań ludu, w tym na zniesienie pańszczyzny, choć nikt i tak nie wierzył że do niego dojdzie.

„Tak więc król wszedł między nich i zapytał: Dobrzy ludzie, jestem waszym królem: czego wam brak? Co mi powiecie? Odpowiedzieli mu: Chcemy byś uczynił nas wolnymi na zawsze, nas i nasze dzieci, i naszą ziemię, i żeby nigdy więcej nie nazywali nas niewolnikami ani tak nie traktowali. Panowie - odparł król - zgadzamy się na to. Wracajcie więc do domów i do wiosek, z których przyszliście, a jak rozkażę wydać odpowiednie dekrety i sygnuję je królewską pieczęcią, i w nich spisać wszystko czego żądacie, a żeby upewnić was, że tak się stanie, rozkażę wysłać swoje chorągwie do każdej wioski, hrabstwa i krainy".

Froissart twierdzi, że część rebeliantów, świętując, skierowała się do domów. Większość nie dała się nabrać. Sprawy zaczęły się komplikować, gdy jeden z królewskich sług zaatakował Tylera, ten odparł napaść, burmistrz próbował go aresztować, a Tyler pchnął burmistrza sztyletem. Królewski orszak uciekł, i wybuchły zamieszki. Armia przy współpracy szeryfów rozproszyła tłum, zabijając wiele osób. Froissart, pragnąc zapewne uwolnić młodego monarchę od winy za sprowokowanie starcia twierdzi, że „Oddzielił się on od orszaku i sam, na koniu, pojechał w stronę buntowników, zwracając się wcześniej do swych dworzan: Panowie, nie jedźcie za mną, sam to załatwię. A gdy przybył do tych niewdzięczników, którzy chwycili za broń by pomścić swojego przywódcę, zwrócił się do nich: Panowie, co czynicie? Nie powinniście mieć innego przywódcy niż ja. Jestem waszym królem. A teraz idźcie w pokoju. Większość buntowników słysząc słowa króla i widząc go między sobą zawstydzona opuściła broń i rozeszła się, lecz nieliczni pozostali na miejscu myśląc, że mają tu jeszcze coś do roboty". Tyler został przewieziony do szpitala, lecz później został aresztowany i tego samego dnia stracony. (Froissart twierdzi, że został zabity podczas ataku na burmistrza, lecz naoczni świadkowie twierdzą inaczej). John Ball zbiegł, lecz został później pojmany w Coventry, gdzie 15 lipca został powieszony, utopiony i poćwiartowany.

Froissart był w oczywisty sposób zaniepokojony, że jeśli angielska rewolta odniesie sukces, podobne wybuchną w całej Europie: „Jeśliby wygrali, zniszczyliby całą szlachtę w Anglii, a wtedy wszystkie inne narody poszłyby tą samą drogą, tak jak buntownicy we Flandrii, którzy wystąpili przeciw swym panom, czy mieszkańcy Paryża, którzy w tym samym roku wystąpili w liczbie 20 tysięcy przeciw możnym zbrojni w żelazne młotki".

Tak więc Rewolta Chłopska poniosła klęskę, przynajmniej na jakiś czas. Nie została jednak zapomniana, podatek pogłówny zniesiono wkrótce po niej. Warunki życia klasy robotniczej poprawiały się z wolna, jednak bardziej na skutek zmian gospodarczych niż spełnienia postulatów rebelii.

Piotr Kropotkin nie poświęcił zbyt wiele uwagi powstaniom chłopskim z czternastego wieku, choć opisał podstawy ustroju wspólnotowego, który był ich zapleczem. Kilka rozdziałów *Pomocy Wzajemnej* poświęconych jest rozwojowi społeczności opartych na kooperacji, jaki miał miejsce w miastach Europy sto lat przed rewoltą. Epidemia Czarnej Śmierci wzmocniła w robotnikach poczucie wspólnoty interesów zamiast je rozbić: „Dwa potężne powstania - rewolta Wata Tylera i *Jacquerie* we Francji - wstrząsnęły podstawami ówczesnych społeczeństw. Oba były skierowane przeciwko szlachcie, i choć oba zostały pokonane, złamały potęgę feudałów. Powstanie angielskich chłopów było początkiem końca pańszczyzny, zaś *Jacquerie* było takim ciosem dla tej instytucji, że od czasu rewolty wegetowała ona na marginesie życia gospodarczego, nie osiągając nigdy takiego znaczenia jak później w Niemczech i we wschodniej Europie".

W późniejszym okresie Murray Bookchin przekonywał, że do czasu czternastowiecznych powstań chłopskich znana w antycznej Grecji idea równości i wolności była w dużej mierze zapomniana. Przed epidemią dżumy ruchy oddolne, takie jak flagellaci z trzynastego wieku, miały swe źródło w doktrynalnych sporach w łonie kościoła katolickiego. Nie domagały się równości ani redystrybucji bogactwa, choć potępiały upadek moralny i ekscesy możnych. Potrzeba było katastrofalnej pandemii by pchnąć bezimienne masy na nowy poziom świadomości. Od czasu rewolty Johna Balla wielu innych poszło w jego ślady - Taboryci w Czechach, anabaptyści, a końcu kwakrzy, levellersi i diggersi. W każdym z kolejnych zrywów chodziło coraz mniej o religię, a coraz bardzie o politykę.

Już dziś kilku autorów, jak choćby Paul Mason czy marksistowski ekonomista Richard Wolff zastanawia się czy pandemia Covid 19 oznacza koniec kapitalizmu, tak jak Czarna Śmierć i rewolty chłopskie oznaczały koniec epoki feudalnej. Pewnie nie, to nie takie łatwe. Jednak z całą pewnością Murray Bookchin miał rację, dostrzegając fundamentalną zmianę paradygmatu klasy pracującej po roku 1381. Czy obecna pandemia doprowadzi do podobnych zmian? Być może, lecz nie z dnia na dzień. Pańszczyzna nie została formalnie zniesiona w Anglii do roku 1574, choć do tego czasu praktycznie samoistnie obumarła. Choć z drugiej strony, w naszych czasach zmiany następują o wiele szybciej. Obecny kryzys sprawia, że jasnym jest, iż potrzebujemy o wiele mocniejszych zabezpieczeń socjalnych a przede wszystkim powszechnej, darmowej i nie nastawionej na zyski opieki medycznej.

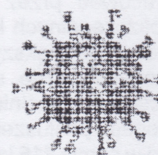
Upowszechnienie prywatnego ubezpieczenia zdrowotnego, promowane dziś przez wielu progresywistów w USA nie jest żadnym rozwiązaniem, gdyż system opieki zdrowotnej będzie dalej nastawiony na zyski. Kraje, zapewniające powszechny dostęp do służby zdrowia bez względu na posiadane ubezpieczenie również ucierpiały podczas pandemii, jednak znacznie mniej, zaś jej ofiary nie muszą się martwić widmem bankructwa. Prawdziwie rewolucyjne podejście do opieki zdrowotnej jest dziś kwestią o podstawowym znaczeniu. Ignoranci, którzy dziś gromadzą się przed siedzibami władz stanowych lub w kościołach telewizyjnych kaznodziejów by negować istnienie epidemii mogą się wkrótce o tym przekonać, w bolesny dla siebie sposób.

Tom Martin

Thomas Martin od roku 1989 jest wykładowcą historii i nauk humanistycznych w Sinclair College w Dayton. Doktoryzował się z kolonialnej historii Ameryki.

Tekst ukazał się na stronie: anarchiststudies.org
Tłumaczenie: **Wila**

CZY KORONAWIRUS OZNACZA KONIEC KAPITALIZMU?



Rewolta chłopska po epidemii w XIV wieku zmiotła system feudalny. Czy podobny los czeka teraz kapitalizm?

Ówczesna pandemia rozpoczęła się w Azji, przeszła przez europejskie stolice, przynosząc po drodze śmierć jednej trzeciej populacji świata. Gdy się skończyła, nadszedł okres ludowych buntów, upadły dotychczasowe instytucje, a cały system gospodarczy musiał ulec zmianie. Tak w największym skrócie wygląda historia Czarnej Śmierci, dżumy wywoływanej przez bakterię *Yersinia Pestis*, która opanowała tereny od Mongolii do Zachodniej Europy w latach czterdziestych XIV wieku. Ponieważ gospodarka opierała się na rolnictwie i rzemiośle, życie codzienne powróciło do normy dość szybko. Jednak z powody radykalnego ograniczenia liczby dostępnych pracowników, epidemia sprawiła, że ci który ocaleli, osiągnęli siłę przetargową w relacjach z pracodawcami, która wkrótce przełożyła się na nowe koncepcje wolności osobistej wśród mieszkańców średniowiecznych miast. To z kolei uruchomiło proces zmian gospodarczych, które przyniosły zmierzch feudalizmu, i jak przekonują niektórzy, były początkiem rozwoju kapitalizmu.

Pandemiczny koszmar kapitalizmu

Dziś kapitalizm zmaga się z własną epidemią. Choć Covid 19 zabija od 1 do 4 procent zarażonych, dzisiejsza gospodarka jest o wiele bardziej złożona niż ta, która istniała w XIV wieku, jej otoczenie geopolityczne jest o wiele bardziej kruche, zaś społeczeństwo świadome jest już tragicznych konsekwencji zmian klimatu. Zastanówmy się więc, jakie zmiany wymusiła jak na razie pandemia. Po pierwsze, duża część życia codziennego mieszkańców Chin, Indii, Europy czy USA legła w gruzach z powodu lockdownów. Po drugie, reputacja światowych rządów, które albo nie zdawały sobie sprawy z powagi sytuacji, albo okazały się niezdolne do zmobilizowania systemu opieki zdrowotnej na czas, doznała poważnego uszczerbku. Po trzecie, natychmiastowe załamanie się popytu konsumenckiego we wszystkich największych gospodarkach z pewnością doprowadzi do największej we współczesnej historii recesji: rynek akcji uległ załamaniu, zagrażając oszczędnościom emerytalnym klasy średniej. Wypłacalność linii lotniczych, lotnisk i sieci hoteli stanęła pod znakiem zapytania.

W odpowiedzi rządy na całym świecie uruchomiły pakiety pomocy ekonomicznej na taką skalę, że większość ludzi nie zdaje sobie jeszcze sprawy z ich możliwych następstw. Władze USA wpompowały w gospodarkę dwa tryliony dolarów w formie zasiłków, płaconych bezpośrednio obywatelom i kredytów dla biznesu - więcej niż połowę rocznych wpływów podatkowych państwa. W tym samym czasie banki centralne wprowadziły nową, agresywną formę kreacji nowego pieniądza. Tak jak po globalnym kryzysie finansowym w roku 2008, banki zamierzają wykupować na masową skalę długi rządów, jednak

tym razem nie będzie to proces stopniowy, ani ograniczony do najbezpieczniejszej formy rządowych pożyczek, jaką są obligacje. Wprowadzony w okresie paniki po kryzysie 2008 roku mechanizm wzrostu podaży pieniądza zostanie z nami na dekady. Politycy starają się przekonywać wyborców, że nadchodząca recesja będzie głęboka, ale krótka, gdyż „realna gospodarka", jak twierdzą jest w dobrej kondycji.

Rozpadające się fundamenty

By wyjaśnić. dlaczego nie podzielam ich optymizmu, posłużę się metaforą budynku. Podczas kryzysu roku 2008 można było odnieść wrażenie, że „sufit", czyli system finansowy zawalił się na główną strukturę systemu gospodarczego, która, mimo że została uszkodzona, przetrwała i pozwoliła z czasem na odbudowę „sufitu". W przeciwieństwie do poprzedniego kryzysu, dziś to fundamenty ulegają zniszczeniu, ponieważ całe życie gospodarcze w systemie kapitalistycznym opiera się na przymuszaniu poszczególnych osób, by podjęły pracę a następnie wydały zarobione pieniądze. Od kiedy zaczął się lockdown, jesteśmy zmuszani by nie pracować i nie konsumować. To samo w sobie jest uderzeniem w system, które otwiera przed nami kilka możliwości. Pamiętajmy, że współczesne miejsca pracy powstały, gdy pod koniec lat dziewięćdziesiątych XVIII wieku brytyjscy kapitaliści doszli do wniosku, że wolą mieć wszystkich tkaczy zgromadzonych pod jednym dachem, gdzie łatwiej jest ich spacyfikować i zmusić do pracy. Tak powstał system pracy fabrycznej. Biuro jest współczesną fabryką, i nagle okazuje się, że nie potrzebujemy biur. A znalezienie równowagi między czasem pracy a czasem wolnym zależy od naszych autonomicznych decyzji, a mimo to wciąż wykonujemy stawiane nam zadania. Sam zaś gmach kapitalizmu nie jest wcale aż tak mocny. Żyjemy w czasach potrójnego kryzysu. Mamy system gospodarczy, który przestał działać. Mamy upadające zaufanie do demokracji, rządów prawa, uniwersalnych praw człowieka, i coraz więcej ludzi dochodzi do wniosku, że z naszym światem coś jest nie tak. Mamy też kryzys kontroli nad technologią. Pomiędzy mną a Markiem Zuckerbergiem jest większa asymetria władzy niż między starożytnym wieśniakiem a faraonem Egiptu. Typowy obywatel, ukształtowany przez doświadczenia ostatnich trzydziestu lat zwyczajnie nie jest w stanie przetrwać obecnego poziomu niepewności co do przyszłych wydarzeń. Wiele osób szuka radykalnych odpowiedzi. Myślę, że kombinacja zmian klimatycznych i inwazji odzwierzęcych wirusów (koronawirus jest jednym z nich) pokazują, że kapitalizm nie tylko osiągnął swe społeczne i ekonomiczne granice. Osiągnął granice tolerancji samej planety na ingerencję w jej ekosystem. Gdy rozmawiamy, brazylijska waluta traci na wartości z powodu kryzysu i załamania eksportu. W rezultacie prezydent Bolsonaro znosi wszystkie ograniczenia w wypalaniu amazońskich lasów. Doprowadzi to do jeszcze większych tarć na styku człowieka i biosfery, które tylko przyspieszą pojawienie się kolejnych wirusów i globalnych epidemii.

Duża część wzrostu gospodarczego, jakiego byliśmy świadkiem przez ostatnie dwanaście lat, opierała się na emisji przez banki centralne nowych pieniędzy i przejęciu długów systemu bankowego przez rządy. Zamiast spłacać dług publiczny, władze na całym świecie zaciągnęły w tym czasie około siedemdziesiąt dwa tryliony dolarów nowych kredytów. Jednocześnie najbogatsze pięćdziesiąt osób w USA posiada tyle, ile sto sześćdziesiąt pięć milionów najbiedniejszych. Z dwóch trylionów dolarów, jakie dziś posiadają, około jednej czwartej zarobiły one podczas trwania pandemii Covid 19 tylko dzięki temu, że już wcześniej były bogate, a masowa emisja pieniądza przez banki centralne napompowała ceny posiadanych przez nie akcji, sztabek złota, bitcoinów, jachtów i rezydencji.

W przeciwieństwie do czasów Czarnej Śmieci, dzisiejszy system handlu i finansów jest wyjątkowo skomplikowany, co jak mogliśmy się przekonać w roku 2008 sprawia, że jest podatny na zaburzenia. Duża część zasobów krążących w systemie finansowym, to podobnie jak przed kryzysem 2008 roku skomplikowane pakiety papierów dłużnych emitowanych przez banki, firmy ubezpieczeniowe czy finansowe korporacje. Ich wartość opiera się na prawie posiadacza do udziału w przyszłych dochodach dłużnika. Nasze karty na siłownię, spłacane raty kredytów studenckich, czynsze za mieszkania, raty za samochód jakie zapłacimy do końca tego roku, w roku przyszłym i w latach kolejnych zostały już uznane przez system finansowy jako „zapłacone", zaś giełdowi maklerzy przyjmują skomplikowane zakłady co do ich obecnej wartości. Co się jednak stanie, jeśli przestaniemy chodzić na siłownię, nie kupimy nowego samochodu? Część z tych papierów dłużnych okaże się bezwartościowa, zaś system finansowy będzie wymagał operacji ratunkowych państwa.

Niemożliwe właśnie się wydarza

Nawet jeśli zwykli ludzie nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie to za sobą niesie, rządzący to wiedzą. To dlatego przekonali banki centralne do praktycznej nacjonalizacji rynku obligacji. Oznacza to, że to państwo zaciąga dług na wykup zobowiązań firm i osób prywatnych, tak jak zrobiła to administracja Trumpa w ramach pakietu pomocy na kwotę dwóch tryliardów dolarów, zaś ich wierzycielem jest inny podmiot państwowy - bank centralny.

Lewicujący ekonomiści, wliczając mnie samego, ostrzegali, że w dłuższym okresie ekonomiczna stagnacja połączona z wysokim zadłużeniem musi doprowadzić do trzech rzeczy: państwa będą zmuszone zapewnić obywatelom dochód gwarantowany, co sprawi, że dobrze płatna praca stanie się tymczasowa i dostępna dla nielicznych, banki centralne będą zmuszone udzielać bezpośrednich pożyczek rządom, a wielkie przedsiębiorstwa będą musiały zostać znacjonalizowane, by zapewnić powszechną dostępność podstawowych usług, których dostarczanie nie generuje zysków. W tych rzadkich okazjach, gdy nasze uwagi trafiały do decydentów, wywoływały politowanie lub atak wściekłości u tych, którzy pamiętali upadek Związku Radzieckiego. To zabije kapitalizm, twierdzili.

Jednak dziś to, w co trudno uwierzyć, dzieje się na naszych oczach. Powszechne transfery socjalne, oddłużenie przedsiębiorstw przez państwo, wykup państwowych obligacji przez banki centralne pojawiły się tak szybko, że zszokowało to nawet tych, którzy od dawna opowiadali się za tymi rozwiązaniami. Pytanie brzmi, czy proces ten będzie się odbywał w oparciu o jasną wizję nowego porządku społecznego i gospodarczego, jaki pojawi się w jego efekcie, czy będzie tylko chaotyczną próbą ożywienia starego systemu, który właśnie upadł? Spróbuję wytłumaczyć, dlaczego aż do teraz ekonomiści odnosili się tak wrogo do środków, zastosowanych przez państwa w walce z obecnym kryzysem. Jeśli chodzi o uniwersalny dochód gwarantowany, konserwatywny polityk brytyjski Ian Duncan Smith przekonywał, że problemem jest to, że „zniechęci on ludzi do pracy". Jeśli chodzi o własność państwową i próby planowania produkcji (jak dzieje się to na przykład w przypadku produkcji respiratorów), wolnorynkowi ekonomiści są przekonani, że takie próby ludzkiej ingerencji w wolny rynek doprowadzą do zakłócenia w funkcjonowaniu tej „inteligentnej maszyny", która zapewnia światu porządek lepiej, niż mogą to zrobić planiści czy rządowe agencje. Co się tyczy finansowania długów rządu przez bank centralny, uznawane jest to za przyznanie się do moralnej porażki kapitalizmu: to przedsiębiorczość i konkurencja mają prowadzić do wzrostu gospodarczego, nie bank centralny drukujący pieniądze by pożyczyć je ministerstwu finansów. Tak więc kapitalizm, opierający się w dłuższej perspektywie na tych środkach jest nie do pomyślenia dla większości konserwatywnych ekonomistów.

Przyszłość się zbliża

Z mojego punktu widzenia te środki nadzwyczajne były zawsze jak najbardziej dopuszczalne. Od roku 2015 przekonuję, że będziemy zmuszeni do wprowadzenia nowego, zupełnie innego modelu gospodarczego, jeśli nie przez ekonomiczne koszty wsparcia dla starzejących się populacji, to przez groźbę chaosu wywołanego zmianami klimatu. Kryzys wywołany pandemią Covid 19 sprawił, że perspektywa taka stała się znacznie bliższa. Kapitalizm, który wyłoni się z pandemii w połowie lat dwudziestych, po drodze będzie zmuszony wypłacić dziesiątki miliardów dolarów gwarantowanych dochodów i znacjonalizować większość linii lotniczych czy sieci hoteli, zaś dług publiczny głównych gospodarek, wynoszący obecnie 103% ich produktu krajowego, znacząco wzrośnie. Trudno dziś powiedzieć, o ile, bo nie wiemy jeszcze jak bardzo spadnie ten produkt.

Jeśli będziemy mieli pecha, fala bankructw i dezintegracji rządów w krajach, których systemy polityczne i gospodarcze są dziś dalekie od stabilności poważnie naruszy wielostronny, globalny porządek. Doradcy do spraw bezpieczeństwa obawiają się, że gdy kraje takie jak Wenezuela, Korea Północna czy Ukraina pogrążą się w chaosie, ich potężniejsi sąsiedzi, jak USA, Chiny czy Rosja ulegną pokusie wysłania swych wojsk „na ratunek".

Już raz byliśmy świadkami szybkiej deglobalizacji, w początku lat trzydziestych XX wieku. Rozpoczęła się ona od kryzysu bankowego, po którym nastąpił rozpad międzynarodowych porozumień w kwestii gwarancji stabilności walut, a skończyła zerwaniem traktatów pokojowych i rewizją granic.

Choć dziś instytucje międzynarodowe, jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Światowa Organizacja Zdrowia czy ONZ są znacznie silniejsze, mamy ten sam podstawowy problem, co w latach trzydziestych. Nie istnieje kraj na tyle potężny, by przyjąć na siebie rolę lidera, ustanowić standardy postępowania i działać jak źródło kredytu ostatniej szansy dla pozostałych. Jeśli będziemy działać zgodnie z ortodoksyjnie neoliberalnymi zasadami, tak jak po kryzysie w roku 2006, elity polityczne wprowadzą kolejne pakiety oszczędnościowe - ograniczenie wydatków na opiekę medyczną, obniżkę wynagrodzeń i podwyżki podatków dla najgorzej zarabiających by ograniczyć wydatki rządów i zmniejszyć ich zadłużenie. Taka jest logika wolnego rynku, choć wielu uważa ją za szaleństwo.

W XIV wieku, gdy minęła najbardziej śmiercionośna faza pandemii, dokładnie to samo próbowały zrobić feudalne elity - przywrócić swe dawne przywileje, tradycje i sposób gospodarowania, kosztem populacji, która właśnie przetrwała najbardziej traumatyczne wydarzenia, jakie można sobie wyobrazić. Doprowadziło to wówczas niemal natychmiast do krwawych buntów - Rewolty Chłopskiej w Anglii, *Jacquerie* we Francji, i przejęcia kontroli nad miastami, takimi jak Gent, Paryż czy Florencja przez zbuntowanych rzemieślników, pod przywództwem bojowo nastawionej grupy, nazwanej we Francji burżuazją.

Choć postpandemiczne rewolty upadły, jak pisze historyk Samuel Kline Cohn, doprowadziły do trwałej zmiany poglądów przez masy, „od kompletnego przygnębienia i strachu do wiary w siebie, wiary że również oni mogą zmienić świat, w fundamentalny sposób modyfikując społeczne i polityczne warunki życia". A to z kolei stworzyło warunki do rewolucji burżuazyjnych, z których zrodził się kapitalizm.

Planeta kapitalizm

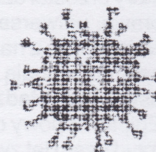
By zrozumieć, co dziś powinniśmy zrobić, powinniśmy poszerzyć ramy myślenia ponad te, które istnieją w umysłach większości polityków. Dla nich tak kryzys wywołany pandemią Covid 19, jak i kryzys klimatyczną są czymś w rodzaju upadku meteorów: kataklizmem wywołanym przez zewnętrzne czynniki, wymagającym podjęcia tymczasowych i odwracalnych środków zaradczych. W rzeczywistości jednak są to wstrząsy, wywołane przez samą „planetę kapitalizm", a przynajmniej przez kapitalizm w formie, w jakiej go stworzyliśmy. Nie wiemy, jak wyglądałby wielkoprzemysłowy kapitalizm bez węgla, ponieważ wszystkie jego instytucje, praktyki i kultura opierają się w całości na wykorzystaniu paliw kopalnych. Podobnie nie wiem, jak wyglądałaby globalizacja bez miliarda osób żyjących w slumsach, bez wylesienia wielkich obszarów planety, bez handlu żywymi zwierzętami i wielkich obszarów nędzy w środku rozwiniętego świata, gdyż są to podstawowe cechy kapitalizmu, jaki dziś istnieje.

Dlatego właśnie od lat przekonywałem, że w długiej perspektywie czasu kapitalizm raczej nie przetrwa, zaś w krótkiej ma szanse ocaleć, jedynie jeśli przybierze formę „post kapitalizmu". Do czasu pandemii koronawirusa, był to jednak głos wołający na puszczy. Nawet dość łagodne programy państwowego interwencjonizmu, ogłaszane przez polityków lewicy w USA czy Wielkiej Brytanii, były odrzucane przez wyborców. Dlatego byłem zdziwiony, gdy przeczytałem opinię analityków australijskiego funduszu inwestycyjnego Macquarie Wealth, jednej z najbardziej kapitalistycznych instytucji na rynku, głoszącą że „konwencjonalny kapitalizm umiera, a w każdym razie mutuje w stronę systemu przypominającego bardziej komunizm". Analitycy Macquarie zrozumieli, że dzieje się tak nie tylko dlatego, że nagle potrzebujemy interwencji państw, lecz również dlatego, że wielu zwykłych ludzi wybiera raczej uczciwość i gwarancje dobrobytu. Skoro wielka epidemia z XIV wieku uruchomiła w społeczeństwach postfeudalne myślenie, jest możliwe i wskazane, by obecna pandemia uruchomiła myślenie postkapitalistyczne. Im szybciej, tym lepiej.

Paul Mason

Na podstawie felietonu z 3 kwietnia 2020 na portalu *Al Jazeera* i późniejszych tekstów autora.
Tłumaczenie: **Wila**

COVID 19 I „PARAGRAF 22"



1.

Pracuję dla rządu. To ironiczne, jak na anarchistę ale ta praca wymaga stosunkowo niewielkich kompromisów. Mówiąc dokładniej pracuję jako operator mostu zwodzonego w Multnomah County, jednym z trzech hrabstw otaczających stolicę Oregonu, Portland. Około tydzień po nastaniu w okolicy kryzysu związanego z koronawirusem zacząłem mówić ludziom, że choć moje codzienne zadania się nie zmieniały, to praca dla rządu była jak oglądanie upadku państwa od środka.

Hrabstwo zaczęło od falstartu, wysyłając wszystkim pracownikom wiadomość z zapewnieniem, że w regionie nie wykryto żadnych przypadków Covid 19, dzień po tym jak Oregon Health Sciences University zgłosił swojego pierwszego pacjenta z koronawirusem. Po tej dezinformacji nastąpiła nagła decyzja, że mniejważni pracownicy powinni zostać w domu i pracować zdalnie - rozporządzenie, do którego wykonania pracodawca nie był w stanie zapewnić komputerów, dostępu internetowego, a w wielu przypadkach przydzielić zadań. W ciągu kilku dni pracownicy zostali przypisani do nowych schronisk dla bezdomnych, które pozostały otwarte, nie po to, żeby zwiększyć dostępne usługi, ale żeby chociaż technicznie umożliwić klientom realizację społecznego dystansu. (To znaczy nie udostępniono nowych łóżek, ale istniejące rozstawiono na kilka pomieszczeń). Teoretycznie pracownicy dobrowolnie zgłosili się do obsługi tych placówek, ale znam przynajmniej jednego, który został „dobrowolnie zmuszony" przez swojego szefa, znam też innych, którzy próbowali się zgłosić, ale im odmówiono, bo wszystkie zmiany były już obsadzone. Pracownicy w jednym ze schronisk zgłosili brak jakiegokolwiek szkolenia, jakichkolwiek reguł nadających się do wypełnienia, żadnego jasnego nadzoru i brak środka czyszczącego. Potem, jako samotny pracownik wieży przy moście, dostałem jedną maskę N-95, podczas kiedy pracownicy schronisk nadal radzili sobie nosząc chustki.

Nie brakowało kolejnych przykładów chaosu: przez chwilę zatrudnieni przez hrabstwo otrzymywali mnóstwo e-maili z różnych biur, często ze sprzecznymi instrukcjami, więc nie dało się zorientować jakie zarządzenie obowiązuje w danej chwili. W pewnym momencie dostałem wiadomość, że zwyczajnie nie ma środków czyszczących; jednak przybyły na czas i od tamtej pory zawsze były na czas. I, oczywiście, były zaburzenia w grafiku i jak zwykle dyskusje o wypłacie, tylko na dużo większą skalę i dotyczyły znacznie wyższych stawek. Co dzieje się podczas pandemii, jeżeli pracownicy nie maja pewności czy dostaną wypłaty, zostając w domu po kontakcie z zakażoną osobą? Nic dobrego.

Wiele z tych problemów w końcu rozwiązało się samo, a jednak rosły nowe trudności. Hrabstwo planuje zwolnienia i cięcia budżetu - dokładnie w tym momencie, kiedy „kluczowi pracownicy" są chwaleni jako bohaterowie, prawdopodobnie wzrost bezrobocia zwiększy potrzebę dla usług publicznych i nawet Międzynarodowy Fundusz Walutowy popiera podejście keynesistowskie. Zwolnienia w tym momencie mogą tylko pogorszyć kryzys ekonomiczny i upośledzić przyszłą reakcję na pandemię. Wyobraźcie sobie tylko kolejny wzrost zachorowań, prawdopodobnie na jesień, prowadzący do nowego zakazu wychodzenia i nową potrzebę wsparcia ze strony służb państwowych - ale z okrojonym personelem do wykonywania zadań. Covid 19 to tylko jedna epidemia w obliczu której stanęliśmy. Stoimy też w obliczu epidemii głupoty.

2.

„To jak utknąć w opowiadaniu Josepha Hellera" - powiedział do mnie jeden ze związkowców i zrozumiałem, że ma całkowitą rację.

Paragraf 22 to jedno z opowiadań, do których wracam co kilka lat. Czytałbym je znów teraz, ale sprzedałem swój egzemplarz zakładając, że to tylko książka i zawsze mogę ją wypożyczyć w bibliotece. Kiedyś to założenie, że zawsze będą biblioteki wydawało się bezpieczne.

Paragraf 22 opowiada o eskadrze pilotów w czasie II wojny światowej, wiecznie zaangażowanej w ostatnią misję - wiecznie, bo wymagana liczba misji ciągle rośnie. Piloci, załoga i nawet dowództwo zaczynają się załamywać, wszyscy przyznają, że szaleństwem byłoby ciągłe realizowanie tych misji. Jednak gdyby poddali się zwolnieniu z powodu zaburzeń psychicznych, to by oznaczało, że nie są szaleni: dlatego muszą dalej latać.

Jako satyra ta historia może być odniesiona do niemal niezliczonych przykładów: okrucieństwa wojny, szaleństwa militaryzmu, hipokryzji patriotyzmu, wymogów gospodarki rynkowej, niezczułych lekarzy, nieheroicznych żołnierzy, oficerów robiących kariery, zaślepionych biurokratów. Detal piętrzy się na detalu, ironia na głupocie, zabawne i rozpaczliwe zarazem. Rezultat jest jednocześnie komiczny i tragiczny, a wszystko łączy poczucie absurdu.

Zawsze za kulisami czeka element horroru, który może wkroczyć i przejąć scenę, jak by nie była miła, zabawna czy banalna: Dzień na plaży kończy się przerażającym wypadkiem, młody człowiek zostaje rozerwany na części przez śmigło, potem pilot popełnia samobójstwo. Kapitan sił powietrznych gwałci i morduje młodą kobietę; nie czuje żalu i nie spotyka się z żadnymi konsekwencjami, ponieważ policja jest zajęta polowaniem na żołnierzy nieobecnych bez usprawiedliwienia. Kiedy zbuntowany lotnik zaczyna sprawiać zbyt wiele kłopotów, armia sprawia, że znika. Jest wojna: samoloty zderzają się w powietrzu albo spadają do morza , są dziurawione przez ogień wroga lub realizują misję, to znaczy zrzucają deszcz bomb na miasta i ludzi, którzy w nich żyją. Dla wszystkich zainteresowanych śmierć, kiedy nadchodzi, nie jest pełna chwały i heroizmu. Jest nawet pozbawiona godności właściwej tragedii.

Zamiast tego jest bolesna i krwawa, zwykle też bezsensowna i głupia. Poczucie szaleństwa, paranoja i rozpacz, które są źródłem satyry, a przez to komedii, są pokazane jako usprawiedliwione wraz z rozwojem powieści i coraz mroczniejszym jej wydźwiękiem.

W tym przedstawieniu wojska lub każdej naprawdę dużej instytucji wypływają na wierzch dwa tematy, razem formujące paradoks: po pierwsze każdy postać w książce, walczący lub nie, oficer czy szeregowy, lekarz czy pacjent jest całkowicie więźniem systemu, w którym istnieje. Wszyscy są złapani w pułapkę przez tę samą szaloną logikę. Nawet ponad zwykłą biurokratyczną niewydajność i głupie regulacje, zderzają się z wymaganiami, nawet nie podyktowanymi wojskową koniecznością co niemal jej przeciwieństwem: wiecznym konfliktem między kompetencjami i statusem, zachowywaniem dyscypliny, kosztem efektywności oraz dziwnie nieracjonalnych, skierowanych przeciw sobie samym i czasem dosłownie samobójczych skłonności każdej hierarchii, która stanęła w obliczu nieporównywalnego z niczym kryzysu. Z drugiej strony sam system jest wrogi chciwości, próżności, głupocie, małostkowym ambicjom i mściwym sprzeczkom swoich licznych funkcjonariuszy. W jakiś sposób zawsze obecna jest wojna, którą trzeba wygrać. Jednak żadna zasada, procedura czy rozkaz nie są nigdy związane z wygrywaniem tej wojny. Dużo bardziej palące są takie pytania jak to czy syndykat Milo Minderbindera zarobi, czy Doc Daneeka może zgarniać opłaty za loty, nie musząc latać i czy pułkownik Cathart kiedykolwiek zobaczy swoje zdjęcie w *Saturday Evening Post*, co byłoby prawdziwym piórkiem do jego kapelusza. To są motywacje, które kierują wszystkimi pracownikami złożonych organizacji, to co wpływa na ich decyzje, prawdziwe powody ich działań.

Używając terminów ekonomicznych można powiedzieć, że jeżeli instytucje oferują przewrotne zachęty mogą się spodziewać przewrotnych rezultatów. Z socjologicznego punktu widzenia jednak trzeba zauważyć, że każda biurokracja, z samej swojej natury będzie ponad wszystko inne cenić i nagradzać zdolność do awansowania w ramach tej biurokracji. Przewrotne motywy, w tym sensie, są jej przynależne; nieprzewrotne wyniki zdarzają się, jeżeli w ogóle, raczej dzięki szczęściu niż dzięki strukturze i niemal przez przypadek.

3.

Od czasu kiedy mój związkowy kolega przywołał w komentarzu powieść Hellera, staje się dla mnie coraz bardziej jasne, że *Paragraf 22* jest nie tylko książką opowiadającą o swoich czasach, ale i o naszych. Dostarcza właściwego modelu, żeby unaocznić niepokoje obecnego kryzysu i irracjonalność odpowiedzi rządowej. Mogą być inne powody lub inne wyjaśnienia, które odpowiadają za różne problemy, o których wspomniałem, nie mówiąc już o pośpiechu ku „otwarciu ekonomii", złym umiejscowieniu kluczowych i trudno dostępnych zapasów medycznych lub czymkolwiek, co Donald Trump powiedział, zrobił czy napisał na tweeterze. Ale też nie musi ich być.

Joseph Heller wyznaczył drogowskaz, według którego możemy się orientować szukając innych i bardziej subtelnych wyjaśnień na bazie psychologii, ekonomii czy nauk politycznych. Wizja wojny według Hellera, to wizja polityki biurowej na wielką skalę o ogromnych konsekwencjach, ale nie mniej małostkowej w realizacji. Nadal są agresywni szefowie, podlizujący się asystenci, smutne ambicje, bezsensowne rywalizacje i niewytłumaczalne waśnie, i takie rzeczy mogą sprawić, że zostaniesz zabity.

Dlaczego pozwala się na kontynuację tego stanu rzeczy to inna kwestia, i tu też Heller może się przydać. W jednej scenie bohater, Yossarian, jest na przepustce, idzie odwiedzić swój ulubiony burdel. Jest tam pusto, poza starą kobietą w ciemnym szalu. Jest strapiona i mówi do niego „Źli wysocy żołnierze w twardych białych czapkach... przyszli ze swoimi buławami i wygonili dziewczyny. Nie pozwolili im nawet wziąć płaszczy. Biedactwa. Po prostu wypędzili je na zimno." Yossarian jest oburzony. „Nie mogli po prostu tutaj wparować i wszystkich wygonić" - protestuje. Ale stara kobieta jest mądrzejsza. Zna numer, a numer to zawsze 22. Odpowiada: "Paragraf 22 mówi, że mają prawo zrobić wszystko, nie możemy ich powstrzymać."

4.

Wiem, są tacy, którzy będą wybrzydzać na sięganie po *Paragraf 22* i każdą inną historię wojenną jako punkt odniesienia. To prawda, że wojenne metafory są przesadzone. I jak zauważa Eula Biss, ani przyczyna ani koniec epidemii Covid 19 nie będzie przypominać prawdziwej wojny: „Wirusy nie mają narodowości" - powiada, „Nie mają polityki. Wirus nie ma celów. Nie można z nim negocjować. Nie będzie rozejmu." (1) To wszystko też jest prawdą. Ale to nie znaczy, że nie ma wroga, tylko wrogiem nie jest wirus.

Yossarian wie: „Wrogiem... jest każdy kto chce cię zabić." Ten fakt wydaje się zrozumiany, głęboko i intuicyjnie, przez tysiące pracowników w rzeźniach, magazynach, fabrykach samochodów, restauracjach i punktach sprzedaży detalicznej, którzy woleli raczej rzucić pracę niż ryzykować życie dla zysków firmy (2). Kiedy chodzi o zdrowie publiczne, domaganie się solidarności jest nie tylko sprawą zasad politycznych, ale biologicznego imperatywu. Odmawiając pracy w niebezpiecznych warunkach ci pracownicy chronią nie tylko siebie, ale wszystkich, z którymi mogą wejść w kontakt - swoich współpracowników, rodziny, nas wszystkich.

Jest niemal komunałem stwierdzenie, że epidemia koronawirusa obnażyła dogłębną niesprawiedliwość w naszym społeczeństwie. W konsekwencji rozwiązanie nie może być ograniczone do szczepionki czy lekarstwa. Musimy się też odnieść do przyczyn strukturalnych, które sprawiają, że szczególnie narażeni we wszelkiego rodzaju kryzysach są ludzie ubodzy i kolorowi. W obecnych okolicznościach najbardziej oczywisty jest dostęp do opieki medycznej, niedostatek płatnego chorobowego, przeludnione i nieodpowiednie mieszkania i niewygodny fakt, że większość najistotniejszych zawodów jest często najniżej opłacana. Nasza wojna nie kończy się razem z cofnięciem pandemii i spadkiem śmiertelności. Dzięki temu co wiemy - połączeniom, które uformujemy i zmianom, które wprowadzimy zadecydujemy na ile jako społeczeństwo i może jako gatunek poradzimy sobie z następnym kryzysem.

5.

„Bóg umarł i Marks umarł" - powiadał kiedyś Howart Zinn. „Ale Yossarian żyje" (3).

Paragraf 22 kończy się przygotowaniem ucieczki przez Yossariana, który postanawia zdezerterować, uciekając do najbliższego neutralnego kraju.

My oczywiście nie możemy zdezerterować. Nie ma gdzie uciec. Między ludzkością i wirusem nie ma neutralnego terytorium. Musimy walczyć tu gdzie jesteśmy.

Kristian Williams

Tekst ukazał się na stronie: https://anarchiststudies.org/
Tłumaczenie: **Ludwika Wykurz**

Kristian Williame jest autorem książek *Between the Bullet and the Lie: Essays on Orwell*, oraz *Resist Everything Except Temptation: The Anarchist Philosophy of Oscar Wilde*, obu wydanych przez AK Press. Jest członkiem Institute for Anarchist Studies (IAS).

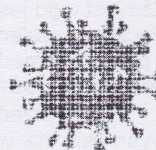
Przypisy:

(1) Cytat za *War, What Is It Good For?* w: https://www.wnycstudios.org/podcasts/otm/episodes/on-the-media-war-what-is-it-good-for

(2) Zobacz: *COVID-19 Strike Wave Interactive Map* w: https://paydayreport.com/covid-19-strike-wave-interactive-map/

(3) Howard Zinn, *The New Radicalism*, w: *The Zinn Reader: Writings on Disobedience and Democracy*, New York: Seven Stories Press, 1997.

COVID 19 CZYLI JAK PRZESTAŁEM SIĘ MARTWIĆ I POKOCHAŁEM WIRUSA



Panie prezydencie, nie mówię, że się nie pobrudzimy. Mówię jednak, że nie więcej niż dziesięć do dwudziestu milionów zabitych. Uh, w zależności od przerw.
- Stanley Kubrick, 1964) (1)

Oglądanie filmu *Dr Strangelove* podczas obecnej pandemii to surrealistyczne doświadczenie. Film jest kipiącą satyryczną krytyką mistyfikacji amerykańskiego społeczeństwa: od ślepej wiary w amerykańską propagandę po fanatyzm, niekompetencję rządu i jego chęć podążania za ideologią aż po faszyzm i śmierć ludzkiej rasy... Podczas tej pandemii widzieliśmy niesamowicie podobną sytuację w naszej rzeczywistości: od prawicowych protestów o „ponowne otwarcie gospodarki", po gotowość rządu do poświęcenia milionów ludzi, aby zapewnić dalsze funkcjonowanie systemu kapitalistycznego. Ale podobnie jak oglądanie *Dr Strangelove*, nasza obecna sytuacja jest doświadczeniem, które sprawia, że ludzie zadają trudne pytania dotyczące mistyfikacji naszego społeczeństwa.

Kapitalizm, jak każdy hierarchiczny system, opiera się na pewnym micie: jednostki i instytucje u władzy są postrzegane jako mądre; mają władzę, ponieważ wiedzą, co z nią robić gdy ją dostaną i czynią to dla wspólnego dobra. Tak więc, kiedy widzimy, że te osoby i instytucje nie zapewniają nawet najprostszych środków, aby ochronić nas przed pandemią, mistyfikacja ta rozpada się na naszych oczach.

Bez poczucia komfortu płynącego z mistyfikacji władzy, wielu zderza się z brutalną prawdą, że rządzący zawsze byli niekompetentni; ta zinstytucjonalizowana władza nigdy nie dotyczyła dobra wspólnego, chodziło o trzymanie władzy z dala od naszych rąk, tak by pozostawała w rękach możnych, nawet kosztem ludzkiego życia. To skłoniło ludzi w USA do zadawania ważnych pytań: „Dlaczego powinienem płacić czynsz, skoro nie mam wypłaty?" „Dlaczego otrzymuję płacę minimalną, skoro jestem niezbędnym pracownikiem?" „Dlaczego ludzie śpią na ulicy, skoro są puste domy?" itd. Chociaż te pytania same w sobie są ważnym skokiem w świadomości klasowej, widzimy zawsze ekscytujący zwrot wydarzeń: ludzie odpowiadają na te pytania i przekształcają odpowiedzi w organizowanie się.

Terminy „strajk generalny" i „strajk czynszowy" nie tylko zyskują na popularności w mediach społecznościowych, ale są realnymi narzędziami używanymi przez ludzi w całej Ameryce, aby przetrwać (2). Ludzie, którzy nigdy wcześniej niczego bliskiego strajkowi nie zorganizowali, teraz muszą to robić dla przetrwania. Ludzie muszą polegać na sobie nawzajem i być solidarni, i to są korzenie, które pozostaną jeszcze na długo po pandemii. Jako anarchiści, do nas należy pielęgnowanie tych korzeni lub uprawę gdy już wyrosną, gdziekolwiek się znajdujemy. Chociaż te korzenie mogą nie być końcem samego kapitalizmu, dają nam największe fundamenty, jakie kiedykolwiek mieliśmy, aby zbudować ruch nie tylko po to, by zakończyć kapitalizm, ale także stworzyć prawdziwie demokratyczny świat.

Nawet w moim rolniczym i ogólnie prawicowym stanie zaczynam dostrzegać ekspansję i wzrost tych radykalnych korzeni. Wyoming ma pewne postępowe tempo, ale przed wirusem można było znaleźć tylko dwudziestu aktywnych lewicowców w całym stanie. Ale teraz, podczas tego kryzysu, widzimy, jak lewicowcy wszelkiego rodzaju pojawiają się i zaczynają się organizować. Doświadczyłem tego najbardziej bezpośrednio w Democratic Socialists of America (DSA - Demokratycznych Socjalistach Ameryki), gdzie poprzednio nie było na tyle aktywnych osób na jeden oddział DSA, teraz są ludzie organizujący kapituły w całym stanie. Nawet w zapomnianych miejscach, takich jak to, widzimy, że nie tylko ludzie mają czas, ale także energię i odwagę, by zacząć budować fundamenty lepszego świata.

Podczas gdy ma miejsce ten ekscytujący radykalny ruch, ważne jest, abyśmy zrozumieli, że nie oznacza to, że nie będziemy musieli walczyć: każdego dnia państwo naciska na „ponowne otwarcie gospodarki" kosztem życia milionów ludzi. Nie tylko zobaczymy i poczujemy śmierć w naszym życiu, ale w tym chaosie żalu i zniszczenia państwo zrobi wszystko, co w jego mocy, aby system działał tak, jak powinien. Jako anarchiści będziemy musieli przyjąć rolę kultywujących; będziemy musieli się zorganizować, nie tylko po to, aby chronić nasze społeczności przed tym wirusem, ale także by chronić je przed chwastami państwa, kapitalizmu i faszyzmu.

Walka trwa nieustannie; mamy również rosnący ruch sprzeciwu. Ludzie dochodzą do wniosku, że coś musi się zmienić i są gotowi o to walczyć. Tak więc podczas tej pandemii nie traćcie nadziei, ponieważ jeśli kiedykolwiek był czas, aby mieć nadzieję, to właśnie teraz. Zmień swój gniew, strach, smutek w organizację. Ponieważ jeśli możemy to zrobić, wyjdziemy z tej pandemii nie tylko bezpieczni i zdrowi, ale będziemy mieć narzędzia, których potrzebujemy, aby ostatecznie obalić ten system!

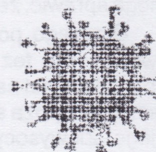
Jakob Larrew

Tekst ukazał się na stronie: anarchiststudies.org
Tłumaczenie: **Konrad (Czarna Teoria)**

Przypisy:
(1) *Dr. Strangelove, or, How I Learned to Stop Worrying and Love the Bomb.* Columbia Pictures Corp., 196
(2) Elk, Mike. COVID-19 Strike Wave Interactive Map. Payday Report, 6 maj, 2020. https://paydayreport.com/covid-19-strike-wave-interactive-map. W trakcie gdy to piszę odnotowano 175 dzikich strajków w całych Stanach Zjednoczonych. To naprawdę wielki skok w naszym, generalnie wrogim strajkom i związkom zawodowym kraju.

Jakob Larrew jest aktywistą z Wyoming. Przez ostatni rok pracował na rzecz samorządności studenckiej poprzez edukację i wspólne działania. Jest również aktywnym członkiem lokalnego oddziału DSA. Jeśli chcesz się z nimi skontaktować, ich pisz na e-mail: JakobLarrew@gmail.com

POMOC WZAJEMNA: ANTIDOTUM NA „DÓŁ KOWIDOWY"



Istnieje wirus, którego nie opisują statystyki, i który po cichu szerzy się na świecie. Nie mówię o fizycznej chorobie Covid 19, na którą obecnie nie ma lekarstwa, ale na zaraźliwy stan rozwijający się w jego cieniu. Ja mówię na niego „dół kowidowy". „Dół kowidowy" jest psychologicznym lękiem związanym z pandemią Covid 19, który trzyma planetę w stanie rozpaczy. Lęk i depresja nie są same w sobie chorobami fizycznymi, ale psychologicznymi reakcjami na to, co wydaje nam się groźne, czy mowa o groźbach namacalnych czy innych, czemu towarzyszy niszczące poczucie straty. W przeciwieństwie do wirusa wywołującego Covid 19, ten „dół kowidowy" nie zależy od obecności fizycznego zarażenia, ale jest odpowiedzią człowieka na groźbę zakażenia czy śmierci, z jaką wiąże się najnowszy koronawirus. Wywołany w ten sposób egzystencjalny smutek nasila się jeszcze w wyniku niepewności wokół nieokreślonej długości czasu trwania obecnego kryzysu.

A jednak „dół kowidowy" jest dużo bardziej uleczalny niż Covid 19. Antidotum na „doła kowidowego" nie wymaga poszukiwania nowej szczepionki. „Dół kowidowy" bierze się z tego, iż wymagany do obrony przed szerzeniem się koronawirusa „dystans społeczny" przyspiesza nasze poczucie odizolowania i atomizacji właśnie wtedy, gdy mamy najsilniejszą potrzebę wsparcia od innych. Brakuje nam objęć naszych przyjaciół i bliskich, uścisków do których tak się przyzwyczailiśmy. W tym sensie „dół kowidowy" tak okrutnie dotyka tych, którzy mieszkają sami. Należy więc spytać, jak da się stworzyć żywą sieć wsparcia między ludźmi jednocześnie z przestrzeganiem dystansowania fizycznego a nie emocjonalnego. Mówiąc wprost: jaki jest pozafizyczny odpowiednik przytulenia się?

Odpowiedzią może być pomoc wzajemna. Od 18 lat mieszkam na skale Salish Sea, którą to skałę kolonialni kartografowie nazwali wyspą Denmana po kontradmirale Josephie Denmanie, którego okręt zagarnął tę ziemię z rąk rdzennego ludu Pentlaczów w imieniu Imperium Brytyjskiego. Wśród 1100 dzisiejszych mieszkańców znajduje się mała enklawa anarchistów oddanych idei pomocy wzajemnej, oraz anarchicznych wolnych duchów, które postanowiły dbać o pamięć rdzennej spuścizny miejsca, które dla Pentlaczów i K'omoków nosiło nazwę Sla-Dai-Aicz bądź Taystayik (Wyspa Wewnętrzna). Ponadto,

nawet poza tzw. „środowiskiem anarchistycznym", powszechne jest tu przyjęcie, że suwerenem jest ludność rdzenna. Na wyspie nie ma też policji, która mogłaby sobie uzurpować opiekę nad społecznością wobec kryzysu. W naszej sytuacji do odpowiedzi na wyzwanie zarówno samego Covid 19 jak i postępującego za nim „dołu kowidowego", jest wzmocnienie kultury społecznej już zakorzenionej w połączeniu wiedzy o DIY (zrób to sam) oraz pomocy wzajemnej praktykowanej wśród wyspiarzy, a to daje siłę. W okresie stanu zagrożenia Covid 19 różne formy przybierała ta pomoc wzajemna: od dostarczania zakupów sąsiadowi z grupy ryzyka po dystrybucję żywności z gospodarstw rolnych i nasion do ogrodów nieuzależnioną od majętności obdarowanych, od wytwarzania sprzętu medycznego typu maski, po tworzenie wydarzeń społecznych niewymagających bliskości fizycznej, jak czytanie dzieciom na dobranoc, granie muzyki albo wspólny taniec za pośrednictwem lokalnego pirackiego radia albo przez internet. W tych różnorodnych formach pomoc wzajemna, której plusów jest wiele, zarówno użytkowych jak i podnoszących na duchu, powstały na wyspie spontanicznie. Jest też miejsce na wykwit kolejnych, takiego żywego antidotum na stan „dołu kowidowego". Choć wiemy o tylu kwestiach w naszym życiu, które uległy lub ulegną pogorszeniu przez ten koronawirus, dla mnie to niezmiernie inspirujące, że codziennie stwarzamy nowe możliwości dla pomocy wzajemnej. To dlatego, że zdajemy sobie sprawę, że to, co łączy nas jako wyspiarzy, pozostaje dla nas nadal otwarte, a te próby wzajemności mogą zwiastować bardziej anarchiczną przyszłość. Mimo iż może nie wszyscy jesteśmy anarchistami, poczucie solidarności właściwe mieszkańcom wyspy jest jednym z głównych powodów, z jakich wielu z nas, w tym ja, w ogóle postanowiliśmy tu mieszkać.

Angażując się w przedsięwzięcia wspólnotowe, my akurat mamy to szczęście, że naszą rozbudowaną sieć pomocy wzajemnej budujemy na istniejącym już na wyspie podglebiu: ludzie dbają już o siebie nawzajem w sposób nieformalny, jako przyjaciele i sąsiedzi (od gotowania rodzicom nowo narodzonego dziecka posiłków przez pierwsze dwa tygodnie po pomoc w przygotowaniu ciała osoby bliskiej do naturalnego pogrzebu (1), a także za pośrednictwem formalnych organizacji celowych (od heroizmu ochotników w straży pożarnej do starań, by z dnia na dzień działał punkt przetwarzania surowców wtórnych, nie tylko jako miejsce utylizacji odpadów, ale też źródło dochodów dla oddolnych inicjatyw społecznych, które utrzymują się w całości albo częściowo z kaucji za butelki i inne pojemniki).

W konfrontacji z fizycznym zagrożeniem, jakie stanowi ten koronawirus, w dużej mierze wykorzystaliśmy nasze mocne strony jako społeczność, która dotąd najlepiej sobie radziła wtedy, gdy napędzała ją pomoc wzajemna, i jak na razie nie pozwoliliśmy, by „dół kowidowy" zniszczył nasz delikatny psychiczny i społeczny porządek drogą obwiniania, szukania kozła ofiarnego, zadufania czy cynicznego zaprzeczania faktom. Pojęliśmy, że nie jesteśmy skazani na bycie samymi w tarapatach, o ile uruchomimy misterną sieć wspierających relacji społecznych, z której bierze się nasza determinacja, i które czynią nas społecznością poprzez praktykę coraz szerszego spektrum inicjatyw pomocy wzajemnej - łącznie te inicjatywy tworzą mocną strukturę, która może nam pomóc przeprawić się przez te trudne czasy, do momentu znalezienia bezpiecznej przystani, ale też spojrzeć za horyzont, ku nieograniczonym możliwościom.

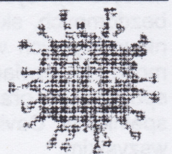
Ron Sakolsky

Tekst ukazał się na: https://anarchiststudies.org
Tłumaczenie: ***Qrde***

(1) Pogrzeb naturalny (beztrumienny) polega na złożeniu zmarłego do ziemi bez stosowania trwałych trumien czy konserwujących balsamów, tak, by ciało rozłożyło się w glebie i by pozostawić intensywnych śladów w środowisku. Wg prawa Kolumbii Brytyjskiej, takie ekologiczne pogrzeby są traktowane na równi z tzw. tradycyjnymi.

Pomoc wzajemna od dawna jest źródłem wiedzy i inspiracji Rona Sakolsky'ego. Jego książka z 2015 roku, *Breaking Loose: Mutual Acquiescence or Mutual Aid* (LBC/Ardent) skupia się na pomocy wzajemnej jako strategii anarchistycznej i próbuje zbadać jej przeciwieństwo: wzajemne przyzwolenie, aby zrozumieć dlaczego pomoc wzajemna nie rozpowszechniła się szerzej. Kolejna jego książka: *Dreams of Anarchy and the Anarchy of Dreams: Adventures at the Intersection of Anarchy and Surrealism*, wyjdzie (po angielsku) nakładem oficyny Autonomedia (o ile wirus nie postanowi inaczej). W 49 numerze naszego pisma ukazał się dość obszerny tekst Rona Sakolsky'ego, *Wzajemne przyzwolenie czy pomoc wzajemna?*

EPIDEMIA W ERZE KAPITALIZMU



Eksploatacja zasobów naturalnych planety postawiła ludzkość na krawędzi samozniszczenia. Żyjemy w środku epidemii spowodowanej głównie przez ciągłe rozprzestrzenianie się produktów chemicznych (pestycydy, środki owadobójcze, substancje zaburzające gospodarkę hormonalną itp.), które są szkodliwe dla naszego zdrowia. Jednocześnie żyjemy w atmosferze o tak wysokim poziomie skażenia, że u dużej części populacji rozwijają się alergie i choroby. Ta eksploatacja zasobów naturalnych niesie ze sobą również dewastację przyrody przez przemysł technologiczny: Morze Śródziemne zamieniło się w ściek, Azja Południowo-Wschodnia w chemiczną pustynię, Afryka w wielkie wysypisko itp. Pojawienie się wirusa znanego jako Covid 19 jest konsekwencją cywilizacji przemysłowej.

Nie jest dla nas istotne, czy wirus zmutował z nietoperza, być może z powodu industrializacji jego siedliska lub czy był to atak Stanów Zjednoczonych na chińską gospodarkę. Dla nas istotne jest to, że jest to konsekwencja systemu, który komercjalizuje każdy życiowy proces, obiekt lub byt na ziemi; jest to chciwość systemu, która dąży do unicestwienia wszystkiego, co żyje, w celu przemienienia świata przyrody na świat sztuczny, przetworzony. Nie mogliśmy przecież długo myśleć, że nasz sposób życia oparty na ciągłym wzroście na planecie, która jest w rzeczywistości skończona, nie przyniesie takich konsekwencji i innych katastrof, które nadejdą. .Setki substancji chemicznych obecnych w naszym codziennym życiu modyfikują naturalne procesy, powodując setki „katastrof" (epidemie, zmiany klimatyczne itp.). Są to te same produkty, które w Chinach powodują półtora miliona zgonów rocznie, a o czym nie mówi się w wiado-mościach, nie powodując ani alarmu społecznego, ani konsekwencji dla trucicieli, ani stanu alarmowego. W Hiszpanii 10 000 osób umiera rocznie z powodu zanieczyszczeń i nie ma paniki, są po prostu częścią ofiar potrzebnych do dalszego funkcjonowania świata przemysłowego. Ponieważ ważne jest, aby postęp i jego chciwość nie ustały.

Zasadniczo Covid 19 (chociaż nadal go badają) jest grypą z objawami podobnymi do zwykłej grypy i obie dotykają więcej osób z wcześniejszymi patologiami, a zwłaszcza starszą populację, choć nie tylko. Różnią się szybkim rozprzestrzenianiem się i początkową zdolnością zarażenia, co podniosło alarm zdrowotny. W chwili pisania tego tekstu prawie 300 osób zmarło z powodu Covid 19, jednak grypa pospolita spowodowała w zeszłym roku w Hiszpanii ponad 6000 zgonów, a w 2018 roku osiągnęła 8000. Mając to na uwadze, zadaliśmy sobie pytanie, dlaczego ta wyjątkowa sytuacja jest spowodowana alarmem społecznym stworzonym głównie przez media i nie-przejrzystością informacji przekazywanych przez tych, którzy kierują naszym życiem.

Aby uporać się z pandemią, państwo ogłosiło „stan alarmowy", który pociąga za sobą zakazy przemieszczania się, ograniczenie życia do zamknięcia w mieszkaniach i zwiększenie kontroli, zawieszenia spotkań i ogólnie życia publicznego, kontroli środków transportu i kto wie, czy wkrótce dystrybucji żywności. W tym procesie widzimy, jak państwo staje się ekofaszystą, w którym rząd będzie coraz bardziej zmuszony do zarządzania zasobami i coraz bardziej „rozrzedzoną" przestrzenią, co spowoduje, że zachowanie najpotrzebniejszych zasobów będzie możliwe tylko gwarantowana przez poświęcenie innej potrzeby: wolności.

Wobec braku wroga wewnętrznego lub zewnętrznego państwo znalazło wroga, przed którym mógłby pokazać cały swój wojenny potencjał, a jednocześnie zaakcentować poddanie ludności poprzez strach i represje, podczas gdy jest to jedyna możliwość wybawienia się od terroru wywołanego przez epidemię. Dla nas rozwiązaniem nie jest bardziej autorytarne państwo, ale zanik wszelkich form władzy. Odtąd jest wysoce prawdopodobne, że stany alarmowe i nadzwyczajne będą się nadal zdarzać w wyniku ekologicznej i społecznej dewastacji świata, ponieważ mamy pewność, że katastrofy będą trwać dalej.

Nie przesadzamy, gdy mówimy o potencjale wojennym, już teraz widzimy armię zajmującą pozycje w strategicznych miejscach, policję coraz bardziej kontrolującą ulice i drony z kamerami monitorujące ruchy ludności. Środki stanu alarmowego mają na celu nie tylko zakończenie pandemii grypy, ale także rozprzestrzenienie kolejnej pandemii: dobrowolnej niewoli ludności poprzez przestrzeganie prawa w obliczu niebezpieczeństwa pandemii, nie dopuszczając do krytyki państwa i kapitalizm w obliczu strachu i możliwych zagrożeń. To dobrowolne posłuszeństwo byłoby niemożliwe bez naszego oddania urządzeniom technologicznym i sposobu życia, które tworzą. W obliczu pandemii czy

jakiejkolwiek innej katastrofy podlegamy technokratom, specjalistom, ekspertom, naukowcom itd., Tym zarządcom przestrzeni i czasu, którzy w swoich racjonalnych kalkulacjach wszystko zaplanowali.

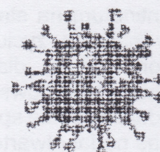
Prawdopodobnie konsekwencje tej epidemii lub jakiejkolwiek innej katastrofy przemysłowej będą ekonomicznie katastrofalne. Już teraz widzimy krytyczną sytuację tysięcy ludzi, którzy zostaną zmuszeni do bezrobocia lub cierpią z powodu niepewności zatrudnienia. Jak zwykle na pogorszeniu warunków życia ucierpią najbardziej pokrzywdzone warstwy społeczne, które już od lat znoszą ciężki atak „kryzysu kapitalistycznego" i jego cięć. Z drugiej jednak strony, z pewnością przyniesie wielkie korzyści klasom wyższym, takim jak właściciele wielkich firm farmaceutycznych.

W obliczu epidemii, przemysłowe uwięzienie, w którym żyjemy, staje się coraz większe, zamykają nas w naszych ceglano-betonowych klatkach, skąd możemy praktycznie uciec od przytłaczającej rzeczywistości jedynie za pomocą naszych urządzeń technologicznych. Są to te same metody, które tłumią i utrwalają alienację w industrialnym stylu życia. Te urządzenia, które dehumanizują i kształtują nasze postrzeganie, nasz mózg, nasze uczucia itp. Przeprojektowują sposób, w jaki postrzegamy siebie i świat. Zachwyceni wirtualnym światem trzymamy się z daleka od rzeczywistości wrogiego świata, epidemii czy katastrofy nuklearnej. Ci, którzy kierują naszym życiem, nie biorą za to odpowiedzialności, ale jednocześnie starają się uczynić nas konsumentami i współtwórcami katastrof kapitalizmu przemysłowego, ponieważ jedną z cech postmodernizmu jest brak odpowiedzialności za działania każdego z nich, ponieważ uczestniczymy w maszynie „obcej" jej skutkom. Dla nas odpowiedzialna jest tylko techniczna organizacja życia i ci, którzy nią zarządzają.

Contra Toda Nocividad

Tekst ukazał się w piśmie *325*, nr 12
Tłumaczenie: **Konrad (Czarna Teoria)**

COVID 19 I REPRODUKCJA SPOŁECZNA



Covid 19 sprawił, że wypłynęły na powierzchnię dwie główne doktryny współczesnej myśli anarchistycznej i feministycznej: waga reprodukcji społecznej oraz fakt, że „rodzina nuklearna" jako sposób wspólnego życia, jest często niewystarczająca.

Po raz pierwszy za ludzkiej pamięci, w licznych miejscach na ziemi ludzie zostali zmuszeni do siedzenia w domach. Odmówiono im dostępu do innych ludzi, do wydarzeń społecznych, do „radości" pracy poza domem. Trzeba przyjrzeć się bliżej naszemu życiu domowemu. Covid 19 uwydatnił niedostosowanie, zawsze obecne w sferze naszych usług socjalnych i systemu opieki: jak niewystarczający dostęp do opieki medycznej, systemu żywności i benefitów oraz brak ochrony dla bezdomnych, skłotersów i lokatorów. Pokazał też niektóre z bardziej nieuchwytnych warunków ludzkiego szczęścia - do jakiego stopnia, może nie uświadamiając sobie tego, zależymy od relacji i interakcji społecznych oraz zażyłości emocjonalnych poza domem, żeby czuć spełnienie. Covid 19 pokazał, że szczęście domowe nie jest tym wszystkim.

Bardziej przerażający aspekt wymuszonej izolacji w domu koncentruje się oczywiście wokół ubóstwa mieszkaniowego i w ogóle braku opcji mieszkaniowej. Zostały wprowadzone minimalne środki ochrony dla lokatorów, skłoting mieszkalny nadal jest kryminalizowany, podjęto również kroki, żeby kryminalizować niemieszkalny skłoting. Zakwaterowanie tymczasowe i kryzysowe dla bezdomnych nadal jest rażąco niewystarczające. Nie jest niespodzianką, że wzrasta ilość przypadków przemocy domowej, ponieważ coraz większa ilość kobiet jest zmuszona do pozostania w bliskich relacjach ze swoimi oprawcami. Przerażająca perspektywa, pogorszona została jeszcze wyrachowanym zmniejszeniem przez torysowski rząd pomocy dla uciekających kobiet w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Nie mogę zaoferować natychmiastowego rozwiązania tych problemów, zwłaszcza, że prawo do protestu również zostało starannie ograniczone przez wprowadzenie przepisów o społecznym dystansie. Naprawdę myślę, że ten czas wymuszonej izolacji dla wielu ludzi w niepewnej, niebezpiecznej lub zwyczajnie niepożądanej sytuacji jest czasem, w którym powinniśmy myśleć z większą nadzieją, bardziej optymistycznie o alternatywnych sposobach życia i bycia razem. Są dwie drogi rozwiązania tych spraw z anarchistyczno-feministycznego punktu widzenia, które obejmują rozpoznanie fundamentalnej wagi pracy reprodukcyjnej i ograniczeń sprywatyzowanego modelu rodziny w radzeniu sobie z osobistymi, społecznymi i emocjonalnymi potrzebami.

Oczywiście każda gospodyni domowa (org. *housewife*) mogłaby wam to powiedzieć. Izolacja, depresja, alienacja i nieszczęście są rozpoznawalnymi cechami "gospodyni domowej", akceptowanymi i obecnymi w fikcji i literaturze faktu w ciągu ostatnich 100 lat. Parodiowane w *Żonach ze Stepford*, sportretowane w *Szalonych ludziach* i potępione w literaturze feministycznej co najmniej od lat siedemdziesiątych. Ale nie musiało tak być. Nie musimy zakładać, że to praca w domu jest czymś dogłębnie paskudnym. Prawdę mówiąc, to podtrzymuje mit propagowany przez społeczeństwo kapitalistyczne, że płatna praca poza domem jest najbardziej satysfakcjonującym i tak naprawdę jedynym rodzajem pracy, który się liczy. Postęp niekoniecznie mierzy się ilością kobiet, które weszły na rynek pracy, ale tym na ile są zadowolone z pracy, którą wybrały oraz jaka praca jest ceniona.

Teraz, kiedy tyle osób pracuje z domu, poza tymi, których nagle uznano za „kluczowych" (nie zapominajmy, że miesiąc temu byli uznani za „nisko wykwalifikowanych" przez ten sam rząd), nastał dobry moment, żeby przypomnieć o historycznej dewaluacji pracy reprodukcyjnej. Nagle zauważamy, że jedyną naprawdę potrzebną pracą jest praca związana z opieką, żywnością, zdrowiem i higieną - praca nisko płatna i historycznie głównie sfeminizowana oraz zamknięta w domach. Teraz wszyscy jesteśmy w domu i skargi na dzieci przeszkadzające w ważnych zajęciach wydają się urocze i śmieszne, dopóki nie zastanowisz się dlaczego praca zarobkowa jest uważana za ważniejszą niż opieka nad dziećmi lub nad domem.

Warto zauważyć, że grupy pomocy wzajemnej, zorganizowane w całym kraju, żeby oferować wsparcie wspólnot i solidarność w czasie kryzysu Covid 19, w dużej mierze skupiły się wokół pracy reprodukcyjnej. Jeden z głównych aspektów teorii feministyczno - anarchistycznej jest skupiony wokół przemyślenia na nowo sposobu, w jaki podchodzimy do reprodukcji społecznej, przechodząc od troski indywidualnej lub rodzinnej do sprawy kolektywnej i z kolektywnymi rozwiązaniami. Produkcja ludzi, od rodzenia po wychowanie dzieci, po uprawę żywności i zapewnienie posiłków, czyszczenie i sprzątanie domu, oferowanie wsparcia emocjonalnego, leczenie ran, zapewnianie ramienia, na którym można się wypłakać i opieki nad starszymi i chorymi, to tylko nieliczne spośród miriad form reprodukcji społecznej, jaką widzimy (lub raczej niekoniecznie widzimy) w dzisiejszym świecie i w ciągu całej ludzkiej historii. Jednak społeczna praca reprodukcyjna była coraz bardziej ukrywana, prywatyzowana, indywidualizowana, reprodukowana przede wszystkim we wnętrzu indywidualnych domów i była w znaczący sposób związana z płcią.

Prywatyzacja reprodukcji społecznej była kluczowym elementem społeczeństwa kapitalistycznego, niszczącego metody aprowizacji, opieki nad dziećmi i pomocy wzajemnej oparte na współpracy. Głównym środkiem żeby to osiągnąć był historyczny proces izolowania kobiet w domu, żeby zapewnić pracę domową, niewidzialną i zindywidualizowaną. Jak stwierdził filozof polityczny Friedrich Engels, uwięzienie kobiet w rodzinie było bezpośrednim rezultatem pojawienia się własności prywatnej i przez to rola kobiety była dogłębnie związana z *wymiarem własnościowym* kapitalizmu. Wraz z ukrywaniem jej w domach postępował proces dewaluacji reprodukcji społecznej. Jak podkreśliła Arlie Hochschild w *Second Shift* (*Druga zmiana*), nie chodzi o to, że kobiety zwykle wykonywać większość prac domowych, "to społeczeństwo dewaluuje pracę w domu i widzi kobiety jako gorsze, ponieważ wykonują zdewaluowaną pracę" (Hochschild 2012, s.274). Hochschild jest tu w dobrym towarzystwie tych, które walczą o przywrócenie wartości pracy reprodukcyjnej.

„To dlatego wysiłki kobiet, które ponad wszystko starają się zdeprywatyzować codzienne życie i stworzyć wspólnotowe formy reprodukcji są tak ważne. Nie tylko tworzą drogę do świata, w którym opieka nad innymi może być kreatywnym zajęciem raczej niż ciężarem, ale też przełamują izolację, która jest charakterystyczna dla procesu naszej reprodukcji, tworząc te więzy solidarności, bez których nasze życie jest pustynią uczuciową i brak nam siły społecznej." (Federici 2019, s.184)

Dzięki uspołecznieniu reprodukcji niszczymy opresyjną logikę rodziny nuklearnej, co prowadzi do szerszego uczestnictwa w reprodukcyjnej pracy, raczej dla dobra wspólnoty niż jednostki.

Uwspólnotowienie reprodukcji społecznej zmusza też do przemyślenia „domu", podstawowego miejsca społecznej pracy reprodukcyjnej. Prawdziwa wspólnota obejmowałaby raczej wspólnotowe życie i bycie razem niż zwykłe przenoszenie pewnych praktyk na zewnątrz domu, do społeczności. Jakby to było gdybyśmy mieli całkowicie rozmontować rodzinę nuklearną? Jakby to wpłynęło na międzyosobową dynamikę płci i na idee wokół form pracy ze względu na płeć? Podczas kiedy kosmiczne ceny domów zmuszają nas coraz bardziej do życia w sytuacjach „wspólnotowych" daleko ponadto czego byśmy sobie życzyli, jak coraz powszechniejsza norma dzielenia mieszkań wśród ludzi po trzydziestce, co by się zmieniło, gdybyśmy zamiast tego mieli wybierać to wspólnotowe otoczenie, zamiast być do niego zmuszonym? Uspołecznienie i uwspólnotowienie „domu" na naszych warunkach mogłoby fundamentalnie zmienić relację między kobietami i reprodukcją społeczną, którą się zajmują. Mogłoby też prowadzić do zmienionej dynamiki w formowaniu oraz samowystarczalności „alternatywnych" sposobów życia w ogóle.

Przez Covid 19 jesteśmy coraz bardziej izolowani, ale jest nadzieja w mnożących się grupach pomocy wzajemnej oraz solidarności wspólnotowej, która powstała, w rozpoznaniu co tak naprawdę oznacza kluczowa praca, w naszym pragnieniu, żeby być z innymi w czasie kiedy jesteśmy zmuszeni, żeby być w domu. Istnieje szansa na przemyślenie od nowa jak moglibyśmy chcieć żyć inaczej, co to znaczy żyć szczęśliwie i co jest naprawdę ważne w naszym codziennym życiu.

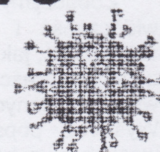
Rowan Tallis Milligan

Tekst ukazał się na: anarchiststudies.noblogs.org
Tłumaczenie: **Ludwika Wykurz**

Bibliografia:
Silvia Federici, Peter Linebaugh. *Re-enchanting the World: Feminism and the Politics of the Commons*. Oakland, CA: PM Press, 2018.
Arlie Hochschild, Anne Machung. *The second shift: Working families and the revolution at home*. London: Penguin, 2012.
Louise Toupin. *Wages for housework: A history of an international feminist movement, 1972-77*. Vancouver: UBC Press, 2018.

SOLIDARNOŚĆ PRECIW BARBARZYŃSTWU

WALKA Z KORONAWIRUSEM I SKRAJNĄ PRAWICĄ W STANACH ZJEDNOCZONYCH



Jak wszyscy, i my byliśmy w zamknięciu, spędzając sporo czasu w domu z zapasami fasolki w naszym antifowym bunkrze. Pozostaliśmy jednocześnie aktywni, robiąc swoje w lokalnych inicjatywach samoorganizacyjnych w Brighton i poza nim: zaopatrując banki żywności, dostarczając posiłki, organizując grupy pomocy wzajemnej, wytwarzając środki ochrony osobistej, itp. W międzyczasie z towarzysz(k)ami z Oregonu omawialiśmy, co dzieje się w Ameryce, gdzie mają do czynienia z sytuacją w pewnych kwestiach bardziej skrajną, a poza tym z prawicowymi ruchami ulicznymi, które oprotestowują *lockdown*. Poniższy wywiad przeprowadzono z Alexandrem i Thomasem, dwoma anarchistami działającymi w samoorganizacji antyfaszystowskiej i lewicowej w Portland w Oregonie.

Możesz nam powiedzieć, jaką odpowiedź na obecny kryzys ma antyautorytarna lewica i ruch antyfaszystowski? Czy tworzą się jakieś sieci pomocy wzajemnej? Widzieliśmy tu na przykład obrazy z Portland, gdzie antyfaszyści wytwarzali środki dezynfekcyjne do rozprowadzenia za darmo wśród potrzebujących. Możecie nam powiedzieć więcej o tego typu inicjatywach?

W Portland mamy różne przedsięwzięcia pomocy wzajemnej dotyczące dachu nad głową, żywności i środków do ochrony przed pandemią, jak maski czy płyny dezynfekcyjne. My dwaj akurat pracujemy w zawodach określonych jako „niezbędne", więc nadal chodzimy do pracy, by miasto działało. Ze strony naszych sieci i od przyjaciół wiemy za to o kilku wartych zauważenia przedsięwzięciach pomocy wzajemnej: są to sieci barterowe, wymienialnie, oraz darmowe rozdawnictwo rzeczy najpilniej poszukiwanych, w tym jedzenia, poza tym szycie i rozdawanie środków ochrony osobistej ludziom, którzy nie mogą ich sobie kupić, listy zasobów, aby informować ludzi, gdzie można otrzymać towary, których zabrakło gdzie indziej (np. w których sklepach jest papier toaletowy czy żel dezynfekcyjny), wreszcie samoorganizacja obozów osób bez dachu nad głową, które znalazły się w grupie wysokiego ryzyka i na marginesie.

Ponieważ zwykłą naszą działalnością jest antyfaszyzm, trzeba zaznaczyć, że i na niego jest w tym kryzysie duże zapotrzebowanie. Podobnie jak w wielu sytuacjach kryzysowych, i teraz skrajna prawica usiłuje wykorzystać ten moment polityczny do urośnięcia w siłę. Widzieliśmy, jak ugrupowania pokroju Dumnych Chłopców i Frontu Partiotów (1) uczestniczą w protestach przeciw nakazowi pozostawania w domach. Krążą rasistowskie i nacjonalistyczne teorie spiskowe o źródłach choroby i sposobach jej leczenia. Osoby pochodzące z Azji bywają ofiarami napaści lub innych wyrazów rasizmu. W internecie zwolennicy supremacji białych grożą świadomym rozsiewaniem choroby i fantazjują o stworzeniu stanu otwartej wojny w społeczeństwie dzięki kryzysowi. Z jednej strony musimy wszyscy zrobić swoje w walce z pandemią, a z drugiej nie możemy przestać uważać na faszyzm i skrajną prawicę. Tak więc dobrze, że te sieci też kontynuują działalność również wtedy, gdy musimy wszyscy radzić sobie z pandemią.

Jak myślicie, na ile oddolne grupy pomocy wzajemnej mają wpływ na miejscowe społeczności?

Bardzo. Pomoc i opiekę znajduje tam wielu ludzi, którzy nie otrzymują ich z innych źródeł. W ten sposób dzieją się rzeczy, z organizacją których nie radzi sobie państwo, takie jak rozdawnictwo żywności, czy szycie i dystrybucja masek, oraz zbiórki na inne środki. Z tego typu samoorganizacją wiąże się zawsze frustracja, że nigdy nie ma do tego specjalnej infrastruktury czy takiego zasięgu, żeby zaowocować prawdziwą strukturą dwuwładzy (2). A jednak mówimy o kryzysie o wielu różnorodnych skutkach, czyniącym spore szkody. W śledzeniu epidemii i testowaniu, sieci pomocy wzajemnej nie dadzą rady zastąpić aparatu państwowego. Jednak nawet zapewnienie drobnej pomocy cierpiącym z powodu ekonomicznych i zdrowotnych skutków kryzysu może już decydować o tym, czy ktoś umrze, czy przeżyje. W tym sensie grupy pomocy wzajemnej pełnią rolę ratowników na miejscu katastrofy, choć w innym porządku. Mogą pomóc w załataniu dziur w strukturze i uratować osoby, które inaczej byłyby zignorowane, albo by z niej wypadły. Grupy te dokonują małych a jednak istotnych ruchów, i mogą być tym palcem wetkniętym w cieknącą tamę - powstrzymać potężniejszą katastrofę w skali pojedynczych miejscowości czy dzielnic.

W jaki sposób grupy pomocy wzajemnej służą grupom zmarginalizowanym: osobom queer, niebiałym, kobietom, osobom bez stałego miejsca zamieszkania, itp?

Widzieliśmy, że grupy pomocy wzajemnej, które już zorientowane są na te zmarginalizowane grupy, dodały do swojego repertuaru przygotowanie na pandemię. Ponadto tu w Portland startują teraz nowe przedsięwzięcia, właśnie z myślą o tych grupach ludzi. Na przykład, jak już wspomnieliśmy, ci, którzy mają jakieś doświadczenie z obsługiwaniem bezdomnych, uruchomili lokalny obóz właśnie dla młodzieży z mniejszości etnicznych i queer. W rekordowo krótkim czasie udało im się go postawić i uzyskać niezbędne zezwolenia od miasta, ponieważ już mieli wiedzę i doświadczenie związane z taką ludnością i takim rodzajem wzajemnej pomocy i usług, a także dlatego, że wiedzieli, jakie będą potrzeby i od razu wzięli się za ich zaspokajanie, aby wyhamować kryzys.

W Stanach Zjednoczonych popularna jest chyba idea strajku czynszowego i ostatnio czytaliśmy sporo o tym, że wielu ludzi odmawia płacenia czynszu. Na ile jest to rozpowszechnione? Czy stoi za tym jakakolwiek organizacja, czy jest to bardziej spontaniczne?

Ameryka to duży kraj, z tak wieloma różnymi regionami, że w każdym ruchu trudno jest dostrzec jego rozmiar, dopóki nie wyjdzie już na ulice. Tak było z Occupy. Zdawało się, że może to będzie jakiś mały protest przeciw kapitalizmowi w jednym mieście, aż nagle wybuchł w setkach miast naraz. W przypadku strajku czynszowego, jesteśmy teraz w tej pierwszej fazie tego ruchu, z tym, że jest on szerzej rozpowszechniony. Na pewno są ludzie, którzy nie zapłacili na razie czynszu za jeden miesiąc, nie zamierzają zapłacić za drugi, a może i za kolejny. Takich ludzi mamy w całym kraju i nikt nie wie, ilu ich jest. Jedni organizują się przez internet licząc na szeroki, ogólnokrajowy zasięg, inni w swoim mieście czy dzielnicy, albo tylko w ramach jednego

budynku. Zaczynają się też większe akcje. Nowy Jork ma chyba kilka tysięcy zorganizowanych lokatorów, którzy strajkują z okazji 1 maja. Odbyła się też duża akcja solidarnościowa w Teksasie.

Niektórzy nie płacą zwyczajnie dlatego, że nie mają na to pieniędzy, inni robią to z potrzeby odrzucenia przemysłu czynszowego na gruncie politycznym i z poczucia dynamiki klasowej. Niektórzy czynią to z obu powodów. Z tego, co usłyszeliśmy, przypadki strajków czynszowych o największej wytrwałości to te, które zorganizowano zupełnie oddolnie. Sąsiedzi rozmawiają z sąsiadami, organizują cały budynek po to, by stworzyć solidarność i siłę, bez których by się nie udało. W wielu stanach weszły teraz dekrety wstrzymujące eksmisje albo odraczające termin spłaty czynszów. To była wielka pomoc dla strajku, ale tym samym nie wiemy, jak długo on wytrwa. Gdy te dekrety przestaną być w mocy, osoby nie płacące czynszu a nie będące częścią miejscowej sieci solidarnościowej, mogą być zmuszone płacić dalej, spłacić zaległy czynsz albo, jeśli tego nie zrobią, liczyć się z eksmisją. W USA, nawet wśród klasy robotniczej, sytuację finansową danej osoby często postrzega się jako jej prywatną sprawę i nieczęsto omawia się z sąsiadami swoje kłopoty finansowe. Wiele takich osób może ucierpieć, albo być zmuszonymi do zakończenia swoich strajków, a ich sąsiedzi czy otoczenie może nawet nie dowiedzieć się, co się dzieje.

Zobaczymy jeszcze, czy strajk czynszowy wzmocni swój zakres, widoczność i samoorganizację na tyle, żeby sąsiedzi uzyskali solidarność, jakiej potrzebują do powstrzymania prób złamania strajku ze strony właścicieli i państwa. Niemniej pozostaje faktem, że według wszelkich danych gospodarczych dzieje się *de facto* strajk czynszowy. Wystarczy popatrzeć na liczby: 30 milionów osób nowo zarejestrowanych jako bezrobotni, a liczba wniosków do programów pomocy społecznej takich jak ubezpieczenie osób bezrobotnych czy kartki na żywność przerosła możliwości tych instytucji, także wiele osób nie dostaje pomocy od państwa i zwyczajnie nie mogą opłacić czynszu.

Skoro brakuje zabezpieczeń socjalnych, jak dają sobie radę ludzie w sytuacji zwolnienia z pracy albo konieczności samoizolacji?

No, jak nie ma zabezpieczeń socjalnych, to są jeszcze sieci pomocy wzajemnej, organizacje charytatywne NGO i religijne, ale poza tym nic. Na lewicy mówi się bardzo głośno o pomocy wzajemnej, ludzie zdają sobie sprawę z jej implikacji politycznych. Niemniej większość ludzi w Stanach, szczególnie na wsiach, nie zna tego pojęcia. Mimo to ludzie tam czują pod skórą ducha pomocy wzajemnej i całym sercem, bezwarunkowo wprowadzają ją w życie. Widzieliśmy to wcześniej podczas huraganów i innych wielkich katastrof pogodowych. Ludzie wychodzili sobie naprzeciw z pomocą i organizowali się sami bez potrzeby narzucania im modelu czy wzorca przez jakąkolwiek organizację poziomu ogólnokrajowego. To samo robią obecnie, w społecznościach lokalnych w całym kraju.

A jednak ludziom nadal jest ciężko! Chociaż media klepią dalej o tym, jak „świetnie" radziła sobie gospodarka przed marcem, wielu ludzi żyło w niepewnych warunkach i ci z domem, i ci bez. Albo ledwo starczało im do pierwszego, albo wcale nie. Wielu takich, którzy żyli na granicy przetrwania, teraz wypadło za margines. Kto miał jakiekolwiek oszczędności, teraz patrzy, jak znikają. W ramach programu ratowania gospodarki przegłosowanego w Kongresie każdy Amerykanin i każda Amerykanka ma otrzymać czek z zapomogą wysokości 1200 dolarów - niektórzy szczęściarze naprawdę go dostali, tyle że u nas w mieście wystarcza to tylko na miesiąc średniego czynszu. Wielu ludzi w Portland pracowało w przemysłach spożywczym, gastronomicznym i usługowym, czyli w trudnych, nisko płatnych branżach, które w tym kryzysie niemal przestały istnieć, a do podźwignięcia się będą potrzebowały całych lat. System ubezpieczeń społecznych w Stanach Zjednoczonych stanowi domenę władz poszczególnych stanów i w Oregonie, jak i w wielu innych, system ten został zupełnie przeciążony. Nie oszukujmy się: sieci pomocy wzajemnej stanowią fantastyczną, spontaniczną samoorganizację społeczności lokalnych, czyniącą wiele dobrego, ale to zdecydowanie za mało. Pomagają one ludziom złapać pewne poczucie stabilności, ale są zbyt słabe, by ich w niej utrzymać. Podobnie jak w przypadku strajku czynszowego, w niektórych miejscach mamy do czynienia z silną samoorganizacją, jednak miejsca te nie są jeszcze ze sobą tak mocno powiązane, by zastąpić instytucje państwa.

To zaś trzyma nas w okropnej pozycji. W miarę jak postępuje czterdziestoletnia już, długoterminowa erozja sieci zabezpieczeń socjalnych w tym kraju, i jak obecny rząd federalny nadal próbuje odebrać ludziom kartki na żywność i ubezpieczenie bezrobotnych, i to w trakcie kryzysu, możemy jeszcze łapać się pomocy wzajemnej i szukać wsparcia u przyjaciół i rodziny. Można powiedzieć, że to taki kij, który trzyma walący się dach. To jednak wciąż ciągła niepewność bytu.

Kiedy partia Demokratów wybierała kandydata na prezydenta, a prawybory te dogasały właśnie wtedy gdy nasilała się pandemia wydawało się, że może urosnąć w siłę ruch, który byłby za odbudową silnej sieci zabezpieczeń społecznych, za dofinansowaną służbą zdrowia, za związkami i innymi instytucjami mogącymi zagwarantować dobrze opłacone i długotrwałe świadczenie usług społecznych. Jednak fala ta już osiągnęła swój szczyt i teraz opada. Najlepsze, co mają teraz do zaoferowania instytucje polityczne, to powrót do umiarkowanej polityki z 2016 roku w postaci ewentualnej prezydentury Joe Bidena.

Wobec takiego stanu rzeczy trudno nie być pesymistą. Nie rysuje się żadna do obecnej rzeczywistości realna alternatywa, za którą moglibyśmy stanąć. Bierzemy udział w podstawowej pomocy wzajemnej w naszym otoczeniu, bo to konieczne, ale jednocześnie jest to wyczerpujące, gdy wiemy o tylu miejscach, w których ta pomoc nie wystarcza. Obrona naszego miasta przed napadami ze strony przemocowych ugrupowań skrajnej prawicy wydaje się walką bez końca. Wobec kryzysu, idea próby zorganizowania się w ruch, który kiedyś zmieni taki stan rzeczy, wydaje się przytłaczającym wyzwaniem.

Jak radzi sobie amerykańska służba zdrowia, i co z ludźmi, którzy nie są ubezpieczeni, a potrzebują hospitalizacji w wyniku Covid 19?

Tak szczerze, to służba zdrowia sobie nie radzi. Ludzie umierają. Coraz więcej badań wskazuje, że członkowie mniejszości etnicznych (3) umierają częściej niż średnia w naszej populacji. To dlatego, że mieszkają oni w rejonach o wysokim stopniu zanieczyszczenia, często cierpią na choroby współistniejące, które pogarszają ich doświadczenie z *covidem*, do szpitala czy do lekarza mają dalej, a dostępne dla nich usługi medyczne są jeszcze bardziej zawalone niż te w rejonach, gdzie większość mieszkańców to biali i bogaci. Do tego ludzie z mniejszościowym pochodzeniem często nie zgłaszają się od razu na leczenie, bo nie mają ubezpieczenia zdrowotnego, albo ich status prawny może sprawić, że cały proces będzie trudniejszy lub sprowadzi na nich niebezpieczeństwo. Jest też, co oczywiste, element klasowy. W USA większość osób, które mają ubezpieczenie zdrowotne, otrzymuje je jako świadczenie z zakładu pracy, więc jeśli ktoś znajduje się wśród milionów niedawno pozbawionych zatrudnienia, to nie tylko traci pracę, ale i ubezpieczenie. Natomiast ci, którzy nadal mają je, z powodu skomplikowanej mozaiki różnych komercyjnych świadczeniodawców ciężko płacą za leczenie z własnych kieszeni. Cała ta katastrofa świetnie przemawia za czymś bliższym wzorcowi brytyjskiej NHS (4). Jeśli chodzi o nieubezpieczonych, na opłacenie powszechnego leczenia chorym na Covid 19 ma iść część środków pomocowych z Kongresu, ale to jest wierzchołek góry lodowej, gdy spojrzeć na system opieki zdrowotnej w USA i na wszystkie skutki, z jakimi będziemy mieli do czynienia, a nie tylko na jedną diagnozę. Teraz kiedy nie masz ubezpieczenia i jedziesz na izbę przyjęć, właściwie tylko diagnoza covidowa może cię uratować od wieloletnich długów.

Nie wiemy, co jeszcze powiedzieć na ten temat. To straszne: widać wyraźnie to, o czym wszyscy wiedzieliśmy od lat o tej karykaturze opieki zdrowotnej, jaką mamy. To było do przewidzenia, a zwykli ludzie nie mają żadnych narzędzi aby to zatrzymać, oprócz może totalnego bojkotu spłaty tych długów. Z drugiej strony niektórzy lewicowcy, głównie socjaldemokraci i postępowcy, przewidują w tym śmierć neoliberalnego kapitalizmu, wieszcząc, że tak jak to było w czasach Wielkiej Depresji i powojennych, jakiś nowy ład gospodarczy oparty o keynesizm czy socjaldemokrację zmniejszy najskrajniejsze formy nierówności w Stanach Zjednoczonych. Na razie mamy do czynienia nie tylko z kryzysem zdrowotnym, ale też z reakcją prawicy przerażonej właśnie tym, że może dojść do takich zmian społecznych.

Czy widać u was ruchy w kierunku zakończenia *lockdownu* i otwierania na nowo firm? Czy ludzie chcą stawiać temu opór?

W USA tym wszystkim zajmują się władze stanowe, więc to zależy od tego, gdzie się jest. W Oregonie jak na razie nie ogłoszono końca zamknięcia, ani nie zapowiedziano, jak będzie wyglądał. Jak na razie szliśmy za przykładami Kalifornii (na południe od nas) i stanu Waszyngton (na północ), a w obu tych stanach choroba rozprzestrzeniała się intensywniej, niż u nas. Trudno orzec, czy zakończenie *lockdownu* będzie właściwe, skoro jeszcze nie wiemy, jak to ma wyglądać. W innych miejscach w kraju widzieliśmy, że jedni są za, inni przeciw ponownemu otwarciu, w zależności od miejscowej sytuacji. W jednych miejscach sytuacja się poprawiła, w innych pogorszyła.

Politycznie ciekawym zdarzeniem było utworzenie „Paktu Stanów Zachodnich", złożonego z Waszyngtonu, Oregonu, Kalifornii, a obecnie też Newady i Kolorado. Podobne pakty zawarto na Środkowym Zachodzie (5) i na Północnym Wschodzie. Te nowe związki polityczne zawarli gubernatorowie i przywódcy polityczni, w reakcji na brak wsparcia materialnego od federalnego rządu, szczególnie od Trumpa. Początek kryzysu szedł poszczególnym stanom na apelowaniu do Trumpa o pomoc finansową i medyczną, ale Trump, jak na egocentryka przystało, sabotował starania o dostawy środków ochrony osobistej czy brakujących respiratorów ze strony tych stanów, które nie „traktowały go

dobrze", czyli nie zachwalały jego i jego prezydentury. Do składu federalnego zespołu reagowania wszedł zięć Trumpa, Jared Kushner, który zapytany o dostawy środków pomocowych z zapasów federalnych do stanów typu Nowy Jork, odparł: „W federalnych zapasach chodzi o to, żebyśmy my trzymali je na zapas. To nie mają być zapasy stanowe do zużywania ich przez stany". Po awanturze na masową skalę, w końcu jakaś pomoc federalna zaczęła skapywać do poszczególnych stanów, ale nieproporcjonalnie więcej dostawały te, w których przeważa poparcie konserwatystów, i te, gdzie biją się oni o głosy, nierzadko takie stany, które wcale się o tę pomoc nie ubiegały. W miarę więc jak rozgrywała się walka polityczna między gubernatorami a Białym Domem, wielu włodarzy lokalnych i stanowych uznało, że nie mają innego wyjścia, jak samemu zakupić sprzęt medyczny. To doprowadziło do swoistych wojen przetargowych o wyposażenie medyczne i inne niezbędne towary między stanami i miastami na wolnym rynku kupowały od prywatnych firm i od innych krajów. Gdzie jeden stan proponował za maski milion dolarów, zaraz stan sąsiedni dawał milion więcej. Takimi przepychankami Trump upajał się, w myśl zasady „dziel i rządź".

Na razie stany potworzyły jakieś sojusze i wspierają się nawzajem, ale wyraźnie brakuje im wykonawczego przywództwa wokół nurtującej kwestii: jak i kiedy dokonać „ponownego otwarcia" i reintegracji narodu z powrotem ku normalnej kapitalistycznej codzienności. Pakt Stanów Zachodnich (jak i inne regionalne pakty) negocjuje teraz wspólną politykę restrukturyzacji życia gospodarczego w czasie trwającej pandemii. Obecnie wydaje się, że powszechnym wzorcem będzie model wielostopniowy, w którym najpierw zapewnią bezpieczne świadczenia takie, jak leczenie inne niż niezbędne.

Możecie nam powiedzieć o zwolennikach Trumpa, którzy oprotestowali *lockdown*? Czemu tak naprawdę się sprzeciwiają? Nam to wygląda na tłumy wyłącznie białych konserwatystów-prawicowców. Słyszeliśmy też doniesienia o tym, że na te protesty wynajmowani są statyści. Czy jest w tym coś z prawdy?

Mimo, iż wirus nie wyraża żadnej ideologii politycznej, to odpowiedź na niego, w tym kwestia wiary w naukę czy choćby zaufanie do lekarza rodzinnego, została zupełnie upolityczniona. To odbicie trwającego kryzysu politycznego w Ameryce, który przyniósł nam trumpizm.

Od czego tu zacząć... Obecny podział w mainstreamowej polityce w USA można zarysować w uproszczeniu między zwolennikami a przeciwnikami Trumpa - przeciwnikami z wielu różnych powodów, od oportunistów z Partii Demokratycznej udających „ruch oporu", po ludzi osobiście dotykanych konsekwencjami jego rasistowskiej, nacjonalistycznej i kapitalistycznej polityki. Zwolennicy Trumpa wykazują wobec niego sekciarskie wręcz oddanie, a niedawno *Salon* opublikował artykuł psychiatry z Uniwersytetu Yale porównujący zwolenników Trumpa do ofiar gwałtu albo do dzieci-żołnierzy. Ich wierność Trumpowi nie gaśnie, a liberałowie przez ostatnie pięć lat zmian w polityce już kilkanaście razy rozdzierali szaty z krzykiem: „TO już na pewno jest koniec Trumpa" - od niesławnych nagrań z „Łapiesz je za pipę", po: „Próbujcie zastrzyków ze środków dezynfekcyjnych" na konferencjach prasowych. Jeśli czegoś możemy być dziś pewni, to tego, że zwolennicy Trumpa pójdą za nim aż po grób.

Cofnijmy się jednak i spójrzmy na tutejszy krajobraz polityczny. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy prawica przeszła już przez trzy fazy, obracając swoimi poglądami na temat Covid 19. Najpierw zanegowanie, później uznanie, wreszcie powrót do umniejszania powagi zagrożenia. Gdyby jakiś antropolog chciał przestudiować zgodne poglądy polityczne bazy Trumpa, wystarczyłoby mu spojrzeć na ulubiony organ propagandowy Trumpa: *Fox News*. We wczesnych dniach kręcenia materiałów o koronawirusie, *Fox* przyjął podejście: „poddać zwątpieniu i zanegować". Kilkoro prominentnych gadających głów bez skrępowania nazwało wirus „ściemą demokratów", a postępujący kryzys zdrowotny przedstawiło jako spisek przeciw Trumpowi. Szczególnie jeden ich publicysta, Sean Hannity, bliski przyjaciel Trumpa, znalazł się wśród tych najmocniej zaprzeczających istnieniu Covid 19. Z jedynym wyjątkiem Tuckera Carlsona, *Fox News* robiła wszystko, co mogła, by ośmieszyć powagę wirusa, aż do połowy marca, czyli nawet wtedy, gdy całe Włochy walczyły z tym kryzysem, a ulice Seattle odludniono. W ubiegłym tygodniu Uniwersytet Chicago ujawnił dowody na korelację między oglądalnością programu Seana Hannity a wzrostem zakażeń. Bez wątpienia ludzie wciągający propagandę *Fox News* są mniej skłonni do przestrzegania zasad ochrony zdrowia i prędzej czy później złapią wirusa i będą zarażać.

Mniej więcej wtedy, gdy miasta i stany zaczęły wprowadzać zalecenia o pozostawaniu w domach, w *Fox News* nastąpiła zmiana: stwierdzili, że to jednak tak zaraz nie zniknie. Nie mogli zaprzeczyć faktom: dziesiątki tysięcy zakażeń dotykało nawet amerykańską wieś (czyli wyborców Trumpa), więc zaczęli odwracać narrację, winiąc teraz swoich przeciwników politycznych, nawet Obamę, o brak przygotowania na kryzys. Oczywiście to też dzieje się jednocześnie ze zwrotem w podejściu Trumpa do zarządzania kryzysem. W tamtym krótkim okresie zarówno Trump jak i *Fox News* jakby poważniej podeszli do wirusa, a my osobiście byliśmy świadkami tej zmiany w uzgodnieniach prawicy, rozmawiając z naszymi kolegami z pracy o poglądach konserwatywnych: zaczęli od jednoznacznego zaprzeczania, a później już mówili: „dwa tygodnie temu myślałam, że to nic poważnego, ale teraz sama nie wiem", albo „Serio się martwię, bo mam choroby współistniejące". Nie powinno to dziwić. Zwolennicy Trumpa to zaledwie 25% ludności, ale to prawdopodobnie najbardziej ideowo spójna grupa, jeśli chodzi o zgodność poglądów (nawet jeśli to poglądy zupełnie niespójne z tradycyjnego punktu widzenia na ideologię i jeśli co jakiś czas wykonują wolty).

Z zagranicy może to wyglądać tak, że *Fox News* papuguje Trumpa i rozpowszechnia poglądy Białego Domu, ale już kilkoro krytyków mediów oraz dziennikarzy dowiodło, że przez większość czasu to nie Trump karmi *Fox News* swoimi poglądami, ale *vice versa*: to oni ładują swoje w Trumpa. Jak o drugiej w nocy Trump puści bezsensownego tweeta o Szwecji, wystarczy cofnąć się i sprawdzić, co było w *Fox News* o „szwedzkim kryzysie uchodźczym", i widać, skąd on bierze większość swoich poglądów. Więc tak naprawdę Trump nie podejmuje decyzji o własnej linii politycznej, to *Fox News* robi to za niego, bo jest on intelektualnie zbyt leniwy, by wymyślić coś swojego. Około miesiąca temu *Fox News* znów uczyniła zwrot i postanowiła zająć całkiem wolnorynkowe podejście do kryzysu. Puścili program, w którym jego gospodarz, Steve Hilton, powiedział coś w stylu: „lek nie może być gorszy od wirusa" w odpowiedzi na zamknięcie i na osłabienie gospodarki. Po kilku godzinach Trump już powtarzał tę samą frazę na mediach społecznościowych i w wywiadach, namawiając Amerykanów do powrotu ku normalnemu życiu gospodarczemu. Stało się to w tym samym momencie, gdy politycy Partii Republikanów nawoływali do natychmiastowego powrotu do otwarcia gospodarki, w tym wicegubernator Teksasu, który na antenie *Fox News* powiedział: „Istnieją ważniejsze rzeczy niż życie", odnosząc się do zarzutów stawiania gospodarki ponad ludzkie życie. I pstryk, wyborcy Trumpa poszli za tym i zaczęli papugować ten sam głos. Co do koleżanki, którą cytowałem wcześniej, tej, która od negacji przeszła do strachu, teraz znowu zmieniła narrację i orzekła: „nie możemy już tkwić w zamknięciu. Ameryka musi się otworzyć". Cały ten polityczny *rollercoaster* dokonał się w ciągu zaledwie sześciu tygodni.

Tymczasem organizacje polityczne prawicy zaczęły organizować kampanię z pieniędzy Wall Street, aby otworzyć na nowo gospodarkę. Celowali w stany takie, jak Minnesota i Michigan, których gubernatorzy z partii Demokratów, nie doczekawszy się decyzji na poziomie federalnym, opanowali kryzys drogą *lockdownów*. Wspomniane protesty opłacają grupy bogatych zwolenników wolnego rynku, te same, które brały udział w pseudowolnościowych protestach Tea Party (6), a pieniądze pochodzą od miliarderów, jak ród Kochów. Ich wiece stanowią mieszankę różnych grup wyborców Trumpa, od siewców teorii spiskowych, z których niektórzy nie wierzą w istnienie wirusa, po właścicieli firm, którzy chcą wysłać swoich pracowników z powrotem do roboty, oraz burżujów z przedmieść, dla których rząd pozwala sobie na zbyt wiele, bo oni nie mogą pójść do fryzjera. Te protesty, jak większość populistycznej retoryki Trumpa, wykorzystuje strach i zgrywanie roli ofiary przez białą klasę średnią czującą, że traci kontrolę nad swoim krajem. Jest ich niewiarygodnie mało, a większość społeczeństwa ogólnie rzecz biorąc ich odrzuca. Trump podkręcał te protesty, puszczając tweety typu „Wyzwólcie Michigan", pewnie po to, by zdobyć poparcie u swojej bazy wyborców wzniecając protest przeciw demokratycznym włodarzom w konkretnych stanach. Z drugiej strony uważa, że we własnej administracji popiera zalecenia nie wychodzenia z domów. Widać było tę jawną hipokryzję w zeszłym tygodniu, gdy republikański gubernator Georgii odpowiedział na wezwanie do ponownego otwarcia firm w swoim stanie, a potem Trump zapytany przez dziennikarzy, stwierdził, że nie pochwala decyzji gubernatora. To zupełnie ten sam wzorzec, który od lat widać u Trumpa - tak samo wyglądała jego odpowiedź na wiec neonazistów „Unite the Right" (7), na którym przy kamerach potępił białą supremację, a nazajutrz dokonał zwrotu i powiedział, że byli tam „bardzo w porządku ludzie". Zupełnie nie potrafi objawić swojego przywództwa, to byłoby niebezpieczne w zwyczajnym czasie, ale teraz, w środku kryzysu zdrowotnego, jest szczególnie trapiące.

Protesty trwają dalej w kilku stanach, bierze w nich udział po kilkaset osób, i są niewiarygodnie podobne do typowego wiecu z kampanii Trumpa. W miarę jak Trump podgrzewa swoją bazę wyborców krytykując włodarzy-demokratów w konkretnych stanach (także wtedy, gdy stany rządzone przez republikanów robią dokładnie to samo), kwarantanna staje się kolejną piłeczką do kopania przez Trumpa, by podziałami wygenerować uwagę mediów. Jednak choćbyśmy chcieli po prostu olać ten medialny cyrk, na tych wiecach pojawiają się najpodlejsi zwolennicy Trumpa, w tym neonaziści, faszyści i nacjonaliści tacy, jak

Dumni Chłopcy właśnie. W Michigan protestujący urządzili sobie długą kawalkadę pojazdów i z bóg wie jakiego powodu postanowili zablokować wjazd do szpitala, więc nie mogły tam wjechać karetki. Swoją rolę w tym odegrali Dumni Chłopcy i inne ugrupowania skrajnej prawicy. Nie da się takich czynów wyjaśnić przez pryzmat polityki - po prostu mówią za siebie. Kilkoro przyjaciół z zagranicy pytało nas właśnie o te konfrontacje przed szpitalami, i nie możemy racjonalnie wyjaśnić tych podłych czynów, inaczej niż tak, że trumpizm stworzył, a może wzmocnił istniejącą już kulturę narcyzmu, w której nie ma miejsca na podstawową ludzką godność czy szacunek dla życia innych, kulturę, którą napędza raczej populistyczna przemoc aniżeli jakiś konkretny cel polityczny. Wyborcy Trumpa całkowicie poparli ponowne otwarcie gospodarki, choćby kosztowałoby to życie 3% ludności czy 10 milionów ludzi, tylko dlatego, że Trump im tak podpowiedział. I nie przesadzamy, ludzie naprawdę mówią takie rzeczy.

Widzieliśmy, jak niektórzy politycy Partii Republikanów głoszą poparcie tych protestów, oczywiście cieszy się z nich też Trump. Nie wydaje się, żeby cokolwiek chciała w ich sprawie robić policja. Na ile cieszą się one realnym poparciem?

Policja i instytucje państwa jak zwykle nie ruszają tych prawicowych protestów, pomimo tego, iż łamią prawo gromadząc ludzi w dużych grupach. Wystarczy porównać to do licznych przykładów przemocy policyjnej wobec demonstracji lewicowych, o wiele mniej groźnych dla bezpieczeństwa publicznego. Poparcie dla tych protestów jak dotąd jest nikłe, ale wystarczy, by stały się nieprzyjemne i niebezpieczne. Zalecenia pozostawania w domach popiera od 70 do 85% Amerykanów. Ale tak samo jak z poparciem wyborczej bazy Trumpa: nie jest to większość, ale są głośni i niebezpieczni. Nacisk polityczny ze strony grupki protestujących i wspomagających ich miliarderów wydaje się mieć nieproporcjonalnie duży wpływ na dyskurs w mediach. Kiedy miliony ludzi utkwiły w domach, ekscytującą wiadomością staje się każda nowa rzecz, na którą media głównego nurtu skierują swoje kamery. Toteż w zwykłych okolicznościach te protesty nie przykułyby może aż takiej uwagi, ale teraz dzienniki informacyjne dają im aż nadto czasu antenowego. To strasznie nieodpowiedzialne wiemy przecież, że te zgromadzenia przyciągają faszystów i zwolenników rasistowskich teorii spiskowych, i jeśli to oni mają przewodniczyć dyskusji, to czekają nas duże kłopoty.

Jak już mówiliśmy, politycy prawicowi, jak gubernator Georgii, zaraz przyłączyli się do tych protestów, pewnie z powodu nacisków na niego i resztę polityków od tak zwanego "grona przedsiębiorców". Mowa o ludziach, którzy przekupują polityków poprzez nasz system legalnych łapówek o nazwie „datków na kampanię", a którzy teraz mają o miliardy mniejsze zyski w wyniku kwarantanny. W ciągu kilku tygodni zobaczymy, jak powiedzie się eksperyment Georgii (8), ale zupełnie inaczej dzieje się w innych częściach USA, choćby tu w Oregonie mamy bardzo niską liczbę zakażeń w porównaniu z miastami takimi, jak Nowy Orlean czy Nowy Jork.

Ostatni, olbrzymi czynnik, na którego nie zwracają wystarczającej uwagi amerykańskie media: jak stany zrezygnują z zaleceń pozostania w domach, klasa robotnicza będzie musiała wrócić do pracy w bardzo niebezpiecznych warunkach, a przy tym utraci ostatnie świadczenia publiczne, jakie jeszcze dostaje. W ciągu ostatnich tygodni rząd wydał już biliony dolarów na sklecenie jako-takiego systemu zabezpieczeń, by ludzie nie pomarli z głodu, jak dodatkowy zasiłek dla bezrobotnych. Jak stany się pootwierają na nowo, miliony ludzi zmusi się do powrotu do pracy i nie będą już uprawnieni do pomocy państwa. To jest prawdziwy powód, dla którego republikanie chcą ponownego otwarcia gospodarki: chcą być pewni, że programy społeczne będą jak najbardziej krótkotrwałe i na minimalnym poziomie, a potem wracajmy do roboty za grosze, gdy tymczasem Amazon notuje rekordowe zyski, a Trump może się chwalić jedynym swoim prezydenckim „osiągnięciem" - zwyżkami na giełdzie.

Czy macie jakieś przewidywania co do tego, jak potoczy się sytuacja? Czy szeroko rozumiana lewica antyautorytarna jest jakkolwiek przygotowana na to, co nadejdzie?

Przyszłości nie przewidzimy, ale chyba mało ludzi jest na nią przygotowane, może nawet nikt. Wobec tego, że państwo pokazało swoją zupełną niemoc radzenia sobie z takim kryzysem, być może oddolna mobilizacja jest naszą jedyną szansą. Jak już wspomnieliśmy, niektórzy widzą w tym światełko nadziei, w tym sensie, że oto cały amerykański eksperyment, jakim jest wolnorynkowy kapitalizm, osiągnął swój punkt przełomowy, i że może skończy się to jakimiś w miarę w porządku reformami socjaldemokratycznymi, które uczynią życie robotników i robotnic nieco mniej nędznym, a my i tak musimy pchnąć to dalej. Tyle że, jak dobrze wiemy, śmiertelny sekret każdej tendencji akceleracjonistycznej (9) polega na tym, że przyspieszone zawalenie się systemu wiąże się ze śmiercią i cierpieniem niezliczonych mas klasy pracującej.

Pozytywnym aspektem całego tego kryzysu jest odrodzenie się tej spontanicznej solidarności, jaką widzieliśmy pomiędzy pracownikami i pracownicami z różnych sektorów. Tysiące, a może nawet miliony robotników i robotnic w całej Ameryce w ciągu ostatnich dwóch miesięcy wzięło udział w takiej czy innej formie nieuzgodnionych z pracodawcą działań takich, jak walkouty, strajki, żądania dodatku za pracę w niebezpiecznych warunkach, oraz w wezwaniach do strajku czynszowego. Z cienia wychodzi konflikt klasowy, a ten kryzys zaszczepia w amerykańskim ludzie roboczym świadomość, która pozostanie w nim na przyszłe lata. Ponadto, jak już wspomnieliśmy, wielu ludzi przypomina sobie o własnym naturalnym potencjale pomocy wzajemnej, nawet jeśli na razie nie mają na tyle obeznania politycznego, by tak ją nazwać. To chyba naszym zadaniem, jako socjalistów i anarchistów, będzie przyczynić się do stworzenia takiego zrozumienia, i zbudować całą nową rzeczywistość gospodarczą i polityczną, opartą na solidarności, równości i wolności.

Wywiad ukazał się 4 maja 2020 r. na stronie https://brightonantifascists.com
Tłumaczenie: ***Qrde***

Przypisy tłumacza:

(1) Proud Boys i Patriot Front - organizacje neofaszystowskie założone w USA odpowiednio w 2016 i 2017 roku.

(2) Dwuwładzy w znaczeniu leninowskim (*dual power* / двоевластие) stworzenie alternatywnej struktury organizującej społeczeństwo równolegle do oficjalnego państwa i konkurującej z nim.

(3) Słowem *minorities* określa się w USA członków społeczności nie-białych, w tym czarnoskórych i hiszpańskojęzycznych.

(4) National Health Service - państwowy świadczeniodawca opieki zdrowotnej w Wielkiej Brytanii.

(5) Regionalny Pakt Gubernatorów Środkowego Zachodu, zawarty 16 kwietnia 2020 r., obejmuje stany: Illinois, Indiana, Kentucky, Michigan, Minnesota, Ohio i Wisconsin.

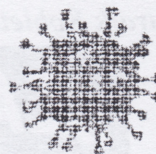
(6) Tea Party swoją nazwą nawiązali do akcji „bostońskiej herbatki" z 1773 roku. Nie byli oficjalną partią, a raczej ruchem „wolnorynkowych" republikanów z lat 2000-cznych, nawołujących do obniżenia podatków i zmniejszenia wydatków publicznych m.in. na służbę zdrowia.

(7) W dzień „Zjednoczenia prawicy" 11 sierpnia 2017 roku w Charlottesville 20-letni uczestnik wiecu świadomie wjechał rozpędzonym samochodem w grupę kontrmanifestantów, zabijając 32-letnią Heather Heyer i raniąc 28 innych osób. Miała również miejsce potyczka z inną grupą kontrdemonstrantów, gdzie 30 osób odniosło obrażenia. Bez zgody władz miasta organizatorzy próbowali powtórzyć swój wiec rok później, ale przyszło na niego tylko ok. 25 osób przy tysiącach kontrdemonstrantów.

(8) Dane z 15 października 2020 r. wg covidusa.net: Georgia - 30 chorych na tysiąc mieszkańców, ok. 200 zgonów tygodniowo, śmiertelność wśród wykrytych zakażeń 2,2%; Oregon - 9 chorych na tys. mieszkańców, ok. 30 zgonów tygodniowo, śmiertelność wśród wykrytych zakażeń 1,6%.

(9) Akceleracjonizm - koncepcja, iż autodestruktywne procesy np. w kapitalizmie, należy przyspieszyć, a nie hamować, a wtedy system zawali się sam.

DWA OBLICZA FASZYZMU



NOWA NORMA COVID 19 I REAKCJA TRUMPA POWAŻNIE ZAGRAŻAJĄ WOLNOŚCI

Na całym Dolnym Manhattanie od czasu czerwcowych plądrowań witryny sklepów pozostają zabite płytami. Pilśniówkę pokrywają murale i graffiti o tematyce *Black Lives Matter*. W czerwcu gniewne protesty były na porządku dziennym, podobnie jak w innych miastach kraju.

Od zamordowania George'a Floyda, wydaje się, że nadeszła chwila szansy na sytuację prawdziwie rewolucyjną. Ze zdumiewającą szybkością przedostają się do mainstreamowego dyskursu idee anarchistyczne, jak postulat rozwiązania policji.

Istnieje jednak również potencjał skrajnie reakcyjnego *backlashu* - zejścia na drogę unowocześnionego, amerykańskiego wariantu faszyzmu. Wisi nad nami ciągła groźba natychmiastowego wprowadzenia stanu wyjątkowego w USA, z unieważnieniem podstawowych praw, a być może i zawieszeniem bądź odwołaniem wyborów. Krótko mówiąc, wprowadzenia dyktatury, na którą Trump najwyraźniej ma chrapkę już od 2016 roku.

Jeszcze inne, bardziej niepozorne zagrożenie, sprowadziła na nas pandemia Covid 19. Post-pandemicznemu powrotowi do normy w jakiejkolwiek formie towarzyszyć będzie wprowadzenie totalizującego stanu inwigilacji, i kontrola nad społeczeństwem w stopniu intymności nie mającym dotąd precedensu. Cyfrowa technologia pośrednicząca we wszystkich sferach życia oznacza absolutną inwigilację.

Niełatwo zaproponować opór wobec tej dystopii, ponieważ wirus naprawdę stanowi zagrożenie. Wbrew wierze skrajnie prawicowych zwolenników Trumpa, nie jest on ściemą ani wymysłem liberalnych mediów. Ponadto tę drugą dystopię da się wprowadzić w ramach liberalnej demokracji takiej, jak Ameryka pod prezydenturą Joe Bidena.

Jak to może stać się tutaj

To podwójne zagrożenie nadzwyczaj klarownie przedstawiają dwa dzieła future-fiction z ubiegłego stulecia. Pierwsze, wieszczące trumpowski faszyzm, to *It Can't Happen Here* (*To nie może stać się tutaj*), mocna powieść Sinclaira Lewisa z 1935 roku, o tym, jak wyglądałyby Stany Zjednoczone, gdyby do władzy doszedł ktoś taki jak Hitler czy Mussolini.

Faszysta, który w owej smutnej wizji zostaje wybrany na prezydenta, ma zabawne nazwisko Buzz Windrip. Podobieństwo do Trumpa jest niezwykłe, co do joty zgadzają się nawet pewne wyrażenia, choćby apel do „zapomnianych" (1). Windrip, jak Trump, łączy populizm z rasizmem. Część programu Windripa to powrót do segregacji rasowej na poziomie federalnym: najlepsza praca zarezerwowana dla białych, a czarnoskórzy oficjalnie pozbawieni prawa głosu. Dziś mamy do czynienia z aktami prawnymi i strategiami utrudniającymi reprezentację w wyborach (2). Trump, który władzę zdobył obwiniając nie-białych o upadek białej klasy średniej, coraz bezczelniej gra pod bestialski rasizm. Oto, co powinno budzić zmartwienie: Reichstagiem Windripa (hitlerowskim wytłumaczeniem na przejęcie władzy w sposób dyktatorski) staje się dzień jego zaprzysiężenia. W Waszyngtonie gromadzą się czarnoskórzy, by protestować, ma miejsce przemoc (być może zainicjowana przez prowokatorów), a wreszcie rzeź: wojsko strzela do demonstrantów. W takich okolicznościach Buzzowi udaje się przepchnąć swój pakiet ustawowy wprowadzający dyktaturę wraz z objęciem przez niego urzędu.

Na uspokojenie podaję kilka różnic między tamtą a obecną sytuacją. Nawet w czwartym roku prezydentury Trumpa, jego administracja nie zdołała znaleźć pretekstu, który wystarczyłby im na skonsolidowanie władzy w stanie wyjątkowym. Formalne organy demokracji jeszcze jako tako się trzymają. Pewnie to częściowo z niekompetencji, a częściowo z oporu ze strony „państwa w państwie" - elementów biurokracji federalnej, których nie przejęto jeszcze dla faszystowskiego programu Trumpa. Może i przez to, że generalicja wojskowa, obawiając się buntów, ostrzegła, iż Trumpa nie popiera. Prowadzi nas to do kolejnej różnicy. Windrip swoje paramilitarne służby zbudował jeszcze przed wygraniem wyborów - zupełnie jak Hitler ze swoimi Brunatnymi, czy Mussolini z Czarnymi Koszulami, tyle że tych na patriotyczną nutę ochrzczono Minute Men (3) (swoją drogą też proroczo, tak bowiem nazwie siebie później bojowa organizacja antykomunistyczna z lat sześćdziesiątych XX w.). Prawicowe bojówki dopiero teraz wychodzą na światło dzienne, i znacznie bardziej liczą się niż w 2016 roku. Szczególnie zmobilizowała ich niechęć białej klasy średniej do wprowadzonych obostrzeń w obronie przed Covid 19. Teraz krzepnie z nich zbrojny ruch, może na razie nie posłuszny jakiemuś scentralizowanemu dowództwu, ale Trumpowi owszem.

Gniew Przeciw Maszynie (4) - w 1909 roku

Zwróćmy się jednak w stronę drugiej dystopii, wobec której staniemy nawet, jeśli uda nam się uniknąć faszyzmu Trumpa. Co ciekawe, książkę, która przewidziała taką bardziej futurystyczną dystopię, napisano dużo wcześniej, bo w 1909 roku.

The Machine Stops (*Maszyna Staje*) E.M. Forstera, który najbardziej znany jest jako autor *A Passage to India* (*Drogi do Indii*), dokładnie przewiduje postpandemiczny, cybernetyczny totalitaryzm. Forster przewidział nie tylko internet i wynikający z niego zmierzch mięsnego świata, ale też dystansowanie społeczne czy naukę na odległość.

Akcja noweli dzieje się po tym, jak niewiadoma katastrofa zmusza ludzkość do przeprowadzenia się pod ziemię, do izolowanych cel, z których rzadko wychodzą. Społeczeństwem rządzi Maszyna - olbrzymia sieć, która łączy pojedyncze cele (komórki) na całym świecie. Ludzie komunikują się z sobą za pośrednictwem Maszyny, toteż właściwie nigdy nie widują siebie nawzajem ani nie nawiązują kontaktu fizycznego. Brzmi znajomo?

W przewidywaniu dzisiejszej wszechobecnej wideo-telefonii, Forster pisze: „Dawała tylko ogólne pojęcie ludzi - pojęcie *wystarczające* do wszelkich praktycznych celów... Nasz gatunek już dawno zaakceptował *wystarczające*".

Taka jest rzeczywistość, która nadchodzi. Uczniowie nie zasiądą już w klasach. Zebrania polityczne, wykłady, wydarzenia kulturalne, występy muzyczne - wszystko odbędzie się na odległość. To będzie *wystarczające*, a następne pokolenie zapomni, jak naprawdę wyglądał świat realny.

Gdyby to nagiąć definicji, inne oblicze faszyzmu, lub przynajmniej totalitarnej kontroli nad społeczeństwem. Nie jest to faszyzm według klasycznych wzorców Hitlera czy Mussoliniego, do których zbliża się obecnie Trump. To raczej to, co bywa nazywane „faszyzmem z ludzką twarzą", współistniejącym (przynajmniej na początku) z demokracją liberalną. Jednakże w tym wzorcu mechanizmy kontroli, choć mniej brutalne, mogą okazać się bardziej kompletne.

Wzorce te ponadto bynajmniej się nie wykluczają. Trump dotychczas grywał na nutę sprzeciwu wobec izolacji społecznej. To może zmienić się w jednej chwili. Jeśli nie powiodą się jego próby wzniecenia kryzysu na skalę krajową, jako swój kryzys może wykorzystać samego wirusa, a z pandemii skorzystać jako pretekstu do wprowadzenia porządku faszystowskiego już w wersji *classic*.

Obojętnie, czy unikniemy trumpowego faszyzmu czy nie, stanie przed nami wyzwanie utrzymania przy życiu jakiejś przyszłości dla człowieka w stechnicyzowanej, postpandemicznej dystopii.

Bill Weinberg

Przedruk za: *Fifth Estate* # 407, jesień 2020
Tłumaczenie: ***Qrde***

Przypisy tłumacza:

(1) Słowa z powyborczej przemowy prezydenta Donalda Trumpa: „Zapomniani już nie będą więcej zapomniani";

(2) Do chwytów z dziedziny *voter suppression* stosowanych legalnie w USA należą: ograniczanie prawa do głosowania, dyskwalifikacja głosów wyborców korzystających z wyborów korespondencyjnych, lokalnie dodatkowe wymogi co do legitymowania się wyborców dokumentami rzadziej posiadanymi przez niebiałych. Obserwatorzy wyborów wskazują także na *gerrymandering* (takie dzielenie okręgów wyborczych, by korzystała na tym jedna partia), nierówność w dostępie do lokali wyborczych oraz sam, pośredni, proces elekcyjny, jako mechanizmy realnie wpływające na różnicę między *popular vote* a ostatecznym wynikiem. W 2020 roku ekipa Trumpa chwytała się też innych strategii, jak zamykanie urzędów pocztowych biorących udział w głosowaniu korespondencyjnym, wystawianie fałszywych skrzynek do głosowania na odległość, oraz publiczne dyskredytowanie przedterminowego głosowania jako „oszustwa", co doprowadziło do blokad i utarczek między trumpowcami a głosującymi.

(3) Tak nazywano członków lokalnych grup pospolitego ruszenia podczas Rewolucji Amerykańskiej lat 1775-1783, a także we wcześniejszych walkach kolonistów z rdzenną ludnością. Ochotnicy w tychże milicjach bywali wzywani do walki bez uprzedzenia, i jako pracujący w cywilnych zawodach, po stoczonej bitwie wracali do swoich zajęć.

(4) *Rage Against The Machine* to tytuł piosenki zespołu Inside Out napisanej przez Zacka de la Rocha, i nazwa zespołu współtworzonego przez niego od 1991 roku.

„ZANIM POWIECIE, ŻE TO NIE CZAS NA POSTULATY SOCJALNE"

ABORCJA PRAWEM PRACOWNICZEK

Masowa skala i spontaniczność ostatnich protestów kobiet przeciwko zakazowi aborcji w sytuacji epidemicznych obostrzeń i wbrew ograniczeniom demonstrowania była dla władz zaskoczeniem. Nie powstały one jednak z niczego. Od 2016 r., czyli od Czarnych Protestów, istniała społeczna infrastruktura, którą można było łatwo wprowadzić w ruch. Mamy na myśli sieć kontaktów, kanały informacyjne, symbolikę czarnego koloru oraz fizyczne doświadczenie ulicznego demonstrowania, blokowania czy skandowania. Na ulicę wyszły masy kobiet, które na co dzień nie działają w tradycyjnych kręgach feministycznych, za to codziennie zmagają się z problemami: tymczasowego, krótkoterminowego, niepewnego zatrudnienia, ograniczonego dostępu do usług publicznych, niskich płac i emerytur, wielogodzinnej opieki nad dziećmi i osobami zależnymi oraz darmowej pracy domowej. Wszystkie te problemy mają w Polsce kobiecą twarz, a niezgoda na nie narasta od lat. W 2016 r. nie bez powodu mobilizowano się wokół hasła strajku kobiet. Strajk rozumiany jako odmowa pracy w niemożliwych do zaakceptowania warunkach stał się narzędziem kobiet, które nie chciały rodzić, wychowywać, pracować ani nawet żyć w sytuacji braku możliwości realizacji ich licznych praw społeczno-ekonomicznych, w tym prawa do aborcji, którego dawno nas pozbawiono.

Pandemia koronawirusa zmusiła kobiety do jeszcze większej ilości pracy: więcej pracują w domach z dziećmi, gdy szkoły czy przedszkola są zamykane, a sektory zdominowane przez kobiety (takie jak usługi (1)) zostały bardziej dotknięte kryzysem. Kobiety z nową intensywnością doświadczyły tradycyjnego, podwójnego obciążenia nieopłacaną pracą domową oraz zarobkową (która zarazem jest gorzej płatna i mniej stabilna), na którym opiera się kapitalistyczna gospodarka. Odmowa brania tego ciężaru na siebie od kilku lat objawia się w Polsce poprzez „strajk rodzenia", polegający na tym, że kobiety po prostu nie mają dzieci. Polska ma jeden z najniższych współczynników dzietności na świecie (2). Hasło „rewolucja jest kobietą" symbolizuje według nas niezgodę kobiet na porządek, który nie waloryzuje pracy, dzięki której funkcjonują nasze społeczności (pracy, rodzenia i świadomego rodzicielstwa, troski, edukacji, opieki), a która jest za darmo lub pół darmo wykonywana właśnie przez nie. Skuteczne odwrócenie tego porządku przez kobiety doprowadziłoby do rewolucyjnej zmiany.

W 2020 r., podobnie jak w 2016 r., gdy ulice polskich miast zalały protesty przeciwko zaostrzeniu prawa do aborcji, liberalne media i politycy komentowali ten bunt twierdząc, że to patriarchalna polityka obecnego rządu wyprowadziła kobiety na ulice. Według nich jedyną uzasadnioną odpowiedzią powinna być zmiana rządu, niezależnie od tego, kto przejmie władzę. Również w środowisku feministycznym trwa debata na temat tego, jak szeroki powinien być wachlarz postulatów i kto ma prawo je kształtować. Jako działaczki społeczne, zaangażowane w związek zawodowy Inicjatywa Pracownicza oraz Socjalny Kongres Kobiet, chcemy wziąć udział w tej dyskusji. Przekonujemy, że musimy budować nasz ruch na socjalnych postulatach, a prawo do aborcji postrzegać jako jedno z praw socjalnych, którego nas się pozbawia - obok prawa do godnych warunków pracy, prawa do dachu nad głową, jak też obok prawa do darmowej i bezpiecznej służby zdrowia. Jesteśmy przekonane, iż założenie, że najpierw musimy obalić rząd Kaczyńskiego, a potem się zobaczy, jest wygodne tylko dla elit i decydentów, którzy rządzą dzisiaj, jak też dla tych, którzy w ostatnich latach utracili wpływy. Pomija głos i aktywność kobiet z rodzin pracowniczych, na które od wielu lat, niezależnie od rządu przerzucano społeczne koszty kapitalizmu oraz kolejnych kryzysów.

Socjalne wieloletnie zmagania kobiet

Kobiety od lat stoją na froncie ważnych i licznych walk społecznych. Niestety obecna opozycja, która dziś kreuje się na liderów i liderek prokobiecych działań, gdy była u władzy skutecznie ignorowała głos nieuprzywilejowanych warstw społecznych, regularnie pogarszając warunki życia kobiet.

W trakcie rządów koalicji PO-PSL, między 2008 a 2011 r., dochody realne w Polsce spadły średnio o 10%. Wprowadzono „pakiety antykryzysowe", które uelastyczniły czas pracy na niekorzyść pracowników, wprowadziły dłuższe okresy rozliczeniowe, możliwość redukcji etatu bez zgody pracownika czy opłaty za naukę. Na samorządy zrzucono odpowiedzialność za prowadzenie instytucji publicznych np. żłobków, bez zwiększenia finansowania. W konsekwencji rozpoczął się proces cięć, mających ratować nie tylko budżet krajowy, ale także budżety lokalnych samorządów. Zamykano szkoły i przedszkola, domy kultury, przychodnie i szpitale, planowano prywatyzację żłobków, zamrożono płace w budżetówce (3), a prywatyzując opiekę i edukację w sposób oczywisty przerzucano dodatkowe obowiązki na barki kobiet z klas ludowych, których nie stać było na opłacenie jej na tzw. wolnym rynku.

Cięciom i redukcjom praw pracowniczych towarzyszyła retoryka inspirowana modelem *workfare state* („państwo oparte na pracy" preferowano zamiast „państwa ochrony socjalnej", czyli *welfare state*). W modelu tym najwyżej ceniono elastyczność, przedsiębiorczość i indywidualną odpowiedzialność. Warto dziś przypomnieć w czasie potężnego interwencjonizmu państwa uzasadnianego pandemią koronawirusa, że jeszcze dekadę temu domaganie się wsparcia od instytucji publicznych, rozwoju usług publicznych, w tym mieszkalnictwa komunalnego czy socjalnego, większych swobód związkowych przedstawiano jako oznakę słabości, nieróbstwa, roszczeniowości i niezdarności życiowej. Pracownicy fizyczni w oficjalnym nurcie traktowani byli jak nieudacznicy, którym się nie powiodło, a wsparcie rodzin pracowniczych oraz finansowanie publicznych placówek opiekuńczo-edukacyjnych uznawano za koszt w budżetach samorządów, który należało minimalizować. Jako rozwojowe i priorytetowe inwestycje promowano remonty stadionów piłkarskich, który promowała przed Euro 2012 była ministra Joanna Mucha, wspierana przez Kongres Kobiet. Mistrzostwa doprowadziły do drenażu finansów publicznych i ich transferu do kieszeni polityków i biznesu (4), a miasta organizujące mecze stanęły na skraju bankructwa szykując kolejne cięcia, które uderzyły głównie w kobiety. Jednym z przykładów był Poznań. Miasto Poznań zmagające się z kryzysem zamroziło płace w budżetówce oraz podjęło decyzję o prywatyzacji żłobków i znacznej podwyżce opłat dla rodziców. Posunięcia lokalnych władz spotkały się ze sprzeciwem rodziców oraz pracownic opieki. Na ich list sprzeciwu ówczesny prezydent miasta, Ryszard Grobelny, odpowiedział, że m.in. z powodu Euro 2012 kobiety nie otrzymają podwyżek do 2032 r. W reakcji na to opiekunki założyły związek zawodowy, weszły w spór zbiorowy i zagroziły strajkiem.

Pracownice poznańskich żłobków w kolejnych latach połączyły siły z protestującymi lokatorkami, zmagającymi się z falą eksmisji, a wspólnie tym kobietom udało się: wywalczyć dofinansowanie do sektora opiekuńczego oraz podwyżkę płac opiekunek dziecięcych, wstrzymać outsourcing stołówek w żłobkach, powstrzymać część eksmisji, zapewnić wsparcie instytucjonalne dla zagrożonych lokatorek, nagłośnić proceder czyszczenia kamienic, a także zmusić miasto do częściowej zmiany polityki mieszkaniowej. W tym samym czasie w Warszawie ruch lokatorski, tworzony również głównie przez kobiety, walczył z drastycznym problemem reprywatyzacji kamienic. Największą cenę walki z reprywatyzacją, wspieraną przez liberalne władze Warszawy, zapłaciła działaczka Jolanta Brzeska, spalona w Lesie Kabackim, za to, że nie chciała opuścić swojego własnego mieszkania.

Batalia o wiek emerytalny i fala pracowniczych protestów w sfeminizowanych sektorach

Jednym z najbardziej konfliktowych pomysłów będących u władzy elit politycznych, których prominenci dziś z ław opozycji wyrażają poparcie dla protestów pod znakiem czerwonej błyskawicy było w 2012 r. wydłużenie wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn. Biorąc pod uwagę wzrost godzin pracy, stagnację płacową, zapaść służby zdrowia oraz brak instytucji opiekuńczych dla dzieci i dorosłych był to ogromny cios dla pracownic i pracowników. Wiek emerytalny kobiet wydłużono o 7 lat, co wiele naszych koleżanek ze związku, przeciążonych pracą zarobkową, często fizyczną, jak i tą wykonywaną nieodpłatnie w domu, doprowadzało dosłownie do łez.

Na decyzję o podniesieniu wieku emerytalnego związkowcy, głównie górnicy, odpowiedzieli groźbą strajku generalnego. Nie doszło do niego, jednak pod koniec 2013 r. miała miejsce masowa związkowa demonstracja w Warszawie, w której udział wzięło ponad 100 tys. Osób, podobnie jak 30 października 2020 r. w czasie Strajku Kobiet (5). Domagano się wycofania nowelizacji ustawy o emeryturach i rentach oraz odstąpienie od antypracowniczych programów oszczędnościowych, uelastyczniających czas pracy i wydłużających okres rozliczeniowy. Nowelizację jednak przegłosowano, a poparła ją część liberalnych feministek, związanych z Kongresem Kobiet, w tym Barbara Labuda, aktualna członkini Rady Konsultacyjnej OSK, mająca z nieznanych nam powodów podejmować decyzje o tym, co jest dla protestujących obecnie kobiet najważniejsze. W jej ślady poszła ikona polskiego liberalnego feminizmu, Magdalena Środa, niespełna rok temu, w grudniu 2019 r., w swoich życzeniach świątecznych ostrzegając: „wkrótce fatalnie będzie wyglądać sytuacja kobiet, które skuszone 500 plus nie weszły na rynki pracy, a obniżenie wieku emerytalnego uczyni z nas parweniuszki" (6). Wątpimy, czy mówiła w imieniu kobiet przez wiele lat pracujących przy linii produkcyjnej, w żłobkach, szkołach, w szpitalach czy na kasach.

W kolejnych latach wybuchły protesty w szpitalach. Załogi buntowały się przeciwko łączeniu i zamykaniu placówek służby zdrowia, a pielęgniarki i położne domagały się wzrostu wynagrodzeń. Również pracownicy poczty domagali się lepszych warunków pracy i płacy. Nauczyciele i nauczycielki sprzeciwiali się zmniejszaniu godzin pracy i zamrożeniu płac w oświacie. Rodzice oraz opiekunki i opiekunowie osób niepełnosprawnych okupowali sejm. Domagali się przede wszystkim uznania 24-godzinnej opieki nad niepełnosprawnym członkiem rodziny za pracę świadczeń pielęgnacyjnych, zmiany zasad orzekania niepełnosprawności i dostępu do lekarzy specjalistów bez kolejek. Wagi nabrał także problem umów śmieciowych. Inicjatywa Pracownicza wraz z innymi środowiskami, głównie związanymi z kulturą, sztuką i edukacją, zorganizowała w Warszawie demonstrację przeciwko śmieciowemu zatrudnieniu pod hasłem „My prekariat", w tym przez agencje pracy tymczasowej. Na początku 2015 r. OPZZ ogłosiło pogotowie strajkowe: nauczycielki, pracownicy poczty, pielęgniarki i położne i inne grupy zawodowe protestowały w stolicy i pod urzędami wojewódzkimi.

W takiej atmosferze doszło do zmiany władzy. Jesteśmy przekonane, że PiS nie wygrał wyborów ze względu na swój stosunek do aborcji czy uchodźców, lecz dlatego, że choć do momentu wyborów w 2015 r. reprezentował w zasadzie liberalny program gospodarczy, to został zmuszony do wdrożenia programów socjalnych i faktycznie odpowiedział bezpośrednimi transferami socjalnymi na ignorowane przez lata żądania środowisk pracowniczych, także kobiet: uchylił reformę emerytalną, znacznie podwyższył płacę minimalną i był pierwszym rządem od czasów transformacji, który zdecydował się na redystrybucję pokaźnych kwot do rodzin z dziećmi. W gospodarstwach domowych, które w 2019 r. pobierały świadczenie wychowawcze „Rodzina 500+", jego udział w dochodzie rozporządzalnym choć istotnie spadał w ostatnich latach, to wciąż był wysoki, wynosząc od 12,0%-13,7% w miastach do 13,7% na wsi (7).

Sytuacja pracownic za rządów PiS

Programy wprowadzone przez PiS poprawiły sytuację materialną rodzin pracowniczych, choć w niewystarczającym stopniu. Wzrost płac z ostatnich lat przed okresem pandemii wciąż nie rekompensował narosłych wcześniej nierówności. Nie poprawiła się sytuacja w oświacie ani w służbie zdrowia. Opieka jest w dalszym ciągu marginalizowana i niedofinansowana, podobnie jak cała budżetówka, a kobiety i mężczyźni na emeryturze głodują. Deregulacja rynku pracy zaowocowała wzrostem ilości godzin pracy w Polsce. W przeciągu kilku lat staliśmy się jednym z najbardziej zapracowanych narodów na świecie, z bardzo niskimi wynagrodzeniami. Według raportu OECD, w 2019 r. pracowaliśmy 1806 godzin w roku, zajmując drugie miejsce wśród krajów UE. Dla porównania, Niemcy pracowali 1386 godzin, Francuzi 1500, Hiszpanie 1686, a Włosi 1718. Jednocześnie aktualnie średnia płaca w Polsce jest prawie czterokrotnie niższa niż w Niemczech, trzykrotnie niższa niż we Francji i dwukrotnie niż we Włoszech oraz Hiszpanii. Koszty pracy w 2019 r. były 2,5 razy niższe od średniej EU, ponad 3 razy niższe niż we Francji i Niemczech, 2,5 razy niższe niż we Włoszech. Tarcze antykryzysowe wprowadzone przez PiS w okresie pandemii miały ewidentnie antypracowniczy charakter (8).

Stało się już banałem stwierdzenie, że całkowity zakaz dostępu do aborcji uderza głównie w najmniej uprzywilejowane kobiety i ma charakter klasowy. Zakaz ma realny wymiar materialny, nie tylko obyczajowy: kobiety z klas ludowych mają mniejszy dostęp do podziemnych aborcji, często nie mogą pozwolić sobie na podróż za granicę w celu przeprowadzenia aborcji i mają trudniejszy dostęp do wiedzy o tym, gdzie zdobyć pigułki, aby bezpiecznie dokonać aborcji w domu. Jednocześnie nie otrzymają wystarczającego finansowego wsparcia, jeśli urodzą niepełnosprawne dziecko. Dobrze rozpoznały to młode kobiety z 40-tysięcznego Szczecinka w woj. zachodniopomorskim, które 25 października 2020 r. pod biurem PiS weszły w spór z księdzem, który pojawił się na proteście i zaczął je prowokować, skandując w jego kierunku: „Tu jest Polska, nie Watykan!", „Nie słuchamy kleru!", „Wracaj do kościoła!", „Pokaż macicę!". W pewnym momencie młoda dziewczyna, ze łzami w oczach, wykrzyknęła do księdza: „Jak ktoś mnie zgwałci, to pan to dziecko wychowa? Urodzić się



w tych czasach, być kobietą, to jest hańba. To jest wyrok. Czy pan wychowa dziecko z Downem, jeśli ja nie będę miała na to pieniędzy?" (film z protestu dostępny jest w mediach społecznościowych).

Zwiększenie politycznej i ekonomicznej niezależności kobiet oraz zmniejszenie nierówności społecznych będzie możliwe tylko wtedy, jeśli razem ze zmianą przepisów dotyczących planowania rodziny zmieni się także położenie materialne kobiet z klas ludowych. Jesteśmy przekonane, że krytyka obecnego rządu nie wystarczy i konieczne jest stworzenie zarysu programu, który zmieni dominujący model gospodarczy w Polsce na bardziej prospołeczny, a kolejne władze będą z niego rozliczne.

Socjalny Kongres Kobiet

W 2017 r. Wielkopolski Kongres Kobiet wręczył prezydentowi Poznania, Jackowi Jaśkowiakowi, specjalną odznakę, okrzykując go liderem tworzenia równych szans dla kobiet i mężczyzn. W tym samy czasie w Urzędzie Miasta protestowały setki pracownic i pracowników sfeminizowanego sektora samorządowego, domagając się wywiązania się z obietnic złożonych podczas kampanii wyborczej. Jedną z nich było podniesienie płac w budżetówce. Prezydent wcześniej zawarł ze związkami porozumienie, iż podniesie pensje pracownic o 700 zł brutto w ciągu kilku lat. Pracownice sektora opiekuńczego, będące w sporze z Jaśkowiakiem, nie mieściły się w polu zainteresowania Kongresu Kobiet ani w centrum nurtu feminizmu, które reprezentowały. Kilka lat później, w 2018 r., podczas jubileuszowego ogólnopolskiego Kongresu Kobiet w Łodzi, jak ujawniła Maria Świetlik, członkini OZZ Inicjatywa Pracownicza, kobiety pracujące w ochronie nie mogły przez 16 godzin usiąść, spotkały się z obelgami, nie miały dostępu do toalet, ani nie zapewniono im przerw na jedzenie.

Liberalny feminizm Kongresu Kobiet nie miał nic do zaoferowania protestującym opiekunkom, pracownicom instytucji kultury, ochroniarkom ani lokatorkom z Warszawy i Poznania. W reakcji na to, zainicjowały one Socjalny Kongres Kobiet (SKK), który miał stać się areną do dyskusji „o problemach, z którymi borykamy się w naszych miejscach pracy i w miejscach zamieszkania. [...] na jakie przeszkody organizacyjne natrafiamy w codziennej działalności i o co chcemy walczyć" (9). Kongres miał też pokazać, że działaczki feministyczne to nie tylko celebrytki, polityczki i kobiety biznesu, które widujemy na okładkach gazet. Ruch kobiecy tworzony jest m.in. przez pracownice i lokatorki, walczące każdego dnia o lepsze warunki życia i pracy, nie tylko dla siebie, ale dla milionów osób znajdujących się w podobnym położeniu.

Podczas spotkań SKK działaczki pracownicze i lokatorskie wypracowały katalog najważniejszych postulatów. Żądania wynikały z konkretnych doświadczeń i konfliktów, w których udział brały uczestniczki Kongresu. Jednym z postulatów było skrócenie czasu pracy do 7 godzin dziennie, bez redukcji pensji. Wynikał on ze wzrostu obciążenia pracą bez proporcjonalnego wzrostu płac oraz z własnego doświadczenia, że to kobiety wykonują też większość pracy domowej, przed wyjściem i po powrocie z pracy zarobkowej. Krótszy czas pracy umożliwiłby także zmniejszenie bezrobocia. Kolejnym postulatem było planowanie czasu pracy zgodnie z potrzebami zatrudnionych. Czas i życie pracownic podporządkowane jest potrzebom biznesu: zakłady pracy nie biorą pod uwagę potrzeb związanych z wychowaniem dzieci czy osób starszych. Zgodnie z obowiązującym prawem, pracownik może skorzystać z 2 dni wolnego w roku „na opiekę", co nie odpowiada potrzebom rodziców czy opiekunów osób starszych. Innym ważnym postulatem było podniesienie płac w sfeminizowanych zawodach. Nierówności płacowe między kobietami a mężczyznami zatrudnionymi na tym samym stanowisku dotyczą przede wszystkim garstki prestiżowych zawodów. Masy kobiet pracują w branżach, w których niezależnie od płci zarabia się skrajnie niskie pensje. Na gruncie lokatorskim za najważniejsze uznano stworzenie realnej alternatywy dla prywatnego rynku najmu czynszowego z wygórowanymi cenami oraz walkę z zadłużeniem czynszowym i masowymi eksmisjami, których ofiarami padają często kobiety.

Kiedy śpi Wioletta? Skrócić czas pracy, stabilne umowy dla kobiet

W Socjalnym Kongresie Kobiet brały udział pracownice z magazynu Amazon, które opowiadały się za postulatem skrócenia czasu pracy oraz za koniecznością stabilizacji zatrudnienia, poprzez eliminację umów czasowych oraz agencyjnych. Ich problemy obrazować może rozkład dnia jednej z ich koleżanek, 48-letniej Wioletty.

Wioletta przez cztery tygodnie pracuje na zmianie dziennej, a potem przez kolejne cztery tygodnie na zmianie nocnej. Zmiany rotują w ten sposób przez cały rok. Wioletta w magazynie logistycznym przebywa 10,5 godzin, od niedzieli do środy. Czwartki, piątki i soboty ma wolne. Dojeżdża do magazynu w Sadach pod Poznaniem autobusem pracowniczym z Konina (odległość 107 km). Przykładowy dzień pracy Wioletty, gdy pracuje na zmianę dzienną wygląda następująco: o 2:30 wstaje, o 3:15 wyjeżdża z domu na rowerze na przystanek autobusowy, o 3:30 wsiada do autokaru w Konienie. O 5:45 nad ranem dojeżdża do magazynu, by o 6:00 rozpocząć pracę. O 9:00 ma pierwszą piętnastominutową przerwę. Jej przełożony oczekuje, że może opuścić stanowisko pracy dopiero z gongiem, co oznacza, że kilkominutowa droga na kantynę skróci jej posiłek i czas odpoczynku w pozycji siedzącej. O 11:25 Wioletta je obiad. Ma jeszcze jedną przerwę piętnastominutową, która jej przepadnie, jeśli musi złożyć w dziale kadr wniosek o opiekę lub o zapomogę socjalną, bo nie wolno jej tego zrobić w czasie pracy. Wioletta kończy pracę o 16:30, o 16:45 odjeżdża w autobusie spod magazynu, o 19:00 dociera do Konina. O 19:15 wsiada na rower i dociera do domu. O 19:30 zaczyna przygotowywać kolację, jak też obiad dla męża i dzieci na następny dzień, kanapki do pracy dla siebie, męża i dla dzieci do szkoły. O 22:00 idzie spać, by wstać o 2:30. Od niedzieli do środy Wioletta śpi ok. 4 i pół godziny. W dni wolne pada ze przemęczenia! Nie dość, że śpi za mało, to jej praca jest wycieńczająca dla organizmu. Musi się jednak szybko wyspać i zregenerować, bo jej pracodawca bardzo liczy na to, że Wioletta będzie w pełni formy, bo Amazon ma (jak wskazują napisy w kantynie) „obsesję na punkcie klienta". Jeśli nie wyrobi 100% normy to dostanie notatkę służbową. Wioletta powinna być więc pełna energii i gotowa spełnić oczekiwania firmy w zakresie wydajności. Pomimo tego, że pracodawcy tak bardzo zależy na regeneracji i odpoczynku swoich pracowników, płaci im tylko za czas pracy. Koszty regeneracji (swojej reprodukcji po to, by mogła stawić się kolejnego dnia w pracy) Wioletta musi ponieść sama. Jednak dni „wolne" to dla niej także czas pracy. Musi wtedy zrobić pranie dla całej rodziny, zrobić z mężem zakupy na kolejny tydzień, zająć się starszymi rodzicami i teściami, odrobić z dziećmi lekcje. W czwartek i piątek odbiera dzieci ze szkoły, na zmianę z mężem, zawozi rodziców do lekarza, w końcu udaje się na rehabilitację wysiadającego kręgosłupa. W piątek jest okazja załatwić sprawy w urzędzie i w banku. Opłata za mieszkanie w Koninie to 500 zł i do tego jest jeszcze kredyt mieszkaniowy. Wioletta zarabia 20 zł brutto na godzinę, ok. 2 500 zł na rękę. Płaca w Amazonie nie wystarcza, więc Wioletta chodzi na nadgodziny, co oznacza, że często pracuje 5 dni, czyli 50 godzin w tygodniu.

Wioletta pracuje na AFE, skrót od *Amazon Fulfillment Engine*, czyli na dziale zautomatyzowanego pakowania. Menager oczekuje od niej, że przerobi ok. 600 produktów na godzinę. Na wniosek związków zawodowych, Inspekcja Pracy zbadała, ile energii pracownicy spalają podczas pracy w magazynie. Według pomiarów, na stanowisku Wioletty jedna z kobiet w jej wieku spalała 8709 kilodżuli (kJ), podczas jednej zmiany roboczej. Zgodnie z prawem, tak zwany wydatek energetyczny w czasie zmiany roboczej nie może przekraczać dla kobiet 5000 kJ. Badania zmusiły Amazon do odsunięcia zbadanej kobiety od tego stanowiska, ale nie zostało ono ani zamknięte, ani przeorganizowane. Pracownice, które mają dwutygodniowe umowy agencyjne lub czasowe (a mogą na nich pracować ponad 2 i pół roku) starają się wykonać jeszcze wyższe normy. Nie biorą też opieki na dzieci ani zwolnień lekarskich, a jeżeli zwracają się z jakimś problemem do działaczek związkowych, to tak, aby najlepiej nikt ich nie widział. Inaczej mogą mieć problem z kolejną umową.

Życie Wioletty i tysięcy pracownic zatrudnionych w magazynach logistycznych jest podporządkowane pracy. Wyzwolenie kobiet, które pracują tak ciężko jak Wioletta, musi polegać na wyzwoleniu od tego podporządkowania. Walka z opresją kobiet wymaga zmiany tego, jak zorganizowane są nasze zakłady pracy, nasze społeczeństwa i nasze rodziny. Krokiem w tą stronę byłoby renegocjowanie wymiaru czasu pracy poprzez skrócenie dniówki roboczej albo tygodniowego czasu pracy do co najmniej 35 godzin, zwiększenie ilości płatnego czasu na opiekę, a zarazem podniesienie płac, w tym płacy minimalnej, jak też zapewnienie umów o pracę na czas nieokreślony poprzez radykalne skrócenie możliwości żonglowania umowami czasowymi (obecny limit 33 miesięcy nie jest wystarczający).

„Zanim powiecie, że to nie czas na postulaty socjalne" dofinansujmy sektor publiczny

W Socjalny Kongres Kobiet włączyła się również Agnieszka, nauczycielka ze szkoły publicznej w Poznaniu, której chcemy oddać głos. Nazywa siebie feministką. Na demonstracji przeciwko zakazowi aborcji przemawiała: „Nie walczymy już tylko o legalną aborcję. To jest walka o nasze prawa we wszystkich sferach życia. Na naszych oczach dzieje się rewolucja, której celem jest... normalność. A normalność dla mnie to PEŁNIA praw kobiet. Kobietom pełnię praw daje dopiero niezależność ekonomiczna. W Polsce większość kobiet zarabia poniżej średniej krajowej. Wiele z nas dostaje najwyżej płacę minimalną. Nie możemy pomijać postulatów socjalnych w walce o prawa kobiet, bo to tak jakbyśmy powiedziały: Halo, laski, walczymy o prawa tych dobrze usytuowanych. Przecież one na to zasługują. A reszta kobiet?...Niech się buja".

Agnieszka przed 30-tysięcznym tłumem wspominała historię walki o prawa wyborcze, która według niej udowodniła, że grupa uprzywilejowana nie zrezygnuje ze swoich przywilejów z własnej woli. Podczas rewolucji francuskiej ścięto Olympe de Gouges - kobietę, która żądała w XVIII w. praw wyborczych również dla kobiet. W jej czasach - jak przemawiała Agnieszka - „realizacją postulatu równości i wolności były prawa wyborcze tylko dla mężczyzn. W czasie rewolucji walczyły jednak również zaangażowane w rebelię kobiety. Miały cieszyć się, że wolność się poszerza. Ale ich wolność i równość musiały poczekać, bo rzekomo to nie był dobry czas na takie postulaty". - i dalej: „Podobnie było podczas walki z niewolnictwem w USA w XIX w. Zniesiemy niewolnictwo, bo to barbarzyńskie, ale przecież to nie czas na walkę o prawa dla kobiet! Nasze prawa wyborcze zawdzięczamy sufrażystkom - kobietom, które zaczęły ostro upominać się o prawo do równości i wolności, nie przejmując się powtarzanym ciągle sloganem: Drogie Panie, to nie ten czas, to nie ten czas....".

Agnieszka mówi o swojej pracy i zaangażowaniu następująco: „Jestem nauczycielką, pracuje w tzw. budżetówce. Dodajmy - maksymalnie niedofinansowanej. Od wielu lat słyszę, że nie możemy porządnie zarabiać, bo są ważniejsze wydatki. Pytam jakie?! Co może być ważniejsze od służby zdrowia, edukacji, opieki czy kultury?! To samo słyszą bowiem pielęgniarki, pracownice żłobków, kobiety pracujące w muzeach, domach kultury, osoby pracujące w zawodach związanych z opieką, czyli w sektorze szeroko rozumianej pomocy socjalnej. Mamy pecha, bo pracujemy w tzw. zawodach kobiecych, czyli mniej prestiżowych, traktowanych z lekceważeniem. Wymaga się od nas poświęcenia, empatii, dyspozycyjności, kreatywności, często heroizmu. W zamian dostajemy trochę więcej niż minimalną płacę, czasami tylko minimalną. Bo przecież w naturze kobiet jest poświęcenie, przecież powinniśmy się cieszyć, że możemy czuć się potrzebne. Mimo że mamy XXI w., ta retoryka ciągle jest powszechna w dyskursie publicznym. Żeby spłacić kredyty mieszkaniowe, czy raty, za które kupujemy wyposażenie naszych mieszkań - bierzemy nadgodziny. Niektóre z nas ciągną dwa etaty. Nasze życie wypełnia praca, tylko na nią mamy czas. A pod koniec miesiąca i tak zwykle zadajemy sobie pytanie: cholera, gdzie się podziała ta kasa? Wszystko drożeje, pensje pracownic budżetówki nie nadążają za inflacją. Państwo ciągle oszczędza naszym kosztem. Rząd już zapowiada wstrzymanie tegorocznych premii w sektorze budżetowym. Na utrzymanie wydmuszki, jaką jest szpital na Stadionie Narodowym, są pieniądze! Na podwyżki dla resortów siłowych, takich jak policja i wojsko - też są! A dla kobiet - nie. Niech czekają w kolejce. Pieniądze dają możliwości, kobieta finansowo ustawiona, gdy łamie się jej prawa, ma środki na walkę o odzyskanie tych praw. Albo chociaż na to, żeby wyjechać za granice i tam dokonać aborcji. Na manifestacjach często krzyczymy: Solidarność nasza siłą. Dla mnie solidarność kobiet to także empatia wobec nas - gorzej usytuowanych, tych z nas, które muszą zapieprzać za przysłowiowa miskę ryżu, pracujących przy tym naprawdę ciężko. Zarabiających poniżej średniej krajowej. Dlatego chciałabym, aby walka o prawa kobiet to była także walka o godne życie i polepszenie warunków materialnych i społecznych kobiet. Tym bardziej, że większość z nas należy do tej grupy mniej uprzywilejowanej. Pamiętajcie proszę o tym, zanim powiecie, że to nie czas na postulaty socjalne!".

Kto ma decydować o postulatach kobiet?

24 listopada 2020 r. w Warszawie w trakcie konferencji prasowej podsumowano pierwsze owoce prac Rady Konsultacyjnej Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, która powstała kilka tygodni wcześniej. Rada miała zbierać pojawiające się na ulicach postulaty strajkowe oraz proponować krótko- i długookresowe rozwiązania. Przedstawicielki ogłosiły wyniki zespołów pracujących wokół pięciu tematów: Praw Kobiet, Edukacji, Zdrowia, Pracy, Świeckiego Państwa i Klimatu. Zespół pracujący wokół tematu Praca wyróżnił kilka problemów: (1) śmieciówek i niestabilności pracy, (2) darmowych i półdarmowych staży, (3) braku ochrony dla matek pokrzywdzonych ustawą covidową (4) dyskryminacji, niskich płac dla kobiet, braku równych i godnych płac - szczególnie w sektorze opiekuńczym i socjalnym, oraz (5) braku jawności płac w administracji i usługach publicznych finansowanych przez państwo i samorządy.

Jako działaczki związku zawodowego OZZ Inicjatywa Pracownicza włączyłyśmy się w pracę zespołu, w efekcie czego udało nam się przeforsować niektóre postulaty Socjalnego Kongresu Kobiet. W pierwszej kolejności zależało nam na tym, aby Rada podniosła temat umów śmieciowych. Po pierwsze, miałyśmy na uwadze fikcyjne umowy-zlecenia oraz umowy o dzieło. Inicjatywa Pracownicza zrzesza między innymi pracownice ochrony i portierki czy pracownice gastronomii, które nieustannie borykają się z problemem łamania przepisów, polegającym na braku umów o pracę, mimo jasnego określenia miejsce świadczenia pracy, czasu pracy i podległości służbowej. Śmieciówki ograniczają dostęp do urlopów, chorobowego, macierzyńskiego, zagwarantowanego przez art. 33 Europejskiej Karty Praw Podstawowych oraz innych świadczeń, bez których utrzymanie siebie oraz rodziny jest codzienną walką o przetrwanie. Rada OSK w temacie pracy przyjęła postulat, rekomendując, by osoby pracujące na umowy o dzieło powinny mieć prawo do emerytury, płatnego urlopu i ochrony zdrowia. Umowy zlecenia i o dzieło powinny służyć tylko do regulowania współpracy krótkoterminowej, pozbawionej cech stosunku pracy (czyli do takiej, która odbywa się w dowolnym miejscu, czasie i bez nadzoru przełożonego). Konieczne jest też uspołecznienie kontroli nad pracą przez organizacje reprezentujące interesy pracownicze (zwiększenie uprawnień związków zawodowych) oraz wzmocnienie uprawnień Państwowej Inspekcji Pracy do ścigania nieuczciwych pracodawców i dofinansowanie na ten cel.

Co ważne, dla Socjalnego Kongresu Kobiet, śmieciówkami nie są wyłącznie umowy cywilno-prawne. Największe zakłady pracy w produkcji i logistyce zatrudniają tysiące kobiet w oparciu o umowy o pracę, ale są to umowy na czas określony oraz umowy agencyjne: nawet 2-tygodniowe czy miesięczne. W 2018 r. umowę na czas określony posiadało 23,4% wszystkich pracowników najemnych (3 054 000 osób) (10). Na umowach czasowych zgodnie z Kodeksem Pracy można pracować aż 33 miesiące dla jednego pracodawcy: w tym czasie w obawie przed utratą pracy kobiety często nie korzystają z urlopów na żądanie, zwolnień lekarskich czy opieki na dzieci. Po drugie, jest to też często okres pracy ponad siły, kosztem zdrowia fizycznego i psychicznego, gdyż „przedłużenie umowy" uzależnione jest od wyników pracy, realizacji norm jakościowych i ilościowych, wiąże się też z permanentnym stresem związanym z brakiem pewności, czy za miesiąc będzie mieć się pracę. Wreszcie, na umowach czasowych pracownice obawiają się zrzeszać w związkach zawodowych, reagować na łamanie praw pracowniczych bezpośrednio u przełożonych lub



w inspekcji pracy, gdyż boją się „podpaść". Umowę czasową pracodawca może wypowiedzieć w każdym momencie, bez podawania przyczyny i bez konsultacji ze związkiem zawodowym. Jeśli zatem domagamy się stabilnych warunków pracy dla kobiet, musimy poszerzyć krytykę, i obok nadużywania fikcyjnych umów cywilno-prawnych, podkreślać nadużywanie umów czasowych i agencyjnych.

Po drugie, zależało nam, aby Rada przyjęła postulat Socjalnego Kongresu Kobiet dotyczący wyższych płac we wszystkich zakładach finansowanych z budżetu samorządowego lub państwowego, oraz godnych zarobków w sfeminizowanych sektorach. Kobiety stanowią większość zatrudnionych w najgorzej opłacanych zawodach, głównie tych związanych z pracą opiekuńczą, wychowawczą, edukacją, instytucjami kultury, utrzymaniem czystości lub niższymi szczeblami administracji (jak portierki, sprzątaczki, bibliotekarki, opiekunki dzieci i osób starszych, pielęgniarki) (11). Rozwiązaniem byłoby odbudowanie siatki publicznych instytucji opiekuńczo-wychowawczych: żłobków, przedszkoli, świetlic, stołówek, domów kultury, gwarantując w nich płace na poziomie średniej krajowej. Należałoby uznać sektory opiekuńczy, edukacyjny i opieki społecznej za priorytet w budżetach samorządowych i państwowym, gdyż często podmiotem wyzyskującym kobiety jest państwo. Wśród ogółu pracujących w sektorze publicznym blisko 2/3 to kobiety (61%) (12). Socjalny Kongres Kobiet zamiast mówić o równości płac na poziomie tego samego stanowiska pracy (tzw. luce płacowej), skupia się właśnie na różnicach sektorowych czy segmentowych. Jest to wyzwanie dla całości polityki gospodarczej, a nie zadanie polegające na wyrównaniu szans przez poszczególnych pracodawców. Wyrównanie zarobków salowej i salowego w szpitalu, a zarazem prezesek i prezesów dużych firm, nie rozwiąże problemu nierówności płac między kobietami i mężczyznami. Rozwiązaniem byłoby wprowadzenie układów

zbiorowych w sektorze publicznym (czy szerzej, finansowanym ze środków publicznych), np. w formie ustawy, która jasno określiłaby reguły wynagradzania i systemowego wzrostu płac do poziomu płac w zmaskulinizowanych branżach. Mówienie o dyskryminacji płacowej Polek w kontekście „równych płac" na tych samych stanowiskach (choć zdajemy sobie sprawę, że przez ostatnie 20 lat przeciętna, skorygowana luka płacowa pomiędzy kobietami i mężczyznami utrzymuje się na stałym poziomie i wynosi według niektórych danych nawet 20%) nie rozwiąże systemowych, strukturalnych nierówności.

W trakcie dyskusji w Radzie Konsultacyjnej kontrowersje wzbudził postulat Socjalnego Kongresu Kobiet dotyczący skrócenia czasu pracy. Ostateczny kształt pierwszej rundy postulatów był efektem dyskusji prowadzonych w ramach całego zespołu, w którego skład weszło blisko 20 osób. Wśród nich, z niewyjaśnionych nam powodów, znalazł się też polityk, Michał Boni. To wysokiej rangi członek Platformy Obywatelskiej, minister pracy i polityki socjalnej w latach dziewięćdziesiątych, w okresie terapii szokowej, a później przedstawiciel pracodawców i doradca w Konfederacji Lewiatan oraz w funduszach inwestycyjnych. W 2007 r. współtworzył program wyborczy Platformy Obywatelskiej. Nasz postulat dotyczący skrócenia czasu uznał za szkodliwy i jako taki, z którego „na Zachodzie wszyscy się wycofują". Jeżeli Rada ma w istocie odczytywać postulaty ulicy wyrażane w trakcie masowych i spontanicznych demonstracji w całej Polsce, nie może przeoczyć tego, że wiele ich uczestniczek stawiało się na protestach po wielogodzinnej pracy, gdyż prawo do legalnego strajku jest w Polsce niezwykle restrykcyjne (natomiast w tematach ogólnospołecznych, takich jak bezpłatny dostęp do bezpiecznej aborcji, strajk jest prawnie niemożliwy). Łączenie pracy zarobkowej i darmowej pracy w domu z aktywnością społeczną na ulicy jest dla wielu kobiet niezwykle trudne do pogodzenia. Dlatego Socjalny Kongres Kobiet domagał się więcej wolnego czasu, po to, by kobiety brały aktywny udział w życiu społecznym i politycznym. Jeśli więc postulat skrócenia czasu pracy budzi wątpliwości, to raczej u pracodawców i zawodowych polityków. Jedna z działaczek Socjalnego Kongresu Kobiet skomentowała w mediach społecznościowych skład Rady Konsultacyjnej następująco: „Dla mnie osobiście to problem, że na forum rady OSK Boni to reprezentant kobiet z ulicy. Skoro nie dostrzegał i nie podnosił naszych żądań jako zawodowy polityk przez 30 lat, to niełatwo mu je dostrzec tej jesieni", a jedna z członkiń związku zawodowego Inicjatywa Pracownicza skomentowała: „nie wiem jak Wy, ale ja np. nie wychodzę na ulicę w obronie dziadocenu i paleo-neoliberalizmu, ani kraju zamienionego w jedną wielką specjalną strefę ekonomiczną, w której ludzie za głodowe pensje tyrają po 12 godzin dziennie, bo władze tego kraju, od lat i niezależnie od partyjnych afiliacji, robią wszystko, żeby wielki kapitał nie obraził się, nie zabrał swoich zabawek i nie przeniósł się wyzyskiwać ludzi gdzie indziej. Jeśli nasze strajki mają faktycznie poprawić sytuację kobiet i innych osób, to skrócenie czasu pracy, koniec ze śmieciowymi umowami i podwyższenie wynagrodzeń, szczególnie dla osób wykonujących fundamentalne dla funkcjonowania społeczeństwa zawody związane z opieką, służbą zdrowia i edukacją są absolutnie elementarnymi postulatami".

Podsumowanie. Aborcja jednym z praw socjalnych, o który walczymy

Postulaty i problemy omawiane na spotkaniach Socjalnego Kongresu Kobiet wybrzmiewają na dzisiejszych protestach oraz w żądaniach Strajku Kobiet. Wynika to z tego, że osoby, które je wypracowały - pracownice i lokatorki od lat aktywnie działają społecznie, ale też biorą również czynny udział w aktualnych demonstracjach. Ich socjalne postulaty są uniwersalne i zrozumiałe dla kobiet zależnych od pracy najemnej, czyli dla około 7 milionów kobiet aktywnych zawodowo w Polsce, ale też tych zależnych od pracy zarobkowej członków ich rodzin, żyjących z zasiłków, niskich emerytur, pracy dorywczej i nieformalnej. To ich codzienne zmagania na zakładach pracy i w stowarzyszeniach lokatorskich powinny stać się głównym punktem odniesienia dla ruchu feministycznego. Pracownice zrzeszone w Inicjatywie Pracowniczej mówią, że wychodzą na ulicę, ponieważ zmusza się je do rodzenia niepełnosprawnych dzieci, przerzucając na nie całkowitą odpowiedzialność za ich utrzymanie, nie zapewniając bezpieczeństwa socjalnego. Klara (z organizacji związkowej IP z Teatru Powszechnego w Warszawie): „Państwo nie daje wsparcia matkom, rodzinom dotkniętym chorobą czy niepełnosprawnością dziecka, ale chce decydować. Nie! Nikt nie będzie decydował o moim ciele, o moim życiu"; Beata (z organizacji związkowej IP w sektorze edukacji w woj. kujawsko-pomorskim): „Państwo nie wywiązuje się ze swoich podstawowych obowiązków - mamy tragiczny stan służby zdrowia, obywatele spokojnie mogą umierać z tego powodu i nikomu z rządzących to nie przeszkadza, ale matka musi urodzić chore dziecko... a potem zostanie z nim sama... szczyt hipokryzji!!!"; Aga (organizacja związkowa IP w Kantar Polska): „Nie zgadzam się, żeby państwo nakazywało mi rodzić chore dzieci, a później nie pomagało w żaden sposób w opiece nad nimi. Nie zgadzam się z tym, że państwo walczy o nienarodzone dzieci, a jak się urodzą, to już nikogo nie interesuje, co się z nim dzieje". Obalenie prawicowego rządu w Polsce będzie możliwe, jeśli rodziny pracownicze będą widziały realną alternatywę wobec tego, co proponuje PIS, a ich głos zostanie w końcu usłyszany. Konieczne jest zapewnienie, aby wywalczone dotąd zdobycze socjalne, takie jest wyższa płaca minimalna, program rodzina 500+ czy niższy wiek emerytalny nie zostały odebrane oraz, że dojdzie do wypracowania, wspólnie z pracownicami i lokatorkami oraz ich organizacjami, rozwiązań mających na celu poprawę warunków pracy, mieszkania, dostępu do publicznych instytucji opieki i zdrowia, w tym dostępu do darmowej i bezpiecznej aborcji. Masowe protesty na ulicach miast i miasteczek, nie byłby możliwe bez pracownic i lokatorek, więc ich głos nie może być przez nikogo zawłaszczony, przekształcony w debatę ideologiczną czy wprzęgnięty w wojnę kulturową, która nie jest i nigdy nie była w naszym interesie.

Magda Malinowska,
Agnieszka Mróz,
Marta Rozmysłowicz

Autorki są działaczki OZZ Inicjatywa Pracownicza, pracują i działają związkowo w magazynie Amazon pod Poznaniem, współtworzą międzynarodową sieć Amazon Workers International. Od 2016 r. zaangażowane również w Socjalny Kongres Kobiet.

Przypisy:

(1) 66,5% pracujących zaklasyfikowanych jako „pracownicy usług i sprzedawcy" to kobiety, Za: „Wybrane aspekty rynku pracy w 2018 r." Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 2019.

(2) Zgodnie z Rocznikiem Demograficznym z 2019 r. współczynnik dzietności w Polsce w 2018 r. wyniósł 1,435 i był jednym z najniższych w Europie, Za: Rocznik Demograficzny 2019, https://stat.gov.pl/obszary-tematyczne/roczniki-statystyczne/roczniki-statystyczne/rocznik-demograficzny-2019,3,13.html Data publikacji:16.10.2019.

(3) To nie była pierwsza taka sytuacja w Polsce. W latach 90. zamknięto 75% żłobków i 40% przedszkoli, upadły także przyzakładowe stołówki, świetlice, ograniczono zajęcia pozalekcyjne.

(4) Przedstawiciele i przedstawicielki elit zarabiały miliony w spółkach obsługujących igrzyska (np. M. Herra i A. Boguski po 1.3 mln zł), Za: Gazeta Wyborcza, Renata Grochal, „Miliony za Euro 2012", https://wyborcza.pl/1,75398,13557624,Miliony_za_Euro_2012.html, dostęp 04.12.2020, natomiast pierwsza podwyżka, którą zaproponowano pracownicom poznańskich żłobków wynosiła 9 tys. zł miesięcznie do podziału na 400 osób. Było to mniej niż pensja urzędnika, Michała Prymasa, który zarabiał wtedy 11 tys. miesięcznie jako prezes spółki Euro Poznań 2012 i prawie 6 tys. jako dyrektor biura Euro 2012, za: Maciej Rolek, Bogna Kisiel, Poznań. Dwie pensje Michała Prymasa za Euro2012, https://gloswielkopolski.pl/poznan-dwie-pensje-michala-prymasa-za-euro-2012-film/ar/490542, dostęp 04.12.2020.

(5) W mediach pojawiły się sugestie, że był to największy protest w kraju od czasu transformacji w 1989 r., tymaczem, jak zauważa nasz związkowy kolega, Jarosław Urbański: „Masowe wystąpienia społeczne są wpisane w historię naszego kraju po 1989 r. W zasadzie od samego początku, zmiany ustrojowe i ekonomiczne wzbudzały silny sprzeciw. Nie wspomina się o wielu masowych i gwałtownych wystąpieniach społecznych, ponieważ obowiązująca wersja najnowszej historii Polski zakłada, że społeczeństwo przyjęło transformację bez wątpliwości i z pobożnym przyzwoleniem. (…) 14 września 2013 r. protest zorganizowały związki zawodowe. Jak podawała „Gazeta Prawna", wzięło w nim udział co najmniej 100 tys. osób. Niektóre źródła szacowały, że było ich nawet jeszcze raz tyle. Protest był przejawem radykalnego niezadowolenia z sytuacji ekonomicznej kraju, braku zabezpieczeń socjalnych, niskich pensji, dużego odsetka „śmieciowych umów", nierówności, podwyższenia wieku emerytalnego itp. Z powodu bessy pogorszyło się także położenie polskich emigrantów zarobkowych, szacowanych nawet na 2 mln osób. Ich spadające transfery zarobionych na Zachodzie pieniędzy wpływały także na pogorszenie sytuacji ekonomicznej wielu ludzi w kraju. Liberalne władze były pewne swego i nie korygowały swojej polityki społeczno-ekonomicznej." Za: https://ozzip.pl/publicystyka/historia/item/2702-strajk-kobiet-a-protesty-spoleczne-w-polsce-po-1989-r, Dostęp 4.12.2020.

(6) „Magdalena Środa składa noworoczne życzenia w ciemnej polskiej piwnicy: Więcej światła!" Gazeta Wyborcza, 31.12.2019 https://wyborcza.pl/7,75968,25551501,magdalena-sroda-sklada-noworoczne-zyczenia-w-ciemnej-polskiej.html, Dostęp 4.12.2020.

(7) Główny Urząd Statystyczny, „Budżety gospodarstw domowych w 2019 r.", Warszawa 2020.

(8) OZZ Inicjatywa Pracownicza, „Związki zawodowe żądają nowej tarczy antykryzysowej, która obroni ludzi pracy a nie jedynie biznes" Za: https://www.ozzip.pl/dokumenty/oswiadczenia/item/2636-zwiazki-zadaja-nowej-tarczy-antykryzysowej-ktora-obroni-ludzi-pracy, Dostęp 2.12.2020.

(9) Socjalny Kongres Kobiet. O wyższe płace i niższe czynsze, https://ozzip.pl/informacje/ogolnopolskie/item/2338-socjalny-kongres-kobiet-o-wyzsze-place-i-nizsze-czynsze

(10) „Wybrane aspekty rynku pracy w 2018 r." Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 2019.

(11) Najbardziej sfeminizowane rodzaje działalności to opieka zdrowotna i pomoc społeczna (80,6%) oraz edukacja (72,7%), Za: „Wybrane aspekty rynku pracy w 2018 r." Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 2019.

(12) Tamże.

WROCŁAWSKIE REWOLUCJONISTKI

Kiedy ogłosili, że Trybunał Konstytucyjny zajmie się ustaleniem, czy obowiązująca od lat dziewięćdziesiątych, już i tak restrykcyjna, ustawa antyaborcyjna jest zgodna z konstytucją, my członkinie grupy Inicjatywa 8 Marca wiedziałyśmy, że będzie źle. Nie trzeba było się zanadto interesować poczynaniami rządu, by zdawać sobie sprawę z tego, że ten dziwny byt (TK) został obsadzony przez sędziów przychylnych obecnej władzy i nawet w samym środowisku prawniczym jest uważany za nielegalny.

Wiedziałyśmy, że konserwatywny rząd chce nam zadać cios w plecy. Pandemia szaleje, ludzie są przerażeni, służba zdrowia i opieka ledwo zipią, ludzie tracą środki do życia, a nawet życie, i tu nagle, po próbie odczłowieczania osób LGBTQ+, zamach na prawa kobiet. I to jaki bezczelny! Wszyscy pamiętamy, że jak w 2016 r. próbowali ograniczać dostęp do aborcji, na ulice dużych i małych miast wyszły olbrzymie czarne marsze (30 000 we Wrocławiu). Władza wiedziała więc, co obywatele myślą na ten temat i postanowiła zadziałać przeciwko nim, gdy oni będą zmuszeni siedzieć w domach z powodu epidemii. Postanowiła uznać, że kobiety mają obowiązek donosić nawet ciąże z ciężkimi i nieodwracalnymi uszkodzeniami płodu prowadzące do jego śmierci lub ciężkiego bolesnego kalectwa. Jest to o tyle bezczelne, że kiedy niedawno osoby z niepełnosprawnościami i ich opiekunowie koczowali w sejmie, walcząc o choć trochę bardziej godne warunki życia, zostały potraktowane z pogardą i oszukane przez polityków.

Byłyśmy wściekłe i załamane. Media mówiły głównie o tym, że liczba zachorowań na Covid 19 gwałtownie rośnie, a nasze koleżanki nocą wieszały banery z napisem „Wybór kobiet, nie trybunału" oraz namiarami na Aborcje Bez Granic i WomanHelp. Gdy spotkałyśmy się przybite wyrokiem trybunału, świadome,



że właśnie w tym kraju ogłoszony całkowity zakaz aborcji, (bo te, których właśnie zakazano, stanowiły większość dokonywanych w Polsce legalnych terminacji ciąży), inne nasze koleżanki spontanicznie wydrukowały kilkaset plakatów z telefonami do feministycznych grup pomagających kobietom z Polski w aborcjach za granicą i rozklejały je całą noc. Umówiłyśmy się na piątek, bo co tydzień pod dworcem osoby od nas we współpracy z innymi aktywistkami robiły regularne kontrmanifestacje do stojących tam homofobicznych banerów.

I nagle po tym, co wydarzyło się w Warszawie, gdy policja po raz pierwszy użyła gazu wobec protestujących kobiet, Wiktoria zadzwoniła z informacją, że zmieniła nazwę wydarzenia na: „Rewolucja jest kobietą". Szybko przyłączyło się do organizacji kilka walczących o demokrację grup, bo ludzie byli oburzeni policyjną przemocą i rządową bezczelnością. To była legalna demonstracja, zgłoszona na 25 osób (tyle wtedy było zgodne z prawem) i nagle, ku zaskoczeniu wszystkich, pod Dworzec Główny przyszły dzikie tłumy. Policja wzywała do rozejścia się i wtedy Wiktoria zawołała przez megafon: "Zamykam legalną demonstrację! Rozchodzimy się, ale pamiętajcie, że z demonstracji nie wraca się pojedynczo, idziemy razem!". I nagle tłum z banerem „Strajk kobiet" na czele i grającą Sambą ruszył na ulicę. Nie wiem, czy ci młodzi ludzie byli świadomi, że to, co robią jest nielegalne, ale nie miało to znaczenia. Gdy próbowali schodzić z jezdni, krzyczałyśmy „Nasze macice, nasze ulice!" i szłyśmy, blokując miasto. Okazało się, że tego dnia przyszło nas kilka tysięcy. A to był dopiero początek. Przez następne 2 tygodnie codziennie wieczorem ludzie blokowali Wrocław (tak jak blokowali wszystkie inne miasta i miasteczka) i to nie tylko centrum, strajki odbywały się też w odległych dzielnicach. Każdego dnia przez kilka godzin po mieście chodziły wielotysięczne tłumy (w apogeum na ulicach Wrocławia było 70 00 - 100 000 ludzi), spotykające się i rozstające demonstracje, do których ludzie dołączali i odchodzili w miarę możliwości. Były sittingi, spacery, blokady rowerowe (olbrzymia wielotysięczna Masa Krytyczna), samochodowe

POSTULATY WROCŁAWSKICH ANARCHISTEK

System, w którym przyszło nam żyć, oparty jest na wyzysku i przemocy, odbiera poczucie godności i próbuje upokarzać nas na każdym kroku. Musimy walczyć o podstawowe prawa pracownicze i zabezpieczenia socjalne, o godność, o chleb, o dach nad głową.

Doświadczamy ciągłych represji m. in. jako kobiety, osoby queerowe, pracownice i pracownicy, imigrantki i imigranci, lokatorki i lokatorzy. Musimy też walczyć o nasze zdrowie i życie rodzinne. W sytuacji gdy panuje epidemia, służba zdrowia jest w tragicznej sytuacji, a nasi najbliżsi potrzebują opieki, zmuszone jesteśmy do wychodzenia na ulice i walki, by przeciwstawić się decyzji władzy, która chce odebrać nam i tak restrykcyjne prawo do decyzji o naszym ciele, naszym życiu i zdrowiu. Chce odebrać nam prawo do decyzji, czy zdecydujemy się na legalną aborcję z powodu patologicznego uszkodzenia płodu, czy nie. Chce nas zmusić do całkowitego podporządkowania się ich ideologii.

Nie możemy na to pozwolić! Władza oparta na sojuszu kapitalizmu, patriarchatu i fundamentalizmu religijnego wypowiedziała nam wojnę już dawno i systematycznie ogranicza nasze prawa. Ale my stajemy przeciwko. Bez liderów, organizując się oddolnie i spontanicznie, wspierając się wzajemnie, stajemy przeciwko władzy i będziemy kawałek po kawałku odzyskiwać naszą przestrzeń i nasze życie.

Żądamy planu minimum:

1. Dostępu do legalnej, bezpiecznej, darmowej aborcji dla wszystkich osób, które są w ciąży i nie chcą w niej być.
2. Wypowiedzenia konkordatu i rozliczenia się z osobami biorącymi udział w przestępstwach seksualnych w Kościele Katolickim i likwidacji wszystkich przywilejów społecznych i politycznych Kościoła Katolickiego.
3. Dostępu do bezpłatnej, dobrze zorganizowanej opieki medycznej dla wszystkich osób, które przebywają w tym kraju, gwarantującej szybki kontakt ze specjalistami.
4. Zwiększenia liczby publicznych żłobków i przedszkoli tak, by zapewnić w nich miejsca wszystkim potrzebującym.
5. Podniesienia płac do średniej krajowej dla opiekunek, pielęgniarek, ratowniczek, nauczycielek oraz innych pracownic i pracowników opieki.
6. Zagwarantowania osobom opiekującym się dziećmi, również dorosłymi z niepełnosprawnościami godnego życia, czyli zasiłku opiekuńczego w wysokości średniej krajowej pensji oraz bezpłatnego dostęp do rehabilitacji.
7. Możliwości przysposobienia dziecka osoby, z którą jest się w związku bez względu na płeć tej osoby oraz prawa do adopcji dla par jednopłciowych, uznania rodzicielstwa dwóch osób, gdy in vitro dotyczy pary jednopłciowej.
8. Dymisji rządu.
9. Dostępu do bezpłatnej, rzetelnej i merytorycznej edukacji seksualnej zapewniającej bezpieczniejszą przestrzeń i przyszłość dla osób z niej korzystających.
10. Żadnych represji za obecnie trwające protesty. Domagamy się zaprzestania represjonowania osób biorących udział w protestach: zniesienie kar pieniężnych, ograniczenia wolności, dozoru policyjnego, itd.

Podpisały inicjatywy związane w Konfederacji Wolny Wrocław: Inicjatywa 8 Marca, Federacja Anarchistyczna Wrocław, Wolna Biblioteka, Food Not Bombs Wrocław, Lewica Wolnościowa, Akcja Lokatorska, Kolektyw Hulajpole, Obóz Dla Klimatu Wrocław, Związek Syndykalistów Polski sekcja Wrocław, Podwórkowa Samba Wrocław, Anarchistyczny Czarny Krzyż - Wrocław.

Ponadto jako anarchiści i anarchistki z Obozu dla Klimatu oraz Kolektywu Hulajpole żądamy likwidacji parlamentu i zastąpienia go demokracją bezpośrednią!

(Błyskawice) oraz motocyklowe. Blokady robił, kto mógł: fani techno, artyści, uczniowie i studenci, psychologowie, aktywiści klimatyczni. Sklepy i kluby powiązane z aktywizmem włączały się, oferując pomoc i opiekę medyczną, Food Not Bombs rozdawał jedzenie i ciepłą herbatę. Dopóki szef rządzącej partii nie wezwał bojówkarzy do obrony kościołów, ludzie tłumnie odwiedzali plac pod katedrą i pałac biskupi, krzyczeli tam „Episkopacie zostaw nasze gacie" i „Jebać kler", wieszali plakaty i wieszaki, nawet były próby robienia happeningów w czasie mszy. Protesty nabrały charakteru nie tylko antyrządowego, ale też antyklerykalnego, ludzie masowo dokonywali apostazji. Wprawdzie różne organizacje obrony demokracji i partie polityczne próbowały ogarniać te dema, był to zupełnie oddolny, spontaniczny ruch. Kto chciał, ogłaszał miejsce zbiórki, a ludzie przychodzili, nie szczególnie zwracając uwagę na organizatorów. Sami krzyczeli spontanicznie hasła i nieśli robione przez siebie transparenty.

To, co zobaczyłyśmy na ulicach, rozpalało do czerwoności ogień w naszych feministyczno-anarchistycznych sercach. Zobaczyłyśmy prawdziwy bunt wściekłych ludzi, *kobiet i wspierających je *mężczyzn, którzy mieli dość odbierania wolności. Kiedy widziałyśmy młode dziewczyny, krzyczące: „Zrobię aborcję, jeśli będę chciała" lub inne nasze znane z manif hasła, uświadamiałyśmy sobie, że nasza wieloletnia walka nie poszła na marne. Oto właśnie w tych młodych ludziach, którzy być może pierwszy raz wyszli na ulice protestować, kiełkuje świadomość walki o swoje prawa. Tak, było mnóstwo słabych haseł, odwołujących się do mizogini, gwałtu i cech fizycznych nielubianych polityków, ale były też osoby, które próbowały uświadamiać innym, dlaczego one są nie OK. Koleżanka mówiła mi o sytuacji, w której podczas jednego ze spacerów koleś krzyknął „Bosak to stara kurwa", a jakaś młoda dziewczyna opieprzyła go: „Stare kurwy są w porządku, wymyśl coś innego". Czuło się atmosferę karnawału, czasu wyrwanego z codzienności, gdy możesz iść środkiem ulicy, śpiewać, krzyczeć wulgaryzmy (na Strajku Młodzieży był plakat „Mama dziś pozwoliła mi przeklinać") i spotykać się z dawno niewidzianymi znajomymi. Nie tylko Inicjatywa 8 Marca, ale też inne grupy anarchistyczne od samego początku angażowały się w protesty, starając się tworzyć widoczne bloki. Jeśli samba miała siłę, tańczyłyśmy do jej rytmów, a jeśli nie (bo tyle dni grania jest bardzo męczące), same robiłyśmy hałas, uderzając w garnki i patelnie. Powstrzymywałyśmy tych, którzy chcieli dziękować policji, że nas nie bije i nadawaliśmy radykalny społeczny ton demonstrantom. Osoby zeskłotowały też budynek w centrum, z którego wywiesiły liczne banery, np. „Ani pana, ani plebana", banerowe wsparcie okazał też skłot Pandemia, który musiał walczyć z atakującymi ich naziolami. Dość szybko zorganizowałyśmy się w grupę medialną Wrocławskie Rewolucjonistki, by na stronie www i Facebooku relacjonować tę rewoltę z naszej perspektywy. Napisałyśmy też i ogłosiłyśmy wraz z innymi grupami zrzeszonymi w Konfederacji Wolny Wrocław* (przepraszam, ale ta nazwa była starsza niż pewna partia) nasze postulaty. Organizowałyśmy swoje wydarzenia, pikniki, spacery, krzyczałyśmy nasze hasła, czytałyśmy postulaty oraz mówiłyśmy do mikrofonu o swoich doświadczeniach i odczuciach. Pilnowałyśmy nie tylko, żeby ten protest nie tracił feministycznego charakteru i dotyczył prawa do aborcji, ale także tłumaczyłyśmy, że powtarzane przez nas hasło „Aborcja prawem nie towarem" oznacza, iż nie zgadzamy się, by jak zwykle cierpieli najbiedniejsi. Przypominałyśmy też, że temat aborcji dotyczy nie tylko kobiet, ale wszystkich osób z macicami, bo osoby niebinarne i trans też mogą zajść w niechciana ciążę, zresztą wszędzie widać było tęczowe flagi. Dzięki nam ludzie zaczęli spontanicznie krzyczeć „Rząd na bruk, bruk na rząd" oraz „Ani patriarchat, ani kapitalizm". Przez cały czas też informowałyśmy o bezpieczeństwie oraz o prawach w stosunku do policji, rozdawałyśmy „ABC demonstranta" i telefony do prawników. Gdy zaczęły się napady nazoli, organizowałyśmy się również z kolegami w grupy ochraniające marsze.

Obecnie protestujemy już miesiąc i chcemy to robić tak długo, aż wygramy, albo zabraknie nam sił. W Warszawie policja jest coraz brutalniejsza, więc w każdej chwili możemy się spodziewać, że i u nas przestanie być miło (na razie tylko spisują ludzi). Jesteśmy bardzo zmęczone, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, niektóre z nas boją się przyszłości, opłakują pokiereszowanych przyjaciół, same przeszły traumy… Ale gdy patrzymy na to, co dzieje się w stolicy (oczywiście część osób od nas jest tam na miejscu), na te potworną policyjną przemoc i butę władzy, która już nawet nie udaje, ze zwraca uwagę na głos obywateli, nie chcemy odpuszczać. Zamierzamy podtrzymywać ducha buntu, nadal walczyć i budować grupy oddolne, pomagać sobie wzajemnie w tych ciężkich czasach, które nachodzą, budować struktury aktywistyczne i grupy wsparcia. Walka trwa!

Wrocławskie Rewolucjonistki

* Do Konfederacji Wolny Wrocław (KWW) należą grupy: Federacja Anarchistyczna, Kolektyw Hulajpole, Podwórkowa Samba Wrocław, Inicjatywa 8 Marca, Obóz Dla Klimatu, Food Not Bombs, Akcja Lokatorska, Lewica Wolnościowa, ACK Wrocław, Wolna Biblioteka, Związek Syndykalistów Polski



STRAJK KOBIET

PAŃSTWOWY APARAT PRZYMUSU PRZECIWKO RUCHOWI ULICZNYCH PROTESTÓW



Protesty przeciwko skandalicznemu orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego, odbierającemu polskim kobietom prawo do aborcji w przypadku stwierdzenia ciężkiej wady płodu, wyprowadziły na ulice miast setki tysięcy osób w całym kraju. Jak każdym masowym wystąpieniom w przestrzeni ulicznej, również i demonstracjom Strajku Kobiet towarzyszyła nieustająca konfrontacja ze stróżami porządku - oddziałami policji wysyłanymi dla „zabezpieczenia" marszów i manifestacji.

Już w pierwszych dniach protestów konfrontacja ta doprowadziła do kilku incydentów, jak choćby werbalny atak funkcjonariusza policji na uczestnika łódzkiego marszu 24 października, zakończony jego powaleniem na ziemię i zatrzymaniem, czy brutalna interwencja oddziałów prewencji w Katowicach po ataku na policyjnego tajniaka. W kolejnych jednak dniach, wraz z liczebnym rozwojem ruchu protestacyjnego między uczestnikami demonstracji a funkcjonariuszami zaczął obowiązywać niepisany „pakt o nieagresji" zawarty na warunkach narzuconych przez służby bezpieczeństwa. W największym skrócie ten swoisty „konsensus akcyjny" sprowadzał się do tego, że protestujący zrezygnowali (czy przynajmniej ograniczyli) fizyczne czy werbalne ataki na funkcjonariuszy policji, ci zaś powstrzymywali się od ofensywnych działań przeciw protestującym. Policja pozwalała uczestnikom marszów na ignorowanie obowiązujących jej zdaniem przepisów sanitarnych i drobne wykroczenia, za które zwykle karała ich mandatami, zaś co bardziej krewcy jej funkcjonariusze trzymali nerwy (i pałki) na wodzy. Praktycznym przykładem obowiązywania tego paktu był choćby fakt, że aż do połowy listopada w Łodzi funkcjonowała „gorąca linia" między częścią organizatorek protestów, związanych z grupą Dziewuchy Dziewuchom a dowództwem lokalnej policji. W zamian za przestrzeganie zawartych z policją ustaleń co do trasy i przebiegu kolejnych demonstracji, ta ograniczała swoje działania do "ochrony" zgromadzeń i kierowania ruchem ulicznym, a jej siły skierowane do tych zadań były mocno ograniczone. Nawet w tych miastach, gdzie protesty miały bardziej dynamiczny i konfrontacyjny charakter, postawa służb bezpieczeństwa była podobnie defensywna. Gdy w poniedziałek 26 października uczestnicy demonstracji zaatakowali pikietę narodowców pod kościołem na warszawskim placu Trzech Krzyży, większe siły policji pojawiły się na miejscu dopiero po godzinie, pomimo wysyłanych w eter przez ostrzeliwaną butelkami Straż Narodową dramatycznych apeli o pomoc. Po przybyciu na miejsce, oddziały prewencji ograniczyły się do rozdzielenia walczących stron kordonem - obyło się bez zatrzymań czy użycia środków przymusu.

Nazajutrz po tych wydarzeniach, we wtorek 27 października na facebookowym profilu Prawa i Sprawiedliwości pojawił się kuriozalny, jak się wtedy wydawało, apel przywódcy tej partii (i wicepremiera odpowiedzialnego za bezpieczeństwo kraju), Jarosława Kaczyńskiego. Zwrócił się on do "członków i sympatyków" swej formacji o wyjście na ulicę i fizyczną konfrontację z protestującymi, w obliczu, jak to ujął „ataku który ma zniszczyć Polskę". Fakt, że oświadczenie prezesa wygłoszone zostało za pośrednictwem partyjnych, a nie państwowych kanałów informacji, jak również zawarte w nim wezwanie do rozbicia protestów przez nieformalne grupy „członków i zwolenników" PiS, nie zaś przez pozostający w dyspozycji państwa aparat represji mogły, w świetle wcześniejszych wydarzeń i postawy funkcjonariuszy policji wywołać wrażenie, że państwo, w osobie wicepremiera do spraw bezpieczeństwa, nie do końca panuje nad działaniami służb bezpieczeństwa. Z perspektywy czasu wydaje się jednak, że powodem nieangażowania policji do pacyfikacji protestów nie była utrata kontroli nad jej działaniami, lecz przekonanie, że do rozbicia strajku kobiet wystarczą siły narodowców i zwolenników partii. Z punktu widzenia rządzących zaletą takiego planu było to, że państwo nie stanie się stroną ulicznej konfrontacji i uniknie wynikających z tego, politycznych konsekwencji.

Jak pokazały kolejne dni, plan Kaczyńskiego spalił na panewce. Odzew na jego apel ze strony "członków i zwolenników" okazał się zerowy, a jedynymi grupami, które „stanęły w obronie atakowanych kościołów" okazały się gangi szalikowców. W większości miast - a pojawili się na ulicach co najmniej kilkunastu - ich aktywność ograniczyła się do wystawienia pikiet pod kościołami, o liczebności uzależnionej od siły ich lokalnych ekip. Warto zauważyć, że w wielu miejscach ich zapał do obrony świątyń nie szedł w parze z poparciem dla rządzących ani jednoznacznym potępieniem kobiecych protestów, na pikietach pojawiały się transparenty dość wulgarnie opisujące stosunek szalikowców do obecnych władz i obwieszczające, że przeciwnikiem ich uczestników jest mityczna Antifa nie zaś protestujące kobiety.

Jedynie w kilku miastach doszło do fizycznych ataków na uczestniczki i uczestników Strajku Kobiet. We Wrocławiu, w środę 28 października, kilkadziesiąt osób dowodzonych przez prominentnego członka nabojki Śląska urządziło regularne polowanie na uczestniczki protestów, w wyniku którego do szpitali trafiło kilka z nich, w tym dziennikarka lokalnej „Gazety Wyborczej". Warto dodać, że lider napastników, niejaki Galon, został nazajutrz aresztowany, jak wiele wskazuje dzięki doniesieniu "znajomych" z trybun, zaś za pośrednictwem portalu Stadionowi Oprawcy stowarzyszenie kibiców WKS Śląsk odcięło się od ataków na uczestniczki protestów. Również w Poznaniu 29 października doszło do konfrontacji kibiców Lecha z protestującymi na Rondzie Kaponiera kobietami. Grupa kilkudziesięciu napastników weszła w tłum z hasłem: "Antifa chuje, Kolejorz was wymorduje!", tym razem jednak nikt nie został pobity.

Aktywność kibolskich bojówek nie była w stanie sterroryzować protestujących kobiet ani wpłynąć na ich mobilizację. Zaplanowany na piątek, 30 października Marsz na Warszawę zgromadził ponad 100 tysięcy osób. Również i ta demonstracja została zaatakowana. Na ludzi zbierających się w okolicach Zamku Królewskiego napadło kilkudziesięciu kibiców Legii Warszawa, którzy jednak nie odważyli się na fizyczny atak na protestujące kobiety, a ich pojawienie się, zakończone interwencją policji, było bardziej demonstracją siły. Napastnicy pojawili się również w okolicy księgarni Empik na Rondzie De Gaulle'a, tu jednak spotkali w końcu długo poszukiwaną Antifę i zmuszeni zostali do odwrotu. Podczas całego marszu, jak również wspomnianych ataków policja ograniczała swą aktywność do działań porządkowych i ochrony uczestników zgromadzenia. Jedna osoba została zatrzymana za odpalenie pirotechniki, zaś delegacja poznańskiej Inicjatywy Pracowniczej, jadąca na protest, była kilkakrotnie kontrolowana przez patrole policji, aż w końcu zatrzymano ją na kilka godzin na samych rogatkach Warszawy. Ściągnięte z całego kraju, w liczbie kilku tysięcy osób, oddziały prewencji obstawiły obiekty kluczowe dla prestiżu rządzących, uniemożliwiając protestującym dojście w ich pobliże, nie zostały jednak wykorzystane do działań ofensywnych.

Wydarzenia ostatnich dni października uświadomiły jak się wydaje rządzącym, że protesty przeciwko orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego nie wygasną same, wręcz przeciwnie, stale przybierały one na sile, zasilane przez kolejne grupy rozczarowane nieudolnością rządu i sfrustrowane pogarszającą się sytuacją pandemiczną. Mobilizacja środowisk konserwatywno-katolickich i neofaszystowskich bojówek zakończyła się kompletnym fiaskiem, co zmusiło władze do zmiany strategii walki z protestami. Pierwszym, niepokojącym sygnałem, że rząd planuje pacyfikację Strajku Kobiet z wykorzystaniem oddziałów

policji był datowany na 1 listopada list otwarty, podpisany przez ponad 200 byłych dowódców wojska, policji i służb bezpieczeństwa. Utrzymany w dość patetycznym tonie dokument ostrzegał, że „dalsza eskalacja działań, podsycanie i nieodpowiedzialne zachowania polityków doprowadzi do tragicznych i nieodwracalnych konsekwencji", a „czasami nadmiar emocji, niekontrolowany rozwój wydarzeń może skutkować rozlewem krwi". „Obawiamy się sytuacji, w której ponownie na ulicach polskich miast może dojść do użycia siły i niepotrzebnych ofiar" - napisali przedstawiciele służb mundurowych. Zwrócili się również z bezpośrednim apelem do funkcjonariuszy policji, i wojska by „aby działali zawsze zgodnie z prawem, pamiętając, że służą społeczeństwu", jak też organizatorów oraz uczestników protestów „o powstrzymanie się od wszelkich aktów przemocy, w tym niszczenia mienia, zabytków i obiektów kultu religijnego. Nie atakujcie policjantów, żołnierzy i funkcjonariuszy innych służb mundurowych - oni nie są waszymi wrogami. Nie prowokujcie i nie dajcie się sprowokować (...)". Wśród sygnatariuszy listy znalazła się większość najwyższej kadry dowódczej wojska, odsunięta od stanowisk po zmianie władzy w roku 2015, jak również urzędnicy, odpowiedzialni za bezpieczeństwo narodowe i nadzór nad policją w czasach rządów neoliberalnej koalicji. Znając specyfikę funkcjonowania i ściśle hierarchiczną strukturę służb mundurowych trzeba stwierdzić, że list ten był czymś więcej niż opinią grupy mundurowych emerytów. Powodem jego powstania musiały być konkretne informacje o planach wykorzystania służb, zaś intencją wywarcie rzeczywistego nacisku na ich obecnych funkcjonariuszy i dowództwo. Przyznał to zresztą dość bezpośrednio jeden z podpisanych pod listem generałów, gen. bryg. w st. spocz. Stanisław Koziej, były szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego: „Mam też nadzieję, że żołnierze i policjanci jeśli będą czytali ten apel, to odpowiednio go zinterpretują i potraktują jako głos całego środowiska mundurowego. Tym bardziej, że ludzie służb takiego głosu dać nie mogą, ponieważ nie mogą publicznie wyrażać swoich opinii. My oficerowie rezerwy i w stanie spoczynku możemy i dziś jest ten czas, by to zrobić".

Kolejnym sygnałem o możliwości eskalacji działań służb bezpieczeństwa przeciwko protestującym była nocna narada szefów komend wojewódzkich policji w dniu 2 listopada. Według medialnych przecieków, mieli oni otrzymać nowe wytyczne z MSWiA co do sposobów postępowania podczas kolejnych zgromadzeń, złożyli też raporty na temat stanu gotowości podległych im oddziałów prewencji. Wiele domysłów wśród komentatorów wzbudził fakt, że naradzie nie przewodniczył komendant główny policji, Jarosław Szymczyk. Wkrótce w mediach pojawiły się wsparte rzekomymi przeciekami spekulacje o jego konflikcie z władzami resortu na tle sprzeciwu wobec siłowego spacyfikowania protestów, którego miał zażądać Jarosław Kaczyński. Według informatorów, Szymczyk wspierany przez ministra spraw wewnętrznych miał zagrozić, że poda się do dymisji w razie otrzymania rozkazu użycia sił prewencji do rozbicia protestów. Jak wiemy, Szymczyk zachował stanowisko...

7 listopada szef stołecznej policji, Paweł Dobrodziej, wydał instrukcję zawierającą nowe wytyczne dla podległych mu służb co do postępowania z protestującymi. Według instrukcji, upublicznionej kilka dni później przez media, policja ma działać w myśl zasady „Działamy, nie negocjujemy", poza ochroną kościołów, budynków rządowych i partyjnych reagować użyciem siły na wszelkie przypadki łamania prawa, w szczególności "niezwłocznie przystępować do natychmiastowego działania zmierzającego do przywrócenia ruchu na zablokowanych odcinkach i egzekwowania zachowań zgodnych z prawem".

Te nowe zalecenia zostały wprowadzone w życie już tego samego dnia, gdy funkcjonariusze oddziałów prewencji otoczyli niewielki marsz Strajku Kobiet zmierzający spod Zamku Królewskiego pod Pałac Prezydencki, legitymując i zmuszając do rozejścia się jego uczestniczki.

Z całego kraju zaczęły nadchodzić informacje o nasileniu policyjnych represji przeciw protestującym, biorącym udział w sobotnich marszach. We wszystkich miastach interwencje policji miały podobny przebieg. Najpierw na miejscu planowanego zgromadzenia zbierały się potężne siły służb mundurowych, przekraczające nieraz liczebnością protestujących, następnie funkcjonariusze rozpoczynali masowe spisywanie przybyłych na miejsce, koncentrując swą aktywność zwłaszcza na najmłodszych uczestnikach Strajku, i grożąc im mandatami bądź sankcjami za łamanie przepisów sanitarnych. Gdy udało się uformować demonstrację, policja blokowała jej drogę, wzywając do rozejścia się i wyciągając z tłumu przypadkowe osoby, by wylegitymować je i ukarać. W Krakowie pomimo zastosowania tej taktyki zastraszania, po półgodzinnej konfrontacji i spisaniu kilkudziesięciu osób marsz przeszedł planowaną trasą, a policja nie zdecydowała się na jego siłowe zatrzymanie. W Lublinie demonstracja pod hasłem „Wszyscy na Lublin", została jednak rozwiązana przez organizatorki po tym, jak funkcjonariusze policji otoczyli i spisali osoby, które pojawiły się na miejscu zbiórki, a następnie zagrozili użyciem środków przymusu. Jak napisały organizatorki zgromadzenia w wydanym oświadczeniu: „Policja zamiast ochraniać demonstrantów, którzy wykorzystywali swoje prawo do jawnego i pokojowego manifestowania poglądów, postawiła na terror psychiczny. Stwarzała również niebezpieczeństwo bezpośrednie jak i epidemiologiczne, zmuszając uczestników do zbijania się w ciasne grupy. Funkcjonariusze zablokowali radiowozami oraz oddziałami prewencji wszystkie drogi, którymi uczestnicy mogliby bezpiecznie opuścić demonstrację".

Podobnie zakończył się zorganizowany dwa dni później, w poniedziałek 9 listopada, protest pod Ministerstwem Edukacji gdy jego uczestnicy rozpoczęli blokadę jezdni pod gmachem ministerstwa, zgromadzone wyjątkowo licznie na miejscu oddziały prewencji wyniosły jej uczestników na chodnik. Kilkanaście osób zostało spisanych.

Zgodnie z przyjętą przez Strajk Kobiet taktyką, aby nie doprowadzić do konfrontacji z narodowcami, demonstrującymi 11 listopada i skupić się na przygotowaniach do kolejnej dużej akcji, masowe protesty w stolicy zostały zawieszone na dziesięć dni, zaś na 18 listopada wyznaczona została data blokady sejmu. Dzień przed tą datą, w Katowicach, oddziały policji otoczyły ludzi zbierających się na wieczorny marsz - łącznie wylegitymowano 226 osób, kierując 113 wniosków o ukaranie do sądu.

W ramach przygotowań do warszawskiego protestu policja rozstawiła w okolicach gmachów parlamentu kilkaset metrów barierek, a do Warszawy ściągnięto kilka tysięcy funkcjonariuszy oddziałów prewencji i żandarmerii wojskowej z całego kraju, którzy otoczyli sejm i zajęli pozycje w kluczowych punktach miasta. Wobec niemożliwości dotarcia pod parlament i obecności dużych sił policji w dzielnicy rządowej, kilkanaście tysięcy uczestników protestu, którzy zebrali się w kilku punktach śródmieścia ruszyło w kierunku Żoliborza i domu Jarosława Kaczyńskiego. Od samego początku policja zastosowała wobec maszerujących sprawdzoną już taktykę zastraszenia, blokując kilkakrotnie trasę przemarszu i zmuszając jego uczestników do kluczenia bocznymi uliczkami. W okolicach Ronda De Gaulle'a uczestnicy marszu zostali na około godzinę zamknięci w kotle, utworzonym przez oddziały prewencji, a następnie spychani tarczami i dzieleni na coraz mniejsze grupy. Policja, której oddziały wypełniły szczelnie okolice ronda, przystąpiła do legitymowania protestujących, uniemożliwiając przy tym komukolwiek opuszczenie miejsca zgromadzenia. Po wyjściu z kotła marsz skierował się na północ Krakowskim Przedmieściem, jednak już po kilkuset metrach, na skrzyżowaniu z ul. Świętokrzyską, jego trasę zagrodził kordon funkcjonariuszy prewencji, co zmusiło protestujących do skierowania się na Plac Powstańców, pod siedzibę rządowej stacji telewizyjnej. Tutaj protestujący zostali powtórnie otoczeni i na wiele godzin zamknięci w policyjnym kotle. Nielicznej grupie udało się z niego wydostać przez podwórko prywatnej posesji, dzięki pomocy jej mieszkańców, wkrótce jednak i tę drogę ewakuacji udało się odciąć policji. W kotle na Placu Powstańców doszło do incydentu z udziałem tajniaków, funkcjonariuszy Biura Operacji Antyterrorystycznych policji, który wmieszali się w tłum, by w pewnym momencie zaatakować protestujących miotaczami gazu i pałkami teleskopowymi. Trudno określić, czy była to zaplanowana prowokacja, czy efekt ich niekompetencji i paniczna reakcja na zachowanie uczestników demonstracji, który przekonani, że mają do czynienia z faszystowską bojówką próbowali usunąć ich ze zgromadzenia. Uczestnicy demonstracji kilkakrotnie próbowali przerwać kocioł, na co policja reagowała gazem łzawiącym i użyciem tarcz. W trakcie tych przepychanek zaatakowane gazem zostały: liderka Strajku Marta Lempart i posłanka Lewicy Magdalena Biejat, pomimo okazania funkcjonariuszom legitymacji poselskiej. Trzeba dodać, że w pobliżu gmachu sejmu zatrzymany został na krótko jego wicemarszałek, Włodzimierz Czarzasty, reprezentujący tą samą formację. Konfrontacja pod gmachem telewizji trwała do godziny 23 - ostatecznie policja pozwoliła demonstrującym rozchodzić się pojedynczo, po uprzednim spisaniu.

Ta eskalacja policyjnej przemocy wobec protestujących osób trwała kilka dni. W czwartek 19 listopada podczas pikiety solidarnościowej z aktywistką, zatrzymaną 28 października policja dokonała brutalnego zatrzymania 17 - latka, wywiezionego następnie w nieznanym kierunku, i znanego aktywisty LGBT. Podczas zwołanej spontanicznie pikiety solidarnościowej pod komisariatem gdzie przebywał ten drugi, zatrzymano cztery kolejne osoby, wywiezione następnie na przesłuchania poza Warszawę. Tego samego dnia w Łodzi policja, której siły przewyższały liczebność protestujących, zatrzymała i otoczyła marsz Strajku Kobiet na ulicy Piotrkowskiej. Wylegitymowano 77 osób, wystawiono 33 wnioski do sądu i 14 mandatów. Wcześniej policja wyciągała z maszerującej kolumny i spisywała pojedyncze osoby, koncentrując się tradycyjnie na najmłodszych uczestniczkach i uczestnikach protestu. Kolejny marsz, zorganizowany w tym mieście 21 listopada w proteście przeciwko brutalności policji, został zatrzymany przez jej funkcjonariuszy po przejściu kilkuset metrów, jednak dzięki zdecydowanej postawie obecnych na proteście parlamentarzystów policji pozwoliła protestującym iść dalej zaplanowaną trasą.

Wylegitymowano jedynie kilka osób. W poniedziałek, 23 listopada podczas demonstracji solidarnościowej z nauczycielami, represjonowanymi za poparcie Strajku Kobiet, przed warszawskim gmachem Ministerstwa Edukacji Narodowej duże siły policji zaatakowały protestujących usiłując zmusić ich do odblokowania bram budynku i rozejścia się. Podczas tej interwencji policyjny radiowóz potrącił jednego z protestujących. Zatrzymano kilka osób, wśród nich fotoreporterkę Agatę Grzybowską, pod pretekstem „naruszenia nietykalności funkcjonariusza" poprzez robienie mu zdjęć z lampą błyskową. Kobieta została zatrzymana, mimo że na miejscu demonstracji przyszła służbowo i podlegała ochronie prawa prasowego, a podczas interwencji policji pokazała legitymację prasową. Przewieziono ją do pobliskiego komisariatu na ulicy Wilczej, gdzie natychmiast zorganizowano pikietę solidarnościową. Po około dwóch godzinach została zwolniona.

Po tych wydarzenia, w szczególności zaś po brutalnej pacyfikacji marszu z 18 listopada z użyciem jednostek antyterrorystycznych, tak na policję, jak na władza spadła bezprecedensowa fala krytyki ze strony organizacji praw człowieka, jak i polityków opcji liberalnych i lewicowych oraz mediów. Poza ośrodkami związanymi z obozem władzy, przez dwa tygodnie jakie minęły od tych wydarzeń trudno było znaleźć w zasadzie jakąkolwiek z opiniotwórczych instytucji, która popierałaby działania służb mundurowych wobec Strajku Kobiet. Policja znalazła się w defensywie - wyniki ostatnich sondaży opinii publicznej wskazują, że poziom społecznego zaufania do tej instytucji spadł do poziom z okresu stanu wojennego. Politycy partii opozycyjnych zapowiedzieli pociągnięcie do odpowiedzialności osób odpowiedzialnych za pacyfikację protestów, w tym funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, prezydent Warszawy zagroził 27 listopada zawieszeniem współfinansowania warszawskiej



Policji, jeśli „kierownictwo stołecznej policji będzie się poddawało naciskom politycznym". W efekcie narastającej presji policja zmuszona została do ograniczenia stosowania taktyki zastraszania protestujących i eskalacji napięcia. Zwołane na sobotę 28 listopada marsze w 102 rocznicę przyznania Polkom praw wyborczych w większości miast kraju odbyły się w obecności dużo mniejszych sił policji. Łódzki marsz, który zgromadził dwa tysiące osób, przeszedł przez centrum miasta bez przeszkód z jej strony. Inaczej rzecz się miała jedynie w Warszawie, choć i tu w porównaniu z wydarzeniami sprzed 10 dni widoczna była deeskalacja napięcia. Uczestnicy i uczestniczki Strajku Kobiet zebrali się około godziny 15 na Rondzie Dmowskiego, skąd po godzinie wyruszyli ulicą Marszałkowską w stronę Placu Konstytucji. Tu miała miejsce kuriozalna sytuacja, gdy protestującym udało się otoczyć na krótko i zamknąć w kotle kordon oddziałów prewencji blokujących ich trasę. W okolicach Placu Konstytucji protest przerodził się w swoistą grę miejską. Policja blokowała maszerującym przejście pod siedzibę MSWiA, ci, wykorzystując otwarte bramy i boczne uliczki, omijali jej kordony i kluczyli po okolicy. Funkcjonariusze mieli więcej szczęścia w przypadku tej grupy marszu, która postanowiła przejść na plac Unii Lubelskiej. Udało się im zablokować jej przemarsz przy przejściu przez ulicę Marszałkowską, a następnie zamknąć w kotle na ulicy Waryńskiego. Większa część protestujących wydostała się z kotła, przy dość biernej postawie policji, przez parkan ogradzający teren Politechniki Warszawskiej. Ostatecznie funkcjonariuszom udało się zatrzymać jedynie 10 osób. Do jedynej poważniejszej konfrontacji doszło po godzinie 18, gdy inna grupa protestujących zablokowała Trasę Łazienkowską na skrzyżowaniu z ul. Marszałkowską. Podczas pacyfikacji tej blokady przez policję doszło do przepychanek, podczas których jeden z funkcjonariuszy zaatakował gazem łzawiącym posłankę Barbarę Nowacką. Moment ataku został sfilmowany przez kilkanaście osób, co ściągnęło na policję kolejną falę oskarżeń o brutalność i ignorowanie immunitetu parlamentarnego.

Trzy dni wcześniej, 25 listopada, liderki Strajku Kobiet Marta Lempart i Klementyna Suchanow spotkały się z przewodniczącym policyjnych związków zawodowych, Rafałem Jankowskim. „Represje wciąż są i będą raczej zależały od władz, a policjanci nie są w stanie odmawiać wykonywania rozkazów. Nawet, jeżeli uznają je za niewłaściwe. Nie ma więc chyba sensu, żebyśmy czegoś takiego oczekiwali. (...) Takich wymiernych efektów tej rozmowy więc na razie nie ma, bo oni są służbą państwową, a poza tym jeden policjant nie jest w stanie przekonać wszystkich innych policjantów, by odpowiednio postępowali. Rozmowa nasza nie zmieni więc zapewne tego, co ma się stać na przykład podczas protestu w sobotę, bo decyzje w tej sprawie zapadają gdzie indziej, poza nami" - podsumowała tę rozmowę Suchanow w wywiadzie dla portalu onet.pl. 26 listopada komendant główny policji powołał Zespół ds. Zmian Taktyki i Struktur Oddziałów Prewencji Policji. Jak oświadczył rzecznik prasowy Komendy Głównej: „Efektem powstania tego zespołu będzie zbadanie, jak wygląda obecnie sytuacja i ewentualne wypracowanie projektu zmian w działaniach funkcjonariuszy, o ile takie będą konieczne, aby zwiększyć ich skuteczność".

Na niedzielę, 13 grudnia Strajk Kobiet zapowiedział kolejne protesty w całym kraju.

Analiza strategii, przyjętej przez polską policję w działaniach wymierzonych w uliczne protesty Strajku Kobiet, politycznych i organizacyjnych powodów podjęcia takich a nie innych, strategicznych decyzji, a przede wszystkim stawianie wniosków, co do reakcji władz i służb bezpieczeństwa w przypadku kolejnych, masowych protestów ulicznych napotyka na zasadnicze trudności. Bez względu na propagandowy przekaz, policja tradycyjnie jest dla rządzących naszym krajem ekip bardziej rodzajem osobistej straży przybocznej, niż służbą publiczną, zapewniającą bezpieczeństwo obywatelom kraju. W konsekwencji, ani funkcjonowanie samych służb mundurowych, ani zakres ich politycznej dyspozycyjności wobec Ministerstwa Spraw Wewnętrznym nigdy nie były w pełni transparentne. Przeciwnie - kolejni politycy, którym przypadł w udziale łup w postaci „nadzoru nad służbami" robili wszystko, by informacje o charakterze i zakresie tego nadzoru w minimalnym zakresie trafiały do opinii publicznej. Z konsekwencjami takiego stanu rzeczy mieliśmy do czynienia również podczas Strajku Kobiet. Informacje o zamiarach służb bezpieczeństwa, konfliktach pomiędzy operacyjnym a politycznym kierownictwem policji, wreszcie nastrojach wśród samych mundurowych w okresie największego nasilenia protestów trafiały do publicznej domeny głównie za pośrednictwem medialnych przecieków pochodzących od samych mundurowych. Z oczywistych powodów ich wartość jako źródła informacji jest znikoma. Nie sposób bowiem zweryfikować, czy za ich pomocą to policja próbowała manipulować nastrojami społecznymi, czy też media o określonej politycznej orientacji starały się manipulować nastrojami wśród służb. Podobnie ma się rzecz z tzw. „blogami policyjnymi" od których jakiś czas temu zaroiło się w mediach społecznościowych - profilami, przedstawiającymi rzekomo poglądy i doświadczenia „zwykłych policjantów". Tu jednak sytuacja jest o tyle prostsza, że ich treść stanowi w czystej formie przekaz propagandowy policyjnych wydziałów prasowych, można więc na ich podstawie wnioskować, jaki obraz własnych działań próbują wykreować służby. Czyny mówią głośniej niż słowa. Analiza tego, co działo się na ulicach polskich miast między 22 października a początkiem grudnia pozwala wyciągnąć więcej wniosków co do relacji między politycznym kierownictwem resortu bezpieczeństwa, operacyjnym dowództwem policji a funkcjonariuszami, wypełniającymi jego rozkazy, jak również przygotowania polskiej policji do tłumienia masowych wystąpień ulicznych niż studiowanie medialnych przekazów. Dokonując podobnych analiz i wyciągając z nich wnioski na przyszłość trzeba ponadto pamiętać, że największe natężenie protestów Strajku Kobiet zbiegło się w czasie ze szczytem zachorowań na Covid 19 a dramatyczna sytuacja epidemiczna miała znaczący wpływ na działania służb bezpieczeństwa przeciw protestującym. Duża część funkcjonariuszy policji była w tym czasie wyłączona z akcji z powodu zachorowań, kwarantanny, bądź zaangażowania w działania na rzecz kontroli epidemii, zaś sam aparat państwa uległ częściowej dezintegracji. Sytuacja taka zapewne szybko się nie powtórzy. Trzeba też pamiętać, że policja nie działa w politycznej próżni, zarówno rozkazy, jakie otrzymuje w sytuacji masowych wystąpień ulicznych, jak i sposoby, w jakie je realizuje zależą w dużej mierze od aktualnego układu politycznych sił w relacji władza - opozycja - społeczeństwo. Ten zaś był w listopadzie 2020 wyjątkowo korzystny dla protestujących.

Pierwszą reakcję policji na wybuch społecznego niezadowolenia po ogłoszeniu orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego cechowała typowa

dla tej formacji mieszanka spontanicznej agresji i zwykłego chamstwa. Można więc założyć, że rozwój sytuacji i skala protestów zaskoczyła tak dowództwo policji, jak i jej polityczne ośrodki decyzyjne. Wobec braku gotowej strategii postępowania służby ograniczyły się do swej rutynowej aktywności - obstawienia protestów siłami, wystarczającymi do kontrolowania tłumu i przeciwdziałania jego ofensywnym zachowaniom. Zaś funkcjonariusze robili po prostu to, co od zawsze robili podczas społecznych protestów - korzystali z okazji, by prowokować i nadużywać posiadanej władzy. Jednak już po paru dniach sytuacja uległa zmianie. Policja przeszła do ostentacyjnej defensywy, ograniczając swą aktywność do ochrony kościołów i obiektów strategicznych z punktu widzenia państwa i partii władzy. Na samych protestach obecni byli nieliczni jej funkcjonariusze, niezbędni do wypełniania zadań porządkowych, którzy zresztą zachowywali się w podejrzanie kulturalnych sposób. Taka postawa służb mundurowych zyskała im uznanie liberalnie nastawionej części protestujących, wyrażane w postaci „podziękowań dla policji" jakimi kończyło się wiele z manifestacji. By rozwiać resztki ich wątpliwości co do swych intencji policja posłużyła się zresztą jedną z dyżurnych tub propagandowych, facebookowym kanałem „Psy dają głos", prowadzonym rzekomo przez obdarzonego talentem publicystycznym i nieograniczonym zapasem wolnego czasu asp. sztab. Piotra Chwastowskiego z Opola. Na firmowanym przez niego kanale pojawił się następujący wpis: „Jesteśmy solidarni ze wszystkimi obywatelami, bez względu na to, kto jakie poglądy reprezentuje. Nie możemy iść w jednym czy drugim marszu, ale dbamy o ich bezpieczeństwo. (...) Trzeba pamiętać, że naszą rolą jest dbanie o ład i porządek w kraju, (..) jesteśmy od tego, by służyć wszystkim bez wyjątku. Nasz światopogląd i spojrzenie na kwestie polityczne zostawiamy w domu. W mundurze nie ma na nie miejsca". Dla liberalnych komentatorów, i różnej maści „autorytetów" patrzących z obawą tak na radykalizację polskich kobiet, jak i na pojawiające się na obrazie policji jako „apolitycznej służby" rysy podobne deklaracje ze strony jej funkcjonariusza były miodem na serce. Nikt jednak, kto zna choć pobieżnie historię konfliktów społecznych w naszym (i nie tylko) kraju lub posiada choćby ogólną znajomość zasad funkcjonowania aparatu państwa nie miał złudzeń, że ta erupcja policyjnego profesjonalizmu zgodnego z zasadami liberalnej doktryny była niczym więcej, niż tylko operacją propagandową, odpowiadającą bieżącej strategii zarówno władzy, jak i służb bezpieczeństwa. Strategią władzy było bowiem w tamtym okresie unikanie zaangażowania w konflikt, stworzenie wrażenia, że sama decyzja Trybunału Konstytucyjnego w sprawie zakazu aborcji zapadła niezależnie od niej, a więc i to nie ona jest stroną w konflikcie z protestującymi kobietami. Obraz policjanta „solidarnego ze wszystkimi obywatelami" który swój „światopogląd i spojrzenie na kwestie polityczne zostawia w domu" doskonale do niej pasował. Samej policji zaś stwarzał szansę obrony zbudowanego przez specjalistów od marketingu wizerunku „apolitycznej" formacji, której jedynym celem jest obrona ładu i bezpieczeństwa obywateli kraju bez względu na ich polityczne przekonania. Warto tylko dodać, że w tym samym czasie gdy rząd udawał, że nie jest stroną konfliktu, a policja, że dba o bezpieczeństwo wszystkich bez wyjątku, trwała mobilizacja nacjonalistyczno-kibolskich bojówek, wezwanych przez prezesa partii rządzącej, który postanowił rozwiązać problem ulicznych protestów ich rękami. Trwały też zapewne zakulisowe rozmowy w sprawie pacyfikacji protestów przez policję, w razie fiaska jego planu. Już w pierwszych dniach listopada okazało się, że policja nie jest jednak aż tak „apolityczna" jak sama twierdziła.

Kluczowym dla formowania strategii rządowo-policyjnej odpowiedzi na Strajk Kobiet był tydzień, jaki upłynął od internetowego apelu prezesa Kaczyńskiego (27 października) a nocną odprawą komendantów wojewódzkich policji (2 listopada). Kilka faktów wskazuje na to, że w tym momencie rządzący na serio rozważali siłową pacyfikację Strajku Kobiet, z wykorzystaniem wszystkich środków przymusu będących w dyspozycji policji. Takie informacje, wraz z sugestią rychłej dymisji komendanta głównego policji, Jarosława Szymczyka, który rzekomo nie zgadzał się na użycie siły przeciw demonstrującym, przez cały tydzień pojawiały się w medialnych przeciekach. Pod koniec tygodnia zaś ukazał się wspominany już list 200 byłych, wyższych dowódców służb mundurowych, skierowany do polityków, funkcjonariuszy policji i protestujących. Jego zredagowanie i zebranie pod nim podpisów musiało zająć kilka dni. Wreszcie, sama narada kierownictwa policji w nocy 2 listopada odbyła się bez udziału jej komendanta głównego. Zapewne szybko nie dowiemy się, czy wyprowadzenie na ulice nacjonalistycznych bojówek miało, w zamyśle rządzących, doprowadzić do wybuchu zamieszek, które z kolei dałyby im pretekst do pacyfikacji protestów, ani czy plan taki był faktycznie powodem konfliktu między politycznym a operacyjnym dowództwem służb mundurowych. Jest jednak prawie pewne, że jakiś wariant rozwiązania siłowego był w tym czasie brany pod uwagę.

Byli członkowie naczelnej kadry dowódczej, nawet po przejściu w stan spoczynku, mają w służbach mundurowych specjalny status. Wynika to z ich skrajnie hierarchicznej struktury i swoistej kultury organizacyjnej. Dostępne ścieżki awansu są tam ściśle określone i rozpisane na wiele lat, a często dekad, dojście do najwyższych stanowisk w policji czy wojsku wymaga zatem pozostawania w dobrych relacjach ze zwierzchnikami, a przynależność kręgu ich bliskich sojuszników zwiększa szansę na awans. W efekcie oficerowie, którzy w stopniach generalskich odeszli ze służb po roku 2015, zaczynali swe kariery jeszcze w latach 90. Zaś obecna wyższa kadra dowódcza została w dużej części wypromowana na obecne stanowiska jeszcze za ich rządów spośród osób, które zdobyły ich zaufanie. Oczywiście, prawicowa ekipa po zdobyciu władzy pięć lat temu postarała się obsadzić dowódcze stanowiska swoimi ludźmi, to jednak mogło się jej udać jedynie częściowo, nawet bowiem przy maksymalnym przyspieszeniu awansów zwyczajnie nie starczyło jej czasu, by wypromować odpowiednią liczbę oficerów posiadających stopnie odpowiednie do pełnienia kierowniczych funkcji, o kompetencjach i doświadczeniu już nie wspominając. Poza osobistymi kontaktami, dowódcy w stanie spoczynku mogą też liczyć na rzeczywisty autorytet w szeregach podległych im dawniej służb. Zapewnia im go panująca w nich kultura posłuszeństwa i podporządkowania się rozkazom przełożonych, jak również pamięć o ich dawnych osiągnięciach. Emerytowana kadra dowódcza zdaje sobie z tego oczywiście sprawę, i zgodnie z dobrym obyczajem po odejściu ze stanowisk unika działań, które negowałyby autorytet i władzę jej następców. Jeśli mimo to ponad 200 byłych dowódców, w tym były komendant główny policji i dawni szefowie służb specjalnych i BOR zdecydowało się zwrócić do policjantów i żołnierzy ponad głowami ich przełożonych, można założyć że byli przekonani o ryzyku siłowego rozwiązania konfliktu wokół aborcji i że przekonanie to nie było oparte jedynie na medialnych przeciekach.

W tym momencie musi paść pytanie o zakres autonomii służb bezpieczeństwa i relacje między politycznymi ośrodkami władzy a dowództwem policji. W teorii o żadnej takiej autonomii nie może być mowy. W praktyce mam do czynienia ze zbiurokratyzowaną instytucją, liczącą ponad 100 tysięcy członków, podzieloną hierarchicznie i terytorialnie na wiele szczebli dowodzenia. Każda biurokracja dąży do autonomii, w każdej poza formalnymi celami działania pojawia się z czasem cała grupa celów nieformalnych: maksymalizacja własnej niezależności i ograniczenie odpowiedzialności za swe poczynania, powiększenie zakresu własnych kompetencji, wreszcie stały wzrost dobrobytu jej członków, wzrost przywilejów i ograniczenie obowiązków. Policja nie jest tu wyjątkiem, a w jej interesie nie leży ani otwarty konflikt z większością społeczeństwa, ani otwarte zaangażowanie po stronie żadnej z politycznych opcji. Ostatecznie prędzej czy później władza się zmienia, a służby bezpieczeństwa zostają, to co dziś może przyspieszyć karierę, jutro może ją na zawsze pogrzebać. Powinniśmy pamiętać, że cała kadra dowódcza zaczynała swe mundurowe kariery już po zmianie systemu politycznego w roku 1989, zaś większość szeregowych funkcjonariuszy przyszła zapewne na świat już w neoliberalnej demokracji. Ci pierwsi zdają sobie sprawę, że podległa im organizacja nie jest w żaden sposób przygotowana na wypełnianie swych obowiązków w warunkach stanu wyjątkowego, gdzie posłuszeństwo wobec władzy nie jest wynikiem konformizmu i kalkulacji obywateli, lecz musi być wymuszone terrorem, a każda słabość służb jest pretekstem do „odpłacenia" im za doznane represje. Ma na to zwyczajnie zbyt mało ludzi i środków. Czym innym jest w końcu sama pacyfikacja społeczeństwa (która niestety jest wykonalna stosunkowo małymi siłami), czym innym zaprowadzenie i utrzymanie totalnej kontroli nad 37 milionami wrogich władzy osób, 24 godziny na dobę, 365 dni w roku. Ci drudzy nie są (zapewne poza nielicznymi wyjątkami) fanatycznymi „państwowcami" marzącymi o tym, by narażać zdrowie i społeczną pozycję w obronie obecnego rządu - są zwykłymi karierowiczami, którzy podjęli pracę w policji skuszeni perspektywą pewnego zatrudnienia, służbowych bonusów i wcześniejszej emerytury. Zapewne większość z nich dobrze się odnajduje w liberalnej narracji o policji „służącej społeczeństwu i ścigającej przestępców" i wygodnym życiu w którym można odfajkować służbę i wrócić do domu na kolację, większość nie chciałaby go zamienić na codzienną konfrontację ze społeczeństwem.

Bez względu na to, jaki był rzeczywisty przebieg ustaleń władzy politycznej z dowództwem policji, ich praktyczne rezultaty pojawiły się około 7 listopada. Celem nowej strategii służb bezpieczeństwa miało być zakończenie protestów ulicznym poprzez zastraszenie ich uczestniczek i uczestników. By to osiągnąć, policja wysłała na ulice znaczenie większe siły niż dotychczas, zwłaszcza jeśli chodzi o funkcjonariuszy prewencji, przyjęła też ofensywną taktykę. Odtąd duże oddziały zaczęły się pojawiać już na miejscu zbiórek protestujących, starając się nie dopuścić do ich koncentracji poprzez masowe spisywanie w oparciu o przepisy epidemiczne, odstraszenie potencjalnych uczestników zgromadzeń, a w końcu konfiskatę urządzeń nagłaśniających. Jeśli pomimo tych szykan demonstracji udało się zebrać i wyruszyć, jej trasa była blokowana przez zwarte oddziały prewencji. W przypadku oporu, czy choćby odmowy wylegitymowania, stosowano dość brutalne

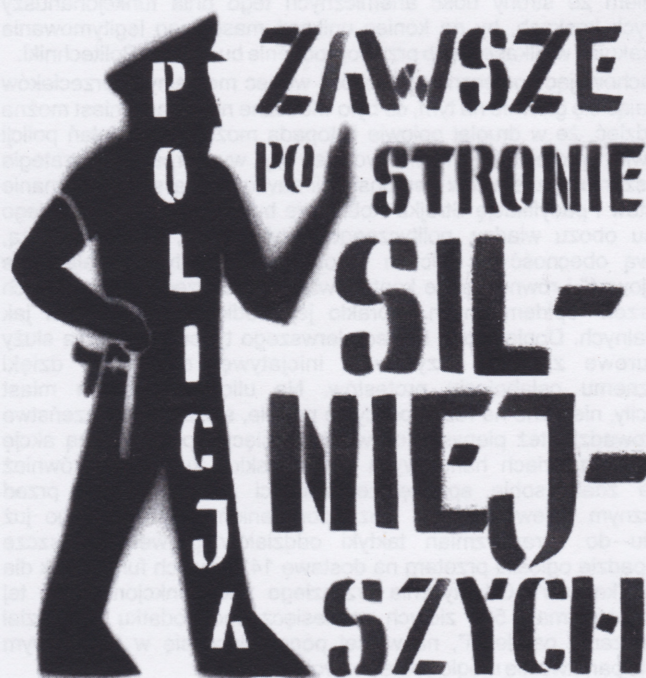
zatrzymania, osoby zatrzymane były przewożone do aresztów odległych od miejsca zamieszkania i tam „rozmiękczane" całonocnym pobytem w celi bez możliwości kontaktu z prawnikiem. Funkcjonariusze zaczęli też wykorzystywać każdy pretekst do interwencji, jak choćby wtargnięcie na jezdnię, odmowę podporządkowania się poleceniom policji czy „naruszenie nietykalności" - nawet tam, gdzie zarzuty te były kompletnie pozbawione podstaw i stanowiły jedynie uzasadnienie dla represji w postaci zatrzymania. Nim jednak represje wobec Strajku Kobiet osiągnęły swe apogeum, miała miejsce pacyfikacja zorganizowanego przez narodowców Marszu Niepodległości. Choć samo to wydarzenie nie miało bezpośredniego związku z protestami kobiet, nie sposób nie zauważyć, że policja wykorzystała przyzwolenie władzy do przeprowadzenia demonstracji siły i symbolicznego przywrócenia swego monopolu na stosowanie przemocy. Odtąd to jej funkcjonariusze, nie zaś narodowcy mieli stać się dla protestujących największym zagrożeniem.

Okresem najbardziej intensywnych działań policji przeciwko protestującym był bez wątpienia tydzień pomiędzy 18 a 25 listopada. To wtedy policja zastosowała znaną z Wielkiej Brytanii taktykę zamykania protestujących na wiele godzin w policyjnych kotłach bez możliwości przemieszczania się, a następnie spisywania wszystkich, którzy zdecydowali się opuścić zgromadzenie. Wtedy również doszło do ataku na uczestniczki protestu ze strony funkcjonariuszy oddziałów antyterrorystycznych, najbardziej brutalnych aresztowań i naruszenia nietykalności posłanek i posłów, biorących udział w protestach. Dopiero zmasowana krytyka policyjnej przemocy w mediach korporacyjnych i niezależnych, działania przedstawicieli opozycji parlamentarnej i aktywność setek osób i organizacji wspierających Strajk Kobiet w mediach społecznościowych, a przede wszystkim zdecydowana postawa samych protestujących, którzy nie dali się sterroryzować i przetrwali falę najbardziej nasilonych represji zmusiły służby mundurowe do ograniczenia ich skali. Prawdą jest, że nawet w tym okresie służby bezpieczeństwa nie wykorzystały całego arsenału dostępnych środków przymusu, lecz prawdą jest również, że w konkretnej sytuacji społecznej i politycznej (a w pewnym stopniu i międzynarodowej) zwyczajnie nie mogły go wykorzystać. Wobec przegranej przez policję bitwy o media i wyrażanego głośno przez polityczną reprezentację (to nowość w historii konfliktów społecznych w naszym kraju), powszechnego, społecznego sprzeciwu w stosunku do działań aparatu państwowo - policyjnego dalsza eskalacja represji, choćby w formie pacyfikacji protestów z użyciem oddziałów prewencji i armatek wodnych czy aresztowania kierownictwa Strajku Kobiet musiałaby doprowadzić do jeszcze liczniejszych wystąpień ulicznych a w konsekwencji - rozlewu krwi i wprowadzenia stanu wyjątkowego bądź wcześniejszego upadku obecnego rządu i nowych wyborów. Na ten poziom eskalacji rządzący nie byli przygotowani politycznie, zaś policja - organizacyjnie.

W związku z tym ostatnie dni listopada i początek grudnia były okresem pewnego spadku napięcia na ulicach i ograniczenia zaczepnych działań sił porządkowych. Byliśmy też świadkami inicjatyw mających na celu obniżenie poziomu konfliktu, jak choćby spotkanie kierownictwa Strajku Kobiet z szefem policyjnych związków zawodowych. Policja ponownie zmieniła taktykę, pomimo kolejnego jej blamażu jakim był atak na posłankę Nowacką, stołeczny marsz w rocznicę odzyskania przez Polki praw wyborczych w dniu 28 listopada odbył się bez tak zdecydowanego przeciwdziałania ze strony służb bezpieczeństwa jak poprzedzające go zgromadzenia. Niejako „w zamian" służby rozpoczęły działania nękające, polegające na zatrzymywaniu w domach sprawców rzekomych „wykroczeń" dokonanych podczas ostatnich protestów. W medialnych wystąpieniach szefów policji i ministerstwa spraw wewnętrznych powróciły zapewnienia o „apolityczności policji", „egzekwowaniu przestrzegania prawa bez względu na przekonania" i woli wyjaśnienia „nieprawidłowości" w działaniach podległych im służb. Najbliższe dni pokażą, co tym razem wyniknie z tych zapewnień.

Trzeba pamiętać, że apogeum demonstracji i związanych z nimi konfrontacji z siłami policyjnymi przypada na okres dramatycznego wzrostu zachorowań na Covid 19 i związanego z nim kryzysu całego aparatu państwa. Jak wynika z informacji medialnych, tylko w warszawskim garnizonie prewencji od kwietnia na koronawirusa zachorowało 368 funkcjonariuszy na 1163, stanowiących stan etatowy oddziału (według decyzji Komendanta Głównego z lutego 2003). Byli wśród nich dowódca oddziału i wszyscy jego zastępcy, z których jeden, mł. insp. Marek Swędrak, zmarł 28 listopada. Brak jest dokładniejszych danych, jednak można się domyślać, że większość z nich zachorowała w okresie konfrontacji ze Strajkiem Kobiet, a zatem stołeczne oddziały do pacyfikacji protestów straciły w tym okresie 1/3 składu. Zmusiło to dowództwo policji (oddziały prewencji stanowią odwód Komendanta Głównego i to on podejmuje decyzję o koncentracji oddziałów z różnych województw) do ściągnięcia do stolicy większych niż zazwyczaj sił z innych regionów kraju i wykorzystania w roli „zabezpieczenia" protestów funkcjonariuszy z innych wydziałów. Sama taka operacja nie jest niczym nadzwyczajnym, wobec liczebności oddziałów prewencji w poszczególnych miastach wojewódzkich praktycznie każdy duży protest uliczny w jednym z nich wymaga wsparcia „turystów" z sąsiednich województw, a nieraz i z drugiego końca kraju. Rodzi jednak określone problemy, związane z komunikacją i dowodzeniem pododdziałami, które na co dzień nie działają wspólnie, logistyką całej operacji i nieznajomością terenu, na którym muszą działać „przyjezdni".

Ogółem, według danych na dzień 1 grudnia 2020, od początku pandemii zakażonych było 12 269 policjantów, z czego wyzdrowiało 10 582. Od marca przymusową izolacją objęto aż 24 318, czyli jedną czwartą formacji. Biorąc pod uwagę, że 80% wszystkich przypadków zakażeń koronawirusem w naszym kraju miało miejsce po 22 października tego roku, można założyć, że w okresie największego nasilenia protestów około 10 tysięcy policjantów zachorowało, a około 20 było na kwarantannie, co oznacza, że w okresie sześciu tygodni Strajku Kobiet mniej więcej 1/3 wszystkich funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa, liczących nieco ponad 100 tysięcy osób, była w pewnym momencie wyłączona z akcji. Z danych, przedstawionych mediom przez Komendę Główną Policji wynika, że każdego dnia od początku pandemii do służby związanej z jej zwalczaniem, a więc przede wszystkim kontrolą przestrzegania kwarantanny i innych obostrzeń, kierowanych jest około 20 tysięcy funkcjonariuszy. Jeśli dodamy do tych liczb 7 tysięcy stanowisk w strukturach policji, czekających na obsadzenie (nabór do służ mundurowych został częściowo wstrzymany z powodu pandemii jeszcze na wiosnę) okaże się, że w krytycznych tygodniach listopada polska policja była



pozbawiona około 35% etatowego składu.

Te kadrowe problemy policji widoczne były również na ulicach. Już podczas wiosennego lockdownu media informowały, że z powodu skierowania wielotysięcznych sił policji do służby patrolowej i kontroli osób przebywających na kwarantannach dramatycznie spadła wykrywalność pospolitych przestępstw kryminalnych. Podczas jesiennych protestów nawet na same działania związane z pandemią brakło wystarczających sił - dość powiedzieć, że w okresie najliczniejszych demonstracji policyjne patrole „lockdownowe" praktycznie zniknęły z ulic polskich miast, a nadzorowanie przez służby mundurowe przestrzegania obostrzeń, narzuconych przez rząd na młodzież, seniorów, czy działalność gospodarczą okazało się czystą fikcją. Również system kontroli osób na kwarantannach, wobec dość powszechnego bojkotu specjalnych aplikacji w telefonach, oparty w większości przypadków o codzienne wizyty policji, w dużej części się załamał. Jeśli już informacja o kwarantannie dotarła z niewydolnego systemu nadzoru epidemicznego do jej funkcjonariuszy, ci zwykle pojawiali się u objętej nią osoby sporadycznie i po wielu dniach. Nic tak nie niszczy autorytetu państwa jak wprowadzania przepisów, których nie jest w stanie wyegzekwować. Nic więc dziwnego, że po doświadczeniach kwietniowego lockdownu, i towarzyszącej mu masowej obecności wszelkich służb mundurowych na ulicach, reakcja władz na jesienną falę zachorowań została powszechnie odebrana jako dowód rozkładu i nieudolności struktur państwa. Również funkcjonariusze skierowani bezpośrednio do zabezpieczenia protestów w stolicy nie

mieli łatwego życia. Jak się wydaje, w pierwszych dniach Strajku Kobiet, gdy gniew protestujących skierowany był przeciwko obiektom sakralnym, budynkom rządowym i innym obiektom, mającym dla rządzących symboliczne znaczenie, „najwyższe czynniki partyjne" wpadły w panikę i wymogły na policji zapewnienie im ochrony nieproporcjonalnej zupełnie do skali zagrożenia. W efekcie setki policjantów przez wiele dni koczowały bez celu pod kościołami (według informacji MSWiA policyjną obstawę dostało dokładnie 386 kościołów), kwaterą główną PiS przy ul. Nowogrodzkiej czy żoliborską willą Kaczyńskiego. Jak głosi anegdota, podczas protestów hodowców kwiatów przeciwko zamknięciu cmentarzy kilkunastu policjantów przez trzy dni pilnowało Urzędu Rady Ministrów, wynosząc sprzed budynku tysiące donic z chryzantemami, dowództwo nie znalazło bowiem nikogo, by ich zmienić. Policyjna ochrona budynku na Nowogrodzkiej, trwająca przez całą dobę przez wiele tygodni wyposażona w radiowozy starsze niż większość protestujących - w listopadzie polska policja zmuszona była sięgnąć do najgłębszych rezerw ludzkich i sprzętowych. Potwierdzają to relacje samych funkcjonariuszy. Jak relacjonowała jedna z gazet, policjanci stołecznego wydziału kryminalnego ku swojemu rozgoryczeniu zostali pozbawieni wolnych weekendów i skierowani do spisywania protestujących w roli zwykłych „krawężników". To wyczerpanie kadrowych i technicznych zasobów policji było widoczne również podczas ostatniego jak na razie dużego protestu w Warszawie w dniu 28 listopada, gdy uczestnicy demonstracji, podzieleni na kilka mniejszych grup, z dość dużą łatwością unikali otoczenia w policyjnych kotłach (a nawet ośmieszyli stołeczną prewencję, zamykając w kotle jeden z policyjnych kordonów) i przez kilka godzin, manewrując po śródmieściu stolicy, umykali przed pościgiem ze strony dość anemicznych tego dnia funkcjonariuszy w białych kaskach, by na koniec uniknąć masowego legitymowania przeskakując w kilkaset osób przez ogrodzenie budynków Politechniki.

Zachowując konieczną ostrożność wobec medialnych przecieków i opierając się głównie na tym, co było widoczne na ulicach miast można powiedzieć, że w drugiej połowie listopada możliwości działań policji przeciwko protestującym praktycznie się wyczerpały - strategia zastraszania uczestników demonstracji zawiodła, na siłowe złamanie protestów i pacyfikację Strajku Kobiet nie było, w sytuacji głębokiego kryzysu obozu władzy, politycznego przyzwolenia, zaś na dalszą, masową obecność na ulicach i kontynuację taktyki „działać, nie negocjować" i równoczesne kontrolowanie przestrzegania rządowych „obostrzeń" epidemicznych zabrakło jej środków, tak ludzkich jak materialnych. Dopiero pod koniec pierwszego tygodnia grudnia służy mundurowe zaczęły odzyskiwać inicjatywę, częściowo dzięki widocznemu osłabnięciu protestów. Na ulice mniejszych miast powróciły, nieliczne na razie, policyjne patrole, służby bezpieczeństwa przeprowadziły też pierwszą od wielu miesięcy, spektakularną akcję kontroli w galeriach handlowych i narciarskich kurortach. Również władza zdała sobie sprawę ze słabości chroniących ją przed społecznym gniewem służb. Poza powołaniem wspomnianego już zespołu do spraw zmian taktyki oddziałów prewencji, jeszcze w listopadzie ogłosiła przetarg na dostawę 142 nowych furgonetek dla „białych kasków". Od stycznia przyszłego roku funkcjonariusze tej formacji otrzymają 500 złotych comiesięcznego dodatku „za udział w zwalczaniu pandemii", na więcej pogrążające się w finansowym kryzysie państwo nie mogło sobie pozwolić.

Nie sposób nie zauważyć, że liberalna narracja, jaka przenika medialne wystąpienia polityków, odpowiedzialnych za służby mundurowe i policyjnych dowódców, nie da się pogodzić z anarchistycznym, czy szerzej progresywnym spojrzeniem na relacje władza - społeczeństwo i rolę w nich ulicznych protestów. W narracji tej „prawo", „ład" czy „porządek" których bronić ma policja podczas ulicznych wystąpień stanowią wartości absolutne, ustanowione a priori i w oderwaniu od społecznego konsensusu, i jako takie podlegają bezwzględnej ochronie. Reguły gry ustanawia tu państwo, społeczeństwo ma ich przestrzegać pod groźbą policyjnych represji. Anarchistyczny światopogląd i dynamika masowych protestów opiera się na innej logice, logice w której wybór celów i form ekspresji społecznego niezadowolenia jest wypadkową powszechnych emocji i wymogów skutecznego działania, jednym słowem to sami protestujący za każdym razem ustalają swój własny, dyktowany potrzebami chwili konsensus akcyjny, sami określają „co wolno" a „czego nie wolno" robić podczas ulicznych protestów, i sami czuwają nad jego przestrzeganiem. Protest w przestrzeni publicznej to zatem moment rewolucyjny, obszar wolnej ekspresji, w którym „wyobraźnia przejmuje władzę."

W liberalnej utopii funkcjonariusze aparatu represji maja pełnić podczas społecznych konfliktów rolę arbitrów, usuwających z boiska graczy dopuszczających się fauli, naruszających zasady gry. Samo zaś państwo jest więc wobec konfliktu czy protestu bytem zewnętrznym, neutralnym, politycznie przejrzystym. W rzeczywistości tak się nie dzieje - trzymając się sportowych metafor, w konflikcie z państwem policja jest zawsze dwunastym zawodnikiem, grającym po jego stronie. Każde państwo, a zwłaszcza autorytarne państwo w którym żyjemy, jest zorganizowaną formą przemocy, każde rości sobie prawo monopolu na posiadanie środków przymusu w postaci aparatu represji. Podstawowym celem jego istnienia jest w ostatecznym rachunku obrona samego państwa, umożliwienie mu egzekwowania swej władzy zgodnie z wolą społeczeństwa, lub wbrew tej woli. Żadne marketingowe tricki nie są w stanie zmienić tego faktu - aparat państwowy sprawuje swą władzę tak długo, jak długo może liczyć na lojalność aparatu przymusu, z policją na czele. Rządzący dobrze o tym wiedzą - nie bez powodu zapewniają swym pupilom w mundurach bezkarność ich pozaprawnych działań i finansowe gratyfikacje, na jakie nie mogą liczyć choćby pracownicy służby zdrowia, walczący z obecną pandemią. Nie bez powodu w wiosennym szczycie zachorowań na koronawirusa, gdy w szpitalach i przychodniach brakowało podstawowego sprzętu, policja dostała nowe armatki wodne i „wozy szybkiego reagowania" dla sił prewencji. Nie bez powodu zomowcy z łódzkiego garnizonu przez całe lato ćwiczyli walkę w szyku i rozpraszanie zgromadzeń, a dziś dostają, w trybie pilnym, nowe kabury na broń i futerały na kajdanki.

Sytuacja, jaką wykreował Strajk Kobiet, pomimo coraz powszechniejszych ingerencji liberalnych polityków, jest wciąż sytuacją rewolucyjną. Bunt kobiet unieważnił wiele z dogmatów krajowej polityki i obyczajowości ostatnich trzydziestu lat, i trudno przewidzieć, ile z nich jeszcze unieważni. W przeciągu sześciu tygodni, jakie minęły od rozpoczęcia ulicznych protestów, padł mit o nietykalności kościoła katolickiego i jego urzędników, z Janem Pawłem II na czele, padło przekonanie o braku zainteresowania polityką, szczególnie w jej radykalnym wydaniu, wśród najmłodszego pokolenia, czy powtarzane niczym mantra przez ostatnie dekady twierdzenie o ogólnej niechęci większości społeczeństwa do wszelkich radykalizmów. Samo pojęcia, takie jak konserwatyzm, liberalizm czy radykalizm uległy przedefiniowaniu. Poglądy i postawy, które przez lata uchodziły za wyznacznik liberalnego światopoglądu, w przeciągu kilku tygodni stały się nieznośnie konserwatywne, te zaś które mainstream uważał za skrajnie radykalne same stały się częścią mainstreamu. Obalone zostało ostatecznie, pielęgnowane przed media i polityków od prawie trzech dekad tabu otaczające uliczne demonstracje, przekonanie że ich uczestnicy to rodzaj społecznego marginesu, „nawiedzeni" aktywiści bądź osoby roszczeniowe, które nie potrafią odnaleźć się w realiach kapitalistycznej konkurencji i nie rozumieją „istoty demokracji".



Według danych rządowych, tylko do połowy listopada w marszach, blokadach dróg i samochodowych przejazdach odbywających się pod hasłem Strajku Kobiet wzięło udział około pół miliona osób. Tym, co wyprowadziło je na ulicę był sprzeciw wobec odebrania kobietom znacznej części z tej resztki praw reprodukcyjnych, które im jeszcze pozostały, i pomimo wszystkich prób skierowania społecznego niezadowolenia na inne, bardziej obiecujące dla polityków mainstreamu tory walka o prawo do legalnej, powszechnie dostępnej aborcji pozostaje głównym hasłem protestów. Dynamika społecznego buntu sprawiła jednak, że bardzo szybko pod sztandarem z czerwoną błyskawicą stanęli wszyscy ci, pragnący wykrzyczeć swą frustrację i sprzeciw wobec polityki władz - porównując protesty do kuli śniegowej, oburzenie po wyroku Trybunału Konstytucyjnego było tym, co wprawiło ją w ruch, a sam ten ruch sprawiał, że stawała się coraz większa. Dla kobiet z małych i dużych miast odebranie prawa do aborcji w przypadku ciężkich wad płodu było kroplą, która przelała czarę - ich protest przeciw orzeczeniu TK stał się wkrótce protestem przeciwko wszystkim rodzajom dyskryminacji, jakiej doświadczają, tak tej codziennej, w miejscach pracy, w patriarchalnych rodzinach i społecznościach, jak i tej systemowej, ze strony równie patriarchalnego państwa. To właśnie dzięki ich determinacji i sile protesty nie wygasły po kilku dniach i mogły nabrać tak terytorialnego, jak i frekwencyjnego rozmachu. Dla młodzieży, która po raz pierwszy tak licznie wyszła na ulice Strajk Kobiet był, jak się wydaje, protestem przeciwko realiom dorastania w klerykalno-patriotycznym skansenie i zaduchowi kierowanej przez religijnego fanatyka edukacji, pokoleniowym buntem przeciw „dziadersom" utożsamianym ze wszystkimi współtwórcami kulturowych i politycznych warunków, w jakich przyszło im żyć. Wreszcie, dla całej rzeszy tych, których na ulice wyprowadził sprzeciw wobec prawicowej ekipy rządzącej krajem i frustracja z powodu nieudolności władz, widocznej na każdym kroku po dziewięciu miesiącach pandemii była to okazja, by przynajmniej symbolicznie, wyrównać swe rachunki z władzą. Tego „pandemicznego" wątku protestów nie powinno się jak sądzę lekceważyć - miesiące życia w poczuciu zagrożenia, codzienna beznadzieja pełzającej kwarantanny, rządzący potykający się o własne nogi lub napychający kieszenie publicznym groszem w ramach „walki z pandemią" wytworzyły w społeczeństwie potężny ładunek frustracji, który eksplodował pod koniec października 2020.

Ta skala społecznego buntu pokazała jak bardzo ułomny jest system liberalnej demokracji parlamentarnej w naszym kraju - ani rządzący, ani opozycja nie zdawali sobie nawet sprawy ze skali niezadowolenia jego mieszkańców, nie wspominając nawet o próbie artykułowania społecznych napięć przez system polityczny. Zaledwie trzy miesiące wcześniej odbyły się wybory prezydenckie poprzedzone kampanią, w której (po stronie obu głównych kandydatów) pełno było tradycyjnych obietnic świetlanej przyszłości i sztucznych uśmiechów na wiecach. Żaden z problemów, które jesienią wyprowadziły ludzi na ulice nie został przez nich nawet dostrzeżony, mimo to jednak cała polityczna elita podkreślała, że wyjątkowo wysoka frekwencja w głosowaniu świadczy o tym, że demokracja działa i ma się świetnie. Społeczeństwo tym czasem wzięło udział w wakacyjnym plebiscycie, choć jego prawdziwe problemy były zupełnie gdzie indziej, nie notowane w sondażach społecznych nastrojów i politycznych preferencji. System partyjny, w teorii stworzony po to, by je rozpoznawać i reprezentować w publicznej debacie zawiódł zupełnie - a świadomość tego faktu, nawet jeśli nie zwerbalizowana, rzutuje teraz na polityczne wybory tak samych protestujących, jak i ogółu społeczeństwa. Znamienny jest fakt, że pomimo powszechnego poparcia trwających już protestów przez liberalną opozycję i obecności, widocznej i aktywnej, jej przedstawicielek na demonstracjach Strajku Kobiet, jej sondażowe notowania nie wzrosły, pomimo załamania poparcia dla rządzących - społeczeństwo znalazło jak widać, tymczasowo przynajmniej, inne kanały ekspresji swych politycznych wyborów.

Podstawowym z nich stał się udział w ulicznych demonstracjach, które podczas pierwszych tygodni Strajku Kobiet stały się rzeczywistą trybuną dla społecznych napięć, frustracji i konfliktów. Atmosfera swoistego karnawału wolności sprawiała, że wiele z uczestniczek i uczestników protestów po raz pierwszy mogło publicznie wykrzyczeć to, co myśli o społecznych relacjach, w jakich funkcjonują, o dominującej kulturze i religii, władzy i jej próbom meblowania zbiorowej wyobraźni nacjonalistycznymi truchłami. Zaowocowało to spontanicznym wybuchem społecznej kreatywności, widocznej w treści transparentów i sloganów. Największą zasługą kierownictwa Strajku Kobiet (i organizatorek lokalnych) wydarzeń było to, że nie próbowały tej kreatywności cenzurować. Przeciwnie, od początku protestów jego przekaz był maksymalistyczny, radykalnie antyrządowy, a w swych wystąpieniach nie przebierały w słowach. Ogólnopolskie kierownictwo Strajku (czy raczej ogólnopolska koordynacja - przytłaczająca większość protestów w całym kraju była inicjatywą lokalnych środowisk, Ogólnopolski Strajk Kobiet był dla nich raczej wspólnym szyldem, niż rzeczywiście nimi kierował) wykazało się w pierwszych dziesięciu dniach protestu zarówno odwagą, jak i politycznym instynktem. Odwagą, gdyż nie zawahało się otwarcie zbojkotować obowiązujących ograniczeń prawa do zgromadzeń, politycznym instynktem - bo oparło się pokusom skanalizowania sprzeciwu wobec przepisów antyaborcyjnych w „cywilizowany protest w granicach prawa", ograniczenia swych postulatów do takich, które dawały szansę na kompromis z rządzących i szukania sojuszu z partiami politycznego mainstreamu. Dzięki temu pozostało, w okresie największego nasilenia ulicznych wystąpień, wiarygodne dla ich uczestniczek i uczestników.

Zabrakło mu jednak woli, a być może politycznej wyobraźni lub zwyczajnie, zasobów na to, by stworzyć rzeczywisty, inkluzywny mechanizm koordynacji protestów w różnych częściach kraju i kolektywnego decydowania o dalszych kierunkach działania. Zabrakło też pomysłu na to, jak poszerzyć społeczną bazę protestów i pomóc grupom i środowiskom, obecnym już na ulicach, w politycznej definicji i wypracowaniu własnych postulatów. Gdyby do akcji pod szyldem Strajku Kobiet dołączyli w tym okresie nauczyciele, środowisko dobrze zorganizowane, skonfliktowane z władzami resortu edukacji i zdolne do zorganizowania skutecznej akcji strajkowej, gdyby to samo zrobiły pielęgniarki i ratownicy medyczni, grupy mobilizujące się do własnej akcji protestacyjnej przeciwko skandalicznym warunkom pracy i płacy, być może skala społecznego buntu byłaby wystarczająca, by doprowadzić do politycznego przesilenia. Gdyby cała ta plejada lokalnych grup i środowisk - uczniów i studentów, drobnych przedsiębiorców dotkniętych lockdownem, wreszcie kobiet z miast Polski B które wsparły protesty, kierując się bardziej emocjami czy klasowym instynktem niż polityczną świadomością potrafiła zdefiniować swe wspólne interesy, cele i polityczne afiliacje, by stać się podmiotami publicznej debaty wynik Strajku mógł być zupełnie inny. Zamiast jednak budować ten szeroki front sprzeciwu w oparciu o rzeczywistą partycypację i wspólne podejmowanie kluczowych decyzji, w pierwszych dniach listopada Ogólnopolski Strajk Kobiet przedstawił pakiet ustalonych w wąskim gronie kierownictwa tej grupy postulatów i ogłosił powołanie swej Rady Konsultacyjnej. Kryteria powołania składu tego ciała doradczego były zupełnie niejasne i niedemokratyczne, cały skład rady, złożonej z aktywistek wybranych grup feministycznych, lewicowych intelektualistów - celebrytów i kilku weteranów i weteranek demokratycznej opozycji, został po prostu ogłoszony bez jakichkolwiek wyborów czy konsultacji. Wywołało to ostrą reakcję wielu grup współorganizujących protesty, przede wszystkim tych o anarchistycznym czy społecznym rodowodzie - w oświadczeniu wydanym przez warszawski kolektyw Syrena można było przeczytać, że skład Rady Konsultacyjnej nie reprezentuje większości środowisk Strajku Kobiet, w szczególności osób LGBTQ, przedstawicielek lokalnych grup oporu z mniejszych miast i związków zawodowych. Poznańskie środowisko Strajku Kobiet, z silną reprezentacją Inicjatywy Pracowniczej poszło krok dalej, powołując własną reprezentację - Wielkopolską Radę Strajku Kobiet. Pod wpływem tej krytyki OSK ogłosiło publiczny nabór nowych członków w skład swej Rady Konsultacyjnej, tłumacząc również, że samo to ciało ma tylko charakter doradczy, bez własnych uprawnień decyzyjnych. Mleko jednak już się rozlało. Wielu szeregowych uczestników protestu uznało powołanie Rady Konsultacyjnej w takim składzie i trybie za zdradę ulicznych protestów i przejaw karierowiczostwa osób, próbujących na fali społecznego buntu powrócić do mainstreamowej polityki. Co gorsza, przepadła szansa na wyłonienie rzeczywistej reprezentacji wszystkich środowisk Strajku i szybkie wypracowanie jego postulatów i strategii dalszego działania - sama Rada Konsultacyjna nie miała żadnego wpływu na dalszy przebieg protestów, zaś wspomniane zaniechania przyczyniły się do zahamowania dynamiki protestów w pierwszej dekadzie listopada.

Paradoksalnie, bezwładność systemu państwowo-policyjnego i brak rozeznania w sytuacji sprawiły, że zaostrzenie represji przeciwko uczestnikom protestów nastąpiło w momencie, gdy na skutek błędów popełnionych przez kierownicze gremia Strajk znalazł się w kryzysie. Policyjna przemoc na ulicach polskich miast zamiast ostatecznie zdławić protesty, dała im tylko nowe paliwo. W rezultacie przez całą drugą połowę listopada sprzeciw wobec brutalności policji i politycznej dyspozycyjności służb mundurowych zdominował przekaz Strajku Kobiet, a w konsekwencji również przekaz mainstreamowych mediów i publiczną debatę.

Początek grudnia przyniósł wyraźny spadek frekwencji na protestach w miastach, gdzie przed miesiącem na ulice wychodziło po kilkadziesiąt tysięcy osób, na ostatnie mobilizacje odpowiada zaledwie po kilka tysięcy. Kierownictwo OSK podjęło za to w końcu próbę poszerzenia społecznej bazy protestów i zaangażowania w nie nowych środowisk. Z poparciem Strajku Kobiet odbył się tygodniowy, wirtualny protest uczniów przeciwko polityce Ministerstwa Edukacji, a w kilku miastach również Marsze Dla Klimatu (warszawska edycja tej imprezy zakończyła się zatrzymaniem kilku osób i złamaniem ręki nastoletniej aktywistce podczas demonstracji solidarnościowej z zatrzymanymi). Trwa mobilizacja przed zapowiadanymi na 13 grudnia demonstracjami

„Idziemy po wolność - idziemy po wszystko" w których swój udział zapowiadają, poza środowiskami Strajku Kobiet, również przedstawiciele regionów i branż gospodarki najmocniej dotkniętych przez antypandemiczne poczynania władz. Czas pokaże, czy działania te staną się dla Strajku nowym impulsem, czy też fala społecznego niezadowolenia, napędzająca go od sześciu tygodni, bezpowrotnie opadła.

Pisząc o Strajku Kobiet pamiętać trzeba, że aktywność jego kierowniczych gremiów sprowadzała się jedynie do kształtowania medialnego przekazu protestów, mobilizacji przed ogólnokrajowymi demonstracjami w Warszawie i prób określania strategii działań przeciwko ograniczeniu prawa do aborcji. Zdecydowana większość akcji w ramach strajku miała lokalny charakter i organizowana była siłami lokalnych grup i koalicji. To właśnie na tym poziomie kształtowała się praktyka niehierarchicznej, sieciowej organizacji społecznego protestu, nowe zasady komunikacji, decyzyjności i podziału zadań. To praktyka tej lokalnej aktywności jest najważniejszym jak na razie z doświadczeń Strajku Kobiet. Skład lokalnych grup organizacyjnych zależał od układu społecznych w konkretnych miejscowościach: w większości małych miast wysiłek ten wzięły na siebie często osoby bez wcześniejszego doświadczenia w organizacji ulicznych wystąpień, często osoby związane wcześniej z KOD i akcjami w obronie sądów, a w wielu przypadkach aktywiści i aktywistki wywodzące się z miejscowych grup antyfaszystowskich, anarchistycznych lub po prostu z niezależnej sceny muzycznej.

W dużych ośrodkach powstawały nieformalne koalicje złożone z organizacji parlamentarnej i pozaparlamentarnej lewicy, grup feministycznych i reprezentujących mniejszości seksualne, jak również „obrońców demokracji", anarchistów i antyfaszystów. Tak obowiązujący w danym mieście konsensus akcyjny, jak relacje z władzami i poziom radykalizmu przekazu zależał od układu sił w takiej lokalnej koalicji. W miastach takich, jak Poznań, Wrocław, czy częściowo Lublin, gdzie opcja wolnościowa była silniejsza niż socjaldemokratyczna i liberalna, przekaz protestów był znacznie bardziej socjalny i radykalny. Poziom organizacji lokalnego środowiska decydował o skali mobilizacji i sprawności działania Strajku w konkretnym mieście. Procentowało tu doświadczenie i kompetencje poszczególnych grup, jak również fakt istnienia gotowych sieci kontaktów i przepływu informacji między środowiskami, tworzącymi organizacyjne zaplecze protestów.

Kwestia komunikacji w dobie pandemii ograniczającej bezpośrednie kontakty i w sytuacji współdziałania wielu organizacji była zresztą kluczowa. Podczas przygotowań korzystano szeroko z kodowanych komunikatorów, co z pewnością przyczyniło się do rozwoju tak samych umiejętności komunikacji i kooperacji, jak i kultury bezpieczeństwa. Tam, gdzie podjęcie decyzji wymagało zgody wielu grup, osiągano ją zwykle w oparciu o konsensus. Dobrą praktyką w zakresie komunikacji było ogłaszanie miejsc zbiórki poszczególnych protestów w ostatniej chwili, by utrudnić koncentrację sił policyjnych, jak również, co miało miejsce w Warszawie - wykorzystanie programu Telegram do komunikacji z uczestnikami protestów w czasie rzeczywistym, i przekazywania im informacji o zagrożeniach ze strony policji i nacjonalistycznych bojówek. Wobec zaostrzenia represji, wielką rolę w Strajku odegrały grupy antyrepresyjne, zorganizowane w wielu miastach w oparciu o lokalny ruch anarchistyczny. Najlepszym przykładem sprawności takich grup był warszawski kolektyw Szpila, który oprócz zapewnienia wsparcia osobom zatrzymanym zajmował się również komunikacją na protestach. W obu tych dziedzinach osiągnął w krótkim czasie wysoką sprawność. Ustalenie personaliów osób zatrzymanych, miejsca ich przetrzymywania i stawianych zarzutów i przekazanie tych informacji protestującym, w końcu zorganizowanie demonstracji solidarnościowej i pomocy prawnej było kwestią godziny. A wszystko to pomimo dużej liczby zatrzymanych podczas równoległych protestów w różnych częściach miasta i skandalicznej postawy funkcjonariuszy policji, którzy pomimo prawnego obowiązku odmawiali podstawowych informacji o zatrzymanych. Trzeba też oddać honor przedstawicielom adwokatury, z których ponad 2 tysiące zgodziło się za darmo reprezentować represjonowanych i pełnić dyżury prawne podczas demonstracji, niektórym posłankom liberalno - lewicowej opozycji, interweniującym podczas zatrzymań, czy przedstawicielkom i przedstawicielom biura Rzecznika Praw Obywatelskich, monitorującym sytuację ofiar policyjnych represji i przestrzeganie ich podstawowych praw. Anegdota z czasów warszawskich protestów mówi, że jedną z „klientek" grupy antyrepresyjnej była żona prezydenta miasta i prominentnego polityka liberalnego, Małgorzata Trzaskowska. Po zatrzymaniu podczas jednej z demonstracji miała ponoć podziękować w mediach społecznościowych Anarchistycznemu Czarnemu Krzyżowi za sprawną akcję ratunkową. Również dzięki aktywności grup anarchistycznych pikiety solidarnościowe i oczekiwanie na uwolnienie zatrzymanych pod komisariatami policji stały się powszechną praktyką Strajku Kobiet. Do dobrych praktyk w zakresie postępowania ze służbami mundurowymi, zaczerpniętych z doświadczeń ruchu anarchistycznego i upowszechnionych wśród uczestniczek Strajku Kobiet można też zaliczyć odmowę przyjmowania mandatów i składania zeznań w przypadku zatrzymania. W dużym stopniu dzięki tym działaniom i praktykom protestującym udało się przetrwać okres najbardziej nasilonych represji. Omawiając doświadczenia lokalnych struktur Strajku w zakresie propagowania solidarności między protestującymi warto wspomnieć inicjatywę organizatorek łódzkich protestów, które w początkowym ich okresie regularnie odwiedzały protesty w innych miastach aglomeracji udzielając w ten sposób istotnego wsparcia kobietom w mniejszych ośrodkach. Na osobne wspomnienie zasługują też lokalne rady strajku, jakie powstały w Wielkopolsce i w Łodzi (we Wrocławiu miejscowe aktywistki opracowały własne, lokalne postulaty w ramach Wrocławskich Rewolucjonistek). Jest to jak na razie najdalej idąca i najbardziej polityczne uświadomiona inicjatywa na rzecz demokratyzacji ruchu protestacyjnego i wypracowania postulatów i programów działania przez same zainteresowane ich realizacją.

Wkrótce okaże się, czy te i podobne inicjatywy spełnią swą rolę jako autentyczne forum dyskusji i podejmowania decyzji dla uczestniczek lokalnych Strajków.

W czasie, gdy powstaje ten tekst, mija siedem tygodni w trakcie których protesty Strajku Kobiet powstrzymują rządzących od publikacji orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, odbierającego prawo do aborcji w przypadku ciężkiego uszkodzenia płodu. Przez równie długi czas uczestniczki protestów kontestują skutecznie nielegalny zakaz zgromadzeń, wprowadzony przez polskie władze. To bez wątpienia wielkie osiągnięcie Strajku, tym bardziej, że poza sprzeciwem ulicy nie ma dziś prawnych ani parlamentarnych możliwości blokowania realizacji zamierzeń władz. To potężny argument za społeczną samoorganizacją i oddolną mobilizacją jako metodą wywierania wpływu na sprawy dotyczące nas wszystkich, bez pośrednictwa partii politycznych i systemu parlamentarnego. Równocześnie półtora miesiąca protestów zmieniło język publicznej debaty, wprowadzając do niej po raz pierwszy od wielu lat tak otwartą krytykę patriarchalnego społeczeństwa. kompromisu aborcyjnego, relacji władza - społeczeństwo czy ingerencji kościoła w politykę i ustawodawstwo. Ujawniło skalę społecznych i pokoleniowych konfliktów, z której mało kto nie zdawał sobie sprawę. To, na ile te osiągnięcia Strajku będą trwałe, zależy teraz od wszystkich, którym zależy na społecznym i obyczajowym postępie - siły reakcji, nie tylko te związane z obozem władzy, już szykują się do odbicia utraconych pozycji.

Strajk Kobiet, największy i najdłuższy z ulicznych protestów ostatnich pięciu lat, udowodnił po raz kolejny, że system partyjnego parlamentaryzmu nie jest w stanie reprezentować społecznych emocji i przekonań, ani zapewnić, że będą się one przekładać na konkretne decyzje władz. Parlamentaryzm bez społecznej samoorganizacji jest tylko atrapą demokracji - partie polityczne, pozbawione stałej presji i groźby wybuchu społecznego niezadowolenia, zawsze będą dążyć do ustanowienia autokracji, zamkniętego systemu w którym pomimo pozorów politycznej konkurencji władzę sprawuje samopowielająca się elita. Historia Polski ostatnich 30 lat to w dużej mierze historia rządów takiej właśnie elity, zrodzonej z porozumienia kierownictwa „Solidarności" z kierownictwem PZPR, a zarazem historia walki tej elity ze wszelkimi przejawami oddolnej organizacji społeczeństwa, mogącymi zagrozić jej pozycji. W tym sensie Strajk Kobiet rzeczywiście jest strajkiem „o wszystko" - o przywrócenie społeczeństwu sprawczości, o radykalną zmianę w relacjach władza - obywatele. Dlatego walka, rozpoczęta 22 października przez polskie kobiety, powinna być sprawą nas wszystkich.

Wila



W czasie jesiennego Strajku Kobiet polska prawica podniosła wielki lament, iż feministki oraz lewactwo wszelkiej maści atakuje kościoły i zapewne zechce je niebawem podpalać, tak jak to miało miejsce przed wielu lat w katolickiej, jakby nie było, Hiszpanii. Niestety, hiszpański scenariusz się nie ziścił, a mityczne ataki na kościoły, tak chętnie przywoływane przez konserwatystów, były zaledwie aktami wandalizmu, bądź prowokacjami w świątynnych murach. Wezwanie do obrony katolickich świątyń przez prezesa Polski nie przyniosło spodziewanych rezultatów, gdyż zamiast wiernych wyborców partii, stawili się tylko narodowcy i stadionowi chuligani, odgrywając tym samym haniebną rolę wiernych, rządowych ujadaczy. By zobrazować, jak realnie wyglądała polityczna walka z kościołem katolickim, postanowiliśmy przypomnieć jak to działo się na Półwyspie Iberyjskim... (Red.)

PŁONĄCE KOŚCIOŁY HISZPANII



Widok na Barcelonę w czasie Tragicznego Tygodnia w 1909 r.

Jednym z moich ulubionych zajęć jest obalanie mitów, jakie krążą w kulturze popularnej. Jednym z nich jest powszechny mit o szalonym antyklerykalizmie czerwonych hord w czasie hiszpańskiej wojny domowej w latach 1936-1939. Jednak palenie kościołów i mordowanie duchownych ani nie rozpoczęło się w 1936 roku, ani też nie było dziełem tylko skrajnej lewicy. Zjawisko to znane jest tu co najmniej od pierwszej połowy XIX wieku, a najpowszechniejsze było w pierwszej połowie wieku XX. Skąd się więc ono wzięło na hiszpańskiej ziemi? Co powodowało, że wierni nagle odchodzili od kościoła i zaczęli go atakować, łącznie z podpaleniami? Dlaczego kler atakował się nawzajem? Dlaczego reżim Franco również więził, torturował czy nawet zabijał księży? Na te pytania postaram się odpowiedzieć w niniejszym tekście.

Ataki na kościoły, łącznie z ich paleniem, są powszechnym i wciąż powracającym argumentem hiszpańskich konserwatystów i katolików, atakującym lewicę i wszelkiej maści wolnościowców. Oczywistym więc jest, iż jeśli konserwatyści i narodowi katolicy mogą oskarżać lewą stronę o palenie kościołów, to można popaść w ten sam błąd, oskarżając ich o niestabilność w Hiszpanii wywołaną wojnami karlistowskimi w XIX wieku (nazwa określająca trzy hiszpańskie wojny domowe z XIX wieku. Konflikt o podłożu ideologicznym i sukcesyjnym nastąpił pod koniec panowania króla Ferdynanda VII pomiędzy karlistami czyli zwolennikami królewskiego brata infanta Don Carlosa a liberałami, zwolennikami królowej Marii Krystyny Burbon i jej nieletniej córki, dziedziczki tronu: Izabeli) czy też o krwawy podbój Ameryki. Ponieważ jest to jednak powszechnie stosowany argument, konieczne jest przedstawienie pewnych faktów, aby obalić owy mit, lub przynajmniej zrozumieć kontekst wydarzeń oraz przyczyny owych wydarzeń.

Palenie kościołów i ataki na kler nie zaczynają się od Drugiej Republiki i lewicy...

Pierwsze kościoły w Hiszpanii wcale nie zapłonęły wraz z nastaniem Drugiej Republiki w 1931 roku, lecz miały miejsce ponad sto lat wcześniej. Duża część ataków na kościół katolicki w Hiszpanii nie miała zbyt wiele wspólnego z samą religią, co bardziej z polityką. Dość dobrze odzwierciedlają już to pierwsze takie wydarzenia, jakie miały miejsce w 1808 roku, w czasie francuskiej okupacji Hiszpanii. Wówczas to debatowano nad tym, czy ważniejsza jest kwestia religijna czy polityczna w stosunku do duchownych, którzy opowiedzieli się po francuskiej stronie. Ostatecznie sprawa ta doprowadziła do zaangażowanie się kościoła w politykę oraz represjami wobec profrancuskich księży. Dwóch z nich, Juana Diego Duro i Cándido Mendivila, zostało straconych w brutalny sposób, poprzez wleczenie przez konie aż do śmierci, prawie 200 księży wygnano zaś z kraju do Francji po rozpoczęciu wojny narodowowyzwoleńczej.

Pierwszym antyklerykalnym atakiem sił lewicowych, czy nawet bardziej liberalnych, można uznać napad na więzienie Świętej Inkwizycji w Madrycie, w marcu 1820 roku, po powstaniu wywołanym przez generała Rafaela de Riego (hiszpański wojskowy, mason i liberał, deputowany Kortezów, stracony w 1823 roku za swą antymonarchiczną politykę. Pieśń jemu poświęcona, *Himno de Regio*, stała się hymnem Drugiej Republiki w latach 1931-1939 - przyp. red) i wymuszeniu na królu powrotu do Konstytucji z 1812 roku. Atak na więzienie Inkwizycji był efektem ogólnej atmosfery, jaka panowała wówczas w Madrycie.

Dwa lata później, w lipcu 1822 roku, znów atakowano świątynie oraz inne budynki należące do kościoła. Sprawcami zajść byli tym razem monarchiści-absolutyści. Gwardia Królewska wywołała w Madrycie powstanie przeciwko monarchii parlamentarnej, w czasie którego partie antyrządowe, kierowane głównie przez absolutystycznych duchownych, zaatakowały budynki kościelne, celem egzekucji na duchownych popierających liberalne reformy. Tak, to nie pomyłka - kler katolicki wyżynał się między sobą! Od 1822 roku trwała radykalizacja obu stanowisk ideologicznych. Liberałowie wybierają religię bez fanatycznych braci i księży, bez klasztorów, w których się schroniły nietolerancyjne doktryny. Rojaliści powtarzają w swoich proklamacjach argumenty w obronie ojczyzny, wolności dla pojmanego króla i wyznania, zauważając, że wolność proponowana przez liberałów prowadzi do moralnej katastrofy. Więc walka staje się prawdziwą krucjatą, by ocalić Hiszpanię przed bezbożnością.

Po śmierci króla Ferdynanda VII i rozpoczęciu się pierwszej wojny karlistowskiej, w 1834 roku, a dokładnie 17 lipca, w Madrycie dochodzi do masakry zakonników, w wyniku której ginie 73 duchownych, a 11 zostaje rannych. Zaatakowano wówczas kilka klasztorów, które stanęły w ogniu. Powodem ataków była plotka o epidemii cholery, którą mieli jakoby wywołać zakonnicy. Mówiono, iż „woda w publicznych studniach została zatruta przez braci". „Rezultatem trwającej niewiele ponad dwanaście godzin przemocy" była „orgia krwi i zemsty". „Był to pierwszy raz, kiedy Kościół został poddany niekontrolowanym postawom swoich wiernych. Wydarzenia te, jak spostrzegają współcześni, ukazały przede wszystkim utratę prestiżu zakonników w katolickiej Hiszpanii, podobnie jak miało to miejsce w innych krajach". W następnym roku do zamieszek antyklerykalnych doszło tym razem w Saragossie oraz w Reus, Barcelonie i innych katalońskich miastach, podczas których zaatakowano liczne kościoły i klasztory oraz zamordowano 70 mnichów i 8 księży. Był to okres powstania przeciwko monarchii absolutystycznej, jakie rozprzestrzeniło się na wiele katalońskich miast, choć najważniejsza była tu Barcelona. Zamieszki, zwane *Bullangues*, trwały od 1835 do 1843 roku.

Przyczyny tych powstań i społecznych zawieruch były odpowiedzią ludu na represje prowadzone przez kościół wobec liberalnych zwolenników monarchii parlamentarnej, represje, które rozpoczęły się już w 1814 r., wraz z powrotem absolutyzmu i trwały przez złowrogą



dekadę (1823 - 1833), obejmując pozasądowe egzekucje, tortury, aresztowania i publiczne poniżenie opozycji politycznej. Poparcie kościoła dla karlistów przeciwko liberalnemu rządowi Hiszpanii doprowadziło do powstania. Tak więc pierwsze duże palenie kościołów miało związek z polityką dynastyczną i starciami monarchistów absolutystów z monarchistami liberalnymi.

Również podczas *la Semana Trágica* (Tragiczny Tydzień trwający od 25 lipca do 2 sierpnia 1909 roku) w Barcelonie, który był wyrazem sprzeciwu klasy robotniczej w związku z poborem do armii rezerwistów na wojnę w Maroku, doszło do wielu ataków na kościoły, klasztory i inne budynki kościelne. Powstanie barcelońskie obejmowało całe spektrum lewicy, z socjalistami i anarchistami na czele, ale również ze znacznym udziałem polityków republikańskich, w tym przywódców Radykalnej Partii Republikańskiej, jak choćby Alejandro Lerroux, który prowadził ataki na klasztory i budynki religijne. W Barcelonie palenie kościołów trwało kilka dni, zaczęło się 27 lipca, gdy wzburzony tłum plądrował kościoły i klasztory, wystawiano między innymi na ulice zmumifikowane ciała zakonnic, a budynki podpalano. Kolejnego dnia nasiliły się walki uliczne a w nocy płonęło coraz więcej budynków sakralnych. 30 lipca, po trzech dniach intensywnych walk i ciągłych podpaleniach kościelnych dóbr, sytuacja nieco się uspokoiła. Po wkroczeniu do miasta nowych kontyngentów wojskowych z Tortosy i Walencji, bunt powoli zaczął wygasać ale w nocy ktoś podpalił jeszcze klasztor dominikanów w Horta.

By zakończyć temat nie-lewicowych ataków na kościół katolicki w Hiszpanii, koniecznie trzeba wspomnieć o zemście generała Franco na księżach, którzy nie poparli wojskowego przewrotu. Głównie chodzi tu o księży z Kraju Basków, za którymi już w 1936 roku, zaraz po rozpoczęciu wojny domowej, ujął się sam papież, wysyłając telegram z protestem przeciwko prześladowaniu księży, którzy nie poparli prawicowego puczu. Główny nurt hiszpańskiego kościoła popierał powstający nowy reżim narodowo-katolicki, ale większość baskijskich duchownych, podobnie jak baskijscy politycy, stanęła po stronie rządu republikańskiego. Zarówno w czasie konfliktu, jak też po zakończeniu wojny domowej i nastaniu długich czterdziestu lat dyktatury, byli oni zatrzymywani, więzieni, torturowani a nawet zabijani. Do dziś tak naprawdę nie wiadomo, ilu księży musiało udać się na wygnanie, oraz ilu doznało zemsty ze strony reżimu Franco, przebywając w więzieniach czy tracąc życie za swą wierność Republice. Byli oni represjonowani w dwojaki sposób - przez zwycięski reżim oraz przez „ich" kościół, który poddawał ich ostracyzmowi, nakładał sankcje kanoniczne czy nawet ekskomunikował. Nigdy nie doznali sprawiedliwości ze strony hierarchii kościelnej, żadnego zadośćuczynienia, nikt ich nie beatyfikował na męczenników, tak jak to miało miejsce w przypadku duchownych ofiar „czerwonych". Claude Bowers, ambasador Stanów Zjednoczonych w Hiszpanii w czasie wojny domowej pisał między innymi: „Ta lojalność katolików baskijskich wobec demokracji przycisnęła do muru propagandystów reżimu, którzy upierali się, że Maurowie i naziści walczyli o ocalenie religii chrześcijańskiej przed komunizmem".

W końcowej fazie istnienia frankistowskiego reżimu powstało w 1968 roku specjalne więzienie w Zamorze, gdzie więziono około stu duchownych, księży i zakonników. Powodami uwięzienia była ich działalność polityczna oraz związkowa, a większość z nich pochodziła z Kraju Basków. Wśród więźniów był między innymi Xabier Amuriza, który spędził tam sześć lat jako ksiądz katolicki, a później opuścił stan duchowieństwa i stał się propagatorem języka baskijskiego oraz znanym twórcą *bertsolari*, specyficznych rymów w języku baskijskim. Więzienie w Zamorze uwiecznił w swym wierszu zatytułowanym *Espainian behera, hor dago Zamora* (*W Hiszpanii, jest Zamora*), w którym opisał swój pobyt w tym niesławnym więzieniu.

Druga Republika, wojna domowa...

Przyjrzyjmy się teraz chyba najbardziej interesującemu okresowi, jeśli chodzi o działania antyklerykalne w Hiszpanii, czyli temu co się działo tuż po powstaniu Drugiej Republiki w kwietniu 1931 roku. Właśnie wówczas wezbrała prawdziwa fala antyklerykalnej przemocy, gdzie w przeciągu kilku dni, w całej Hiszpanii spłonęło około dwustu budynków sakralnych, ale co ciekawe, nie zginęła wtedy żadna osoba duchowna, a śmierć ponieśli uczestnicy zajść.

W przeciwieństwie do prawie wszystkich państw na świecie, Watykan nie uznał Drugiej Republiki a hiszpańscy biskupi zalecali posłuszeństwo nowym władzom, jednocześnie usprawiedliwiając nieuznawanie nowej władzy, twierdząc, że rząd określa się jako „tymczasowy" a król opuścił stolicę bez abdykacji. Kościół, broniąc króla, zachował więc prowokacyjną postawę. Do tego czasu raczej nikt nie przeszkadzał w działaniach kościoła, lecz jego mieszanie się do polityki sprawiło, że ludzie przypomnieli sobie, iż katolicyzm i znienawidzona monarchia stanowiły jedność.

6 maja rząd zadekretował, że religia katolicka nie będzie obowiązkowa w nowej republice (budowa państwa świeckiego), na co kościół ostro zareagował, uznając takie poczynania za niedopuszczalne. Kardynał Pedro Segura, w swoim płomiennym liście pasterskim odniósł się do poważnych anarchistycznych zagrożeń, jakie groziły Hiszpanii, i podziękował uciekającemu monarsze za poświęcenie Hiszpanii Najświętszemu Sercu Jezusa. Wezwał też kobiety do zorganizowania krucjaty modlitw i ofiar w obronie kościoła. Kler niemal jawnie wskazywał na obalenia rządu przez walkę zbrojną.

Zwolennicy starego systemu monarchicznego otrzymali początkowo silny cios po wydarzeniach kwietniowych i przegranej w wyborach, ale wkrótce zaczęli się reorganizować i przygotowywać do stawienia czoła nowej sytuacji oraz przystosowywać się do niej. Kościół był z całą pewnością jedną z instytucji, którą nowe zmiany w państwie najbardziej dotykały. Po stuleciach totalnej dominacji społecznej oraz politycznej, zaczął tracić on swą władzę. Wśród republikanów panował zgodny konsensus co do jednej kwestii, utworzenie laickiego państwa oraz powszechnej, darmowej i świeckiej edukacji, co stanowiło ogromny cios dla kościoła, który do tej pory miał quasi monopol na edukację. Inną kwestią, również drażniącą kościelnych hierarchów, była sprawa rozwodów. Przypomnijmy, iż wśród mas, szczególnie pośród klasy robotniczej, bezrobotnych i części chłopstwa, kościół nie miał zbyt



dobrych notowań i widziały one w nim instytucję, która legitymizowała ustalony porządek społeczny, z góry skazujący ich na ubóstwo z pokolenia na pokolenie.

W Madrycie *chamusquina* (podpalenia) trwały przez dwa dni, pomiędzy 11 a 12 majem 1931 roku, czyli w niecały miesiąc po proklamowaniu Republiki. Wszystko zaczęło się dzień wcześniej, 10 maja, gdy w stolicy, na ulicy Alcalá 67 swe inauguracyjne spotkanie miało Círculo Monárquico (Koło Monarchistów). Młodzi monarchiści wyszli po spotkaniu na ulicę z okrzykami „Niech żyje król!" i „Śmierć Republice!", na co zareagowali pobliscy taksówkarze, krzycząc „Niech żyje Republika!". Doszło do starcia, lecz prawicowcy szybko musieli ratować się ucieczka, gdyż wzburzony tłum gęstniał coraz bardziej. W odpowiedzi na prowokacje monarchistów, zwołano demonstrację przed redakcją monarchistycznej i prawicowej gazety *ABC*, założonej przez Torcuato Luca de Tena. Wejścia do budynku strzegła Gwardia Cywilna, ale mimo tego z górnych okien padło kilka strzałów, które raniły dwie osoby. Władze postanowiły zamknąć redakcję gazety, przetrząśnięto biura, gdzie znaleziono broń i aresztowano Don Juana Ignacio Luca de Tena, właściciela pisma, które przez lata prowadziło prowokacyjną prawicową propagandę. Wieści o tych dwóch wydarzeniach bardzo szybko obiegły cała stolicę.

Następnego dnia doszło już do podpaleń budynków kościelnych, dokonywanych przez niekontrolowane grupy, a tłumy ciekawskich ludzi przemieszczały się od jednej świątyni do drugiej, śledząc na niebie słupy dymu unoszące się z płonących budynków. Tego dnia ogień strawił między innymi Colegio de las Maravillas w dzielnicy Cuatro Caminos, Instytut Katolicki przy ulicy Alberto Aguilera, klasztor karmelitów z Santa Teresa na Plaza de España czy rezydencję jezuitów przy ulicy de la Flor. 12 maja, poranne gazety z dużymi tytułami donosiły o wydarzeniach poprzedniego dnia, co jeszcze bardziej rozjuszyła tłumy. *Solidaridad Obrera*, organ anarchosynadykalistów z CNT, donosiła: „Ludzie! Hordy monarchiczne atakują wolność. Brońcie jej!". *El Socialista* natomiast głosił: „Reakcja zobaczyła , że lud już jej nie toleruje. Spłonęły klasztory: oto odpowiedź ludowej demagogii na prawicową demagogię". Prasa donosiła również o zakonnikach strzelających do robotników i ciskających w nich bombami. Odpowiedź madryckiego ludu była znów tylko jedna: ogień trawiący kolejne kościoły i klasztory. Wieści o wydarzeniach w stolicy szybko rozprzestrzeniły się po całym kraju, gdzie wybuchały kolejne ogniska antyklerykalnego buntu. Kościoły, klasztory i inne budynki sakralne stanęły w ogniu między innymi w Kadyksie, Walencji, Maladze, Sewilli czy Granadzie. Młoda Republika musiała zareagować na taką sytuację, choć zapewne przemoc skierowana w skostniałą strukturę kościoła katolickiego była jej na rękę. Co prawda Manuel Azaña, wówczas minister do spraw wojskowych, powiedział, iż „żaden klasztor w Madrycie nie jest wart życia republikanina", to jednak zgodził się ogłosić stan wojenny, wprowadzając na ulice miast wojsko, które uspokoiło sytuację. Na działania republikańskiej władzy, anarchiści z CNT odpowiedzieli strajkiem generalnym, ale ogień już dogasał...

Tak naprawdę nie do końca wiadomo, czy za tym wybuchem antyklerykalnej przemocy stały jakieś zorganizowane siły, czy może był to spontaniczny odruch społeczeństwa, które miało już dość panoszenia się kościoła? Republikańska lewica i socjaliści mówili o istnieniu spisku monarchiczno-klerykalnego i zinterpretowali te wydarzenia jako ostrzeżenie dla rządu o umiarkowanej polityce. Jednak same akty podpalanie miejsc kultu spotykały się z krytyką i potępieniem ze strony umiarkowanych republikanów: „Płonące klasztory i kościoły nie są ani prawdziwą republikańską gorliwością, ani oznaką zaawansowanego ducha, są raczej prymitywnym lub zbrodniczym fetyszyzmem, prowadzącym do czczenia lub niszczenia rzeczy materialnych" - głosili republikanie ze Zgrupowania w Służbie Republik. Dla katolickiej, konserwatywnej prawicy wydarzenia z maja 1931 roku zachowały się w zbiorowej pamięci, jako pierwszy atak świeckiej Republiki na kościół. Widzieli oni w tych wydarzeniach przede wszystkim spisek lewicy. Co ciekawe, faszystowska Falanga wobec palenia kościołów zachowała całkowita obojętność...

Późniejsze konsekwencje dla Republiki były katastrofalne, o czym pisał pierwszy republikański prezydent, Niceto Alcalá-Zamora: „Stworzyli wrogów, których wcześniej nie mieli i nadszarpnęli dany im kredyt, aż do tego czasu przezroczysty i nieograniczony". Jednak nie da się ukryć również tego, że napięta sytuacja w kraju, prędzej czy później doprowadziła by do takiego niekontrolowanego wybuchu. Jak pisał historyk Stanley G. Payne: „Klimat radykalnego antyklerykalizmu narastał od ponad pokolenia. Jego apologeci zawsze mówili, że jest to nieunikniona konsekwencja „władzy Kościoła" w Hiszpanii".

Według historyka Manuela Alvareza Tardío, który specjalizuje się w badaniach nad hiszpańskim antyklerykalizmem, między lutym a czerwcem 1936 r. doszło do 957 aktów przemocy wobec duchowieństwa, wśród których można wymienić podpalenia kościołów, okradanie ich i niszczenie oraz bezpośrednie ataki na księży, zakonników czy zakonnice. Inny historyk, Eduardo Gonzáleza Calleji, specjalizujący się we współczesnej przemocy politycznej, podaje że



w latach 1931 - 1936 doszło do 2629 morderstw, z czego 1550 zostało popełnionych przez siły porządkowe, a 455 przez Gwardię Cywilną i policję. 90% zabitych stanowili lewicowi bojownicy, związkowcy i anarchiści. Wraz z wygranymi przez Front Ludowy wyborami w lutym 1936 roku, ponownie samoczynnie nakręcała się spirala przemocy wobec kościoła. Premier Manuel Azaña, który wkrótce został drugim prezydentem Republiki, wspominał: „W Alicante spalili kościół. To mnie denerwuje. Irytacja ludu będzie dawać upust w kościołach i klasztorach i okaże się, że rząd republikański narodził się jak w 1931, 'z dymem'. Wynik tego jest godny ubolewania. Wydaje się, że jest to opłacane przez naszych wrogów". Echa podpaleń z 1931 roku wciąż były słyszalne, ale to co wydarzyło się po 17 lipca 1936 roku, było już wielokroć spotęgowane przez rewolucyjny gniew, wzmocniony poczynaniami puczystów. Nie można zaprzeczyć czemuś oczywistemu - 6832 duchownych zostało zabitych podczas wojny domowej, począwszy od 1936 r. Jedna na dziewięć ofiar egzekucji po lewej stronie konfliktu była więc osobą związaną z kościołem katolickim. Do rozlewu krwi dochodzą masowe ataki na obiekty sakralne, przez co nieodwracalnie utracono znaczną część dziedzictwa artystycznego i religijnego z powodu „świętego gniewu", jak ujął to antropolog Manuel Delgado. Nawet jeśli uznamy, że faktycznie miała miejsce masowa przemoc wobec duchowieństwa, dóbr i symboli religijnych to jednak niekoniecznie musi to oznaczać, iż była ona częścią prawdziwego „prześladowania" lub, że jej podstawa była zasadniczo „religijna". Tym bardziej, że była to część projektu zrodzonego u zarania Republiki, którego kulminacją była wojna.

Przemoc antyklerykalna w republikańskim pięcioleciu wiąże się z konfliktami społecznymi i była przede wszystkim odpowiedzią na utrwaloną władzę. Jej szczytowymi momentami były pożary z maja 1931 r. (kiedy kościół nadal był na uprzywilejowanych pozycjach) i październik 1934 r. (pełna rektyfikacja republiki). Fakt, że rewolucjoniści z Asturii rozstrzelali kilku zakonników nie przesądzał, że będzie to coś masowego po powstaniu wojskowym Franco. Druga strona sporu z górnikami z Asturii, zwłaszcza wojskowi typu Yagüe, dali natomiast masowy przykład tego, jak będą postępować z przeciwnikiem. Co znajdzie potem odzwierciedleniem w liczbach ofiar po obu stronach. Podczas tak zwanego „gorącego terroru", po buncie wojskowych, przemoc antyklerykalna była symbolicznym sposobem ludowych komitetów, była pierwszą bronią rewolucji społecznej, której zwolennicy zamachu stanu chcieli niby uniknąć, a którą przyspieszyli. Można by więc pokusić się o stwierdzenie, iż wywołujący wojnę domową siły narodowe pełniły rolę zarówno strażaków, jak i podpalaczy. Pożary świątyń otwierały drogę do mordów na duchowieństwie, w czym pomagała dodatkowo ich koncentracja w zakonach i kościołach, jednak różnorodność regionalna i różne nasilenia przemocy antyklerykalnej nie pozwalają nam na mówienie o działaniach celowych czy mani prześladowczej w stosunku do całego kościoła.



Znaczenie historii

Język którym operujemy jest kluczowym instrumentem walki politycznej, a jego właściwe użycie jest niezbędne w analizie. Zastosowana w naszym przypadku przemoc antyklerykalna lat trzydziestych nie jest zrozumiała bez wpisania jej w tak zwaną „kwestię religijną", wieloletni konflikt polityczno-religijny, który osiągnął punkt kulminacyjny w latach trzydziestych i obejmował dwa aspekty: jeden „z góry" czyli stosunki między hiszpańską i watykańską hierarchią kościelną a rządem i parlamentem, zwanym w Hiszpanii Kortezami, a drugi „ od dołu ", czyli walkę o kontrolę przestrzeni publicznej między bazami katolickimi i antyklerykalnymi. Jedni chcieli zachować status quo a drudzy posunąć się naprzód w procesie sekularyzacji państwa i społeczeństwa. Rewolucja była zdolna wytworzyć zbiorową tożsamość i zmobilizować lub zmienić rozmiar roli człowieka w społeczeństwie, które stawało się coraz bardziej świeckie.

Gdy mówimy o „prześladowaniach religijnych", wchodzimy na grząski grunt subiektywnych przekonań. Bowiem to właśnie takie przekonania posłużyły jako pretekst do wypracowania mitu „krucjaty", zwycięskiej dla puczystów Franco. W tych okolicznościach należy wyjaśnić skalę krwi przelanej przez zakonników i zniszczenia poniesione przez ich majątek i symbole w 1936 roku. Czy istniał na prawdę jakiś plan antyklerykalnych prześladowań w trakcie wojny czy raczej były to spontaniczne działania ludu? Każdy plan prześladowania musi być dobrze zdefiniowany przez jakąś władzę i systematycznie wykonywany przez podwładnych. A jeśli ma charakter religijny, jego ostatecznym celem jest wykorzenienie ich przekonań, wartości i symboli, a w takim przypadku ci, którzy umrą w obronie wiary, nie byliby zwykłymi ofiarami, ale męczennikami. Czy naprawdę o tym można tu pisać i poddawać to pod rozwagę?

W liście pasterskim skierowanym do duchowieństwa hiszpańskiego z września 1945 r., gdy nazizm został już pokonany, prawdziwy przedstawiciel narodowego katolicyzmu, kardynał prymas Enrique Pla y Deniel, nadal łączył w jedno „prześladowania religijne" i „krucjatę", ostrzegając przed nimi i pisząc, że nie można zakwestionować takiej symbiozy: „że czas pokoju światowego to także czas utrwalania się pokoju wewnętrznego w Hiszpanii. Miniona wojna domowa i krucjata stały się zbrojnym głosowaniem, które położyło kres prześladowaniom religijnym. Nie ma powodu żeby to roztrząsać i niepotrzebnie sprawdzać, bo mogłoby to doprowadzić do nowej wojny domowej". Pomysł, który utrzymywał do końca swojego pontyfikatu, w latach sześćdziesiątych XX wieku, kiedy dalej bronił schematu, że wojna była „krucjatą dla Boga i dla Hiszpanii".

We frankistowskiej Hiszpanii bardzo popularna była literatura męczeńska, gloryfikująca ofiary „czerwonego terroru" i w zasadzie była to jedyna dostępna literatura w temacie. Gdy pojawiła się książka amerykańskiego historyka, Herberta R. Southwortha pt. *El Mito de la Cruzada de Franco* (wydana we Francji przez emigracyjne wydawnictwo Ruedo Ibérico w języku francuskim i hiszpańskim), która kompletnie obalała „mit krucjaty" Franco, odpowiedzią reżimu było utworzenie Ministerstwa Informacji i Turystyki, którego szef, Manuel Fraga, stworzył Gabinet Studiów nad Historią, z sekcją poświęconą wojnie domowej, na czele której stanął reżimowy historyk Ricardo de la Cierva.

W ostatniej dekadzie ubiegłego stulecia, gdy mit krucjaty został ostatecznie obalony, pojawił się papież Polak, Jan Paweł II, który chciał wznowić procesy beatyfikacyjne męczenników hiszpańskich, odświeżając ponownie temat „republikańskich prześladowań religijnych". Jego największym orędownikiem był Vicente Cárcel Ortí, który twierdził, iż „prześladowania" rozpoczęły się już w 1931 roku i trwały, aż doszły do „krwawych prześladowań z 1936 roku". Interpretacja tego księdza, mająca na celu usprawiedliwienie beatyfikacji męczenników, ma oczywiste uprzedzenia, wyolbrzymiając obsesję w temacie rządów Republiki wymierzonych w kościół, koncentrując rewolucyjną przemoc na jej antyreligijnych celach i oddzielając ofiary cywilne od religijnych.

Badania mikrohistoryczne pokazują, jak bardzo ówczesna rzeczywistość była zróżnicowana. Jeśli weźmiemy za punkt odniesienia na przykład aragońskie miasto Barbastro, nie byłoby wątpliwości co do takich prześladowań podczas tak zwanego „gorącego terroru", ponieważ 9 na 10 księży zostało tam zamordowanych, jak i siedemdziesięciu ośmiu zakonników. Ale jest to raczej wyjątkowy przypadek. Mniej więcej w tym samym czasie, w połowie sierpnia 1936 r., stracono w Almagro piętnastu dominikanów. Zabito ich, gdy działacze związani z robotniczym Ateneum odkryli, że władze miejskie negocjują z rządem przybycie Gwardii Szturmowej z misją przeniesienia zamkniętych braci do prywatnego domu w Madrycie. W tym mieście, w prowincji La Mancha, księża nie byli prześladowani w żaden sposób, a franciszkanin, który towarzyszył straconym dominikanom, został zwolniony. Almagro była jedną z wielu gmin, w których brakowało brutalnej historii i uczestniczyła w improwizacji „świętej złości" przez niektóre komitety robotnicze, które próbowały pokazać, jak zmieniły się stosunki władzy w praktyce. Pokazuje to również, jak władze miejskie i rządowe nie zapobiegały przemocy. Generalnie kler ginął tam gdzie rewolucja społeczna odnosiła przewagę. Ale demonizowanie tych zajść i powtarzanie jak mantrę o terrorze z 1936 roku jest po prostu nadużyciem.

Ponadto, jak wytłumaczyć prześladowczy i antyreligijny scenariusz, skoro był „inny Kościół", bez wątpienia będący w mniejszość, ale tworzony przez prawdziwych, dysydenckich duchownych wiernych Republice, na których reżim Franco zemścił się za zaangażowanie na rzecz sprawiedliwości społecznej. Jeden z tych księży, Leocadio Lobo, propagandysta sprawy republikańskiej w czasie wojny, wyznał na spotkaniu w Madrycie, że jest po stronie „mas, które buntują się przeciwko absurdalnemu i brutalnemu systemowi gospodarczemu, ponieważ Kościół był u ich boku przez długi czas, chociaż nasz egoizm zapomniał o nauce papieży", a jeśli chodzi o przemoc, przyznał, że obie strony dopuściły się okrucieństw, ale „moralna odpowiedzialność za barbarzyństwo spoczywała na tych, który rozpętali wojnę (...) powstali" - czyli de facto na Franco i jego ludziach.

Z drugiej strony, jak mamy rozumieć republikańskie prześladowania kościoła, skoro to frankistowskie plutony egzekucyjne stawiały pod ścianą straceń księży będących wobec Franco w opozycji (nie tylko baskijskich)? Czy wykonywali oni jakąś konkretną misję „religijną", zabijając na początku wojny pięciu andaluzyjskich pastorów protestanckich i dwóch kastylijskich, podczas gdy inni pastorzy zostali uwięzieni lub musieli się ukrywać? Jak wytłumaczyć to, że po zamknięciu kościołów katolickich w części republikańskiej, po stronie nacjonalistycznej zamknięto szkoły czy kaplice protestanckie otwarte w czasie trwania Republiki? Katolicka ofensywa przeciwko hiszpańskim ewangelistom miała wielkie reperkusje w Wielkiej Brytanii, gdzie grupa anglikańskich księży i metodystów opublikowała raport na początku 1937 r., w którym stwierdziła, że w „Hiszpanii nie ma dowodów na ruch przeciw Bogu, jak w Rosji, i że Republiką rządził wielki duchu tolerancji religijnej".

Należy pamiętać, że Kościół był jednocześnie ofiarą i katem. Różni historycy podali liczne przykłady duchownych, którzy przyłączyli się do powstańców Franco lub stali się niezbędnymi współpracownikami reżimu w procesie ,,oczyszczenia", angażując się w sieć donosicieli, śląc raporty czy listy pełne nazwisk podczas frankistowskich czystek. Francisco Espinosa i José María García Márquez potępili rolę Kościoła w wojskowej maszynerii sądowniczej i czystkach wśród nauczycieli. Julián Casanova uzyskał świadectwo księdza kapucyna Gumersindo de Estella (którego prawdziwe nazwisko brzmiało Martín Zubeldia), kapelana więzienia w Saragossie, który pozostawił spisane wspomnienia pełne odrazy, protestu i prośby o wybaczenie za współudział duchowieństwa w egzekucjach dokonywanych tam na cywilach oskarżonych o sprzyjanie Republice.

Mimo propagandy faszystowskiej literatury męczeńskiej nie było jasnego i ogólnego celu antyreligijnego władz republikańskich. To, co miało miejsce między 1931 a połową 1936 r., było kulturowym zderzeniem między dwoma modelami tożsamości, w konflikcie o koncepcję obywatelską. Jak pokazał Julio de la Cueva, przypadek Hiszpanii nie jest tak wyjątkowy pod względem repertuaru działań podejmowanych przez antyklerykałów lub w odniesieniu do politycznego wykorzystania religii w wojnie domowej. Jego specyfika dotyczy skoncentrowanych w ciągu kilku miesięcy ofiar wśród kleru na początku wojny domowej; i że w przeciwieństwie do rewolucji rosyjskiej czy meksykańskiej, za przemoc w rewolucji hiszpańskiej nie była odpowiedzialna władza republikańska (raczej wówczas osłabiona), ale masy które zemściły się za lata upokorzenia. Inna różnica też nie jest drobna: podczas gdy niektórzy ginęli w imię krzyża, w drugiej połowie Hiszpanii zabijano w ich imieniu.

Julián Casanova jasno podsumowuje stanowisko zajmowane przez hierarchię kościelną i ogólnie kler w odniesieniu do masowych mordów popełnianych przez puczystów Franco:, „Biskupi i większość duchownych byli wspólnikami tego 'gorącego terroru', który nie wymagał procedury ani gwarancji. Publicznie go pochwalili i oklaskiwali".

Palenie kościołów latem 1936 roku, było częścią rewolucyjnego rytuału, tak jak i zabijanie klechów. Ale ani zapalająca pochodnia nie była jednolita, ani wszyscy duchowni nie byli tak samo nękani, a niektóre zakony były bardziej atakowane niż inne. Po wojnie, kościół odbudował swą pozycję i czynnie zaangażował się w prześladowania. Odegrał również bardzo ważną rolę w tłumieniu emancypacji kobiet oraz handlu dziećmi, których rodzice zginęli w czasie wojny lub przebywali w więzieniach. Dziś można by gdybać nad tym, czy tak gorący antyklerykalizm narodziłby się w Hiszpanii, gdyby kościół katolicki zdecydował się pozostać na moralnym gruncie, zamiast stać się aktorem na politycznej scenie. I to według mnie jest kluczowa kwestia, by zrozumieć, dlaczego płonęły kościoły na hiszpańskiej ziemi w przeciągu ostatnich dwustu lat...

NK

(fb: **Hiszpania 1931-1975**)

Anarchia w edukacji...

PYTANIA O SUMMERHILL

Jako anarchista zainteresowany wychowaniem mam poważny dylemat związany z postacią A. S. Neilla i jego koncepcją wolnej szkoły. Z jednej strony, wśród ludzi ruchu anarchistycznego da się słyszeć zachwyty nad Neillem. Z drugiej strony nasi przeciwnicy, nazywający anarchię powszechnym bałaganem, chcąc nas zaatakować, przypisują ideałom anarchistycznym pomysły Neilla i jego szkoły dla „rozpuszczonych" dzieci. Chcę zatem poddać próbie oceny użyteczność eksperymentu pedagogicznego szkockiego reformatora edukacji, którego pomysł owocuje szkołą istniejącą do dziś. Dla rozwiania wątpliwości co do pedagogów rzekomo naśladujących Neilla, czy tworzących szkoły i inne placówki na jego wzór, o czym zdarza mi się słyszeć podkreślę, że na świecie istnieje tylko jedna szkoła Summerhill. Właśnie ta stworzona i wiele lat prowadzona przez samego Neilla. Nie istnieje w świecie żaden ruch naśladowców Neilla. W pewnym sensie szkoda. Być może gdyby istniał, ten zagadkowy pedagog byłby bardziej czytelną postacią.

Od małomiasteczkowego belfra po buntownika

Przyjrzyjmy się w skrócie jego życiu. Alexander Sutherland Neill urodził się w 1883 r. w miasteczku Forfar w Szkocji. Wychowywany był w tradycyjnej kalwinistycznej rodzinie. Rodzicie Neilla byli nauczycielami. Ojciec kierował lokalną szkołą, a matka była nauczycielką do czasu zanim weszła w związek małżeński i zaczęła zajmować się domem. Z gorzką ironią można by rzec, iż Neill był predestynowany do pracy z dziećmi i młodzieżą. Po próbie nauki rzemieślniczych zawodów, młody Alexander został nauczycielem w szkole prowadzonej przez swojego ojca. W wieku 25 lat postanowił wstąpić na uniwersytet w Glasgow. Podjął tam studia z filologii angielskiej.

W roku 1915, gdy piastował on urząd dyrektora małej szkoły napisał swoje pierwsze książki. W języku angielskim dyrektora szkoły, oprócz wciąż używanego słowa *headmaster* określano kiedyś mianem *dominie*. Stąd też książki z tego okresu tworzą cykl, który nazwał *Dominie series*. Była to seria pięciu książek w formie pamiętnika dyrektora małej szkoły pełnych obserwacji codziennego życia, pracy i zachowań ludzi wokół. Powstała ona w latach 1917 - 1924. Seria ta składała się z tytułów: *A Dominie's Log* (Pamiętnik dyrektora), *A Dominie Dismissed*, (Dyrektor zwolniony), *A Dominie in Doubt* (Dyrektor wątpiący), *A Dominie Abroad* (Dyrektor za granicą) oraz *A Dominie's Five*, co w wolnym tłumaczeniu może brzmieć: Piąta część o Dyrektorze. Cykl ten uważany jest za pierwsze publikacje Neilla zawierające jego myśli o wolności dzieci w ich wychowaniu oraz krytyce tradycyjnej szkoły i edukacji.

Neill, w poszukiwaniu idei alternatywnych dla tradycyjnego, nudnego i zarazem opresywnego systemu szkolnictwa rozpoczął podróż po kontynentalnej Europie połączoną z pracą wychowawczą. W roku 1921 współorganizował kierowanie szkołą na przedmieściach Drezna. Szkoła ta nazywała się Dalcroze. Była ona częścią międzynarodowego ruchu w niemieckiej edukacji zwanego Neue Schule. A. S. Neill rozczarował się jednak atmosferą szkoły, która dla niego była wciąż zbyt zorientowana na nauczycieli niż na uczniów. Polityczny klimat wzrastającej inflacji i biedy Republiki Weimarskiej oraz nasilającego się drapieżnego antysemityzmu zmusił go do opuszczenia Rzeszy.

Z perspektywy naszych czasów znów można by gorzko zażartować, że Neill udał się w dalszą edukacyjną podróż z deszczu pod rynnę... Zamieszkał w Austrii. Tam, w położonej wysoko w górach miejscowości Sonntagsberg (tu zapewne bierze początek Summerhill) założył własną szkołę. Kierował nią wraz z Austriaczką Lillian Neustatter, która została jego pierwszą żoną. Okres ten nie potrwał długo. Lokalna społeczność była niechętna szkole sceptycznej wobec nauki religii. Dodatkowo towarzyszące szkole problemy finansowe znów zmusiły Neilla do zmiany miejsca prowadzenia swojego eksperymentu pedagogicznego.

W 1923 r. Neill powrócił do Wielkiej Brytanii. Oddał się tam pracy z dziećmi i młodzieżą, której powszechnie przypisuje się określenie „trudnej" czy „społecznie niedostosowanej". Była to pierwsza założona przez niego szkoła określana mianem Summerhill. Miało to miejsce w miejscowości Lyme Regis, w południowej Anglii. W tym okresie powstało pierwsze znaczące dzieło Neilla pt. *Trudne dziecko*. Przyczyniło się ono do powszechnego zainteresowana działalnością szkockiego pedagoga.

Cztery lata później szkoła Summerhill przeniosła się do Leiston, w hrabstwie Suffolk, miejsca, gdzie istnieje i przyjmuje uczniów do dziś. Warto w tym momencie trochę zatrzymać się nad samą szkołą Neilla i jej charakterem, szczególnie poprzez pryzmat swojej najsłynniejszej książki, którą poświęcił opisaniu swojej szkoły. W 1944 r. pierwsza żona Neilla zmarła. Do końca swojego życia, który nastąpił w 1973 r. kierował on nią wraz z następną małżonką Eną Wood. „Schedę" po Neillu przejęła ich córka.

Autor *Trudnego dziecka* w swoim bestsellerze z lat 60. zatytułowanym *Summerhill* miał z założenia opisać funkcjonowanie swojego eksperymentu szkolnego oraz na czym polega jego fenomen. Jednakże jego najsłynniejsza książka (po polsku ukazała się w 1991 r.), choć jest pozycją, którą dość dobrze się czyta, stanowi raczej zbiór luźnych anegdot niż poważną teorię pedagogiczną. Jest to jej znaczny mankament, który dodatkowo utrudnia rozwianie wątpliwości dotyczących Neillowskich koncepcji wychowania. Bazowanie swoich pomysłów na historiach typu: „Jenny lat 15 przyszła do naszej szkoły i..." czy „Chris, lat 7 z początku miał trudności z adaptacją" itp. w żaden sposób nie ma nic wspólnego z nauką. Poza tym nie są to historie możliwe do potwierdzenia. Wiara autorowi na słowo raczej nie może nam wystarczać. Problem słynnej książki Neilla obrazuje stan wykładów na kierunkach pedagogicznych wielu polskich szkół wyższych. Wykładowcy zasłaniający się mianem „praktyków" odżegnują się od teorii naukowej i kryją swoje nieuctwo oraz ignorancję gawędziarstwem o rzekomo prawdziwych dzieciach i młodzieży, z którymi na co dzień pracują w szkolnictwie. Problem, który zżera polską pedagogikę od lat, w książce *Summerhill* kwitnie już w pełni. Sam autor, również niejednokrotnie tłumaczy się tym, że nie interesuje go teoria. W ten sposób sam sobie zaprzecza, gdyż na stronach swojej publikacji



Alexander S. Neill prowadzi lekcje w Summerhill. Lata 30. XX w.

niejednokrotnie wykazuje się skonkretyzowaniem swoich zainteresowań prądami w wychowaniu. Tu na chwilę zatrzymam się nad teorią, z której czerpał Alexander Neill.

Od Zygmunta Freuda do Homera Lane

Kraje anglosaskie nie używają słowa „pedagogika". Słowo to dominuje w kontynentalnej Europie. W krajach z wiodącym językiem angielskim mamy prymat słowa *education*, a *pedagogy* jest sztucznym zapożyczeniem i znacznie mniej używanym pojęciem. Można by zadać sobie pytanie, jakie to ma znaczenie. Owszem ma. Osobiście nie lubię bezsensownego porzekadła „zwał jak zwał", gdyż z góry odrzuca ono wszelką refleksję nad znaczeniem słów. Skutkiem tego iż *pädagogik* (niemieckie słowo zapożyczone rzecz jasna z greki), które zdominowało europejską filozofię wychowania nie dotarło na wyspy brytyjskie ani do USA, Australii i innych podobnych kulturowo obszarów, sprawami wychowania w tych krajach nie zajmuje się żadna nauka zwana pedagogiką. W krajach takich jak np. Polska czy Niemcy, pedagogika zaliczana jest (m.in. wraz z psychologią i socjologią) do tzw. nauk społecznych. W wyżej wymienionych krajach po prostu nie istnieje. Jej sprawami zajmuje się np. psychologia. Tak też było u Neilla. W tworzeniu zrębów swojej koncepcji wychowawczej kierował się teoriami Zygmunta Freuda i stworzoną przez niego psychoanalizą. Choć mój sceptycyzm co do pseudoanukowego charakteru psychoanalizy każe mi negować wszystko co z nią związane, uważam, że w wychowaniu każda metoda jest dobra jeśli skutecznie pozwala dać wolność dzieciom i młodzieży. I tu dałem szansę Neillowi. Niestety, mocno się zawiodłem. Już na początku lektury opowiada on dość zagadkowe historie o swoich sukcesach terapeutycznych.

Szkocki pedagog i psycholog wspomina, jak to gdy do jego szkoły trafiali uczniowie z różnymi życiowymi traumami, dostawali od niego ofertę P. L. czyli *Private Lessons*, mającymi być w praktyce sesjami terapeutycznymi. Neill chwali się, jak to „wyleczył" te dzieci z ich problemów i po kilku czy kilkunastu sesjach nagle stawali się gotowi do bycia uczniami Summerhill... Bez względu na to, na ile szanuję psychoanalizę czy nie, brzmi to absurdalnie. Traumy życiowe, szczególnie te z dzieciństwa czy wczesnej młodości, nieraz wpływają bezpowrotnie na nasze dalsze życie. Trudno mówić o ich zupełnym wyleczeniu. Poza tym, gdyby „lekcje prywatne" dawane przez Neilla swoim uczniom były tak skuteczne, wszyscy psychoterapeuci w Anglii straciliby pracę... Te trudne do potwierdzenia w jakikolwiek sposób opowieści pachną nie tylko przechwałkami, ale i dziwaczną szarlatanerią. Moim zdaniem już dyskredytuje to Neilla jako jakikolwiek wzór do poważnego traktowania i naśladowania. Osobiście broniłbym zwolenników psychoanalizy w wychowaniu przed skojarzeniami z Neillem, nawet jeśli się z nimi nie zgadzam. Nie każdy psychoanalityk opowiada historie o swoich cudownych mocach i zdolnościach...

Poza tym, *Summerhill*, choć będąca pozycją pełną świetnych fragmentów na temat krytyki rodziny, negacji tzw. tradycyjnych „wartości", buntu wobec opresji „normalnej" szkoły, fragmenty te psuje wplatanie w nie wątków najbardziej stereotypowych dla freudowskiowich koncepcji psychologii człowieka. Neill, zamiast rozwijać swoją nieraz genialnie buntowniczą myśl, sprowadza ją na manowce pułapek freudowskich absurdów. Na ten przykład, w jednym z rozdziałów, ważny temat jakim jest opresywność instytucji rodziny ogranicza do terroru oduczania dziecka ssania kciuka, przypisując temu jakieś magiczne znaczenie dla wadliwego rozwoju seksualności w dalszym życiu dziecka. Lata sześćdziesiąte XX w. (*Summerhill* ukazało się w 1960 r.) były czasem gdy były już znane postpsychoanalityczne teorie wychowawcze Erika Eriksona. Poważnie oczyściły one psychoanalizę z obsesji seksualnych Freuda, co mocno odczarowało zły wizerunek tej szkoły psychologii. Czy Neill ich nie znał? Śmiem wątpić. Mniemam, iż raczej z konserwatywnym uporem tkwił w schematycznych wynalazkach Freuda.

Ciekawym wątkiem w zainteresowaniach szkockiego reformatora szkolnictwa była inspiracja Homerem Lane'm - innym przedstawicielem pedagogiki wolnościowej. Neill poznał Lane'a osobiście gdy odwiedził jego Little Commonwealth (Mała Wspólnota), czyli ośrodek wychowawczych będący eksperymentem pedagogicznym w rodzaju dzisiejszych szkół czy przedszkoli demokratycznych. Ten przybyły na Wyspy Amerykanin z konserwatywnego, protestanckiego stanu Nowej Anglii, zapewne z powodu podobnej historii życia rodzinnego od razu odnalazł wspólny język z Neillem. Lane, również zainteresowany psychoanalizą, pracujący jako terapeuta, założył jedną z pierwszych placówek gdzie dzieci same stanowią o zasadach i warunkach jej funkcjonowania. Było to inspiracją dla najistotniejszego i najciekawszego elementu szkoły Summerhill jakim był jej samorząd, o czym wspomnę później.

Lane pracował jako psychoterapeuta tzw. „trudnej" młodzieży. Doświadczenia z kontynentu północnoamerykańskiego wykorzystał w Little Commonwealth, która była samorządną, koedukacyjną wspólnotą takich właśnie wychowanków w Dorset, w Anglii. Dzieci te nazywały go „tatusiem", a jego stosunek do nich miał charakter niemalże rodzinny. Rodzinny nie tylko w znaczeniu dawania ciepła i opieki, ale i bezwzględnej szczerości jaka może mieć miejsce tylko w stosunkach rodzinnych. Neill w swoich wspomnieniach o Homerze Lane pisze, iż nigdy tak jak swój mistrz nie postawiłby się wobec swoich uczniów w roli ojca, na czym - jak pokornie przyznał - być może straciła jego szkoła. „Mała wspólnota" borykała się z brakiem akceptacji brytyjskich władz oświatowych, a sam Lane poddany, najprawdopodobniej sfabrykowanym oskarżeniom o stosunki seksualne z dwójką uczennic. Zakończyło to jego karierę jako wychowawcy dzieci i młodzieży. Oddał się więc pracy terapeuty osób dorosłych (nad czym ubolewał Neill, uznając to za wielką stratę dla młodych) co zakończyło się kolejnym procesem sądowym i wydaleniem Lane'a z Wielkiej Brytanii. Jak widać, wolnościowi pedagodzy nie mają lekkiego życia... Nie chcąc dłużej pochylać się nad jego postacią, gdyż jest to potencjalny materiał na inny tekst, zaznaczę tylko kolejną sprzeczność postaci A. S. Neilla. W *Summerhill* twierdzi on, że czerpie z Lane'a zaledwie trochę. Inne źródła (w tym jeden z tekstów samego Neilla), twierdzą, że pozostawał pod jego przemożnym wpływem.

Czy znamy szkołę Summerhill?

Próba odpowiedzi na to pytanie nie należy do najłatwiejszych. W publikacji poświęconej właśnie swojej szkole, Neill nie poświęcił zbyt wiele szczegółom zasad i praw rządzących jej codziennym funkcjonowaniu. Pisze on o tym właściwie pobieżnie, niemal jako przerywnik w swoich buntowniczych rozważaniach na temat wychowania przeplatanych licznymi anegdotami. *Summerhill* nie jest tak czytelną i jasną lekturą jak *Escuela Moderna*, najbardziej anarchistycznego pedagoga - Francisco Ferrera. U tego drugiego, w dużo krótszej publikacji, czarno na białym mamy wypisane czym charakteryzuje się jego idea, oraz jak rozwinęła się sieć szkół ferrerowskich. Neill nie chciał chyba zdradzać szczegółów codziennego życia i wychowania w Summerhill. Poza mglistymi wzmiankami o tym, że zasadą jest cisza nocna na głównym korytarzy po godzinie 22.00, czy ścielenie łóżek do 9.30, kiedy to zaczynają się lekcje lub zakaz wchodzenia na dach, nie wiemy wiele o tym czym zajmowali się uczniowie i uczennice tej szkoły. Wiemy poza tym, iż uczniowie i uczennice mieszkają w szkole przez cały okres nauki. Obecność zasad zaprzecza jednak oskarżeniom krytyków Neilla o zupełny bezład jaki przypisują oni szkole Summerhill.

Ważną częścią szkoły Summerhill jest jej samorząd i prawdziwie demokratyczny charakter. Neill mimo piastowania funkcji dyrektora dawał takie samo prawo głosu siedmioletniemu dziecku jak i sobie, czy zatrudnionym w swojej szkole nauczycielom. Mimo krytyki brutalności systemu kar jaką często spotykamy na kartach książki, Neill wspomina iż samorząd szkoły dopuszczał kary, jeżeli uznał, że ktoś, zarówno z dorosłych, jak i dzieci złamie zasady wyznaczone przez społeczność. Zebrania samorządu to jednak element rutyny, próba sformalizowania codzienności. Bardzo ciekawym elementem wprowadzającym demokrację w życie uczniów i uczennic były przedstawienia teatralne. Polegały one na wystawianiu sztuk napisanych przez samych uczniów, co oprócz możliwości twórczej ekspresji wyrażało ich swobodę w codziennym współtworzeniu życia szkoły.

Uczniowie Summerhill nie muszą chodzić na lekcje. Uczęszczają jedynie na te, na które mają ochotę. Pracownie artystycznego rękodzieła stoją przed nimi otworem i mogą w nich wykonywać prace plastyczne, z których powstają wystawy. Jest to również ciekawy element, aczkolwiek Neill zaznacza, iż mimo częściowego, czy też nieraz zupełnego braku podejmowania „książkowej" edukacji (przykłady dzieci nie chodzących na lekcje nawet przez kilka lat) uczniowie jego szkoły świetnie wypadali na państwowych egzaminach końcowych, jakie mimo wolnościowego charakteru wymuszała na niej brytyjska oświata. Jest to zastanawiające. Zgodnie z Neillem wierzę, iż materializm dydaktyczny i przeładowanie uczniów tzw. „podstawą programową" jest zarówno bezsensowny jak i stanowi formę przemocy. Trudno mi jest jednak uwierzyć jak możliwe jest przygotować uczniów nie uczących się w sposób tradycyjny do egzaminów opierających się w dużej mierze na takiej edukacji. Neill jeden z rozdziałów *Summerhill* poświęca relacji dwójki inspektorów brytyjskiej oświaty po wizycie w jego szkole. Mimo wielu bardzo pozytywnych opinii jakie w niej zawarli, wyrazili oni niepokój znikomą ilością godzin tradycyjnych przedmiotów, na jakie mogą uczęszczać dzieci kiedy tylko chcą. Podali oni przykład jednej z najstarszych uczennic, która mając ogromne braki w nauce języków, nagle postanowiła nadrobić te straty. Nie miała ona ich zdaniem szansy nadrobić swoich braków, gdyż lekcji języków obcych było zwyczajnie zbyt mało.

Rzeczą, w której absolutnie nie zgadzam się z Neillem jest negacja potrzeby nauczania. Uważał on, że uczenie czegokolwiek jest z gruntu złe. Na kartach swojej najsłynniejszej książki krytykuje on koncepcje dydaktyczne mające ułatwiać nauczanie. Neguje on znany na całym

świecie system Marii Montessori, gdyż poprzez uprzyjemnienie pracy uczniów, jest on zdaniem Neilla, zaowalowaniem nauczania, czyli wciąż złem... Nie chodzi tu o to, czy ktoś jest entuzjastą słynnej włoskiej pedagożki czy też nie. Uważam, że warto uczyć. Jest mnóstwo ciekawych treści jakie można przekazywać dzieciom czy młodzieży w przyjemnej formie. Niech wybierają czego chcą się uczyć, ale jednak niech się uczą, w sposób wolny od nudy i przymusu. Poza tym, jest kolejna wewnętrzna sprzeczność Neilla. W innym fragmencie pisze on o tym, że jedynymi uznanymi za potrzebne w szkole Summerhill przedmiotami są czytanie, pisanie i algebra. Czyli jednak Neill uczył... Mało tego. Sam był w swojej szkole anglistą i matematykiem. Przyznaję trochę rację krytyce jego koncepcji. Jeżeli było coś chaotycznego w Summerhill, to był to sam jej twórca. Opowiada on również o licznych przykładach jakże słusznego uświadamiania uczniów i uczennic o zdrowym charakterze naturalnej czynności jaką jest masturbacja. Jest to też nauczanie. Edukacja seksualna jest również jego formą i często bywa przedmiotem szkolnym w cywilizowanych systemach oświaty.

Neill nie wyrażał nadziei na przesadne zainteresowanie świata jego szkołą. Podkreślał nawet, że nie jest to dla niego najważniejsze. Być może to tłumaczy fakt niechęci do dzielenia się szczegółami na temat funkcjonowania szkoły. Mimo to, chciałbym by sukcesy jego szkoły były prawdziwe, aczkolwiek ciężko się o tym przekonać. Neill przyznaje się do wielu swoich porażek. Pisze, że był zmuszony czasem odsyłać dzieci ze zbyt trudnymi zachowaniami do domu. Jest to dla mnie najbardziej smutne i zastanawiające. Jakże często słyszymy o takich porażkach pedagogów, którzy nie poradzili sobie z „trudnymi" dziećmi i zupełnie odcięli się od pracy wychowawczej z nimi, np. poprzez odesłanie do innej placówki, do której dziecko „nie pasowało"... Choć Neill ubolewa nad dziećmi, które odesłał do domu, jak wiele było tych dzieci zapewne pozostanie tajemnicą, którą zabrał ze sobą do grobu.

Kanadyjski dokument

Jedną z najskuteczniejszych technik w badaniach pedagogicznych jest obserwacja. Znacznie bardziej cenię ją niż wspomniane już gawędziarstwo i sypanie anegdotami o wychowankach, z którymi rzekomo się przesiadywało. Taką obserwacją okazał się film dokumentalny o Summerhill z 1966 r. w reżyserii Dennisa Millera, zrealizowany dla kanadyjskiej telewizji. Daje on możliwość choć krótkiej, ale treściwej obserwacji życia w Summerhill. Jest to jedna z nielicznych takich dokumentacji działalności szkoła za życia jej twórcy i założyciela. Film wbrew krytykom A.S. Neilla nie przedstawia zbuntowanej, „trudnej" czy „zepsutej" grupy dzieci i młodzieży. Atmosfera szkoły jaką widzi się jest spokojna. Z jednej strony przywodzi na myśl uczucie wiecznych wakacji na jakich są uczniowie Summerhill, co było by spełnieniem marzeń i ideałów szkockiego pedagoga. Z drugiej strony widzę jednak pewien marazm i znudzenie jakie mogło dawać się we znaki uczniom. Poza pełnymi życia i głodu ruchu najmłodszymi dziećmi, które oddają się licznym zabawom, nie widać zbyt wiele entuzjazmu. Starsi uczniowie zdają się być mocno apatyczni. Być może jest to błędne wrażenie. Ten jeden z nielicznych filmów dokumentalnych jest zbyt krótki, by móc wyrobić sobie możliwość jakiegokolwiek osądu. To kolejny powód, by twierdzić, że na temat szkoły w Leiston jest więcej pytań niż odpowiedzi. Mój największy niepokój budzą wypowiedzi niektórych uczniów. Jedna z uczennic w filmie, na pytanie czego brakuje w Summerhill mówi, że przedmiotów ścisłych, których bardzo chciała by się uczyć. Jest to kolejne zaprzeczenie sukcesów Neilla, jakimi się chwalił na kartach swojej najsłynniejszej książki. Inny uczeń z kolei mówi, że w ich szkole „nie ma seksu", w przeciwieństwie do zwykłych szkół, do których uczęszczają jego rówieśnicy. Byłoby to znów sprzeczne z twierdzeniem Neilla, że rozwiązał on problem seksu wśród swoich uczniów tworząc udaną i idealną koedukację.

Nie chcąc wygłaszać konserwatywnych tez o tym, iż „dzieci potrzebują zasad", czy, że „w wychowaniu musi być dyscyplina", nie umiem jednak obronić szkoły Summerhill. Jej twórca pozostawił po sobie zbyt wiele niejasności i niedopowiedzeń, o czym świadczy również wspomniany film.

Anarchista czy nie?

Neill bywa określany myślicielem chrześcijańskim. Mimo oczywistych traum, jakie z pewnością dostarczyło mu dorastanie w kalwinistycznej rodzinie, w jego poglądach przebrzmiewają poglądy religijne. Nazywał kodeks karny „niechrześcijańskim". Myślę, że z tym stwierdzeniem zupełnie nie zgodzi się wielu anarchistów. Wiele przypowieści i historii z Biblii ma charakter pouczający przez straszenie karą, potępieniem i zagładą. Neill, będąc sceptycznym wobec zorganizowanych wyznań uważał jednak religię za coś zupełnie naturalnego dla człowieka. W *Summerhill* wyraził nawet marzenie o powstaniu religii, w której miejsce bogów zajmie człowiek. Nie wiem na ile to humanizm, na ile egoizm, na miarę pseudo myślicieli w rodzaju Antona LaVeya. Uważam, iż anarchizm wyklucza wszelką religię jako formę reprodukowania władzy.

Poza tym, ciężko nie mieć wrażenia o liberalnych tendencjach Neilla. Opisując swoją szkołę ubolewa on nad swoim błędem, jakim było dopuszczenie do sytuacji nierówności klasowej w Summerhil. Miał on polegać na tym, iż pokojówki - kobiety z klasy robotniczej zatrudnione w szkole, ciężko pracowały nad utrzymaniem porządku i czystości w pokojach, podczas gdy uczennice z bogatych domów nigdy nie nauczyły się nawet ścielić łóżek. Mimo pokory i samokrytyki, pytanie czyja to wina chyba nie wymaga odpowiedzi. Neill zaznacza również, że póki władze oświatowe dadzą mu spokój i będą go tolerować, on nie chce nic więcej od życia poza prowadzeniem swojej szkoły. Wygląda mi na to typowo liberalną zachowawczość na miarę dzisiejszych organizacji mieniących się mianem NGO. Póki dostajemy granty, nie zmieniamy świata. Neillowi pod tym względem daleko było do rewolucjonisty, jakim winien być anarchista.

Wróćmy jednak do pytania: czy Neill był anarchistą? Jeżeli miałbym się do niego ustosunkować, zaryzykowałbym określenie zagadkowej postaci Neilla jako liberała o chrześcijańskich zapędach zapatrzonego w prawidła psychoanalizy. To dziwne połączenie nie jest moim zdaniem bliskie wizerunkowi anarchisty, który winien charakteryzować się racjonalnym myśleniem, które jest jedyną drogą ku wolności od uciskającego nas sztucznego świata. Owszem, niektórzy anarchiści czerpali z Neilla, uznając go za wzór. By podać przykład z „górnej półki" wspomnę o Ethel Manning - brytyjskiej pisarce beletrestycznej. Do wielu jej zasług dla ruchu anarchistycznego należy m.in. napisanie powieści biograficznej o życiu Emmy Goldman, czy też propagowanie na Wyspach Brytyjskich działalności rewolucyjnej hiszpańskich anarchistów z CNT - FAI podczas słynnej wojny domowej. Ethel Manning w swoich tekstach publicystycznych otwarcie broniła Neilla przed krytyką i oskarżeniami o „psucie" młodzieży. Wysłała nawet własne dzieci do szkoły Summerhill. Nie musi go to od razu jednak czynić anarchistą. Trudno też nadawać komuś takie miano, jeżeli sam otwarcie nigdy w pełni tego nie przyznał. Owszem, w wielu miejscach anarchiści mogą się z nim zgodzić. Krytykował wojnę, powszechny militaryzm świata oraz antysemityzm. Piętnował patriarchat oraz wychowywanie dziewczynek na „grzeczne" i usłużne mężczyznom. Ubolewał również nad tym, iż wciąż istnieje paskudna praktyka polowań na zwierzęta nazywana sportem. Nie czyni go to od razu wywrotowcem. Z perspektywy naszych czasów widzimy jak wielu liberałów chętnie godzących się na nieludzki, kapitalistyczny porządek świata głosi podobne poglądy, co nie czyni ich w żaden sposób rewolucjonistami.

Początkiem XX w. w okresie rozkwitu szkół ferrerowskich, amerykański periodyk *The Tacoma Times* w jednym z numerów z 1909 r. określił Ferrera „tym, którego świat nazywa Tołstojem Hiszpanii". Zapewne chodzi o skojarzenie ze szkołą Tołstoja w Jasnej Polanie. Ferrer był jednak zbyt racjonalnym myślicielem i działaczem by móc porównywać go z mocno rozchwianą osobowością wiecznie zmagającego się z wewnętrznymi rozterkami Lwa Tołstoja. Jeżeli jednak mielibyśmy szukać „Tołstoja Anglii", był nim Alexander Sutherland Neill.

R. T.

Źródła:
https://education.stateuniversity.com/pages/2292/Neill-S-1883-1973.html [dostęp: 14.10.2020]
A.S. Neill, *Recollecting Homer Lane* [online:] https://libcom.org/library/recollecting-homer-lane, [dostęp: 16.10.2020];
A.S. Neill, *Summerhill*, Katowice, 1991;
B. Pateman, No *More Mimosa by Ethel Mannin: A re-consideration and appreciation* [online:] https://www.katesharpleylibrary.net/sbcdk6, [dostęp: 19.10.2020];
D. Wills, *The legacy of Homer Lane* w: *Anarchy* nr 39, 1964;
J. Saffange, *Alexander Sutherland Neill* [online:] http://www.ibe.unesco.org/sites/default/files/neille.PDF, [dostęp 14.10.2020].



Z kart historii...

FERDINAND GROSS (1908-1998)

z życia austriackiego anarchisty i antymilitarysty

12 stycznia 1998 roku, na miesiąc przed swoimi 90. urodzinami, zmarł jeden z ostatnich działaczy „starej gwardii" ruchu anarchistycznego w Austrii. Niektórym znany był jako wydawca gazety *Befreiung* (Wyzwolenie), która ukazywała się przez dwadzieścia lat, innym z anarchistycznych lub prywatnych spotkań. Prawdopodobnie nikt, kto znał go osobiście, nie zapomni jego niezwykłej energii i stałej gotowości do przekonywania innych. Jakże nieistotna dla niego była historia jego własnego życia, uświadomiłem sobie dopiero wtedy, kiedy chciałem napisać niniejszy tekst. Mogłem wspominać godziny rozmów o aktualnych problemach lub napisać o anarchizmie, jednak musiałem zebrać więcej szczegółów o jego życiu, na którego to przykładnym i wzorcowym prowadzeniu tak bardzo mu zależało, przy pomocy licznych notatek sporządzanych podczas niezliczonych rozmów oraz zapisów ze starych kaset w 1986 i 1989 roku.

Ferdinand Karl Gross - jak oficjalnie brzmi pisownia jego nazwiska - urodził się w Wiedniu 11 lutego 1908 r. jako dziecko kapelusznika Wenzela Grossa i gospodyni domowej Marii Gross z domu Kreusel. Miał mniej niż jedenaście lat, kiedy skończyła się pierwsza wojna światowa, której to skutkiem był wybuch niszczycielskiego głodu w Wiedniu. Pełne łez pożegnanie z ojcem, gdy musiał zaciągnąć się do służby wojskowej, było jednym z jego najwcześniejszych wspomnień. Pamiętał również upadek Monarchii Austro-Węgierskiej i powstanie Republiki Austrii. „Jednak to głód" - powiedział mi w 1986 roku „jest tym, co naprawdę pamiętam najlepiej. Natomiast zmiana systemu politycznego, była tylko głuchymi odgłosami w tle. Już wtedy wiedziałem, że to wojna ponosi winę za całe nieszczęście". Wczesna śmierć matki również wpłynęła na niego przygnębiająco. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Wiedniu, Ferdinand Gross przeniósł się wraz z ojcem i rodzeństwem do macochy do Graz, gdzie w latach 1922-1925 odbył praktykę ślusarza i tokarza w Zakładach Pucha; które były znaną fabryką rowerów i samochodów i gdzie było wówczas zatrudnionych około 2000 pracowników.

Pierwsze kontakty polityczne

Graz, drugie co do wielkości miasto nowej Austrii, w latach 1919-1934 było rządzone przez socjaldemokratycznego burmistrza Vinzenza Muchitscha - byłego anarchistę. Styryjscy komuniści nie posiadali większego znaczenia jako ruch niezależny, ponieważ w 1922 r. dołączyli do Socjaldemokratycznej Partii Styrii jako opozycja, a teraz działali jako jej lewe skrzydło. W latach 1925-26 Ferdinand Gross nawiązał pierwsze kontakty z kręgami socjaldemokratycznymi i komunistycznymi, uczestniczył w ich wydarzeniach i zapoznał się nieco z właściwą literaturą. Jeśli mu uwierzymy, to już nawet wtedy nie mógł trzymać gęby na kłódkę. W każdym bądź razie jego coraz bardziej uzewnętrzniane zaangażowanie polityczne na rzecz „lewicowego" ruchu robotniczego zakończyło się utratą miejsca pracy. Oficjalnym powodem była choroba; miał zatrucie krwi i musiał poddać się operacji. Od pewnego czasu wraz ze swoim przyjacielem planował wyemigrować do Brazylii. W 1926 r. przyjaciele udali w drogę i doszli do Hamburga, gdzie chcieli się zaokrętować i wyruszyć za ocean. Gdy firma, która miała zorganizować planowaną emigrację zbankrutowała, obydwaj pozostali bez środków do życia i pracy.

Bezrobocie

Poszli więc dalej do Luksemburga, gdzie chcieli się osiedlić w stolicy. Urząd pracy skierował ich jednak na wieś i tam znaleźli pracę jako niewykwalifikowani pracownicy przy budowie torów. Dało im to również pozwolenie na pobyt, dzięki czemu mogli teraz dążyć dalej do doskonalenia kwalifikacji zawodowych. Stali się niewykwalifikowanymi pracownikami w hucie. Ferdinand Gross, osłabiony głodem okresu powojennego, późnymi konsekwencjami swojej operacji oraz wysiłkiem wędrówek i pracy, zachorował na zapalenie opon mózgowych, które musiał leczyć bez pomocy lekarskiej. Wkrótce potem drogi przyjaciół rozeszły się: jeden z nich przeniósł się do Francji, a Ferdinand Gross pozostał w Luksemburgu, gdzie pracował w młynie żużlowym do produkcji nawozów sztucznych, później w walcowni jako pracownik obsługujacy walec i w końcu przez dwa lata pod ziemią przy wydobyciu rudy żelaza. Z powodu opryskliwego zachowania wobec dyrektora przy okazji niesprawiedliwego oskarżenia, nie mógł już znaleźć żadnej pracy w Luksemburgu i powrócił do Grazu na początku 1932 roku po pięciu latach i pół roku pobytu za granicą. Luksemburskie lata wręcz ekstremalnych trudności materialnych i braku bezpieczeństwa egzystencjalnego, jak podkreślał później kilkakrotnie Ferdinand Gross, były dla niego szkołą społeczną. Szkołą, która odebrała mu strach przed życiem i dała pewność, że będzie mógł sobie poradzić w każdej sytuacji. „To było ważne doświadczenie" - opowiada Ferdinand - „Potrzeba nie może być aż tak wielka, aby nie dochować wierności swoim poglądom. Jakoś zawsze znajdowałem swój chleb, nawet jeśli nie mówiłem w języku wyzyskiwaczy i ciemiężców. Nie pamiętam, kim byłem wtedy naprawdę: Socjalistą? Komunistą? Myślę, że byłem już wywnętrzenie anarchistą, ale jeszcze bardziej byłem anarchistą w sercu. W każdym bądź razie, to właśnie wtedy już miałem dość haseł marksistowskich i po raz pierwszy poznałem idee anarchistyczne".

W Grazu również czekał go los bezrobotnego. Początkowo żył na zasiłku dla bezrobotnych. W tamtych latach zaangażował się w tzw. *Friedlandsiedlung* (Osadę Friedland) w Unterwald koło Tregist, wsi w pobliskiej dzielnicy węglowej Graz. Pewien Tyrolczyk planował tu założenie osady dla bezrobotnych i kupił dużą nieruchomość o powierzchni około 40 hektarów. Gdy projekt się nie powiódł, wrócił do Grazu, gdzie w 1937 roku po prawie sześciu latach bezrobocia ponownie znalazł pracę jako operator tokarki w Zakładach Pucha. Jednak to, czego doświadczył tutaj, w Grazu, było dla niego prawdopodobnie najważniejsze. Ferdinand był zagorzałym śpiewakiem, który każdy dzień, aż do paru tygodni przed swoją śmiercią, rozpoczynał ćwiczeniami wokalnymi. Wkrótce po powrocie z Luksemburga próbował dołączyć do chóru robotniczego i natknął się na grupę śpiewaczą *Freiheit* (Wolność). „Nazwa nic dla mnie nie znaczyła, ale Wolność już brzmiała dobrze" - powiedział z ironicznym uśmiechem. Uczył się emisji głosu (tenor, ale technika falsetto pozwoliła mu również śpiewać sopran), częściowo w prywatnej szkole śpiewu w Grazu, częściowo w Konserwatorium Miasta Graz. Wkrótce osiągnął poziom zawodowy, który pozwolił mu śpiewać w chórze mieszanym Opery w Grazu nawet w latach 60. W każdym razie Ferdinand Gross został serdecznie powitany w grupie śpiewaczej *Freiheit*. W 1933 roku chór wystąpił z okazji przemówienia austriackiego anarchisty Pierre'a Ramusa (tj. Rudolfa Großmanna) w Grazu, a Ferdinand Gross po raz pierwszy osobiście spotkał się ze swoim wielkim wzorem do naśladowania - do 1934 roku miało się odbyć jeszcze kilka takich spotkań.

Spotkanie z Pierrem Ramusem

Ferdinand, który wcześniej słyszał tylko nazwisko „Ramus" był teraz entuzjastą człowieka Ramusa i zdobył wszystkie dostępne pisma myśliciela, który umiejscowił się pomiędzy syndykalizmem a komunistycznym anarchizmem oraz umieścił antymilitaryzm i pacyfizm w centrum swojego światopoglądu. Następnie zaczął szczegółowo i mozolnie studiować książki i broszury, ponieważ wtedy jego umiejętność czytanie nie była za dobra. „Osoba Pierre'a Ramusa i ideologiczna orientacja jego pism, wśród których najważniejsze wydają mi się *Das anarchistische Manifest* (Manifest anarchistyczny), *Die Neuschöpfung der Gesellschaft durch den kommunistischen Anarchismus* (Utworzenie na nowo społeczeństwa przez komunistyczny anarchizm) oraz *Die Irrlehre und Wissenschaftslosigkeit des Marxismus im Bereich des Sozialismus* (Fałszywe wzorce i brak nauk marksizmu na polu socjalizmu), stanowią coś w rodzaju miernika, za pomocą którego można określić własną pozycję. Jednak prawdziwym wyzwaniem było teraz zastosowanie przekonań, do których doprowadzili mnie Ramus i jak również Kropotkin, do mojego codziennego życia, do mojego bardzo osobistego życia, jak również do mojego życia w ruchu, którego kierunek znalazłem wyznaczony u Ramusa, ale które przyjmowało konkretne kształty tylko na drodze walki z odpowiednimi problemami". Ferdinand Gross stał się teraz towarzyszem Ferdinandem, przez wielu czule nazywanym „Ferdl". Dołączył do Bund herrschaftsloser Sozialisten (BhS - Federacji Bezpaństwowych Socjalistów) założonego, przez Pierre'a Ramusa po I wojnie światowej „federacyjnego stowarzyszenia lokalnych grup, które są sprzymierzone w wolnej autonomii" - jak zostało to nazwane w wytycznych przyjętych w 1922 roku. BhS - Grupa Graz zorganizowała się w Arbeiter-Bildungs und Unterstützungs-Verein (Stowarzyszenie Edukacji i Wsparcia Pracowników) założonego przez anarchistów w 1893 r., które zostało przywrócone do życia przez zwolenników Pierre'a Ramusa po I wojnie światowej i stworzyła - w stosunku do liczby mieszkańców - największą lokalną grupę BhS. Celem ukazania rzędu wielkości należy posłużyć się „oficjalnymi" liczbami. W 1912 policja

w całej Styrii uważała tylko nieco ponad 50 osób za anarchistów, w 1924 r. już w samym Grazu około 200, a w 1929 r. w Grazu między 400 a 500. Na zgromadzeniach BhS - Graz między 1920 a 1929, policja juz naliczyła średnio około 375 sympatyków i oszacowała trzon anarchistów na około 50 osób. Ferdinand był teraz aktywny w kilku innych grazowskich grupach BhS. W jego centrum uwagi znajdowała się grupa śpiewacza *Freiheit* założona w 1924, która pojawiała się na wszystkich ważniejszych wydarzeniach, takich jak przemówienia Pierre'a Ramusa czy inne różne dni upamiętniające męczenników anarchizmu, czy to wydarzenia ruchu, ale również na pogrzebach towarzyszek i towarzyszy. Był częstym gościem biblioteki Arbeiter-Bildungs- und Unterstützungsvereins (Stowarzyszenia wspierającego edukację robotniczą), która w tym czasie liczyła ponad 500 tytułów i mieściła się w otwartym w 1927 roku domu stowarzyszenia *Neue Heimat* (Nowa Ojczyzna), mieszczącego się przy Idlhofgasse 36a. Również był członkiem anarchistycznej spółdzielni konsumenckiej Neue Heimat, która kupowała wspólne dobra po cenach hurtowych i przekazywała je dalej w niskich cenach swoim członkom. Brał udział w zespole teatralnym, który wystawiał m.in. sztuki jego towarzysza, poety Roberta Bodanzky'ego, znanego przede wszystkim jako librecistę operetkowego. Czy Ferdinand również był aktorem, niestety nigdy się nie dowiedziałem. Wolał opowiadać o kąpielowych wydarzeniach w Murauen lub niedzielnych wycieczkach anarchistów w okolice Grazu, a przede wszystkim na Platte, góry niedaleko Grazu pięćdziesiąt lub więcej osób spotykało się, śpiewało i konsumowało to, co ze sobą przywieźli - był to po prostu jeden wielki festiwal poza granicami miasta, gdzie istniała możliwość ucieczki spod obserwacji policji. Tam również poznał swoją żonę Rosę Uttler, z którą przez ponad sześćdziesiąt lat dzielił życie i wspólna walkę.

Prześladowanie przez austrofaszyzm

Już wtedy oczkiem w głowie Ferdinanda była wazektomia (sterylizacja mężczyzny), którą propagowali zwolennicy Ramusa; Ferdinand również przeszedł taki zabieg. To właśnie kwestia wazektomii zapowiadała koniec BhS. W Grazu istniało kilka możliwości poddania się wazektomii, na przykład przez lekarzy Johanna i Clemensa Bartoška, przekonanych anarchistów. W 1932 roku przedsięwzięcie to, które działało pod kryptonimem *Schachklub Graz* (Klub Szachowy Graz), upadło i policja aresztowała czołowych członków BhS, a w czerwcu 1933 r. „proces sterylizacyjny", jak nazywano go na pierwszych stronach kilku austriackich dzienników, zakończył się uniewinnieniem 21 oskarżonych. Jednak potem doszło do politycznego przewrotu w Austrii.

Zamach stanu chrześcijańskich socjalistów skupionych wokół Engelbert Dollfuß, który rozpoczął się wraz z tzw. „samorozwiązaniem parlamentu", szybko doprowadził do powstania reżimu klerykalno-faszystowskiego. W procesie rewizyjnym w maju 1934 r. Ramus został skazany na 14 miesięcy ciężkiego więzienia, zaostrzonego o jeden dzień postu comiesięcznego i ciężki obóz, podczas, gdy pozostali oskarżeni otrzymali wyroki więzienia od dwóch do dziesięciu miesięcy (łącznie osiem lat i trzy miesiące).

Krwawo stłumione powstanie socjaldemokratów w lutym 1934 r., w którym również brali udział anarchiści w Eggenbergu (obecnie część Grazu), oznaczało publiczny koniec lewicowego ruchu robotniczego w Austrii. W maju 1934 r. rozwiązano również Arbeiter-Bildungs- und Unterstützungsvereins, zdarzenie to zmusiło ruch anarchistyczny do działania w podziemiu. Ferdinand doświadczył w ciągu dwóch lat, jak ruch anarchistyczny może działać w ramach względnej wolności demokracji parlamentarnej. Jego „anarchistyczne dorastanie", jak to żartobliwie nazywał, odbywało się głównie w warunkach faszyzmu.

Na początku austrofaszyzmu, gdy Pierre Ramus odbywał karę w więzieniu Karlau w Graz, niewielka grupa byłej BhS, na której peryferiach poruszał się również Ferdinand, kontynuowała wazektomie, jednak wkrótce przedsięwzięcie upadło, a w październiku 1935 r. wszystkich pięciu oskarżonych anarchistów skazano na wyższe kary więzienia.

W tym samym roku jednak scena anarchistyczna w Grazu zyskała na znaczeniu: przybyli anarchiści bułgarscy, którzy uciekli przed dyktaturą króla Borysa III, wśród nich studenci Dimitri Keremidtschieff i Haralampi Dimitroff-



Wycieczka chóru *Freiheit* w okolicach Grazu na początku lat 30.

PIERRE RAMUS (1882-1942)



Pierre Ramus (a właściwie Rudolf Großmann) był znakomitym propagatorem i teoretykiem anarchizmu, dziennikarzem i publicystą, wyśmienitym oratorem, działaczem ruchów anty-wojennych oraz propagatorem kontroli urodzeń (w szczególności wazektomii (zabieg powodujący bezpłodność u mężczyzn). Urodził się we Wiedniu, 15 kwietnia 1882 roku. W bardzo młodym wieku wyemigrował do Ameryki, gdzie w 1898 roku rozpoczął działalność w ruchu robotniczym. W 1900 roku założył swoje pierwsze pismo, *Der Zaitgeist*, a od 1904 roku zaczął współpracować z pismem Johanna Mosta *Die Freiheit*. W 1903 roku został oskarżony o podżeganie do strajków, przez co musiał ratować się ucieczką i wylądował w Londynie. Tam wydawał pismo *Die freie Generation*. Do Wiednia wrócił w 1907 roku, gdzie od razu przystąpił do działania na rzecz rozkwitu ruchu anarchistycznego. Zaczął wydawać anarcho-syndykalistyczny dwutygodnik *Wohlstand für Alle*, który stał się głównym animatorem anarchizmu w Austrii. W tym samym roku, jako austriacki delegat, wziął udział w Międzynarodowym Kongresie Anarchistycznym w Amsterdamie, jaki miał miejsce w dniach 24-31 sierpnia. W latach 1910-1914, mieszkając w Berlinie, wydawał tam kolejne pismo, *Jahrbüch der Freien Generation*. W 1916 roku poślubił swa wieloletnią towarzyszkę życia, rosyjską anarchistkę Sophie (Sonje) Ossipową Fridman, która tylko dzięki małżeństwu mogła zdobyć legalny pobyt w Austrii. Mieli dwie córki, Lilly i Erwinę. Gdy wybuchła I wojna światowa, jako zdeklarowany antymilitarysta, odmówił służby wojskowej powołując się na swe przekonania moralne, co przypłacił więzieniem. W okresie międzywojennym stał się największym propagatorem anarchizmu w Austrii i poza jej granicami. Z wykładami jeździł po całym kraju oraz gościł w Niemczech, Francji, Szwajcarii i Wielkiej Brytanii. W 1918 roku założył kolejne pismo, *Erkenntnis und Befreiung*, które z czasem stało się organem prasowym założonej w 1920 roku organizacji Bund herrschaftsloser Sozialisten . Gdy w 1938 roku Trzecia Rzesza dokonuje *przyłączenia* Austrii, jako potencjalna ofiara nazistów ucieka do Francji. Stamtąd musi ponownie ratować się ucieczka, gdy Niemcy zajmują Francję w 1940 roku, udając się do Maroka. 20 maja 1942 roku wypływa z Casablanki do Veracruz w Meksyku, tydzień później, 27 maja umiera na statku na zawał serca.

Pierre Ramus był autorem kilkuset artykułów prasowych oraz dziesiątek broszur propagujących idee anarchistyczne, wnosząc w ten sposób ogromny wkład do teorii i praktyki anarchistycznej. Jako zagorzały anarchokomunista, był zwolennikiem taktyki rewolucyjnego syndykalizmu a jednym z jego głównych tematów w publicystyce i wystąpieniach publicznych był antymilitaryzm. Osobiście przyznawał się do inspiracji takimi postaciami, jak William Godwin, Piotr Kropotkin, Francisco Ferrer y Guardia oraz Max Stirner. Przez całe swe życie prowadził obfitą korespondencję z wieloma znakomitościami XX-wiecznego anarchizmu (by wymienić choćby Emme Goldman, Errico Malatestę czy Gustava Landauera).

W Polsce mocnym propagatorem myśli Ramusa był krakowski anarchista Augustyn Wróblewski, który nakładem swoje pisma *Sprawa Robotnicza* wydał jego dwa teksty: *Bankructwo parlamentaryzmu* (1912) i *Piotr Kropotkin (żywot i dzieło)* (1912). Rok wcześniej, w Zurychu ukazał się w polskim tłumaczeniu tekst *Tyrania nędzy i cel anarchizmu*, którego wydawcą była grupa Polskich Anarchistów Komunistów.

Oprac.: **JKK**



Pierre Ramus (w środku) i anarchiści/stki z Graz po uniewinnieniach w procesie wazektomii w 1933 r.

Haralampieff, tymczasowo również technik Panajot Tschiwikoff, który odegrał ważną rolę w Grazu. Dzięki dobrym stosunkom z Internationalen Anarchistischen Sekretariat (Międzynarodowym Sekretariatem Anarchistycznym) znajdującym się w Paryżu, anarchistki i anarchiści z Graz mogli nawiązać kontakty za granicą.

Ruch anarchistyczny w Graz otrzymał kolejny, prawdopodobnie decydujący impuls do reorganizacji wraz z wybuchem hiszpańskiej wojny domowej w lipcu 1936 r. Na początku 1937 r. w Graz ostatecznie utworzyły się dwie grupy anarchistyczne. Jedna grupa powstała wokół Josefa Stefflitscha, trzydziestoletniego wówczas asystenta malarza; wśród nich znajdowali się: jego partnerka Josefine Capelari (kucharka, 29 lat), Anna Schwab (później zamężna z Knödl, pomoc domowa, 39 lat) i jej syn Franz Schwab (uczeń instalatorski, 17 lat), a także dwaj wspomniani już bułgarscy studenci Dimitri Keremidtschieff (student medycyny, 25 lat) i Haralampi Dimitroff-Haralampieff (student inżynierii, 22 lata). Drugą grupę tworzyły siostry Leeb, a mianowicie Ottilie „Otti", zamężna Binder i Maria „Mitzi", zamężna Rader (niewykwalifikowana robotnica, 27 lat). Wśród członków tej grupy znaleźli się Josef „Sepp" Teichmeister (pomocnik ślusarza, 35 lat), Maximilian „Maxl" Koller (pomocnik piekarza, 19 lat), Alois Rader (ślusarz i szofer, 40 lat) oraz Maria Zahrastnik (właścicielka domu, 38 lat), która wraz z mężem Aloisem ukrywała Pierre Ramusa w pierwszych tygodniach po okupacji hitlerowskiej Austrii w marcu 1938 roku. Obie grupy zakorzenione były w większym gronie sympatyków, prawie wyłącznie składających się z byłych członków BhS w tym również Ferdinanda. Najpierw uruchomiono kampanię zbiórki dla potrzebujących dzieci walczących towarzyszy w Hiszpanii. Następnie zaczęli wydawać własne broszury, jednak warunki dyktatury pozbawiły wartości doświadczeń zdobytych w założonej w 1926 roku Kürpresse (wydawnictwo w Graz należące do BhS). Papier, farba drukarska i matryce były stosunkowo łatwe do uzyskania przez towarzyszkę, ale zakup maszyny do pisania stał się dużym problemem. W kręgu przyjaciół nie było żadnej, a wypożyczenie wymagałby identyfikacji fotograficznej. Franz Schwab mógł znaleźć uszkodzoną maszynę do pisania, ale sam nie mógł jej naprawić, a profesjonalna naprawa byłaby zbyt dużym ryzykiem.

Wreszcie inicjatywę przejęła Anna Schwab (Knödl), która potajemnie napisała artykuły w biurze swojego pracodawcy, lekarza miejskiego w Grazu, dr Siegfrieda Pfannera. Pierwsza wyprodukowana w ten sposób ulotka *Stellung der F[ederación] A[narquista] I[bérica]* (Stanowisko F[ederación] A[narquista] I[bérica]) została rozprowadzona w Grazu w nocy 14 marca 1937 roku. Druga ulotka *Im Jahre 1886-87 wurde in Chicago zum erstenmal der 1. Mai als internationaler Kampfstreittag versucht!* (W 1886-87, 1 maj został wypróbowany po raz pierwszy w Chicago jako międzynarodowy dzień walki) została umieszczona w skrzynkach na listy i rozrzucona przed fabrykami w nocy 1 maja 1937 roku. Trzecia ulotka *Arbeiter und Intellektuelle!* (Robotnicy i intelektualiści) została opublikowana w nocy 30 czerwca, czwarta i ostatnia ulotka, *Der 19. Juli im Zeichen des revolutionären Freiheitskampfes des spanischen Proletariats!!!* (19 lipca pod znakiem rewolucyjnej walki o wolność hiszpańskiego proletariatu!) została rozdana w nocy 28 lipca 1937 roku.

„Z czasem nauczyliśmy się techniki hektograficznej w taki sposób, że można było zwiększyć edycję z pierwszych 100 do ostatnich 400 sztuk" - wspominał Ferdinand. W sierpniu 1937 r. ukazał się pierwszy numer (oznaczony jako „lipiec") czasopisma *Mitteilungen der anarcho-kommunistischen Vereinigung Oesterreichs F[öderation der] A[narchisten] Oe[sterreichs] [Graz]* (Wiadomości z anarcho-komunistycznego Zrzeszenia Federacji Anarchistów Austrii Graz) (5 str., nakład 100), we wrześniu 1937 r. ukazał się drugi numer pod nowym tytułem *Brot und Freiheit. Organ der anarchistischen Föderation Deutscher Sprachkreis [Graz]* (Chleb i Wolnośc. Organu anarchistycznej Federacji Niemieckiego obszaru językowego - Graz) (6 str., nakład 150) i pod tym samym tytułem ostatnie wydanie w październiku 1937 r. (8 str., nakład 150), oznaczone jako „Numer 3". W tym samym czasie ukazał się magazyn, napisany na innej maszynie do pisania, który został stworzony przez grupę utworzoną wokół sióstr Leeb: *Licht. Unser Kampf gegen jede Unterdrückung u[nd] Ausbeutung* (Światło - Nasza walka z uciskiem i wyzyskiem). Pierwszy numer ukazał się we wrześniu (podtytuł *Moderne Sklaverei* - Nowoczesne Niewolnictwo [Graz], 8 str.; nakład 150), a drugi w październiku 1937 r. (podtytuł *Revolution oder Krieg* - Rewolucja lub wojna [Graz], 8 str., nakład 100). 22 listopada 1937 roku Josef Stefflitsch został aresztowany, a zaraz po nim kolejnych piętnaście osób. Przeszukania domów i przesłuchania doprowadziły do nowych aresztowań w grudniu 1937 roku. Niemniej jednak, tak ważni członkowie jak Ottilie Binder pozostali nadal nieznani, natomiast inni jak Maria Rader i Josef Teichmeister musieli zostać ponownie uwolnieni.

W styczniu 1938 roku siedmiu anarchistów zostało oskarżonych i skazanych w trybie przyspieszonym na podstawie § 58b i c kodeksu karnego (za podejmowanie działań mających na celu wzywanie do przemocy, aby zmienić formę władzy, podżegania, nakłaniania, wywołanie oburzenia oraz wojny domowej w kraju). Josef Stefflitsch (trzy lata ciężkiego więzienia z kwartalnym obozem pracy), Josefine Capelari (dwa lata ciężkiego więzienia i wypędzenie, ponieważ był obywatelem Jugosławii), Maximilian Koller, pomocnik piekarza Augustin Dobay (52 lata) i robotnik Peter Fabian (33 lata); każdy skazany na rok ciężkiego więzienia; Dimitri Keremidtschieff i Haralampi Dimitroff-Haralampieff zostali uniewinnieni. Ferdinand uznał za niezwykle ważne i to on go ukształtowały. Wyjaśnił w ten sposób nie tylko swoje dążenie do założenia w Austrii gazety anarchistycznej, ale przede wszystkim przekonanie, że praca w podziemiu nie jest wiele warta, dlatego też opowiadał się za otwartym zaangażowaniem w anarchizm. Nie tylko to propagował, ale i również tak żył, udowodnił to kilka miesięcy po tych wydarzeniach.

Naziści, wojna i obóz koncentracyjny

Po „przyłączeniu" Austrii do Rzeszy Niemieckiej w marcu 1938 r. sytuacja anarchistów w Grazu uległa pogorszeniu. Prawie wszyscy przeżyli narodowy socjalizm, zachowując spokój i ciszę. Tylko Ferdinand kontynuował swoją agitację rozdając stare numery czasopisma Ramusa *Erkenntnis und Befreiung* (Poznanie i Wyzwolenie) w zakładach Pucha; po prostu kładł czasopisma w świetlicach i szatniach. Jeszcze zanim mógł być zidentyfikowany jako autor tego działania, był prześladowany z innych powodów.

1 marca 1939 r. został aresztowany i przesłuchany przez gestapo. Jednocześnie otwarcie wyznał - i każdy, kto znał Ferdinanda, z jakim zapałem i żarliwością będzie to wyrażał - że jest bezpaństwowym socjalistą, anarchistą i przeciwnikiem wojny. Został zwolniony z groźbą, że pojedzie „do Dachau" przy najmniejszym przewinieniu. Jednak krótko się cieszył ze swojej wolności. Na zakończenie uroczystości zorganizowanej przez narodowych socjalistów w zakładach Pucha z okazji okupacji Czechosłowacji w marcu 1939 roku, odmówił obowiązkowego powitania niemieckiego. Zadenuncjowany za to, został zwolniony „z powodu braku wiarygodności politycznej". Wkrótce potem otrzymał wezwanie na gestapo.

Nic nie podejrzewając i oczywiście będąc dobrej myśli jechał rowerem do komendy policji w Graz, gdzie został natychmiast aresztowany. Po trzech miesiącach pobytu w areszcie został przewieziony do Dachau jako „więzień prewencyjny" na „czas nieokreślony". Najpierw trafił do tzw. Liesl - więzienie zbiorowego w Wiedniu, a następnie do jednego z niesławnych transportów kolejowych do Dachau. Ogolony do łysa, w „pasiaku" i z przyszytym czerwonym trójkątem, który identyfikował go jako więźnia politycznego, został umieszczony w Bloku 1 obozu koncentracyjnego Dachau. Ale już na początku jesieni 1939 r. został przeniesiony do obozu koncentracyjnego Flossenbürg (Bawaria), gdzie był maltretowany w słynnym kamieniołomie. Wiosną 1940 r. został przeniesiony z powrotem do obozu koncentracyjnego Dachau, gdzie został starszym izby uwięzionych polskich duchownych, a następnie pracował dla jeńców rosyjskich. Latem 1944 r. został skierowany do działu transportu, co było równoznaczne z wyrokiem śmierci. W wagonie bydlęcym

BROT und FREIHEIT

Organ der anarchistischen Föderation Deutscher Sprachkreis.

Motto: Die Befreiung der Arbeiter muss das Werk der Arbeiter selbst sein.

Winieta pisma *Brot und Freiheit* wydawanego w 1937 r.

przewieziono go do „obozu pracy" Neckarelz koło Mosbach (Badenia-Wirtembergia), gdzie musiał pracować w opuszczonej fabryce gipsu celem zachowania ciągłości przemysłu zbrojeniowego. Najpierw wrócił do pracy jako starszy izby, potem zameldował się do pracy i początkowo odpowiadał za konserwację narzędzi, potem pracował jako pomocnik na stołówce. Po zbombardowaniu pobliskiej wioski został dołączony do transportu powrotnego do Dachau.

W drodze na dworzec kolejowy udało mu się uciec razem z przyjacielem, komunistą i hiszpańskim bojownikiem, w marcu 1945 roku. Oboje znaleźli schronienie w pobliskim miasteczku u strażnika kolejowego, a kiedy 1 kwietnia 1945 roku, w niedzielę wielkanocną, usłyszeli, że są w strefie amerykańskiej, Ferdinand wiedział, że w końcu jest wolny, mimo że nie można jeszcze myśleć o powrocie do domu w tym czasie, ze względu na toczące się tam walki. „Ale jakkolwiek dziwnie to zabrzmi, po tym wszystkim, co mi tam zrobiono, chciałem jak najszybciej opuścić Niemcy i wrócić do Grazu, gdzie była moja ukochana żona" - wspominał. Ferdinand często opowiadał o tym, jak po raz pierwszy od wielu lat on i jego towarzysz obozowi otrzymywali przyzwoite i wystarczające jedzenie, ale przede wszystkim o tym, jak współczujący ludzie dawali im ubrania, w tym kurtkę, w którą wszyto 100 dolarów amerykańskich. Za pieniądze udało im się kupić samochód i - z amerykańskim paszportem - wyruszyli do Austrii w maju 1945 roku. Musiał pokonać dystans z Salzburga do Grazu, położonego w strefie sowieckiej, samotnie i jako autostopowicz, choć czuł się nieswojo i nie było mu do śmiechu, ponieważ wiedział, co się stało z anarchistami w Związku Radzieckim.

Powrót do Austrii

Powrócił do Grazu z małą paczką zawierającą głównie koce, tam znalazł swoją żonę i syna, który zginął później jako młody mężczyzna w wypadku lotniczym. Byli bezpieczni i zdrowi w swoim domu w tak zwanym Klusemannsiedlung w Grazu-Neuhart, Heimweg 35. Co go jednak zmartwiło, to fakt, że anarchistyczne pisma propagandowe, które pochował w palenisku przed swoim aresztowaniem, a wśród nich książki i broszury Pierre Ramusa, które tak bardzo cenił, znalazł spleśniałe. Potem rozpoczęły się poszukiwania pracy: w 1946 r. mógł ponownie znaleźć pracę jako operator tokarki, później jako instruktor praktykantów w zakładach Pucha. Wkrótce udało mu się również wprowadzić do mieszkania z kuchnią i pokojem dziennym na osiedlu fabrycznym przy Bozenerstrasse 6. Poprawie uległa również sytuacja polityczna. 24 lipca 1945 r., zgodnie z Traktatem Strefowym, cała Styria znalazła się pod kontrolą brytyjską. Ferdinand ponownie szukał kontaktu ze swoimi anarchistycznymi towarzyszami w Graz i w całej Styrii. W rzeczywistości powstała mała grupa Bund Herrschaftsloser Sozialisten Österreichs (Anarcho-Syndikalisten) - Gruppe Graz (Federacja bezpaństwowych socjalistów Austrii (Anarchosyndykaliści) - grupa Graz), która po konferencji z towarzyszami z Wiednia w sierpniu 1947 r. wydała we wrześniu 1947 r. własne czasopismo *Die Freie Generation* (Wolna Generacja).

Wkrótce pomiędzy anarchistami z Grazu i Wiednia, gdzie powstała Gruppe Krapotkin (Grupa Kropotkin) i Gruppe Tolstoi (Grupa Tołstoj), pojawiły się ostre tarcia. Z dystansu czasowego rzekome różnice w treści (relacje z harcerzami) są raczej kwestią sympatii i antypatii ze strony uczestników. Ferdinand pozostał na marginesie tej grupy, ale utrzymywał przyjazne stosunki z siłami napędowymi, Marią Rader i Josefem Teichmeister. Głównym powodem, dla którego Ferdinand nie dołączył do tej grupy był konflikt między anty-militaryzmem a pacyfizmem. Podczas, gdy przedstawiciele nowej Bundes Herrschaftsloser Sozialisten Österreichs (Anarcho-Syndikalisten) - Gruppe Graz (Federacji Bezpaństwowych Socjalistów Austrii (Anarchosyndykaliści) - gruppa Graz) walczyli o konsekwentny antymilitaryzm, ale poparli zbrojny opór przeciwko faszyzmowi, Ferdinand stanął na stanowisku bezwarunkowej rezygnacji z przemocy i odrzucił prawo do samoobrony. Jednak różnice nie miały prawie żadnego wpływu na ruch anarchistyczny w Austrii, który początkowo nie był w stanie zdobyć przyczółka po drugiej wojnie światowej. Ich trzej najważniejsi zwolennicy nie żyli: Pierre Ramus zginął na statku w 1942 r., uciekając przed narodowo-socjalistami podczas przeprawy do Meksyku, Max Nettlau zmarł na holenderskim wygnaniu w 1944 r., a Herbert Müller-Guttenbrunn został zastrzelony przez żołnierzy radzieckich w 1945 r. z powodu tragicznego zamieszania.

W Wiedniu Adolf Pranz, Leopold Spitzegger i Johann „Ossi" Lahner na próżno próbowali zreorganizować ruch anarchistyczny, podczas, gdy wiedeński pisarz Israel L. Utas poszedł własną drogą, łącząc przemieszanie indywidualnego anarchizmu z syjonizmem. W Graz na początku lat 50. ruch rozpadł się do tego stopnia, że po prostu dołączono do grupy skupionej wokół czasopisma *Die freie Gesellschaft. Monatsschrift für Gesellschaftskritik und freiheitlichen Sozialismus* (Wolne Społeczeństwo. Miesięcznik Krytyki Społecznej i Socjalizmu Liberalnego).

Charakterystyczny dla stanu ruchu anarchistycznego w Austrii na początku lat 50. był fakt, że Austriacy byli jedynie pośrednio reprezentowani na międzynarodowym kongresie Internationalen Arbeiter-Association (Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników) w Tuluzie w 1951 r., przekazując swoje głosy towarzyszom z innych krajów. W Conférence Européenne Anarchiste (Konferencja Europejskich Anarchistów) w Paryżu w 1948 r. brali udział delegaci z Fédération socialiste antiautoritaire autrichienne (Federacja antyautorytarnych socjalistów Austrii) tj. Bund Herrschaftsloser Sozialisten (Anarcho-Syndikalisten) Österreichs - Gruppe Krapotkin, Wien (Federacji bezpaństwowych socjalistów Austrii (Anarcho-syndykaliści) - grupa Kropotkin Wiedeń) i Bund Herrschaftsloser Sozialisten Österreichs (Anarcho-Syndikalisten) - Gruppe Graz (Federacji bezpaństwowych socjalistów Austrii (Anarchosyndykaliści) - grupa Graz).

Anarchistyczna reorganizacja

Dopiero w połowie lat 50. Ferdinand znalazł grupę, w którą mógł się w pełni zaangażować. Byli to radykalni pacyfiści skupieni wokół dziennikarki Luise Eisenmenger-Micko (z domu Aloisia Micko) i jej czasopisma *Der Antimilitarist* (Antymilitarysta). Pismo było organem Pazifistischen Union (Związku Pacyfistycznego) utworzonego 4 września 1954 r. W swoim statucie określili się jako „organizacja parasolowa dla społeczeństw, które opowiada się za całkowitym niestosowaniem przemocy i świadomym sprzeciwem wobec służby wojskowej w jakiejkolwiek wojnie". Wkrótce potem Pazifistische Union połączył się w Sektion Österreich der Internationale der Kriegsdienstgegner (Sekcję Austriacką Międzynarodowej Służby Antywojskowej) założoną w 1952 r., której prezydentką była Luise Eisenmenger-Micko w latach 1952-1963. Te dwie grupy miały szczególne znaczenie w 1955 r., ponieważ po odzyskaniu niepodległości na mocy traktatu państwowego w 1955 r. omawiano kwestię ponownego zbrojenia Austrii poprzez utworzenie armii. Chociaż nie można było temu zapobiec, w Austrii powstał obóz wyraźnie antywojskowy i pacyfistyczny. Nawiasem mówiąc, Ferdinand został członkiem Austriackiej Sekcji Międzynarodowych Przeciwników Służby Wojskowej dopiero w 1956 r., to wynikało z jego nieufności wobec stowarzyszeń. W rzeczywistości należał tylko jako członek do KZ-Verband (Związek skupiający ofiary nazizmu w Austrii) oraz był członkiem honorowym w Pierre Ramus-Gesellschaft (Stowarzyszenia Pierre Ramus).

W tamtym czasie Ferdinand rozbudował dystrybucję *Der Antimilitarist* (rozprowadzał po 100 egzemplarzy w każdego numeru) i literatury pacyfistycznej w Graz. Większość zwyczajnie było rozdawanych, opatrywał je czerwoną pieczęcią z napisem „Militaryzm jest drogą śmierci! Dlatego afirmujcie pokój, on jest życiem. Pisemne zamówienia dla Grazu i okolic można składać u Ferdinanda Grossa, Graz, Bozenerstrasse 6/1". Anarchiści utworzyli w ramach grupy znaczną frakcję „Antymilitarystów". Wymusiło to, że w czasopiśmie ukazały się również fragmenty pierwszej publikacji z 1892 roku *La Conquête du pain* Piotra Kropotkina. Wybór został dokonany przez Gruppe Kropotkin, działającą aktywnie w Klagenfurcie wokół Alexandra Baiera i Josefa Krainera. Ferdinand utrzymywał bliskie kontakty z tą grupą. Kolejnym pracownikiem *Antimilitaristen* był znany anarchista Willy Huppertz z Mülheim, z którym Ferdinand się blisko przyjaźnił od około 1962 roku. Kolejnym członkiem czasopisma była Anna Knödl, anarchistka z Grazu, która działała już w czasach austrofaszyzmu. Później Ferdinand pośmiertnie opublikował niektóre jej prace w swoim czasopiśmie. On sam - teraz w znanej pisowni Ferdinand Großa - po raz pierwszy pojawił się publicznie również z artykułami, najpierw z listami, a potem także z dłuższym wkładem do *Antimilitaristen*.

„Wiesz" - powiedział mi w czerwcu 1989 roku - „że pisanie to było wtedy taką sprawą. Miałem w głowie uporządkowane swoje myśli, jednak, gdy chciałem je zapisać, wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Musiałem nauczyć się pisać i zapisywać pomysły. Miałem Ramusa jako wzór do naśladowania i cokolwiek napisałem, to wszystko wyglądało dość blado w porównaniu do pism mojego wzoru do naśladowania. Dopiero kiedy oderwałem się od pomysłu pisania jak Ramus, byłem w stanie pisać coraz więcej, lepiej i lepiej". Wkrótce potem Ferdinand również wnosił kolejne wkłady do magazynu *Befreiung* (Wyzwolenie) swojego przyjaciela i towarzysza Willy'ego Huppertza.

Założenie własnego czasopisma anarchistycznego

Najważniejszą troską Ferdinanda w latach 60. było jednak założenie w Austrii własnego czasopisma anarchistycznego, w którym mógł propagować anarchizm w duchu Pierre'a Ramusa. „Niestosowanie przemocy i anarchizm to zamienne, całkowicie identyczne koncepcje" - zawsze powtarzał, i rozważał uczynienie tej idei tytułem lub przynajmniej mottem czasopisma, które chciał stworzyć. Ponieważ słowo „anarchistyczny" już dawno popadło w dyskredytację i stało się synonimem „gwałtownego"; i „chaotycznego" w języku potocznym,

postanowił podążać za tradycją Ramusa i mówić o „socjalizmie bezpaństwowym". Mało znane, ponieważ ograniczony do Austrii, a częściowo tylko do Graz, było jego pierwsze przedsięwzięcie z broszurami *Informationen der unabhängigen, parteilosen Antimilitaristen und Pazifisten* (Informacje od Niezależnych, Niepartyjnych Antymilitarystów i Pacyfistów). W latach 1959-1962 ukazały się cztery publikacje w formie hektografów z wytłaczanymi tytułami seryjnymi, pierwsze teksty Luise Eisenmenger-Micko, wkrótce także teksty własne. Tematyka dotyczyła krytyki marksizmu, rozbrojenia i bojkotu wyborów. Ponieważ jego seria wydawnicza wykraczała poza partyjny antymilitaryzm Luise Eisenmenger-Micko, wkrótce wzbudził ich niezadowolenie i musiał zrezygnować z notatki drukarskiej „przedruk z gazety Antimilitarist". To skłoniło Ferdinanda do nadania serii broszur nowego tytułu, który obecnie zawierał dwa podstawowe pojęcia jego światopoglądu: *Informationen der herrschaftslosen Sozialisten und Antimilitaristen* (Informacje Bepaństwowych Socjalistów i Antymilitarystów).

W latach 1964-1968 ukazało się siedem publikacji, ponownie w formie hektografów z wytłaczanymi tytułami seryjnymi. Teksty ponownie pochodziły od Luise Eisenmenger-Micko i Ferdinanda, uzupełnione tekstami Pierre'a Ramusa. Ferdinand rozprowadzał swoje broszury głównie w Graz, ale przede wszystkim w Zakładach Puch - obecnie Steyr-Daimler-Puch AG - gdzie od 1959 r. otwarcie działał w duchu anarchistycznym i wkrótce zdołał pozyskać kilku zwolenników dzięki swojej krytyce socjaldemokratycznych rad zakładowych. Ferdinand był przede wszystkim zaangażowany w poprawę sytuacji pracowników: należy tu wspomnieć tylko o jego walce z tzw. Einarbeitung (wdrożeniem), a od 1960 r. o skrócenie czasu pracy, a mianowicie o 40 godzinny tydzień pracy, który nie został włączony do programu walki, aż do 1968 r. przez Österreichischen Gewer-





Tytuły prasowe wydawane przez Ferdynanda Grossa

kschaftsbund (Austriacką Konfederację Związków Zawodowych) i ostatecznie stał się prawem w 1975 r. Ferdinand dowiedział się również, że jego propagandowa praca nie była bezczynnie akceptowana przez przedstawicieli państwa: W kwietniu 1970 r. został skazany z powodu nieautoryzowanego rozpowszechniania utworów drukowanych z §15 prawa prasowego na karę grzywny w wysokości 200 ATS (szylingów austriackich), - i kosztów postępowania ATS 300.

Potem nadszedł rok 1968: dla Ferdinanda była to data decydująca pod dwoma względami. Z jednej strony przeszedł na w tym roku emeryturę, z drugiej zaś został po raz pierwszy skonfrontowany bezpośrednio z młodymi anarchistami. Często opowiadał, jaki to był dla niego szok, gdy od 30 sierpnia do 4 września osobiście spotkał po raz pierwszy nowe pokolenie anarchistów jako jeden z trzech austriackich obserwatorów (Ferdinand Gross i Petko Petroff z Graz oraz wiedeński anarchista Johann Lahner) na legendarnym kongresie anarchistów w Carrarze. Wygląd i przekaz chłopców były dla niego obce, a jednak entuzjastycznie odniósł się do emanującego z nich aktywizmu. Uczucie podziwu skłoniło go do znalezienia zrozumienia do przyjęcia idei marksistowskich przez anarchistów, chociaż głęboko je dla siebie odrzucił.

Dla zagorzałego antymarksisty i starego bojownika anarchizmu, który znał imiona ofiar towarzyszy i towarzyszek prześladowanych, torturowanych i częściowo zamordowanych w imię marksizmu, oznaczało to ważny krok, o którego radykalizmie wielu z nas młodych, prawdopodobnie nie wiedziało wówczas. „Carrara pokazał mi, że my, starzy ludzie, musimy pogrzebać nasze kłótnie i że musimy przekonać młodych ludzi do idei, która może dać nowe życie anarchizmowi". Ferdinand poznał takich młodych ludzi w 1970 r., kiedy to jako aktywny propagandysta prowadził kampanię na rzecz referendum, które nie doszło do skutku, przeciwko niemieckim siłom zbrojnym, zainicjowanego przez ówczesnego socjaldemokratę (dziś Zielonych) i przewodniczącego Österreichischen Journalistengewerkschaft (Austriackiego Związku Dziennikarzy) Günthera Nenninga (Nenning był potem pismakiem w *Kronen Zeitung*) oraz jego czasopisma *Neues Forum*. Ferdinand, obecnie 62-letni, wyszedł na ulice i doświadczył radosnego uczucia demonstracji na rzecz pokoju z tak wieloma podobnie myślącymi ludźmi, opowiedział mi o swoim udziale w wielkiej demonstracji z okazji Międzynarodowego Dnia Wietnamu 15 kwietnia 1970 roku w Wiedniu. „Było to coś zupełnie innego niż Marsz Wielkanocny" - stwierdził Ferdinand w 1986 r. i wspomniał o swoim udziale w pierwszym Marszu w Wielkanocnym w Austrii, 21 kwietnia 1963 r.

Wkrótce Ferdinand znalazł w osobie Reinhard Umek, młodego towarzysza broni, z którym mógł ponownie wydawać broszury. W latach 1972-1973 do rozdawanych w Austrii egzemplarzy *Befreiung* dołączyli łącznie pięć różnych publikacji, a w 1973 roku ukazał się jedyny numer serii broszur *Information der herrschaftslosen Sozialisten - Anarchisten* (Informacje bezpaństwowych socjalistów i antymilitarystów). Broszury były wykorzystywane jako poligon szkoleniowy, zarówno pod względem treści, jak i technologii druku. Umek, półwykwalifikowana drukarz, zmieniła proces drukowania z hektografii na offset. Zakupiono nową maszynę drukarską, a w 1974 roku ukazały się dwa numery serii broszur w druku offsetowym; na 1 maja oraz przeciwko papieżowi i za opuszczeniem kościoła. Zaplanowali nawet własne wydawnictwo literatury krytycznej: Umek-Verlag (Wydawnictwo Umek). Jednak celem pozostała publikacja jego własnego czasopisma, w którym Reinhard Umek miał wprowadzić nowe pokolenie, jak nazwał je Ferdinand, do starych tradycji anarchizmu, przede wszystkim w duchu Pierre'a Ramusa. Rzeczywiście w 1975 r. ukazała się wstępna publikacja planowanego czasopisma *Befreiung*, znanego jako „wydanie specjalne" i jego rocznika, ale już w małym formacie i prawie wyłącznie z artykułami austriackich anarchistów i antymilitarystów.

Pierwsze *Wyzwolenie*

W lutym 1976 roku nadszedł czas i ukazał się pierwszy numer *Befreiung* z Graz. Tytuł nawiązywał do tradycji, która była dla niego właściwa. Miało to na celu przypomnienie magazynu Ramusa *Erkenntnis und Befreiung* (Poznanie i Wyzwolenie - 1918-1933) oraz *Befreiung* Willy'ego Huppertza (1948-1970). Przejęcie *Befreiung* przez Anarchosa w październiku 1970 r. oznaczało dla Ferdinanda faktyczny koniec tego pisma, pomimo, że do 1973 r. chętnie rozpowszechniał nowe *Befreiung* w Austrii. Kiedy w 1976 r. założył własne *Befreiung*, Ferdinand uznał je za prawowitego następcę gazety o tym samym tytule, wydawanego przez swojego towarzysza i przyjaciela Willy'ego Huppertza, którego śmierć 12 marca 1978 r. mocno go dotknęła. Ostatnie lata naznaczone zostały śmiercią starych towarzyszy broni, w tym śmierć Willi Goedecke'ego 16 września 1980 r., Augustina Souchy'ego 1 stycznia 1984 r. i Jeana Barrué 26 sierpnia 1989 r., szczególnie bliskich jego sercu.

Do numeru 23 z września 1981 roku Ferdinand wydawał magazyn wraz z Reinhardem Umke. Jednak rosnące różnice ideologiczne doprowadziły do odejścia Umka i decyzji Ferdinanda, by dalej kontynuować gazetę na własną rękę. Do numeru 36 w grudniu 1984 r. dodał również podtytuł, który miał wyrażać istotę programu tego pisma: *Organ des herrschaftslosen Sozialismus für soziale und geistige Neukultur im Sinne des Friedens, der Gewaltlosigkeit und individuellen Selbstbestimmung; für freie Menschen und solche, die es werden wollen* (Organ nieprawomyślnego socjalizmu dla nowej kultury społecznej i duchowej w duchu pokoju, niestosowania przemocy i indywidualnego samostanowienia; dla ludzi wolnych i tych, którzy chcą się nimi stać).

Być może należy tu zauważyć, że firma wydająca czasopisma natychmiast rozpoczęła swoją działalność z paskudną niespodzianką. Pierwszy numer składał się zasadniczo z klasycznego przedruku tekstu Johanna Mosta z 1883 roku, *Zaraza Boska*, jednego z najczęściej drukowanych tekstów anarchistycznych. Ferdinand został pozwany z powodu tej publikacji; w dekrecie karnym z 14 kwietnia 1976 r. stwierdza się, że „jako odpowiedzialny redaktor zdegradował i ośmieszył istniejącą wspólnotę wyznaniową, a mianowicie Kościół rzymskokatolicki, jego doktrynę i jego prawnie dopuszczalne instytucje, w okolicznościach, w których jego postępowanie nadawało się do uzasadnionego wywołania irytacji (sic!) i przez przestępstwo poniżające nauki religijnej zgodnie z §188 StGB", i została nałożona w tym celu grzywna w wysokości 60 stawek dziennych w wysokości 50 szylingów - „w ten sposób nałożono łącznie 3000 szylingów oraz dodatkowo musiał zapłacić 200, stanowiące koszty postępowania. Dla dochodów emeryta była to surowa kara, ale dla towarzysza, który przeżył wiele lat w obozie koncentracyjnym, „był to tylko cierń w jego boku" - jak powiedział Ferdinand, „aby zachęcić go do kontynuowania czasopisma". Tylko raz jeszcze dostał się w tryby sprawiedliwości: asystent uniwersytecki poczuł się, jakby ktoś nadepnął mu na odcisk z powodu artykułu w numerze 24/1981, a Ferdinand musiał zapłacić karę w wysokości

5000 ATS każdemu powodowi i jego prawnikowi w drodze ugody sądowej, a także opublikować kontroświadczenie. Wiem, że wielu towarzyszom i towarzyszkom , zwłaszcza tym młodszym, czasopismo wydawało się być „przestarzałe ponieważ zawierało głównie przedruki dzieł Ramusa sprzed narodowego socjalizmu". Ponadto, niektórzy prawdopodobnie przeoczyli fakt, że Ferdinand, poza propagowaniem anarchizmu według Ramusa, zawsze podejmował aktualne tematy.

Niestrudzenie zaangażowany

Ferdinand uczestniczył w niezliczonych akcjach, dlatego przedstawię tylko te najważniejsze. Od połowy lat 70. aktywnie przeciwstawiał się tzw. „pokojowemu" wykorzystaniu energii jądrowej, którego kulminacje stanowi udane referendum z listopada 1978 roku przeciwko uruchomieniu elektrowni jądrowej Zwentendorf. W 1981 r. pracował dla Initiative zur Abschaffung des Bundesheeres (Inicjatywa na rzecz zniesienia federalnych sił zbrojnych), dla której wydrukował również własne ulotki i zbierał podpisy. W 1984 i 1985 r. walczył przeciwko zakupowi myśliwców przechwytujących typu Draken dla armii austriackiej, którego kulminacją był grudzień 1985 r. ogólnaustriackie „referendum anty-Draken", a w marcu 1986 r. w styryjskim „referendum anty-Draken". Oczywiście Ferdinanda nie ominęły wielkie demonstracje przeciwko stacjonowaniu, jednak ostatecznie zakupionych myśliwców przechwytujących w Graz-Thalerhof i w Zeltweg w Górnej Styrii w 1987 r. Należy szczególnie podkreślić jego walkę z Kurtem Waldheimem, jako prezydentem federalnym w 1988 r. Szczególnie w latach 1990-1991 prowadził walkę z przystąpieniem Austrii do Europejskiego Wspólnoty Gospodarczej. Kontynuował tę walkę z Unią Europejską, w której widział zwycięstwo kapitału i politycznego centralizmu, aż do referendum w czerwcu 1994 roku i przystąpienia Austrii na początku 1995 roku. W latach 1990-1992 był zaangażowany w inicjatywę Österreich ohne Heer (Austria bez armii).

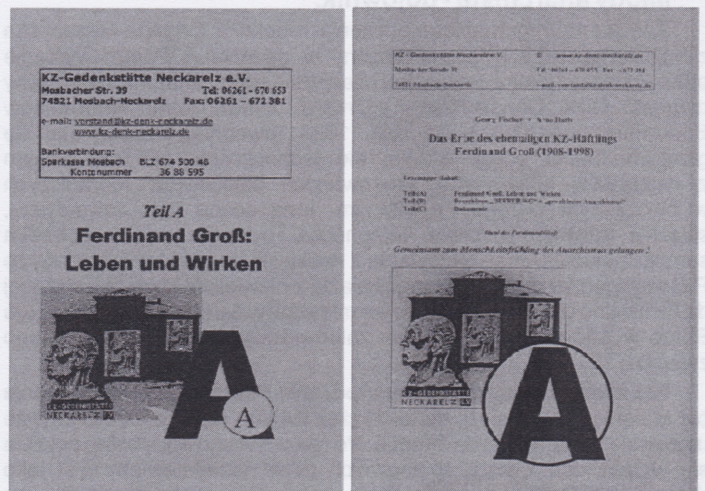
W 1991 i 1992 r. prowadził kampanię na rzecz zniesienia deklaracji sumienia urzędników służby cywilnej, jednak rozumiał to tylko jako mało istotny wariant swojego podstawowego antymilitaryzmu. W ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci propagował również w ramach Friedenswerkstatt (Warsztatu Pokoju) w Graz oraz ARGE für Kriegsdienstverweigerung und Gewaltfreiheit (ARGE dla odmowy służby wojskowej i niestosowaniem przemocy) założonego w 1976 roku, którego organem były gazeta *Friedolin. Zeitschrift für Kriegsdienstverweigerung und Gewaltfreiheit* (Pismo dla Sprzeciwu Sumienia i Niestosowania Przemocy) powstała w latach 1992-1994 z wykorzystaniem prasy drukarskiej Ferdinanda. Jeszcze latem 1997 roku, kiedy to pod koniec roku postanowił przerwać swoje *Befreiung*, zaprojektował nowy nagłówek *Friedolin*, które miało dalej istnieć i stać się jego własny pismem pod nazwą *Friedolin und Befreiung. Organ des herrschaftslosen Sozialismus, für Kriegsdienstverweigerung und Gewaltlosigkeit, für soziale und geistige Neukultur im Sinne des Friedens, der individuellen Selbstbestimmung; für freie Menschen und solche, die es werden wollen* (Friedolin i Wyzwolenie. Organ socjalizmu bez władzy, dla sprzeciwu sumienia i niestosowania przemocy, dla społecznej i duchowej nowej kultury w sensie pokoju, indywidualnego samostanowienia; dla ludzi wolnych i tych, którzy chcą się nimi stać). Wdrożenie tego planu powierzył redaktorowi „friedolińskiemu" Paulowi Friedrichowi, którego poznał około 1988 roku i z którym zaprzyjaźnił się w ostatnich latach.

Udział Ferdinanda w dużej demonstracji przeciwko paradzie wojskowej z okazji święta narodowego w Wiedniu w październiku 1995 r. oraz w Paradzie Pokoju w Graz w październiku 1996 r. pokazuje również, iż w ogóle Ferdinand nie był zmęczonych walką. Już w 1997 roku, prawie dziewięćdziesięciolatek, walczył z inżynierią genetyczną w ramach referendum i brał udział w tworzeniu tzw. wystawy Wehrmachtu - *Vernichtungskrieg, Verbrechen der Wehrmacht 1941-1944* (Wojna zagłady, zbrodnie Wehrmachtu 1941-1944) w Grazu, która miała miejsce od 1 grudnia 1997 roku do 11 stycznia 1998 roku. Wreszcie, należy podkreślić, że od końca lat 50. w Graz prawie nie odbyły się wybory na szczeblu gminnym, stanowym czy federalnym, w których nie walczył by zaciekle przeciwko oszustwom wyborczym i łapaniu głosów. W ostatnich latach wzrosło również jego zainteresowanie pedagogiką i psychologią libertariańską; wymownym świadectwem tego jest wielokrotna publikacja ostatnich pism Gerdy Fellay, z którą zapoznał się w 1993 roku i z którą czuł się ściśle związany duchowo. W centrum jego czasopisma znajdowały się jednak prace Pierre'a Ramusa, o którego przedruku nieustannie się starał - a nakład czasopisma wahał się od 1200 do 1500 egzemplarzy.

Niezłomna siła woli

Gdy spotkałem Ferdinanda w kwietniu 1982 roku z okazji wykładu Augustyna Souchy'ego w Graz, był już na emeryturze. Jego *Befreiung* stało się dla niego dobrze funkcjonującym, ale jednak ciągle nowym wyzwaniem. Szczególnie ucieszyły go wizyty Augustyna Souchy'ego, Horsta Stowassera i Gerdy Fellay w Graz oraz owoce moich dziesięcioleci pracy: wydarzenie 13 i 14 listopada 1992 r. w Wiedniu z okazji 110-tego roku urodzenia i 50. roku śmierci Pierre'a Ramusa oraz późniejsze założenie Pierre Ramus-Gesellschaft (Towarzystwa Pierre'a Ramusa) w styczniu 1993 r., które wybrało Ferdinanda na członka honorowego. Nie interesowała go jego osoba - próżność była mu naprawdę obca - ale uznanie dla Pierre'a Ramusa i jego pracy. Kolejna radość została mu dana w ostatnich latach. Zwróciłem już uwagę na entuzjazm Ferdinanda do śpiewania. Rozpoczynał dzień z niezwykłą regularnością i samodyscypliną z ćwiczeniami śpiewu. Entuzjastyczny śpiewak, który zawsze nazywał śpiewanie eliksirem swojego życia, był w stanie regularnie dawać próby swojej sztuki wokalnej w Centre International des Recherches sur l'Anarchisme (C.I.R.A. - Międzynarodowe Centrum Badań nad Anarchizmem)) w Lozannie pod koniec zimy. Do jego ulubionych utworów należały pieśni Franza Schuberta i różne arie operowe. Niestety nie można było go już przekonać do śpiewania pieśni robotniczych. Powiedział, że zostały napisane dla dużych chórów, więc solowe wykonanie byłoby śmieszne. Jego ostatni występ, jako śpiewaka, miał miejsce w Lozannie w styczniu 1997 roku.

W marcu 1997 r. w wieku 89 lat poleciał do USA do córki Pierre Ramusa, Lilly E. Schorr. Opisał tą długo oczekiwaną wizytę, już w szpitalu „jako godną kulminację, być może koniec mojego życia". W rzeczywistości, tak naprawdę nie wyzdrowiał już z trudów podróży. W 1997 roku choroba serca zabrała go trzykrotnie do szpitala. Z pozornie niezłomną siłą woli udało mu się jednak opublikować w grudniu 1997 roku 85 numer swojego *Befreiung*. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia musiał zostać zabrany do szpitala w Graz, całkowicie osłabiony, gdzie zmarł po dwudziestu dniach.



Broszury poświęcone życiu i działalności Ferdynanda Grossa

W tym momencie nadszedł najwyższy czas, aby uczcić również pamięć jego żony Rosy, która zawsze działała w tle: była jego towarzyszką życia i walki przez sześćdziesiąt lat, ważnym wsparciem w okresie faszyzmu, ale później także aktywnym pomocnikiem przy tworzeniu *Befreiung* ale przede wszystkim pierwszym i najważniejszym krytykiem każdego nowego numeru. Po tym, jak poważnie zachorowała na stwardnienie rozsiane i została przywiązana do łóżka, Ferdinand opiekował się nią w sposób godny podziwu i kochający przez wiele lat. Jej śmierć w lutym 1994 r. mocno go uderzyła. Głęboko wzruszyły mnie jego słowa z przeddzień pogrzebu Rosy: „Wiesz, ostatnim razem, gdy byłem tak przerażony jak teraz, byłem w obozie koncentracyjnym". Po chorobie Rosy, Ferdinand w coraz większym stopniu przejmował zarządzanie gospodarstwem domowym. Nie było to dla niego oczywiście trudne, ponieważ opisywał prace domowe jako swoją cichą pasję. Entuzjastyczny gospodarz domowy gotował, sprzątał, mył i prasował się - i robił pyszne soki owocowe. Każdy, kto kiedykolwiek odwiedził Ferdinanda w jego skromnym mieszkaniu, zapamięta go jako uosobienie „nieskazitelnie czystego". Mam wspomnienia z wielu pięknych godzin w tym mieszkaniu z Ferdinandem i Rosą. Ruch anarchistyczny pozostaje spuścizną człowieka, który zawsze szedł prostą drogą, nawet w niebezpiecznych czasach faszyzmu, spuścizną człowieka, z którego można być dumnym jako przyjaciel i towarzysz w walce.

Reinhard Müller

Pierwodruk: *Friedolins Befreiung* Nr. 2/1998
Tłumaczenie: **Małogorzata Ważyńska**

CZARNY BAKUNIN

BRAZYLIJSKI ANARCHISTA DOMINGOS PASSOS

Domingo Passos - z zawodu stolarz, działacz związkowy, znany mówca i agitator anarchistyczny był wyróżniającą się postacią brazylijskiego ruchu anarchistycznego na początku XX wieku. Podobnie jak całościowa historia brazylijskiego anarchizmu, nie jest on dość znaną postacią tak w Polsce, jak i w Europie. W języku angielskim jak do tej pory ukazała się jedna książka poświęcona tej tematyce (Johna W. F. Dulles - *Anarchists and communists in Brazil 1900-1935* - Anarchiści i komuniści w Brazylii 1900-1935). Dlatego postanowiliśmy nieco przybliżyć tragiczne losy Czarnego Bakunina, jak zwano Domingosa Passos.

„Obudziłem się o 5 rano. Passos, który nie spał od kilku godzin, siedział na łóżku i czytał książkę *Hamon Determinism and Responsibility.* Wziąłem ręcznik i zszedłem na dół, aby umyć twarz. Kiedy wróciłem z podwórka, zobaczyłem dwie osoby. Minęła chwila lub dwie, zanim zdałem sobie sprawę, kim oni są. Z wyciągniętymi rewolwerami zapytali nieuprzejmie: „Gdzie jest Domingos Passos?"

Przewidując kolejny z ataków, przez które nasz towarzysz tak często przechodził w ostatnim czasie, chciałem go ukryć i powiedziałem, że nie ma go w pobliżu: „Nie mieszka tu żaden Domingos Passos" - odparłem.

Młody anarchista - bojownik.

Ten krótki fragment oświadczenia robotnika Orlanda Simonecka z 16 marca 1923 r., zamieszczony w gazecie *A Patria*, wyraźnie odzwierciedla z jakimi sytuacjami mierzył się młody anarchista i aktywny członek Civil Construction Workers' Union (Unii Robotników Budowlanych UOCC). Do roku 1923 Towarzysz Passos stał się głównym celem policji w Rio, ale jednocześnie stał się jednym z najbardziej lubianych i szanowanych bojowników robotniczych w ówczesnym Okręgu Federalnym. Inną cechą tego towarzysza, słusznie zauważoną przez Simonecka, była nieustanna potrzeba samokształcenia, chęć obcowania z nauką i kulturą, które sprawiały, że Passos spędzał poranki chłonąc książki z niewielkiej kolekcji należącej do Florentino de Carvalho, z którym mieszkał w tym samym domu w Rua Barão w São Félix, oddalonego zaledwie kilka kroków od lokalnego związku.

Nie znamy dokładnego roku urodzenia Passosa (prawdopodobnie był to koniec XIX wieku), ale z książek Edgara Rodriguesa wiemy, że urodził się w stanie Rio de Janeiro. Po raz pierwszy jego postać pojawia się w relacjach z walk społecznych gdzie przedstawiany jest jako delegat UOCC na III Kongresie Robotników Brazylii (w roku 1920), na którym został wybrany na osobę sekretarza odpowiedzialnego za organizację delegacji i wyjazdów Brazilian Workers' Confederation (Brazylijskiej Konfederacji Robotniczej - COB). Passos został wybrany na to stanowisko, ponieważ wyróżniał się ze względu na swój intelekt i zdolności oratorskie, które na co dzień sukcesywnie doskonalił. W 1920 roku Passos współpracował z Rio de Janeiro Workers' Federation (Federacją Robotniczą Rio de Janeiro - - FORJ), która wydawała gazetę codzienną w *A Voz do Povo.* W październiku 1920 roku policja rozpędziła demonstrację robotników wzdłuż Avenida Rio Branco strzałami z broni palnej, a następnie zorganizowała nalot na siedzibę UOCC, raniąc pięciu pracowników i aresztując trzydzieści osób.

Duże nadzieje i zmiany polityczne.

Gwałtowana napaść policji potrząsnęła ruchem robotniczym u podstaw i ostatecznie doprowadziła do jego powolnego upadku. „Żółte związki" (1) rozwijały się dynamicznie i zaczęły kwestionować istniejącą hegemonię w niektórych zawodach. Wielkie wśród anarchistów oczekiwania, związane z rewolucją rosyjską, szybko zaczęły upadać gdy doszły do Brazylii wieści o bolszewickich represjach. W dniu 16 marca 1922 r., na dziewięć dni przed powołaniem Komunistycznej Partii Brazylii, UOCC przedstawiło dokument zatytułowany *Obalenie fałszywych roszczeń grupy komunistycznej,* w którym UOCC zadeklarowała odrzucenie komunistów państwowych zwanych bolszewikami. Z pewnością ów dokument, został napisany przez Domingosa Passosa. W latach dwudziestych członkowie UOCC byli najbardziej niewzruszonymi i nie idącymi na żadne kompromisy przeciwnikami doktryny bolszewizmu. Byli oni uosobieniem pełnej krytycyzmu świadomości i pod wieloma względami okazało się to tragiczne w skutkach dla całej kadry komunistycznej. W lipcu 1922 r., w następstwie niepowodzenia rewolty wszczętej przez poruczników z fortu Copacabana, wprowadzone represje uderzyły również w wydawnictwo gazety UOCC, *O Trabalho,* w której tworzeniu Passos brał aktywny udział. Wówczas myśl anarchistyczna zaczęła być głównie w gazecie *A Patria*, w której redaktorem Sekcji Pracy był inny znany bojownik UOCC.

Siła napędowa

W 1923 roku, kiedy policja nie odstępowała Passosa na krok, ustąpił on z członkostwa w UOCC i skupił on swoje zainteresowanie na oddolnie samoorganizujących się uniach związków zawodowych, podróżując często do Parany w celu ich wsparcia. Podobnie jak inni wolnościowi mówcy - José Oiticica, Carlos Dias i Fabio Luz, Passos był często zapraszany do wygłaszania wykładów w miejscowych związkach. Brał również aktywny udział w festiwalach robotniczych, występując w sztukach, wygłaszając odczyty poetyckie i wykłady na tematy społeczne. Takie wydarzenia z pewnością stanowiły jedne z nielicznych momentów przyjemności, jakimi Passos cieszył się w swoim robotniczym i aktywistycznym życiu.

W pierwszej połowie 1923 r. Passos był jednym z głównych inicjatorów wznowienia Federacji Robotniczej Rio de Janeiro (FORJ), która miała być alternatywą dla utworzonej przez komunistów organizacji FTRJ. Kiedy FORJ ostatecznie się zawiązała, Passos został wybrany do komitetu Federalnego. Odnowiony przez sześć związków (budownictwo cywilne, szewców, bednarzy, stolarzy okrętowych, gastronomię i Związek Zawodowy Marechal Hermes General Trades Union) do połowy 1924 roku FORJ zwerbował kolejnych pięć znaczących grup zawodowych: odlewników, murarzy, ślusarzy, hutników i kamieniarzy. Pomimo represji państwowych i prowokacji komunistów, rewolucyjny syndykalizm urósł w siłę pod auspicjami FORJ, która w tym czasie pracowała nad zorganizowaniem konferencji międzyzwiązkowej w Rio i planowała IV Kongres Robotniczy Brazylii. W lipcu 1924 roku wszystkie wysiłki organizacji zostały zniweczone w wyniku represji spowodowanych rewoltą zorganizowaną przez młodszych oficerów, tym razem w São Paulo. Lokalni działacze związkowi zostali zaatakowani i zamknięci, a setki anarchistów uwięziono. Domingos Passos był jednym z pierwszych aresztowanych i po dwudziestu dniach tortur w Komendzie Głównej Policji został przetransportowany i uwięziony na statku więziennym „Campos" w zatoce Guanabara. Miesiące, które spędził służąc na pokładzie więziennego statku, charakteryzował ciężki niedostatek i liczne restrykcje. Wraz z innymi anarchistami i setkami „wyjętych spod prawa" miał zostać przeniesiony do tak zwanego „zielonego piekła" Oiapoque, („Syberii tropików"), gdzie fatalne warunki bytowe, choroby i złe traktowanie pochłonęły ponad tysiąc istnień ludzkich. Passosowi udało się uciec do Saint-Georges w Gujanie Francuskiej. W międzyczasie gorączka zmusiła go do szukania pomocy medycznej w Kajenna, gdzie został ciepło przywitany przez ludność miejscową, która pomogła mu odzyskać siły. Z Gujany przeniósł się do Belém, gdzie przebywał przez pewien czas jako gość lokalnej organizacji robotniczej.



São Paulo i uwięzienie

Domingos Passos był jednym z tych, którzy powrócili do ówczesnego Okręgu Federalnego po prawie czteroletnim (od 1922 r. do 1926 r.) stanie oblężenia egzekwowanego przez rząd Artura Bernardesa. Passos brał udział w IV Kongresie Robotniczym Rio Grande do Sul, który odbył się w Porto Alegre. Był również współorganizatorem kilku spotkań i wieców na rzecz uwolnienia Sacco i Vanzettiego w USA, organizowanych przez FOSP i jej lokalne oddziały. W sierpniu został uwięziony w owianej bardzo złą sławą „Cambuci Bastille", gdzie spędził trzy miesiące, podczas których poddawany był okropnemu traktowaniu.

Według Pedro Catallo, swojego współlokatora z celi, Passos opuścił więzienie z ciałem pokrytym wrzodami, półnagi, został wysłany na śmierć do dżungli Sengés. Udało mu się jednak skontaktować z kilkoma towarzyszami, którzy przesłali mu pieniądze za pośrednictwem pośrednika. Tak zakończyła się historia człowieka, który był jednym z najbardziej wpływowych i szanowanych anarchistycznych i rewolucyjnych działaczy syndykalistycznych swoich czasów. Nic więcej o nim nie słyszano, poza sporadycznymi, niepotwierdzonymi plotkami.

Nie bez powodu Domingos Passos był znany w swoich czasach jako „Brazylijski Bakunin". Niewielu było tak oddanych swoim ideałom jak on. Włożył wszystko w walkę o emancypację mężczyzn i kobiet. Spędził prawie dziesięć lat w więzieniu w warunkach tropikalnej dżungli. Passos stał się wielkim wzorem dla działaczy społecznych w jego i w naszych czasach!

Renato Ramos, Alexandre Samis

Przypis:
(1) Organizacje robotnicze zdominowane i znajdująca się pod wpływem pracodawców.

Pierwotnie powyższy tekst ukazał się w 2001 r. na stronie Biblioteki Kate Sharpley. Niedawno został przypomniany w wydawnictwie *Black Anarchism. A Reader by Black Rose Anarchist Federation.*
Tłumaczenie: **Pati**



LEŚNI BRACIA

INSUREKCJA NA URALU W LATACH 1905 - 1908

Prezentujemy krótki bilans rewolucyjnych wystąpień na Uralu w okresie działań rewolucyjnych w latach 1905 1908, który przeszedł do historii pod potoczną nazwą Lbowszczyzny.

Dla burżuazji, biurokracji, obrońców rosyjskiego reżimu wraz z ich gazetami i akademickimi pachołkami... Lbow i jego towarzysze zostali przedstawieni... jako gang złodziei, rozbójników i wywłaszczycieli
- Aleksander Siergiejewicz Masjutin

Niewiele zostało napisane w krajach zachodnich na temat niezwykłego powstania na Uralu, które miało miejsce podczas pierwszej rewolucji na terenach rosyjskich w 1905 roku. Pośród kluczowych postaci tych wydarzeń należy wymienić Aleksandra Lbowa i braci Dawidow. Aleksander Michajłowicz Lbow urodził się w chłopskiej rodzinie 11 marca 1876 roku w wiosce Motowiliha w guberni permskiej. Pracował jako siewca i pszczelarz. W późniejszym okresie został powołany do pułku grenadierów, gdzie służył w latach 1897 - 1898, zdobywając stopień podoficera. Niecały rok po rozpoczęciu służby został zdemobilizowany ze względu na śmierć brata Wasyla.

Michaił Lbow wraz z synem od dawna byli skonfliktowani z permską fabryką dział znajdującą się we wsi Motowiliha. Konflikt dotyczył 5 akrów ziemi, uprawianej przez rodzinę Lbów od 106 lat. Pomimo wielu lat sporów sądowych rodzina utraciła ziemię, a Aleksander utracił wiarę w legalne instrumenty władzy. Od 1904 roku zaczął się spotykać z rewolucjonistami. W tym czasie podjął pracę w permskiej fabryce dział i odegrał aktywną rolę podczas strajków w 1905 roku. Należy dodać, że w tej samej fabryce pracował szesnastoletni wówczas Gawrił Miasnikow, który pod wpływem rewolucyjnej agitacji zaczął działać u boku Lbowa. Lbow został zwolniony z fabryki we wrześniu. Na zebraniach był znanym mówcą, a podczas demonstracji ulicznych zawsze dzierżył sztandar. Prowadził również rewolucyjną propagandę pośród chłopów w rejonie Ochańska za co został aresztowany i osadzony w więzieniu w Ochańsku. Po dwóch miesiącach wyszedł na wolność i wziął udział w wydarzeniach grudniowych 1905 roku. W nocy z 12 na 13 grudnia przemawiał do robotników, którzy zdobyli magazyn pełny rewolwerów należący do braci Nobel. Źródła podają, że najprawdopodobniej przewodził barykadowaniem linii kolejowych uniemożliwiając komunikację kolejową z miastem. 15 grudnia we wsi Motowiliha w pojedynkę próbował rozbroić trzech policjantów. Stał się poszukiwany i zaczął ukrywać się z innymi rewolucjonistami w pobliskich lasach. Wkrótce dołączali inni i zaczęto organizować tajne zebrania. Najbliżsi zaopatrywali ich w prowiant. W maju 1906 roku wraz z krewnym M. Stolnikowem wziął udział w zamachu na policyjnego informatora - kupca N. Szirajewa.

W połowie 1906 roku grupa Lbowa nawiązała kontakt z działającą w regionie grupą bojową bolszewików. Kiedy grupa ta została rozwiązana w październiku tego roku, ci którzy postanowili kontynuować walkę zbrojną dołączyli do Lbowa. W styczniu 1907 roku, szesnastu członków z niezależnej grupy bojowej pod komendą Dimitra „Sybiraka" Sawieliewa - maksymalisty z Piotrogrodu przybyło do guberni permskiej i przyłączyli się do grupy Lbowa. Zjednoczone oddziały wkrótce zostały nazywane „Leśnymi Braćmi". Grupa Sawieliewa wkrótce zaczęła działać autonomicznie, lecz powołano wspólny Pierwszy Permski Rewolucyjny Oddział Partyzancki. Organizowano wiele akcji, wliczając ekspropriacje, wśród których najbardziej popularną było obrabowanie biura fabryki Polaźnińskiego. Była również próba uwolnienia więźniów z permskiego więzienia, atakowano składy paliwa i winiarnie. W tym momencie należy podkreślić, że „Leśni Bracia" uznawali zasadę trzeźwości pośród towarzyszy broni i kiedy dokonywano ekspropriacji sklepów z alkoholem, wszystkie butelki niszczono. Wprowadzono również rewolucyjny podatek pośród lokalnych zamożnych rodzin.

Po napadzie na biuro fabryki Polaźnińskiego byli ścigani przez policję lub, jak w niektórych przypadkach, przez dragonów i oddziały piechoty. Niektórzy z „Leśnych Braci" zostali pochwyceni, włączając w to Sawieliewa, który został powieszony 4 kwietnia wraz z trzema innymi rewolucjonistami, gdzie najmłodszy z nich miał 18 lat.

Pod koniec kwietnia 1907 roku Lbow został głównym liderem „Leśnych Braci". Większość oddziału stanowili bojownicy nie zrzeszeni w żadnych partiach politycznych. Jednakże w ich szeregi wstępowali anarchiści, socjaldemokraci i eserowcy. Lbow jako kluczowy członek Uralskiego Związku Bojowego koordynował aktywność wielu zbrojnych grup działających na Uralu. Należy zwrócić uwagę, że takich grup rewolucyjnych działających w regionie było sporo. Oprócz grupy wspomnianego wcześniej Sawieliewa, był Związek Autonomicznych



Aleksander Michajłowicz Lbow

Grup Bojowych Partii Socjalno-Rewolucyjnej operujący w regionie Kama, Związek Aktywnej Walki działający w okolicach Jekaterynburga, oraz „Dawidowszczyzna„ - jednostka dowodzona przez braci Dawidow, walczących w rejonach Aleksandrowska i Luniewki. Wiosną 1907 roku „Leśni Bracia" dokonali szeregu spektakularnych akcji, wliczając ekspropriację statku parowego „Anna Stiepanowa Lubimowa" i wzniecając niepokoje w górskim regionie bogosłowskim.

Lbow zaczął określać się jako anarchokomunista. Nie pokładał żadnej wiary w rewolucyjne partie mające za cel przewodzić lud, uważał to za „stary socjaldemokratyczny nonsens". Uważał, że to sam lud ma rozpocząć powstanie, a „Leśni Bracia", mogą tylko dostarczyć logistycznego zaplecza. „Leśni Bracia" ubierali się całkowicie w czarne barwy, mające na celu zapewnić im ukrycie podczas nocnych działań. Lbow był wyśmienitym strzelcem, lecz radził sobie równie dobrze w walce na pięści i bronią białą. Jego jednostka nie liczyła więcej niż setkę bojowników, w tym połowa była złożona z uzbrojonych kombatantów, a druga prowadziła działania pomocnicze. Podczas partyzanckich wypadów nad ich głowami powiewał czerwony sztandar z wypisanym hasłem: „Wojna dla Ziemi i Wolności". Zawsze przed akcją odbywała się narada prowadzona przez Lbowa lub innych bojowników.

Pieniądze uzyskane z ekspropriacji przez „Leśnych Braci" trafiały głównie do biedoty, więźniów, rodzin poległych rewolucjonistów, lecz także do anarchistycznych, socjal-rewolucyjnych i bolszewickich grup. Represje ze strony władzy były brutalne. Żona Lbowa - Elizaweta Wasiliewna, matka dwojga dzieci, była bita i torturowana w więzieniu. Reperkusje dotknęły wszystkich najbliższych Lbowa. Za jego głowę carskie władzę wyznaczyły nagrodę 5000 rubli. Sprawy zaczęły przybierać zły obrót dla wszystkich zbrojnych grup od połowy 1907 roku. Straty bojowników były coraz większe, wielu ginęło lub kończyło w więzieniach. W sierpniu carskie siły przeprowadziły dwa uderzenia zakończone porażką „Leśnych Braci" i okupione wieloma ofiarami. Większość z nich skończyło na szubienicach, w więzieniach, bądź na wygnaniu. Różne rewolucyjne partie polityczne odcięły się od Lbowa i jego towarzyszy. Jesienią 1907 roku Lbow rozwiązał oddział i przeniósł się w rejon Wiatki (dzisiejszy Kirow - *przyp. tłum.*), gdzie żył pod fałszywym nazwiskiem i przygotowywał działania partyzanckie. Zdradzony przez prowokatora, Lbow został aresztowany podczas strzelaniny 17 lutego 1908 roku w mieście Nolinsk. Dwa miesiące później, 22 kwietnia został osądzony i skazany w mieście Wiatka, powieszono go w więzieniu, 2 maja 1908 roku.

Bracia Dawidow, Aleksiej i Iwan brali czynny udział w strajkach w Jekaterynburgu w 1905 roku. Aleksiej Iwanowicz Dawidow urodził się 10 kwietnia 1887 roku w mieście Solikamsk, a jego brat Iwan w 1880 roku. Obaj pracowali jako palacze w fabryce. Bracia zgromadzili olbrzymią kolekcję książek i zaczęli udzielać się w rewolucyjnych grupach, w których Aleksiej był bardziej zaciekły i nastawiony bojowo. Latem 1907 roku bracia Dawidow przyłączyli się do grupy Lbowa i wkrótce utworzyli autonomiczną jednostkę: Oddział Bojowy Uralskich Leśnych Braci. Oddział posiadał dwa czerwone sztandary, pierwszy z wymalowanym hasłem: „Wojna dla Ziemi i Wolności", a drugi z napisem „Śmierć Autokracji". Iwan został ranny podczas zasadzki 22 sierpnia 1908 roku i zmarł w wyniku odniesionych ran trzeciego września. Aleksiej został pojmany w sierpniu 1908 roku i powieszony 1 października.

Wiele książek opisywało historię „Leśnych Braci". Najsłynniejsza zapewne została wydana przez sowieckiego dziennikarza Arkady Gajdara w 1926 roku („Życie to nic. Lbowszczyzna" - *przyp. tłum.*) i była pierwszym fikcyjno-literackim opisem historii Lbowa. Gajdar wkrótce wydał drugą część opisującą braci Dawidow („Leśni Bracia. Dawidowszczyzna" - wydana w 1927 roku - *przyp. tłum.*).

Nick Heath

Za: libcom.org
Tłumaczenie: ***Leon***

A-kultura...

POZA PRAWEM: ROZBÓJNIK RUMCAJS

„Jo musem być zbojnik
Bo krzywda wielika
Nieprawość u panow
Prawda u zbojnika"
- stara przyśpiewka z Podhala

Wbrew tytułowi i temu, co próbuje się przypisać Rumcajsowi, nie był on rozbójnikiem. Nie zmienia to faktu, że jest fascynującą postacią, tak jak i całe jego uniwersum, a z opowieści o nim można zaczerpnąć wiele inspirujących rzeczy, także i dla anarchizmu. Ciąg historyjek o byłym szewcu z Jiczyna autorstwa Václava Čtvrtka to oczywiście przede wszystkim bajka dla dzieci, jak i inne jego autorstwa (*Żwirek i Muchomorek, Makowa Panienka*), ale świat w niej opisany jest wspaniale harmonijny, zakłócany jedynie czasem przez ludzką głupotę, uosabianą zazwyczaj przez księcia z Jiczyna (którego pierwowzorem był ponoć mocno nielubiany przez Czechów hrabia Albrecht von Wallenstein), cesarza lub inne postacie, które zysk lub własne ego cenią ponad ową harmonię.

Świat Rumcajsa

Świat, w którym żyje Rumcajs z rodziną jest dość konkretny, większość dzieje się w czeskim Jiczynie, pojawiają się też takie miejsca jak niedalekie Prachov, Turnov czy Liberec. W Wiedniu rządzi cesarz austriacki, czasem pojawia się król pruski Frycek (najprawdopodobniej Fryderyk II Wielki), są żołnierze z dość konkretnie opisanym uzbrojeniem. Najczęściej jednak linia sporu ze światem zewnętrznym to władze miasta Jiczyn i książę pan, który tam zamieszkuje.

Jest też oczywiście magiczny wymiar, jak to w bajkach. Jest więc smok, wodnik, rusałki i ich kuzynki dziwożonki (!), spersonifikowana wichura, olbrzym i inne postacie zupełnie bajkowe. Ale życie ma swoje zwykłe potrzeby i to na nich skupia się większość wydarzeń.

Rozbójnik?

Motyw ucieczki Rumcajsa od normalnego miejskiego życia był dość banalny. Jako szewc miał wykonać buty staroście Humpalowi, ale z powodu braku szacunku do władzy i nadętości starosty jego warsztat został zamknięty „za obrazę majestatu starościńskiej nogi", a żołnierze z bagnetami na karabinach wyprowadzili go poza mury miasta i kazali wynosić się do lasu. Tak więc chcąc nie chcąc Rumcajs osiedlił się w lesie Żaholec i zaczął prowadzić tam życie dość pustelnicze, niemniej jednak nazwa „rozbójnik" pojawiła się raczej jako synonim do określenia „wyjęty spod prawa", niż dlatego, że faktycznie żył z napadania na ludzi. Z dwóch tomów, które przeczytałem, w oko wpadły mi tylko dwie sytuacje „rozbójnicze", gdy brodaty bohater stwierdził, że jego siedmiokrotna polewka zbójnicka jest za mało słona i musi tą sól zrabować od kogoś na drodze w lesie, a także gdy jego buty się rozwaliły i to jego żona Hanka ukradła buty dla swego męża właśnie na leśnej drodze. Co prawda ukradł jeszcze jabłko z książęcego ogrodu, ale nie napadł wtedy na nikogo. Pojawia się także deklaracja, że „bić kogokolwiek brutalnie - to nie było w zwyczaju Rumcajsa", mimo tego, że posiadał ogromną, bajkową siłę. Większość konfliktów rozstrzyga jak trickster za pomocą forteli, a być może jedyną postacią, którą musiał zabić, był smok. Poza tym żyje raczej z tego co uzbiera w lesie, lub (rzadziej) upoluje czy złowi, czasem pewne rzeczy razem z Hanką sprzedają i kupują na targu miejskim, mimo zakazu powrotu do miasta.

„Walden, czyli życie w lesie"

Sam, tylko z żoną i później też z dzieckiem Cypiskiem, w jaskini w lesie, z dala od cywilizacji, z którą miewa kontakt incydentalny. Niemal samowystarczalny. Brzmi jak wersja dla dzieci słynnej książki H. D. Thoreau, z opisami przyrody i prostymi rozwiązaniami jak przeżyć. Strzela z pistoletu żołędziami, które wcześniej obraca w trakcie ich rośnięcia, by były idealnie okrągłe. Kąpiel po zbójnicku odbywa się w potoku, szoruje się piaskiem i zmywa go wiechciem trawy. Rumcajs, co



prawda nie jest wegetarianinem, pada stwierdzenie, że łowi ryby na obiad czy jada pieczone kurczaki, ale jednocześnie „za przyjaciół ma wszystkie ptaki i czworonogi z lasu Żaholec" i niejednokrotnie bronił je przed śmiercią na przykład z rąk myśliwych. Zbiera też kasztany, by móc nimi w zimę dokarmiać zwierzęta w lesie. Jest idealnie integralny z miejscem, w którym mieszka, harmonia jest zakłócana jedynie przez ludzką chciwość lub głupotę, albo wrogów ze sfery nadnaturalnej.

Rumcajs vs ekoterroryści

Był moment, gdy Rumcajs powrócił na trzy tygodnie do normalnej pracy szewca, ale gdy dowiedział się, że książę podstępnie próbuje wyciąć żaholecki las powrócił do niego natychmiast. Nie zdzierżył i rozgonił ekipę drwali, zostawiając rewolucyjny komunikat na drzwiach do swego warsztatu: „Z uwagi na konieczność ochrony lasu Żaholec wracam do rozbójnictwa." i podsumował swoją rolę: „I choćby nawet ktoś pragnął być szewcem, musi zostać rozbójnikiem."

Tych opowieści o tym, jak Rumcajs broni swoich leśnych przyjaciół, jak chroni naturalnego stanu przyrody, jest bardzo wiele. Zaczęło się od jajek pokrzewki, które książę wyjął z gniazda w czasie zbierania grzybów, a które potem Rumcajs trzymał aż do wyklucia w lufie swego pistoletu. Potem Hanka, już jako żona (choć nie kojarzę, by brali ślub) uwalnia z klatki ptaszka („Otwarte Klatki!"), uwięzionego przez wójta, za co zresztą została aresztowana. Kilka rozdziałów później Rumcajs namawia bezwzględnego myśliwego, nie dostrzegającego piękna bażantów, które miał upolować na polecenie księcia (jak zwykle), by porzucić ten niecny zawód i zacząć paść pszczoły w lesie. Następnie podpada mu młynarz, który dla zysku zakłóca bieg rzeki, by młyn mu lepiej czyli zyskowniej pracował, za co został oczywiście ukarany. Nieco dalej jest opowieść jak elita mieszczańska zabiera się za połów przemysłowy ryb z leśnego stawu, i jak zwykle żałują tego mocno. Bardzo wymowny jest rozdział gdy książę postanawia zrobić wielką plenerową imprezę nad stawem, połączoną z głośnym łowieniem ryb, tego oczywiście Rumcajs także nie zdzierżył. Takie rzeczy się dzieją niemal co chwila, więc Rumcajs ma co robić ratując swój ekosystem.

Władza precz!

Ale tak naprawdę chyba najwięcej jest wątków o tym, jak to Rumcajs walczy z władzą, zresztą przecież właśnie dlatego został zmuszony do zostania rozbójnikiem. Co chwila jego losy krzyżują się z kimś ważnym - starostą, księciem, jego żoną, innymi arystokratami i wojskiem. Sama władza, jej przedstawiciele, są przedstawieni dość groteskowo i karykaturalnie, są nieporadni, nie potrafią wygrać z Rumcajsem (i z jego lasem) nawet mając do dyspozycji całą armię. A sam bohater o tych, którzy służą mówi z nieukrywaną pogardą: „Bo tylko lokaj nigdy nie ma pewności, w którą stronę winien się ukłonić". A na przykład o formacji, którą można porównać do dzisiejszej straży miejskiej autor bajki wyraża się per „draby" i „pachołki miejskie".

Są dwa rozdziały, w którym poruszony jest temat przymusowego wcielania do wojska i żaden oczywiście nie kończy się dobrze, dla tych, którzy ten pobór organizują. Jest historia o ślubie aranżowanym i zdecydowanej akcji Rumcajsa, by temu zapobiec. Jedna z opowieści szydzi z księcia, który za radą cesarza powinien nauczyć się kląć po czesku, by wzbudzić u mieszkańców więcej szacunku, ale oczywiście

w ogóle mu to nie wychodzi. Jest też rozdział z motywem ówczesnej betonozy, która teraz jest olbrzymią bolączką współczesnych miast, kiedy sama księżna zauważa: „Ten Rynek to same mury i bruk. Już nie mogę patrzeć..." i oczywiście próbują zasadzić na tym rynku drzewo ukradzione z żaholeckiego lasu, co nie pozostaje bez konkretnej reakcji Rumcajsa.

Zdarzyło się też, że sam rozbójnik ulega niebywałej, choć chwilowej pokusie władzy, zostaje nią oczarowany, gdy po pojmaniu przez huzarów zostaje posadzony przez księżnę Majolenę obok siebie na tronie, ubrany wytwornie, oblany perfumami i oszołomiony muzyką dworską. Siedział tak i błogo mruczał: „Toć już jest ze mnie książę pan", aż do momentu gdy żona Hanka każe mu zapalić zbójnicką fajkę (do której nie mógł jednak skrzesać ognia zadbanymi paznokciami). Było niebezpiecznie, tym bardziej, że chcieli mu ogolić brodę.



Zbójnictwo w legendach i historii

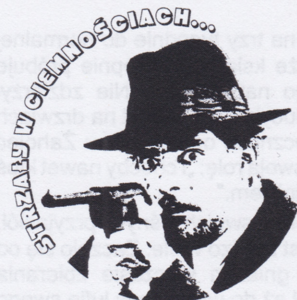
Pojawiła się gdzieś sugestia, że Václav Čtvrtek kreując postać Rumcajsa inspirował się historyczną personą jaką był zbójnik Ondraszek, po którym zostało też wiele legend i bajek ludowych, obfitujących w podobne wątki jak u Rumcajsa. Generalnie historia powszechna jest mocno nasycona zbójnictwem, szczególnie karpacka, a w Polsce także świętokrzyska, tak jak i ludowe przekazy czy bajki, co zresztą wyraźnie się zakorzeniło w kulturze popularnej. Wszyscy kojarzą Janosika, a fani komiksów zapewne pamiętają zbója Łamignata z serii *Kajko i Kokosz*. Sam Rumcajs zresztą wystąpił jeszcze we współczesnym czeskim komiksie walcząc z Alienem (niezła seria, polecam).

Pierwsza odkryta wzmianka o zbójnikach beskidzkich pojawiła się w 1413 roku, co nie znaczy, że sam proceder nie istniał wcześniej. Pasmo karpackie było idealnym miejscem do ukrywania się, ucieczek, a ze względu na biegnące tamtędy szlaki handlowe miało stały dopływ okazji do rabunku. Owi zbójnicy nie poprzestawali zresztą na kupcach, napadali też na kościoły, wioski i miasteczka. Zazwyczaj bywali zmuszeni do podjęcia tego niebezpiecznego trybu życia przez zewnętrzne okoliczności, jak groźba wcielenia do wojska czy też dezercja, pokrzywdzenie przez szlachtę, zawyżone podatki, pozbawienie ziemi, czy też takie osobiste historie jak uwiedzenie żony czy córki przez kogoś z kręgu szlachty. Zdarzali się zresztą zbójnicy szlachetnie urodzeni lub z dobrych rodzin (jak np. słynny Ondraszek), czy też kobiety, jak np. Barbara Rusinowska. Niektórzy badacze wywodzili, że było to też częścią chłopskiego ruchu oporu z XVII wieku, któremu można nadać cechy powstań narodowych, a walki na przestrzeni czasu miewały charakter religijny lub polityczny.

Mitologizowanie rozbójnictwa miało cechy mitu bohaterskiego, tak potrzebnego w świecie feudalizmu i ciągłego ucisku, ale wbrew opowieściom i ludowym przekazom było mało romantyczne i bardzo niebezpieczne. Na zbójników czekały srogie kary, widowiskowe, często publiczne tortury i takież egzekucje, zaś na miasta i wsie nakładano dodatkowy podatek na ochronę, a mieszczan i część chłopstwa zmuszano do uzbrojenia się na własny koszt. Sam słynny Janosik nie miał tak spektakularnej kariery jak jest to opisywane w legendach, poematach, piosenkach i obrazach, ale jest to ważny element mitu oporu słabych przeciw silnym, którego jednym z wątków, choć tylko bajkowym i przeznaczonym dla dzieci, jest właśnie Rumcajs.

Jeżeli macie dzieci to czytajcie im te opowiastki, lub puszczajcie chociaż wersję animowaną, bo warto.

maciej wy



TAM, GDZIE DOJRZEWAJĄ WINOGRONA GNIEWU

„Za każdym razem, gdy wybucha czarne niezadowolenie w kontynentalnych granicach Stanów Zjednoczonych - gdy wybucha do tego stopnia, że domaga się „akcji policyjnej" - Republika domaga się „zewnętrznej" ingerencji. Po prostu nikt nie potrafi sobie wyobrazić, że czarni Amerykanie mogą być tak nieszczęśliwi (lub tak bystrzy lub tak odważni), aby poważnie zagrozić jedynemu porządkowi społecznemu, jaki znają."
James Baldwin, *The Devil Finds Work*, 1976

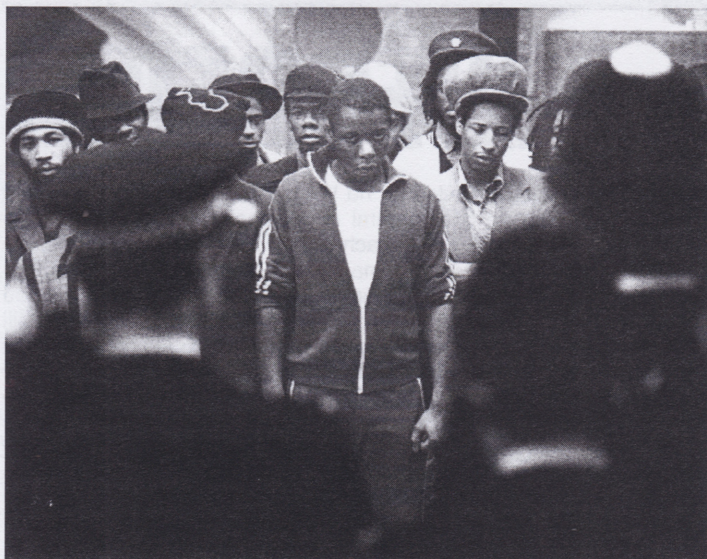
Czarne kino niewątpliwie przez ostanie kilka lat przechodzi przez swój najlepszy okres istnienia. Powrót czerni zapowiadano już w latach 2013-2014, kiedy to brytyjskie media zauważyły nową falę czarnych filmów w systemie hollywoodzkim i poza nim. *The Guardian* słowami dziennikarza, Sarfraza Manzoora, zapowiadał wówczas *The slow rise of black cinema*, zaś magazyn *Variety* uznał rok 2016 za najlepszy rok w historii Czarnej Kinematografii. Przyjrzyjmy się kilku pierwszym i kilku najnowszym czarnym produkcjom, bo tematyka ta raczej rzadko pojawia się na łamach *Innego Świata*...

Od momentu wybuchu pandemii koronawirusa kinematografia zapadła w śpiączkę: nie odbywały się festiwale, zamknięto kina, zastopowano większość produkcji filmowych. Z braku innych rozrywek, ludzie zaczęli wychodzić na ulice, a to po to, by protestować w sprawach słusznych (np. Strajk Kobiet w Polsce), ale i również w zupełnie bezsensownych (tzw. przeciwnicy technologii 5G). Jedną z pierwszych fal protestów był ruch Black Lives Matter w USA, notabene powstały i aktywny już od 2013 roku, jednak być może wielu odbiorców serwisów informacyjnych dowiedziało się o nim pierwszy raz dopiero w tym roku. Fala niezadowolenia Czarnych w USA idzie w parze ze skandalem w Wielkiej Brytanii, związanej z ekstradycją zamieszkałych na Wyspach czarnych mieszkańców Karaibów z powrotem do krajów ich pochodzenia.

Jeśli chodzi o tych drugich, to filmy pokazujące losy imigrantów z Zachodnich Indii były rzadko pokazywane i są stosunkowo mało znane, a dostępne są dzisiaj dzięki platformie cyfrowej Brytyjskiego Instytutu Filmowego. Jednym z pierwszych ważnych a chyba pierwszym fabularnym - był *Pressure* z 1976 roku będący opowieścią o rodzinie Jamajczyków z Ladbroke Grove na londyńskim West Endzie. Bohaterem filmu jest Tony, syn imigrantów z Trynidadu urodzony w Wielkiej Brytanii, ukończył szkołę z najlepszymi wynikami i szuka stabilnej pracy w biurze, a mimo że ma właściwe kwalifikacje jest odrzucany przez pracodawców przez to, że jest Czarny. Tony jest rozdarty między życiem między białymi Brytyjczykami, jako urodzony w UK, a swoją karaibską społecznością. Kpi z tego Colin, jego starszy brat, który jest działaczem Black Panther Movement (ale jego dziewczyną jest jednak białą Angielką) i stara się przeciągnąć Tony'ego na swoją stronę. Udaje mu się to, kiedy Tony wraz z kolegami zostają złapani za drobną kradzież w sklepie, przez co brat stawia mu ultimatum: albo bierze pierwszą lepszą, byle jaką pracę albo przyjdzie na spotkanie aktywistów Czarnych Panter, gdzie dochodzi do najazdu policji. Tony zostaje zatrzymany jednak policja go wypuszcza. Film kończy się sceną protestu Czarnych Panter przeciwko brutalności policji, w którym udział bierze Tony, który w ten sposób zaakceptował swoje czarne dziedzictwo. Co szczególnie rzuca się w oczy w kontaktach miedzy czarnoskórymi



Kadr z filmu *Pressure*



Kadr z filmu *Babylon*

z Karaibów, a białymi Brytyjczykami to otwarcie i głośno wyrażany przez tych ostatnich rasizm. Nieprawdopodobne dzisiaj w Wielkiej Brytani, jednak jak pokazało brexitowe referendum, rasizm nie zanikł, mimo narzucenia kostiumu politycznej poprawności. Warto obejrzeć ten surowy i realistyczny film, chociażby też dla porównania jak relacje rasowe wyglądają dzisiaj w UK, a problemy karaibskich imigrantów pierwszej generacji można nałożyć na doświadczenia przybyszy z Europy Środkowo-Wschodniej.

B*abylon* w slangu londyńskich Jamajczyków oznacza nie skorumpowany system polityczny, jak onegdaj przełożyli to polscy twórcy reggae, ale... policję. Taki tytuł nosi film z 1980 roku, który przedstawia już inną grupę społeczną niż *Pressure*: jest to grupa młodych mężczyzn z klasy robotniczej, z których jeden, David, prowadzi sound system w południowo-wschodnim Londynie. Również i ten film pokazuje ponurą codzienność imigrantów z Karaibów, i chyba w czarniejszym tonie niż *Pressure*. Początek rządów Thatcher to dla Jamajczyków bezrobocie, apatia, przemoc, rasizm, brutalne traktowanie przez policję, co rok później zacznie się serią zamieszek w Brixton, a co jest właściwą treścią filmu: główny bohater traci pracę jako mechanik, zostaje pobity przez policję i fałszywie oskarżony, a następnie zmuszony do ucieczki. Londyn roku 1980 nie przypomina dzisiejszej rozświetlonej metropolii, lecz są to, głównie za sprawą zdjęć, mroczne zaułki, ciemne ulice, betonowe blokowiska - prawdziwe życie londyńskich Jamajczyków. Ścieżkę dźwiękową tworzą nagrania dub, muzykę skomponował między innymi zespół Aswad.

Jeszcze inaczej portretuje Jamajczyków film *Burning an Illusion* z 1981 roku, gdzie główną bohaterką jest młoda kobieta z klasy średniej pracująca w biurze, a akcja ma miejsce w północno-zachodnim Londynie na Hackney - a więc trzy filmy, trzy różne grupy społeczne, trzy różne miejsca na mapie Londynu. Historia Pat i Dela analizuje różnice emocjonalne w związku między dwoma osobami z tej samej społeczności, ale o różnych aspiracjach: ona mieszka w nowoczesnym brutalistycznym mrówkowcu dla żądnej awansu wykłaształconej klasy robotniczej, on zaś reprezentuje ulicę londyńską, może nie tyle klasę robotniczą, co... „klasę obiboków". Pat nie poświęca pracy więcej czasu niż trzeba aby dbać o związek z Delem, ale on jest całkowicie pozbawiony jakichkolwiek ambicji. Kiedy traci mało ważną pracę, wymawia się dużym bezrobociem i kryzysem na rynku pracy, a w rzeczy samej niczego nie szuka, żyje za pieniądze narzeczonej i wałęsa się po londyńskich pubach i melinach, pijąc i grając w pokera - i tak dalej. Podobnie jak dwa wcześniej wymienione filmy i ten kręcony był realistycznie, a uwaga widza miał się skupiać na fabule filmu, nie na formie. Dziś wszystkie trzy są uważane za klasykę kina niezależnego, a zostały przypomniane stosunkowo niedawno, na fali emancypacji kolorowej i napływowej ludności Wielkiej Brytanii, określanej na Wyspach jako BAME - *Black, Asian, and minority ethnic* (Czarni, Azjaci i mniejszości etniczne) - a także wspomnianego skandalu rządowego związanego ze „zgubieniem" przez brytyjskie MSW dokumentów Karaibczyków przybyłych do UK w latach 50.

Przejdźmy do USA, gdzie co prawda „nagle" w lato ubiegłego roku na arenę medialną „wkroczyło" Black Lives Matter („nagle wkroczyło" oczywiście tylko dla przeciętnego ignoranta i konsumenta mass-mediów; ruch działa prężnie od kilku lat). Jednak szeroko pojęte kino afro-amerykańskie i czarna tematyka wkroczyły już dawno do mainstreamu. Najświetniejszymi tego przykładami mogą być dwa filmy znanego w USA komika, Jordana Peele. Zaskoczył on wszystkich nie tyle doborem kina gatunkowego, obydwa filmy nominalnie są klasyfikowane jako horrory, ale tematyką, której celem jest atak na białe społeczeństwo jankeskie (*Uciekaj!*) lub szukanie alternatyw dla Czarnych we własnym kraju (*To my*). Obydwie produkcje nie tylko odniosły sukces w box-office, ale zostały również wysoko ocenione poza USA, szczególnie w wybrednej Europie, gdzie brytyjski *Sight & Sound* wytypował nawet debiutanckie *Uciekaj!* na film roku 2017! Pomysł na fabułę jest ambitny i iście literacki, właśnie w dobrym europejskim stylu, będąc jednocześnie atrakcyjną i subtelnie pouczającą rozrywką: warstwa psychologiczna filmu opiera się na niemal paranoicznej realizacji największych obaw i najgłębiej ukrytych lęków Czarnych wobec Białych. Nie będę zdradzał fabuły, jeśli ktoś jeszcze filmu tego nie widział, gdyż zwrot akcji, będący jednocześnie odkryciem „wielkiej tajemnicy" Białych dotyczących przetrwania w każdym środowisku, jest godny samego mistrza psychoanalizy amerykańskiej duszy, Davida Lyncha. W międzyczasie Peele zajmował się produkcją najwybitniejszego chyba do tej pory filmu Spike'a Lee *Czarne bractwo. BlacKkKlansman* z 2018 roku, traktującego o inwigilacji Ku Klux Klanu w latach 70. W 2019 roku Peele wrócił z jeszcze większym sukcesem i lepszym filmem - *To my*. Fabuła wydaje się początkowo prosta i śmiesznie banalna, bo ustatkowana czarna rodzina z klasy średniej wybiera się na wakacje do swojego letniego domu na plaży, gdzie zostają zaatakowani przez... swoje własne sobowtóry! Pomysł w swojej amerykańskiej prostocie jednocześnie genialny: jak nie inaczej niż poprzez medium sobowtóra pokazać podwójną naturę ludzką, głębokie podziały rasowe w Stanach czy po prostu lęki i obawy czarnoskórych. Najciekawszym faktem filmu jest jednak to, że sobowtóry żyją nie tylko w letniskowym domku głównych bohaterów, ale w podziemiach - i to w podziemiach całych Stanów Zjednoczonych. Nie można chyba oddać celniejszej, a jakże prostej metafory głęboko podzielonego rasowo, klasowo i ekonomicznie społeczeństwa amerykańskiego, którego pomysł prawdopodobnie reżyser zaczerpnął z głośnej powieści Colsona Whiteheada *Kolej podziemna. Czarna krew Ameryki* z 2016 roku.

W ten sposób obydwa filmy przekroczyły granice horroru jako konwencji, ale w jakże niebanalny sposób, gdyż z miksu gatunków rozrywkowych narodziły się współczesne moralitety - *Uciekaj!* i *To my* były głośno komentowane na łamach dzienników amerykańskich i europejskich, szczególnie w kontekście politycznym, społecznym i historycznym. Nieco sztampowo na tle tych przełomowych i obrazoburczych filmów wygląda *Gdyby ulica Beale umiała mówić* z 2018 roku w reżyserii Barry'ego Jenkinsa, będącej adaptacją książki najsłynniejszego i najlepszego czarnoskórego pisarza Ameryki, Jamesa Baldwina. O ile więc książka w 1974 roku obnażała bezlitośnie amerykański system karny i rasową nienawiść, to ekranizacja tej samej historii pod koniec drugiego dziesięciolecia XXI wieku wygląda bardziej na „pocztówkę z epoki", chociaż nie można odmówić technicznej maestrii Jenkinsowi (kolor, dźwięk, zdjęcia, prowadzenie narracji). Jednak *Gdyby ulica Beale...* niebezpiecznie zahacza o nieznośny melodramat i romans dla nastolatków, tak strasznie są rozwlekłe sceny związku dwojga głównych bohaterów, czarnych nastolatków, Tisha i Fonny'ego. Można odnieść wrażenie, że film jest bardziej kierowany do właśnie młodej publiczności, nie znającej historii rasowych konfliktów w USA lat 60. i 70. niż dla fanów prozy Baldwina, tam należy więc kierować widzów chcących pogłębić swoją wiedzę, ciekawość lub świadomość na temat amerykańskich kwestii rasowych.

freejazz



Sceny z filmów *Uciekaj!* (góra) i *To my* (dół)

Pożegnania...

NIEOBECNI

Rok 2020 z całą pewnością zostanie zapamiętany, jako rok koronawirusowej pandemii. Był to również rok przestępny, co w ludowej mądrości niemal zawsze oznaczało rok pechowy. Pomimo, iż nowy wirus nie okazał się tak śmiertelny, jak wcześniejsze zarazy, jakie dotykały Europę czy inne kontynenty, to jednak stał się on powodem wielu zgonów. Również szeroko pojęty międzynarodowy ruch anarchistyczny poniósł w okresie pandemii kilka dotkliwych strat, choć tylko niewielka część z nich była spowodowana bezpośrednio przez Covid 19. Poniżej przypominamy postacie, jakie pożegnaliśmy od wiosny do końca tego pechowego roku. Chcemy choć w ten sposób oddać im hołd za zaangażowanie i oddanie swego życia idei wolnego człowieka...



26 marca 2020 roku, w domu opieki w White Plains, w stanie Nowy Jork, zmarł w wieku 82 lat **Robert John Erler**, bardziej znany jako **Bob Erler**. Bob był niezmiernie szanowaną postacią nowojorskiej sceny anarchistycznej w latach 80. i 90. XX wieku. Był wieloletnim członkiem Atlantic Anarchist Circle i organizatorem comiesięcznych spotkań Anarchist Forums w NYC Libertarian Book Club. Urodził się 28 grudnia 1937 roku w Baltimore, ale większość swego dzieciństwa spędził w Nutley, stan New Jersey, gdzie mieszkał wraz z rodzicami w wielomieszkaniowym budynku należącym do jego dziadka. Prócz dziadków mieszkali w nim jeszcze inni członkowie jego rodziny. Studia rozpoczął na Uniwersytecie Notre Dame w Indianie, gdzie uzyskał tytuł magistra filozofii (ze szczególnym uwzględnieniem fenomenologii i filozofii społecznej) w 1966 roku. Tam też poznał swą przyszłą żonę, Mary Carpenter, z którą wziął ślub w 1963 roku. Już razem przenieśli się do Austin w Teksasie, gdzie Bob skończył kolejne studia, tym razem bibliotekarstwo na Uniwersytecie w Austin. Kolejna przeprowadzka zawiodła ich na nowojorski Bronx w 1981 roku. Przez kolejne dziesięciolecia Bob pracował jako bibliotekarz akademicki w wielu lokalnych instytucjach. Duży wpływ na Boba mieli Willis D. Nutting (profesor i współzałożyciel Programu Studiów Liberalnych na Notre Dame), książka Mildred J. Loomis *The Green Revolution* oraz telewizyjne talk show. Te wpływy były obecne w całym jego życiu, w pismach, organizowanych przez niego doświadczeniach edukacyjnych, grupach dyskusyjnych czy w wydarzeniach aktywistycznych, w jakich brał udział. Jeszcze w latach sześćdziesiątych pisywał do *The Rag*, wychodzącego w Austin pisma undergroundowego. Spod jego ręki wyszedł tekst *A Guide to Television Talk*, który został umieszczony w książce T*elevision Talk. A History of the TV talk Show* Bernarda M. Timberga. Libertarian Book Club w Nowym Jorku wydał mu w 1993 roku bibliografię zatytułowaną Anarchist Booklist. W latach 1990-2009 prowadził wspomniane już Anarchist Forums, które odbywało się w siedzibie Libertarian Book Club lub AJ Muste Center. Dzięki szerokim kontaktom i powiązaniom z grupami anarchistycznymi na całym północnym-wschodzie, zapraszał wielu prelegentów z radykalnej lewicy na comiesięczne spotkania i dyskusje. Ostatnim miejscem spoczynku Boba stała się rodzinna działka w Bloomfield (stan New Jersey), jaką jego dziadek uzyskał w 1921 roku. Jego ostatnim życzeniem było to, by zamiast kwiatów na pogrzebie, jego przyjaciele wpłacili fundusze na rzecz potrzebujących w czasie pandemii. W smutku pozostawił swą żonę Mary oraz dwójkę dzieci: Susannah i Johna.



Prawdopodobnie pierwszym znanym anarchistą, jaki zmarł z powodu Covid 19 był **Roberto Ambrosoli**, który odszedł 7 kwietnia 2020 r. w szpitalu Mauriziano w Turynie. Roberto był twórcą słynnej postaci rysunkowej Anarchika, jak i wieloletnim działaczem włoskiego ruchu anarchistycznego oraz redaktorem, ilustratorem i tłumaczem w jednym z najważniejszych włoskich pism anarchistycznych, *A Rivista Anarchica*.

Roberto Ambrosoli urodził się w 1942 roku w Mediolanie i tam spędził pierwszy okres życia, dzieciństwo i wczesną młodość. W liceum poznał Amedeo Bertolo z którym przyjaźnił się aż do śmierci Amedeo w 2016 roku. Razem poznawali anarchizm i stawiali pierwsze kroki w działaniach przeciwko państwu. Jedną z ich pierwszych akcji był udział w demonstracji przed radzieckim konsulatem w Mediolanie, przeciwko interwencji sowieckiej na Węgrzech w 1956 roku. Roberto wkrótce przeniósł się z rodzicami do Neapolu, a później już sam zamieszkał w Turynie. W latach sześćdziesiątych spotykał się z Gerardem Lattarulo i kilkoma innymi anarchistami starszego pokolenia, dzięki czemu ogień anarchizmu został podtrzymany, co pod koniec lat sześćdziesiątych zaowocowało powstaniem Gruppi Giovanili Anarchici Federati, która potem przeobraziła się w Gruppi Anarchici Federati. W grupie tej zrodziło się wiele inicjatyw oraz periodyków wolnościowych. Z pism można wymienić przede wszystkim *A Rivista Anarchica* (pismo to ukazuje się nadal, nieprzerwanie od niemal 50 lat), kilkujęzyczny przegląd *Interrogations* czy pisma *Materialismo e libertà*, *Volontà* czy *Libertaria*. Prócz tego powstały wydawnictwa Antistato i Eleuthera, Centro Studi Libertari/Archivio Pinelli czy solidarnościowy Comitato Spagna Libertaria. Roberto publikując na łamach niniejszych pism czy działając w grupie, szczególnie zainteresowany był analizami społeczno-politycznymi i ekonomicznymi, gdzie zidentyfikował powstanie nowej klasy rządzącej, „nowych panów" - techno-biurokratów i był wyczulony na nowatorskie formy dominacji. W późniejszym okresie zajął się również tłumaczeniami z języka angielskiego, dzięki czemu włoscy anarchiści/stki mogli przeczytać prace Noama Chomsky'ego, Murraya Bookchina czy Colina Warda, jakie ukazywały się w wydawnictwie Elèuthera. Jednak chyba najbardziej Ambrosoli zostanie zapamiętany jako twórca rysunkowej postaci Anarchika, która pierwszy raz pojawiła się w broszurze *Chi sono gli anarchici* (Kim są anarchiści), wydanej przez Gioventù Libertaria (Młodzież Wolnościowa) z Mediolanu. Rok później pojawił się on na łamach pisma *Il Nemico dello Stato*, gdzie po raz pierwszy wypowiedział słowa: „Zrobię co w mojej mocy!". Postać Anarchika, niewielkiego człowieczka ubranego w czarny płaszcz i również czarny kapelusz z dużym rondem, była prawdopodobnie wzorowana na bułgarskim anarchiście Gieorgiju Czejtanowie (1896-1925). Sam Ambrosoli za współtwórcę Anarchika uważał swego przyjaciela, Amedeo Bertolo. Rysunkowy wróg państwa obecny był na łamach anarchistycznych publikacji przez prawie dwie dekady, po czym zniknął na wiele lat... Ale sama postać zaczęła już żyć własnym życiem, będąc powielaną na setki sposobów przez anarchistów/ki na całym świecie. Również w Polsce Anarchik pojawiał się w wielu wolnościowych publikacjach czy na ulicach np. Poznania, a w lipcu 2015 roku w poznańskiej księgarni Zemsta zorganizowano wystawę *Anarchik - wróg państwa*, gdzie zaprezentowano 30 plansz z przygodami anarchistycznego psotnika. Dopiero w 2011 roku, po namowach Paolo Finziego, redaktora *A Rivista Anarchica*, Anarchik powrócił na łamy tego pisma i regularnie gościł do października 2019 roku, gdy Roberto doznał zakrzepicy siatkówki, która poważnie wpłynęła na jego wzrok. Przez ten okres Anarchik, podobnie jak jego twórca, się już nieco zestarzał a jego czarną brodę pokryła siwizna.



13 lipca 2020 roku, we własnym mieszkaniu po miesiącu życia w bólu i cierpieniu, zmarł grecki 27-letni anarchista i kibic piłkarski **Vassilis Maggos**. Jego ciało znalazła matka, która wezwała pogotowie, lecz lekarze nie byli już w stanie nic zrobić. Niemal natychmiast na miejscu pojawiła się również policja, aby nadzorować śledztwo i mieć wszystko pod kontrolą, gdyż to ona była winna śmierci aktywisty. Wszystko zaczęło się miesiąc wcześniej, 13 czerwca. Podczas demonstracji w Volvos przeciwko spalarni śmieci, prywatyzacji wodociągów i innych antyspołecznych działań władz miasta, siły policyjne zaatakowały protestujących, aresztując i bijąc wiele osób. Następnego dnia, przed sądem w Volos odbyła się solidarnościowa demonstracja z aresztowanymi, w którym brał udział Vassilis. W pewnym momencie, co zostało nagrane, stojący obok protestu policjanci rzucili się na niego, powalili na ziemię. Leżącego bili i przygniatali, aż ten zaczął krzyczeć, że nie może oddychać. Vassilis był dobrze znany miejscowej policji, jako aktywny anarchista oraz członek grupy ultrasów Blue Angels 1994 klubu Niki Volou FC. Należał również do lokalnej grupy kibiców ateńskiego klubu AEK FC. Po zatrzymaniu, w czasie którego dotkliwie go pobito, został przewieziony na komisariat, gdzie nadal się na nim wyżywano, a gdy prosił o kontakt z lekarzem, spotkały go tylko groźby i homofobiczne obelgi. Odmówiono mu również wody oraz jedzenia i wrzucono do celi. Po czasie policjancie zdali sobie sprawę z tego, iż aresztując Vassilisa będą musieli zawieść go do szpitala, gdzie wyjdzie na jaw ich użycie przemocy, dlatego woleli wyrzucić go po prostu na ulicę. Dzięki pomocy przypadkowych ludzi

dostał się on do domu, skąd niebawem zabrało go pogotowie. W szpitali stwierdzono złamanie 7 żeber, uszkodzenie wątroby i woreczka żółciowego. Po wyjściu ze szpitala upublicznił on całe zajście w mediach i cieszył się, że czuje się coraz lepiej... Lecz niestety obrażenia okazały się po czasie śmiertelne. Dla wszystkich jasne było, iż powodem śmierci anarchisty było pobicie przez policję, lecz greckie państwo użyło wszelkich sposobów by sprawę zatuszować. 16 lipca na pogrzeb Vassilisa przybyło kilkaset osób, w tym wielu kibiców z całej Grecji, którzy krzyczeli: „Nawet jeśli nigdy nie wygramy, zawsze będziemy walczyć" - co było ostatnim zdanie z listu zmarłego anarchisty.



18 lipca w Paryżu zmarła kolejna zasłużona postać dla międzynarodowego ruchu anarchistycznego, baskijski anarchista **Lucio Urtubia**. „Sławę" przeniósł mu biograficzny film dokumentalny *Lucio* (2007), gdzie ukazany został, jako swego rodzaju anarchistyczny Robin Hood, choć tak naprawdę był jednym z wielu anarchistów-fałszerzy wywodzących się frankistowskiej Hiszpanii i pomagających swymi umiejętnościami walczącym z reżimem. Lucio urodził się w Nawarze, w miejscowości Cascante, 18 lutego 1931 roku. Pochodził z wielodzietnej, ubogiej rodziny, co dość szybko pchnęło go na „przestępczą" drogę, w wieku 17 lat zajmował się przemytem. Gdy został wcielony do frankistowskiej armii, udało mu się dostać posadę w kantynie, dzięki czemu okradał wojskowe zapasy i sprzedawał je na czarnym rynku w Logrono. Podczas urlopu w sierpniu 1954 roku doszły go informacje, iż jego przestępcza działalność w armii została wykryta i nie pozostawało mu nic, jak tylko zdezerterować i udać się na emigrację do Francji. W Paryżu, mieszkając początkowo u siostry, zaczął pracować jako murarz, co też czynił później przez całe swe życie. Na jednej z budów wdał się w polityczną rozmowę z pewnym Katalończykiem, który uświadomił go, że ma poglądy anarchistyczne, użyczył mu gazetę *Solidaridad Obrera* a później skontaktował z paryskim oddziałem CNT. Lucio do związku jednak nigdy nie przystał, ale chodził na spotkania i został przyjęty do Juventudes Libertarias (Młodzież Libertariańska). Rzekomo, wedle samego Lucio, pod koniec 1958 roku poproszono go, by „zaopiekował się" słynnym anty-frankistowskim partyzantem, Francisco *El Quico* Sabaté, z którym miał mieszkać przez kilka tygodni. Miał niby wpłynąć na niego, by poddał się francuskim władzom, w ten sposób unikając ekstradycji. Sabaté, nim go posłuchał, miał przekazać mu na przechowanie swój „mały" arsenał, który potem został wykorzystany w kilku napadach na banki. Pieniądze z owych napadów zasilały antyfrankistowski ruch oporu w samej Hiszpanii. Lucio o owych wyczynach wspominał: „Nie zostałem zmuszony napadać na banki. Robiłem to, ponieważ nie było do cholery innej opcji. Był to jedyny sposób, jaki mieli anarchiści". Inni hiszpańscy anarchiści podważali jego słowa dotyczące współpracy z *El Quico*, a niestety, w swych wspomnieniach Lucio czasami mylił daty i wydarzenia... Na początku lat sześćdziesiątych baskijski anarchista, podobnie jak kilku podobnych mu anarchistów z Hiszpanii, był zafascynowany kubańska rewolucją: „Oddałbym życie za kubańską rewolucję. Każda forma walki z Batistą była dobra". Gdy już „rewolucyjni brodacze" zdobyli władzę, Lucio wraz z kilkoma innymi anarchistami udał się do kubańskiej ambasady w Paryżu, szukając tam wsparcia dla ruchu oporu przeciwko Franco. Niestety, nie uzyskali żadnego wsparcia, najwidoczniej Castro wolał utrzymywać poprawne stosunki z Caudillo. Z Kubą wiąże się też kolejna „legenda" z nim związana, propozycja w którą nie wszyscy wierzą. W 1962 roku, Urtubia miał zaproponować Kubańczykom chytry plan destabilizacji amerykańskiej gospodarki, poprzez zalanie świata sfałszowanymi dolarami. Rzekomo Che Guevara, z którym Lucio się spotkał się na lotnisku Orly w Paryżu (w sieci można znaleźć jedno zdjęcie z tego spotkania), nie był zachwycony tym planem, a później od kubańskiego rządu dostał sugestie aby porzucić to przedsięwzięcie. „Romans" z brodaczami zakończył się szybko, a po latach stary anarchista o Castro mówił tylko, iż „był to diabeł wcielony".

Gorący maj 1968 roku dla naszego bohatera nie był tylko gorący ze względu na rewolucyjna atmosferę w stolicy Francji, w których brał czynny udział. To wówczas poznał Annę, swoja przyszła żonę, z którą miał potem córkę Juliette. Wraz z Anną założyli drukarnię, która działa głównie na potrzeby ruchu anarchistycznego, drukując plakaty, ulotki i broszury. Ale drukarnia ta prowadziła również inna działalność. „Pod opieką" swego mentora, anarchisty-fałszerza Laureano Cerrada (18 października 1976 roku, zastrzelonego w Paryżu przez hiszpańskiego tajnego agenta), Lucio uczył się fachu, podrabiając hiszpańskie dowody osobiste i paszporty, wykorzystywane potem przez anarchistów. Lucio, pracował cały czas na budowach, a wieczorami przesiadywał w drukarni, produkując z czasem coraz to nowe dokumenty, już nie tylko hiszpańskie. Z czasem, z jego „usług" korzystali rewolucjoniści całego świata byli wśród nich członkowie Czarnych Panter czy Tupamaros oraz świat przestępczy, który hojnie płacił za jego pracę. Zyski przeznaczano na działalność wywrotową.

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych pojawiło się w Hiszpanii nowe pokolenie oporu przeciwko dyktaturze, gdzie wyróżniała się grupa złożona z anarchistów i antyautorytarnych komunistów, Iberyjski Ruch Wyzwolenia (MIL). Końcem MIL było aresztowanie oraz śmierć Salvadora Puig Anticha, któremu reżim, mimo międzynarodowych protestów, nie darował życia. 3 maja 1974 r. Grupy Międzynarodowej Akcji Rewolucyjnej (GARI) porwały paryskiego przedstawiciela Banku Bilbao - Angela Balthasara Suareza. Za jego wolność zażądano uwolnienia 100 hiszpańskich więźniów politycznych oraz zwrotu funduszy CNT, zagrabionych przez reżim Franco. Suareza zwolniono po 20 dniach w zamian za nieujawniony okup, ale francuska policja w międzyczasie aresztowała dziewięć osób, w tym Lucio, jego żonę Annę i Octavio Alberolę, przy których znaleziono pieniądze z okupu. Sprawa ta miał potem reperkusje w ruchu anarchistycznym, wzajemne oskarżenia, które na lata były otwarta raną. Ostatecznie, w 1980 roku sąd uniewinnił wszystkich oskarżonych w sprawie. Lucio za największych złodziei, w dodatku chronionych przez prawo i państwo, uważał banki, których szczerze nienawidził. Postanowił więc „okraść" złodzieja. W 1977 roku wpadł na pomysł wystawiania fałszywych czeków na fikcyjne papiery pracowników, które wymieniano w bankach na gotówkę. Po udanych próbach, postanowił zrobić to samo, ale tym razem z czekami podróżnymi na okaziciela. Zaczął „produkować" fałszywe książeczki czekowe z fikcyjnymi numerami, które nie wzbudzały żadnych podejrzeń i były w zasadzie nie do odróżnienia od prawdziwych czeków przez pracowników banku. Za swa ofiarę obrał First National Citibank, gdyż ich czeki można było realizować niemal na całym świecie. Fałszerstwo można było ujawnić dopiero w fazie rozliczania czeków, gdy trafiały one do centrali. Operacja, która objęła kraje europejskie, Stany Zjednoczone oraz niektóre z krajów Ameryki Południowej, przynosiła zyski wielu grupom rewolucyjnej lewicy, ale również „porządnym przestępcom", którzy kupowali czeki po zaniżonej wartości. Lucio nigdy sam nie korzystał z pieniędzy, które trafiały do niego w wyniku przestępczej działalności i cały czas utrzymywał rodzinę ze swej murarki. Wszelkie zyski z fałszerstw przekazywał na więźniów politycznych czy inną działalność polityczną. Twierdził, iż na świat przychodzimy nadzy i tacy z niego odchodzimy: „Nic nam się nie należy". Możemy być co najwyżej administratorami". Tymczasem Citibank tracił miliony dolarów przez masowe używanie fałszywych studolarowych czeków, jego akcje zaczęły spadać, co zmusiło go zakazu przyjmowania czeków powyżej 10 dolarów. Fałszerska idylla trwała do roku 1980, gdy Lucio wpadł w ręce francuskiej policji, wystawiony przez Amerykanina Tony'ego Sarro, któremu przez nieostrożność zgodził się sprzedać czeki za 30% ich wartości. Zwolniono go z aresztu by mógł odpowiadać z wolnej stopy, ale w międzyczasie pojawiło się kolejne oskarżenie, o sprzedaż fałszywych dokumentów. Lucio postanowił się ukrywać na fałszywych papierach, ale ostatecznie aresztowano go w październiku 1981 roku. Po pierwszej rozprawie w sprawie Citibanku pozwolono mu opuścić więzienie. Jego obrońca Roland Dumas, (były francuski minister spraw zagranicznych) zasugerował bankowi, by wynegocjował z anarchistą bezpośrednie porozumienie, bez sprawy sądowej, która mogłaby „zaszkodzić Francji". Propozycją banku było oddanie płyt drukarskich oraz wszystkich wydrukowanych czeków, oraz odszkodowanie w wysokości 15 milionów dolarów. To mogło tylko rozwścieczyć Lucia, który odpowiedział: „Do kurwy nędzy, nie jestem żadnym przestępca. To wy swoimi dolarami korumpujecie cały świat i wywołujecie wojny. To wy jesteście przestępcami". Jego propozycja była zupełnie inna, odda płyty i czeki oraz obiecuje zaprzestać dalszej działalności, jeśli bank wycofa wszelkie zarzuty oraz zapłaci mu sporą sumkę, by w przyszłości nie mieć z nim kłopotów. Nieoczekiwanie bank się zgodził. Zwykły murarz rzucił bankowego kolosa na kolana.

Po sprawie Citibanku Lucio wycofał się z życia politycznego, założył najpierw spółdzielnię budowlaną, a potem, gdy przedsięwzięcie nie udało się założył zwykłą firmę. W 1996 roku, w paryskiej dzielnicy Belleville przy Rue des Cascades, zakupił opuszczony i zniszczony budynek, który sam wyremontował. Na górze zamieszkał wraz z rodziną, a jego dolna część przeznaczył na Le Space Louise Michel, anarchistyczne centrum kultury imienia słynnej francuskiej anarchistki i ważnej postaci Komuny Paryskiej. Jego dom był zawsze otwarty na ludzi, którzy chcieli porozmawiać... Poza wspomnianym na początku filmem dokumentalnym, życie Lucia Urtubi zostało opisane w kilku książkach. Dwie z nich: *La revolucion por el tejado: autobiografia* i *Mi utopía vivida*, napisał sam Lucio. Jego biografię, *Lucio. El anarquista irreductible*, napisał z kolei Bernard Thomas. Powstała również o nim powieść graficzna o tytule *El tresor d'en Lucio: Una novel·la gràfica sobre la vida de Lucio Urtubia*. Dla wielu Lucio był zwykłym przestępcą, a nawet osobą pociągającą za sznurki wielkiego międzynarodowego spisku anarchistycznego, jednak dla przyjaciół był „człowiekiem wielkodusznym, ceniącym wolność i sprawiedliwość ponad wszystko, nawet ponad własne życie" - jak wspomniał go Stuart Christie, czy

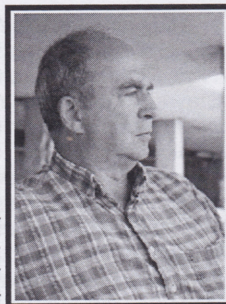
„Kichotem, który przechylał się nie na wiatraki, ale na prawdziwych gigantów", jak nazwał go radykalny reżyser teatralny Albert Boadella, któremu Lucio pomógł zbiec z Hiszpanii.



Kolejny cios, szczególnie dla włoskiego ruchu anarchistycznego, nadszedł 20 lipca. Tego dnia, **Paolo Finzi**, długoletni działacz anarchistyczny i wieloletni redaktor pisma *A Rivista Anarchica* popełnił samobójstwo. Finzi urodził się w 1951 roku w Mediolanie, jego matką była socjalistka i feministką żydowskiego pochodzenia. W 1968 roku, po zapoznaniu się z Giuseppe Pinellim, dołączył do anarchistycznej grupy Bandiera Nera i zaczął odwiedzać anarchistyczny lokal Ponte della Ghisolfa. Rok później, po zamachu terrorystycznym na Piazza Fontana w Mediolanie w wyniku którego zginęło 17 osób, a wiele odniosło rany władze rozpoczęły nagonkę na anarchistów, aresztując wielu z nich. Zatrzymano również Paolo, który był najmłodszym z zatrzymanych. Za zamachem stali jednak faszyści z Order Nuovo, którzy prawdopodobnie byli prowadzeni przez tajne włoskie służby. Przypomnijmy, iż to wówczas, w czasie śledztwa zginął Giuseppe Pinelli, będący sekretarzem Anarchistycznego Czarnego Krzyża, którego najzwyczajniej policjanci wyrzucili z okna komisariatu. Z cała pewnością wydarzenia te były decydujące o przyszłym życiu młodego anarchisty. W lutym 1971 roku wraz z Amedeo Bertolo, Fausta Bizzozero, Rossella di Leo, Luciano Lanza, Nico Berti i Roberto Ambrosoli założył najważniejsze do dziś włoskie pismo anarchistyczne *A Rivista Anarchica*, a w 1976 roku wraz z innymi anarchistami założył Centro Studi Libertari, które w 1979 roku przyjęło drugą nazwę, Archivio G. Pinelli. Sprawie zamordowanego przez policję anarchisty Paolo Finzi poświęcił wiele uwagi w swym późniejszym publicystycznym i aktywistycznym życiu. Spod jego ręki wyszły książki omawiające postacie włoskiego anarchizmu: *Insuscettibile di ravvedimento. L'anarchico Alfonso Failla (1906-1986): carte di polizia, scritti, testimonianze, La nota persona. Errico Malatesta in Italia (dicembre 1919 - luglio 1920)*, jak i szereg artykułów poświęconych innym anarchistom: Emilio Canzi, Giuseppe Pinelli, Franco Serantini. Poza tym zajmował się tematyką włoskich Romów, oraz spuścizną po nieżyjącym już znakomitym poecie i pieśniarzu, Fabrizio De André, z którym (oraz jego towarzyszką, Dori Ghezzi) łączyła go wieloletnia przyjaźń. Po śmierci artysty zajmował się między innymi reedycjami płyt CD i koncertów DVD często również w swych publikacjach nawiązywał do poezji De André. W ramach pracy w spółdzielni wydawniczej Editrice A, zajął się redakcją książek *Che non ci sono poteri buoni. Il pensiero (anche) anarchico di Fabrizio De André* i *Anarchik. Farò del mio peggio. Cronache anarchiche a fumetti*, będącą swego rodzaju biografią rysunkowej postaci Anarchika, stworzonej przez jego przyjaciela, Roberto Ambrosoligo. Przez wiele lat organizował, promował i brał czynny udział w wielu konferencjach spotkaniach poświęconych różnym aspektom ruchu anarchistycznego oraz innym tematom bliskim jego sercu, jak sytuacja Romów czy poezja De André. Do samego końca zajmował się redagowaniem *A Rivista Anarchica*, w które zaangażowana była również jego żona, Aurora. Paolo Finzi, świadomie rozstając się z życiem, pozostawił w żałobie swą żonę Aurorę, dzieci Albę i Elio, wnuki Lapo i Lunę oraz wielu/e współpracowników/czek.



8 sierpnia 2020 roku, w wyniku powikłań związanych z chorobą nerek, zmarła w wieku 76 lat niemiecko-hiszpańska anarchistka **Doris Ensinger**. Urodziła się w 1944 roku niedaleko Magdeburga, gdzie spędziła pierwsze lata swojego życia. Cztery lata później jej rodzicom udało się zbiec z r strefy okupacyjnej do Bawarii. Od 1964 roku studiowała na Uniwersytecie w Saarbrücken i tam zaangażowała się w studencki ruch protestu. W latach 70. była aktywną uczestniczką w monachijskim ruchu alternatywnym i mieszkała w mieszkaniach-komunach, które swą organizacją przypominały kolektywistyczne zasady wprowadzane w życie w czasie rewolucji w Hiszpanii roku 1936. Znająca dobrze język hiszpański (studiowała i pracowała później jako tłumaczka), w 1977 roku wyjechała do Barcelony, gdzie zakochała się w weteranie CNT oraz anarchistycznym pisarzu i publicyście Luisie Andrésie Edo, który był między innymi redaktorem pisma *Solidaridad Obera*. Oboje żyli razem w Barcelonie do jego śmierci w 2009 roku. Przez cały ten czas, razem ze swym towarzyszem życia, angażowała się w różne działania ruchu anarchistycznego. W latach 1981-2010 wykładała na Uniwersytecie Autonomicznym w Barcelonie na Wydziale Tłumaczeń. O swoim życiu przy boku Edo napisała książkę, która ukazała się w Niemczech w wydawnictwie Barrikade zatytułowała ją: *Whether denken, gerade leben - Erinnerungen an mein Leben mit Luis Andrés Edo*. Po hiszpańsku opublikowano ją pod tytułem *Amor y Anarquia*. Sama o sobie skromnie pisała: "Nie należę do tych bohaterskich kobiet, które z uporem zaangażowały się w walkę z tyranią i na rzecz bardziej sprawiedliwego i humanitarnego społeczeństwa, i które ryzykowały życie w tej walce; nie jestem też jedną z tych kobiet, które weszły do historii ze względu na swoje życie i pracę. Jednak przykład tak wielu odważnych kobiet zainspirował mnie do wniesienia czegoś, na swój skromny sposób, w walkę o lepszy świat".

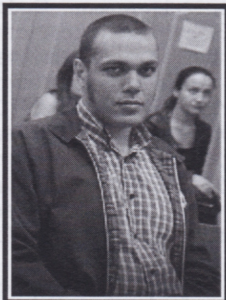


Nieco ponad miesiąc po śmierci Lucio Urtubii, 15 sierpnia, odszedł kolejny anarchista ściśle związany z iberyjskim ruchem wolnościowym, jak i międzynarodowym anarchizmem. Był nim szkocki pisarz, wydawca i historyk ruchu, w młodości porywczy idealista i niedoszły zamachowiec - **Stuart Christie**. Na świat przyszedł 10 lipca 1946 r., w robotniczej rodzinie w Glasgow. Jego ojciec, Albert, był rybakiem z Aberdeenshire, a matka Olivia - fryzjerką. Gdy miał sześć lat, ojciec opuścił rodzinę, przez co częściowo wychowywany był przez dziadka i babcię Agnes Ring, która miała na niego szczególny wpływ. Mieszkał w Ardrossan, a później w Blantyre, gdzie skończył szkołę Calder Street. Jakiś czas pracował jako praktykant w laboratorium dentystycznym w Glasgow, gdzie zaangażował się w pracę związkową. Wstąpił również do socjalistycznej młodzieżówki Partii Pracy, ale szybko ja opuścił po tym, jak jego koledzy na aktywizację poszli w szalikach Rangersów, by zjednać sobie protestantów. Zrażony tym faktem zwrócił się ku Glasgow Federation of Anarchists.

Początek lat sześćdziesiątych to gorący okres protestów antynuklearnych, w które angażowali się również anarchiści. Temat ten był gorący również w Szkocji, gdzie w amerykańskiej bazie marynarki Holy Loch, mieszczącej się w zatoce Firth of Clyde, stacjonowały atomowe okręty podwodne. Przeciwko temu protestował między innymi Scottish Committee of 100, którego Stuart stał się bardzo aktywnym członkiem. Był również aktywny w innych grupach antynuklearnych, jak choćby Campaign for Nuclear Disarmament czy Direct Action Committee. W 1964 roku przeprowadził się do Londynu, gdzie dość szybko trafił na hiszpańskich wygnańców, z których większość była anarchistami. Od nowych towarzyszy dowiedział się sporo o antyfrankistowskim ruchu oporu działającym w samej Hiszpanii, jak i poza jej granicami, co też spowodowało, iż postanowił „zrobić coś więcej, niż tylko brać udział w demonstracjach i rozdawać ulotki". Zaoferował więc swą pomoc Hiszpanom, z czego dość szybko skorzystano. Ostatniego dnia lipca 1964 roku wyjechał do Paryża, gdzie spotkał się z członkami anarchistycznej grupy Defensa Interio, którzy przekazali mu materiały wybuchowe, jakie miały posłużyć do próby kolejnego zamachu na Franco, tym razem w czasie meczu piłkarskiego na stadionie Bernabéu. 18-letni długowłosy Szkot miał nie wzbudzać żadnych podejrzeń, choć podróżował ku granicy hiszpańskiej stopem i w szkockim kitlu, przez co później pewna argentyńska gazeta donosiła, iż człowiek który chciał zabić Franco był "szkockim transwestytą". Udało mu się jednak bezproblemowo przekroczyć granicę i dotarł do Madrytu, gdzie 11 sierpnia miał się spotkać ze swym kontaktem i przekazać materiały. Niestety, frankistowska bezpieka zinfiltrowała już grupę zamachowców, przez co w momencie spotkania Stuart, jak i jego kontakt, Fernando Carballo, zostali aresztowani. Christie przyznał się do wszystkiego i podpisał zeznania po tym, jak zmuszano go do oglądania tortur, jakie agenci zafundowali Carballo. Po krótkim i szybkim procesie przed sądem wojskowym, gdzie grożono mu karą śmierci przez uduszenie garotą, ostatecznie skazano go na 20 lat we frankistowskich kazamatach. W osławionym więzieniu Carabanchel w Madrycie, został ciepło powitany w skrzydle politycznym przez innych anarchistów i republikanów, którzy podziwiali jego odwagę w ich sprawie. Za więziennymi murami nie marnował czasu, uczył się do matury z historii, angielskiego i hiszpańskiego oraz pracował jako pomoc pielęgniarska. Tymczasem na zewnątrz trwała międzynarodowa kampania na rzecz uwolnienia młodego szkockiego anarchisty, w którą angażowały się między innymi takie osobistości, jak Jean-Paul Sartre i Bertrand Russell. Z drugiej strony, jego matka słała do Franco regularne listy z prośbą o ułaskawienie, co w końcu przyniosło rezultat. Stuart opuścił hiszpańskie więzienie po ponad trzech latach. Po powrocie do Londynu jeszcze mocniej zaangażował się w „sprawy hiszpańskie", prowadząc kampanię na rzecz uwolnienia więźniów politycznych, w tym wielu swoich współtowarzyszy niedoli, z którymi dzielił cele. Zaprzyjaźnił się z Miguelem García, z którym potem założył Centro Iberico i International Libertarian Centre w Londynie. Rozpoczął również współpracę z Albertem Meltzerem, weteranem ruchu anarchistycznego, z którym

współtworzył pismo *Black Flag*, założył Anarchist Black Cross oraz wspólnie napisali książkę *The Floodgates of Anarchy*. Działając w ruchu antyfrankistowskim, poznał w 1968 roku Brendę Earl, również zaangażowaną w działania, z którą wkrótce wziął ślub. W tym samym roku swą działalność rozpoczęła anarchistyczna grupa partyzantki miejskiej Angry Brigade, która przeprowadziła kilkanaście akcji bezpośrednich wymierzonych w banki, ambasady i instytucje rządowe. Gdy policja rozbiła grupę, aresztowano również Stuarta, ale chyba głownie dlatego, iż miał reputację groźnego anarchisty. W 1972 roku, czasie procesu, Christie wyznał przed ławą przysięgłych, że detonatory znalezione rzekomo w jego mieszkaniu zostały podrzucone tam przez policję, w co przysięgli uwierzyli i wydali wyrok uniewinniający. W 1974 roku, po porwaniu przez anarchistów w Paryżu hiszpańskiego bankiera, Stuart dostał ostrzeżenie, by lepiej wyprowadził się z Londynu. Wraz Brendą zamieszkali najpierw w Honley w West Yorkshire, a następnie w Sanday na Orkadach, gdzie urodziła się ich córka Branwen. Stuart redagował tam lokalna gazetę *Free-Winged Eagle* oraz zajmował się nowym anarchistycznym przedsięwzięciem, pismem *Cienfuegos Press. Anarchist Review*, które redagował wraz z Meltzerem, ukazywało się ono w latach 1974-1982.

Po siedmiu latach powrócił wraz z rodziną z wysp by najpierw zamieszkać w Cambridge, a później w Hastings w East Sussex, gdzie redagował pismo *Hastings Trawler*. Jego praca dziennikarska obejmowała również brytyjskie wydanie rosyjskiej gazety *Prawda* oraz *Arguments and Facts International*. Poza Cienfuegos Press, prowadził również wydawnictwa Refract Publications i The Meltzer Press, a do samej śmierci - Christie Books. W 2008 roku uruchomił również Anarchist Film Channel, największą chyba na świecie bazę filmów fabularnych i dokumentalnych o tematyce anarchistycznej. Stuart Christie był również płodnym pisarzem i publicystą. Jego najważniejsze książki to autobiograficzne: *Granny Made Me an Anarchist: General Franco, The Angry Brigade and Me*, *General Franco Made Me a Terrorist* i *Edward Heath Made Me Angry*. Prócz nich napisał również: *The Christie File*, *We, the Anarchists!: A Study of the Iberian Anarchist Federation (FAI) 1927-1937*, *Stefano delle Chiaie. Portrait of a black terrorist* oraz wiele pomniejszych tekstów ukazujących się w wielu pismach czy też wydawanych jako broszury. Christie przetłumaczył również na język angielski książkę *Sabate: An Extraordinary Guerrilla*, autorstwa Antonio Télleza Soli, oraz wiele pomniejszych tekstów. Żona Stuarta, Brenda, zmarła w 2019 roku, on zaś pozostawił w żałobie swą córkę Branwen, wnuczki Merri i Mo oraz przyrodnią siostrę Olivię. Jego śmierć była wielkim ciosem dla rodziny oraz międzynarodowego ruchu anarchistycznego.



„Jeśli potrafią wrobić nazistę, to mogą wrobić anarchistę. Mogą uwięzić anarchistę, więc liberał też jest zagrożony. Złamanie rogów państwa policyjnego jest wspólnym celem dla nas wszystkich" - te słowa wypowiedział na wiecu poparcia dla więźniów politycznych w 2018 r. **Aleksiej „Socrates" Sutuga**, rosyjski anarchista i antyfaszysta, który zmarł 1 września w Instytucie Sklifosowskiego w Moskwie. Miał tylko 34 lata! Tydzień wcześniej antyfaszysta wdał się w bójkę w pobliżu sklepu spożywczego przy stacji metra Baumanskaja w centrum Moskwy. Nadal dokładnie nie wiadomo, jaki był powód zajścia, ale najprawdopodobniej nie miał on znamion ataku o charakterze politycznym. W związku z bójką i śmiercią anarchisty zatrzymano cztery osoby odpowiedzialne za jego pobicie.

Aleksiej urodził się 24 stycznia 1986 roku w Irkucku i z tym miastem związane były pierwsze lata jego aktywności. Będąc uczniem zainteresował się anarchizmem i zaczął działać wśród lokalnych grup ekologicznych i antyfaszystowskich. Stał się również aktywnym uczestnikiem lokalnej sceny hardcore punk, gdzie propagowano między innymi wegetarianizm oraz prosty i zdrowy styl życia. Był także jednym z założycieli antyfaszystowskiej grupy kibiców lokalnego klubu piłkarskiego Zwiezda. Dość szybko stał się znaną i lubianą postacią w ruchu, nie tylko w Irkucku, ale również w innych syberyjskich miastach, gdzie normą były częste potyczki z bandami neonazistów, w których „Sokrates" nader chętnie brał udział. Później przeprowadził się do Moskwy, gdzie włączył się w działania ruchu anarchistycznego i antyfaszystowskiego, uczestnicząc między innymi w działaniach grupy Autonomous Action. Był wielokrotnie zatrzymywany w czasie anarchistycznych wieców, protestów ekologicznych czy związkowych i antywojennych demonstracji.

W 2006 roku prewencyjnie zatrzymano go w drodze do Petersburga, gdzie miał uczestniczyć w anarchistycznych protestach przeciwko spotkaniu przywódców państw G8. W lipcu 2007 roku został poważnie ranny w czasie ataku skrajnie prawicowej bandy na uczestników obozu ekologicznego pod Angarem, gdzie protestowano przeciwko budowie międzynarodowego centrum wzbogacania uranu. Wówczas to z rąk neonazistów zginął antyfaszysta Ilja Borodajenko. Tego samego roku, wraz z innymi aktywistami, zatrzymano go po uwolnieniu szczurów laboratoryjnych w obwodzie moskiewskim. Sprawę na szczęście umorzono. Aresztowano go również w Kijowie, gdzie miał zamiar wziąć udział w blokadzie marszu skrajnej prawicy. W czasie zatrzymania został pobity jeden z tajniaków, wzięty za nazistę. Aleksiej spędził na komisariacie kilka dni, poddawany torturom ale znów mu się udało, gdyż tajniak wycofał swoje zeznania. W czerwcu 2012 roku, po bójce z ochroniarzami z moskiewskiego klubu Wozduch, na ponad rok trafił do aresztu tymczasowego, ale sprawę w końcu morzono, gdyż władze nie mogły niczego mu udowodnić. Gorzej było w roku 2014, gdy aresztowano go za chuligaństwo po bójce z młodymi neonazistami w kawiarni Sbarro w centrum Moskwy. Dla wielu ta sprawa była niczym innym, jak zemstą funkcjonariuszy Centrum Przeciwdziałania Ekstremizmowi, którym nie udało się wcześnie złamać Sokratesa. Dostał trzy lata i jeden miesiąc w kolonii karnej. Całą karę odbył w regionie irkuckim. Centrum Praw Człowieka Memoriał uznało go za więźnia politycznego. Swoje więzienne doświadczenia zebrał w książce *Dialogi o więzieniu*, jaka ukazała się po rosyjsku w 2020 roku.

Po opuszczeniu więzienia w 2017 roku ponownie włączył się w działania ruchu anarchistycznego. Pomagał wydawać pismo *Avtonom* oraz prowadził serię wykładów dla tego wydawnictwa, jak i również dla innych organizacji praw człowieka (po jednym z nich został zatrzymany na krótko przez białoruską policję). Brał udział w przedstawieniach niezależnego Teatru.doc., był gospodarzem internetowego kanału Antifa Jokes i wciąż sporadycznie walczył z nazistami na ulicach. Antyfaszyzm zawsze był jednym z jego głównych priorytetów. Przez kilka lat był członkiem grupy Iwana Chutorskoja, który został zamordowany w 2009 roku przez neonazistów z BORN (Bojowa Organizacja Rosyjskich Nacjonalistów). Grupa Chutorskoja zajmowała się głównie ochroną antyfaszystowskich koncertów, jak i organizowaniem turniejów mieszanych sztuk walki pod hasłami antyrasistowskimi. „Socrates" aktywny był również jako kibic antyfaszystowskich klubów piłkarskich, Arenału Kijów i MTZ Mińsk. W wolnych chwilach śpiewał też w punkowym zespole Working Boys. Aleksiej pozostawił pogrążoną w żałobie żonę (która działała również w ukraińskim ruchu anarchistycznym) oraz syna, któremu na imię dali Nestor, na cześć kozaka-anarchisty Nestora Machno.



2 września, w Wenecji zmarł amerykański antropolog, pisarz oraz działacz anarchistyczny, **David Graeber**. Urodził się on 12 lutego 1961 roku w Nowym Jorku. Jego ojciec, Kenneth Graeber, miał poglądy komunistyczne i walczył w czasie hiszpańskiej wojny domowej w Brygadach Międzynarodowych, matka, Ruth Rubinstein, pochodziła z rodziny polskich Żydów. Pracowała w przemyśle odzieżowym. W latach trzydziestych wystąpiła w musicalu *Pins & Needles* wystawianym przez związek zawodowy International Ladies' Garment Workers Union. Rodzice Graebera stanowili intelektualną część klasy robotniczej. David dorastał na Manhattanie, w budynku, który należał do związku zawodowego. W wieku 16 lat stwierdził, że jest anarchistą, choć pierwsze doświadczenia polityczne miał już w wieku 7 lat, gdy z rodzicami brał udział w demonstracjach pokojowych. W szkole średniej hobbystycznie zajmował hieroglifami Majów, dzięki czemu uzyskał stypendium w Phillips Academy w Andover, którą skończył w 1978 roku. Licencjat z antropologii zdobył w roku 1984 na State University of New York w Purchase. Na Uniwersytecie w Chicago uzyskał tytuł magistra i obronił pracę doktorską pt. *The Disastrous Ordeal of 1987: Memory and Violence in Rural Madagascar*. Niniejsza praca była efektem prawie dwuletniego pobytu na Madagaskarze, dzięki stypendium Fulbrighta, gdzie Graeber w górzystych terenach wyspy badał historię niewolnictwa, lokalną i globalna politykę wyspy oraz rytuały magiczne. Z Chicago związany był przez kolejna dekadę, w międzyczasie uzyskując również stypendium na Uniwersytecie Nowojorskim czy stanowisko adiunkta na Uniwersytecie w Yale. W 2005 roku wydział antropologii w Yale nie przedłużył mu umowy, mimo iż miała ona trwać do 2008 r. Uczelnia temu zaprzeczała, ale dla wszystkich było jasne, iż powody tego były polityczne, gdyż Graeber był wtenczas dość aktywny w globalnym ruchu sprawiedliwości i innych projektach inspirowanych przez anarchistów. Wstawiło się wówczas za nim wiele osobistości ze świata nauki, a petycję w jego sprawie podpisało ponad 4500 osób. Po zwolnieniu z Yale nie mógł znaleźć posady w żadnym innym amerykańskim uniwersytecie, mimo dobrych wyników i referencji od kilku znakomitych antropologów. Na szczęście upomniało się o niego kilka europejskich uczelni, z których wybrał londyńskie. W latach 2008-2013 wykładał w Goldsmith's College of the University of London. W 2013 przyjął

profesurę w London School of Economics. David Graeber był bardzo płodnym pisarzem i publicystą. Na jego bibliografię składa się kilkanaście książek, w tym te najbardziej znaczące dla ruchu anarchistycznego: *Fragments of an Anarchist Anthropology* (2004), *Possibilities: Essays on Hierarchy, Rebellion, and Desire* (2007) czy *Direct Action: An Ethnography* (2009). Pozostawił po sobie również dziesiątki artykułów drukowanych między innymi w *The Guardian*, *Mute*, *New Left Review* czy pismach akademickich. W Polsce, poza kilkoma krótszymi tekstami rozsianymi po sieci, ukazały się jego trzy książki: *Dług. Pierwsze pięć tysięcy lat*, *Utopia regulaminów. O technologii, tępocie i ukrytych rozkoszach biurokracji* oraz *Praca bez sensu. Teoria*. Książki wydała Krytyka Polityczna, która to w pośmiertnym tekście o autorze, nawet nie zająknęła się o jego anarchistycznych poglądach.

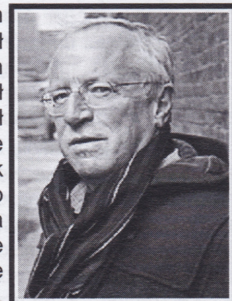
David Graeber swój społeczno-polityczny aktywizm rozpoczął gdzieś na przełomie XX i XXI wieku, gdy międzynarodowy ruch sprzeciwu wobec globalizacji był w pełnej formie. Brał udział między innymi w protestach przeciwko Światowemu Forum Ekonomicznemu w Nowym Jorku w 2002 roku i wielu innych protestach pierwszej dekady nowego wieku. Odegrał znaczącą rolę w początkowej fazie ruchu Occupy Wall Street a później zaangażował się w Kurdyjski Ruch Wolnościowy i budowę antyautorytarnego społeczeństwa w Rożawie. Należał do związku zawodowego Industrial Workers of the World. Pismo *Rolling Stone* okrzyknęło go twórcą hasła „We are the 99%", które towarzyszyło protestom Occupy Wall Street, jak i innym na całym świecie. David odżegnywał się od tego, twierdząc, iż hasło to było dziełem kolektywu, a nie jego samego. W listopadzie 2019 roku, wraz z innymi postaciami ruchów lewicowych, podpisał list wspierający lidera Partii Pracy, Jeremy'ego Corbyna, gdzie między innymi nazwali go „światełkiem nadziei w walce z wyłaniającym się skrajnie prawicowym nacjonalizmem, ksenofobią i rasizmem w dużej części demokratycznego świata". Nie był jedyną osobą, określającą się mianem anarchisty, która poparła Partię Pracy w wyborach, choć dla nas z anarchizmem ma to niewiele wspólnego. David Graeber wraz z żoną Niki Dubrovsky i przyjaciółmi przebywał w Wenecji na wakacjach, gdy nagle źle się poczuł i przewieziony do szpitala, zmarł w wieku 59 lat. Przyczyną śmierci okazał się krwotok wewnętrzny, lecz do tej pory nie podano przyczyny tego krwotoku.



17 września zmarł **Gary Sisco**, przez przyjaciół nazywany „Crispo", długoletni anarchista, przez całe swe życie walczący z kapitalizmem, autorytaryzmem i totalitaryzmem o poprawę ludzkiej egzystencji, znakomity muzyk i miłośnik koni. Gary urodził się w czerwcu 1954 roku. W latach 70. służył w Straży Przybrzeżnej. Po odbyciu służby w latach 80. zaangażował się w pomoc nikaraguańskim rewolucjonistom. Pomagał zarówno na miejscu, w Nikaragui, jak i w rodzinnym Vermont, angażując się w działania Material Aid Committee Vermont, organizacji, która wysyłała pomoc dla sandinistów, jak też lewicowych partyzantów w Salwadorze, którzy walczyli z terrorystami sponsorowanymi przez amerykański rząd. Przez wiele lat zaangażowany był w pomoc dla osób bezdomnych, walki społeczne o dobra publiczne czy dostęp do tanich mieszkań. Był przyjacielem i powiernikiem Murraya Bookchina, więc zrozumiałe było również to, iż w kręgu jego zainteresowań znalazły się działania kurydjskich oddziałów Powszechnych Jednostek Obrony (YPG) i Kobiecych Jednostek Obrony (YPJ), które praktykowały demokratyczny konfederalizm, oparty między innymi na ideach Bookchina. Uwielbiał pożerać książki naukowe; teorię polityczną, historię, pisma religijne czy opisujące świat przyrody. Jego wielką pasją była muzyka, w latach 70. i 80. koncertował po całych Stanach z zespołami Sensitivos, Clamtones i 100 Proof, grając głównie muzykę barową z pogranicza country i bluesa. W późniejszych latach zawsze dzielił się opowieściami o pijackich awanturach i strzelaninach w czasie tras koncertowych. Kochał jazz i prowadził o nim audycje radiową, która jednocześnie promowała lokalna scenę death metalową. Pozostawił w żałobie żonę Brownyn oraz masę przyjaciół.



25 października, w wieku 86 lat odeszła **Diane di Prima**, jedna z ostatnich poetek związanych z *beat generation*, zagorzała anarchistka i feministka. Diane od ośmiu lat zmagała się z chorobą Parkinsona, a także z artretyzmem i zespołem Sjögrena. Mimo problemów z poruszaniem się, wciąż pisała wiersze i planowała wydania kolejnych książek. Do końca towarzyszył jej Sheppard Powell, z którym spędziła ostatnie 42 lata życia. Diane urodziła się 6 sierpnia 1934 roku na nowojorskim Brooklynie, w drugim pokoleniu włoskich emigrantów. Niewątpliwy wpływ na jej wczesną młodość miał dziadek ze strony matki, Domenico Mallozzi, anarchista z krwi i kości, współpracujący z wybitnym włoskim anarchista Carlo Trescą i słynną anarchistką Emmą Goldman. Pierwsze wiersze Diane di Prima napisała już w wieku 7 lat. W liceum, bratnią poetycką duszę znalazła w Auder Lorde, późniejszej pisarce, feministce i bojowniczce o prawa człowieka. Korespondowała wówczas z Ezrą Poundem i Kennethem Patchenem. Na studia poszła do Swarthmore College w Pensylwanii, jednej z pierwszych szkół koedukacyjnych w Stanach, którą jednak rzuciła w 1953 r., by zamieszkać w nowojorskiej Greenwich Village, po to aby w pełni poświęcić się poezji. Pierwszy tomik, *This Kind of Bird Flies Backward* wydała w 1958 roku. Poezję pisała i wydawała przez całe swe życie, a na swym koncie ma kilkadziesiąt pozycji. Najważniejsze z nich to: *Dinners and Nightmares*, *Revolutionary Letters* czy *Loba*. Ostatnie dwa, *Spring and Autumn Annals* i *Haiku* ukazały się w 2019 roku. Przełom lat 50. i 60. to dla Diane lata zaangażowania się w ruch bitnikowski, tkwiąc w jego samym centrum, będąc jedną z niewielu kobiet z tego kręgu, jaka zdobyła znaczącą pozycję w poezji amerykańskiej. Jej twórczość charakteryzował „radykalizm, emancypacyjny romantyzm, anarchizm, feminizm i podziemny ezoteryzm" - pisał poeta David Meltzer. Jej dwa wiersze, które opublikowała na łamach *The Floating Bear* w 1961 roku, pisma wydawanego wraz z Jonesem di Prima, władze uznały za „nieprzyzwoite", za co została aresztowana, lecz na szczęście szybko ją zwolniono. Okres nowojorski to również założenie wraz z innymi artystami The New York Poets Theatre czy niezależnego wydawnictwa Poets Press. Później przez dłuższa chwilę pomieszkiwała w psychodelicznej komunie Timothy'ego Leary'ego w Millbrook, w 1967 przeniosła się do Kalifornii. Nowojorski okres swego życia opisała w jednej z najbardziej znanych swych książek, *Wspomnienia bitniczki* (jest to jedyna jej książka wydana w języku polskim, ukazała się ona w 2013 roku, kilka z wierszy opublikowano w książce *Wizjonerzy i buntownicy* z 1976 roku), która jest fabularyzowaną autobiografią pełną niemal pornograficznych scen opisujących barwne życie bitnikowskiej bohemy. W ten sposób di Prima uderzała w amerykańską moralność lat 50. W San Francisco dołączyła do radykalnych lewicowców, Diggersów, którzy osiedli w hippisowskiej dzielnicy Haight-Ashbury. Jej dom wypełniał się wszelkiej maści aktywistami, od Czarnych czy Białych Panter, po anarchistów czy zagubionych artystów, na tajnych agentach FBI kończąc. Swoje rewolucyjne i feministyczne teksty wysyłała w tamtym czasie do wielu podziemnych gazet w całych Stanach. Stała się równocześnie „pomostem", zarówno pomiędzy bitnikami, a hippisami oraz wschodnim i zachodnim wybrzeżem. Społeczny anarchizm i polityczny radykalizm szły u niej w parze z religijnymi poszukiwaniami. Buddyzm, zen, sanskryt, gnoza, alchemia, tarot. Elementów hermetyzmu i ezoteryki szukała również w poezji. Była również zaangażowaną działaczką na rzecz akceptacji osób otyłych, jak i działała na polu ekologii. W latach 1974-1997 wykładała w Jack Kerouac School of Disembodied Poetics przy Instytucie Naropa w Boulder, w Kolorado, obok swoich dawnych kolegów z ruchu bitnikowskiego, między innymi Allena Ginsberga i Williama Burroughsa. Była również jedną z założycielek Institute of Magical and Healing Arts w San Francisco. Diane miała z kilku związków i małżeństw piątkę dzieci: Jeanne, Dominique, Alexandra, Tarę i Rudiego.

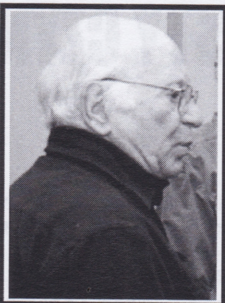


30 październik, w Szpitalu Uniwersyteckim St Vincent's w Dublinie, w wyniku udaru, zmarł jeden z najbardziej uznanych brytyjskich dziennikarzy i publicystów, **Robert Fisk**. Urodził się 12 lipca 1946 roku w Maidstone, skończył anglistykę i filologię klasyczną na Uniwersytecie w Lancaster, a potem doktoryzował się z nauk politycznych na Trinity Collage w Dublinie (jego praca doktorska została później opublikowana pod tytułem: Time of War: Ireland, Ulster and the Price of Neutrality 1939-1945). Swą przygodę z dziennikarstwem rozpoczął na początku lat 70. pisząc kolumny w *Sunday Express*, a od 1972 roku zaczął pracować jako korespondent *The Times* w Belfaście. W 1974 roku wysłano go do ogarniętej Rewolucją Goździków Portugalii. W latach 1976-1988 został głównym korespondentem pisma na Bliskim Wschodzie. Pisał głównie o konflikcie palestyńsko-izraelskim, wojnie w Libanie, rewolucji w 1979 roku w Iranie czy wojnie iracko-irańskiej. W roku 1989 przeniósł się do redakcji *The Independent*, gdzie też głównie zajmował się tematyką bliskowschodnią (wojna w Zatoce Perskiej, konflikt arabsko-izraelski, inwazja USA na Irak w 2003 roku, ale też wojna w Kosowie). Jako jedynemu dziennikarzowi udało mu się przeprowadzić wywiad z Osamą ibn Ladenem, i to aż trzykrotnie. Swego czasu przez *The Economist* określił go mianem „Jednego z najbardziej wpływowych korespondentów na Bliskim Wschodzie od czasów drugiej wojny światowej". O tym rejonie (ale nie tylko) kiedyś powiedział: „Po

zwycięstwie aliantów w 1918 r., pod koniec wojny mojego Ojca, zwycięzcy podzielili ziemię dawnych wrogów. W ciągu zaledwie siedemnastu miesięcy stworzyli granice Irlandii Północnej, Jugosławii i większości Bliskiego Wschodu. Całą moją karierę spędziłem w Belfaście, Sarajewie, Bejrucie i Bagdadzie, obserwując, jak te granice płoną a ludzie giną". Polityce Stanów Zjednoczonych i Izraela na Bliskim Wschodzie poświęcił wydaną w 2003 roku książkę *The Great War for Civilisation* (oprócz niej, wydał pięć innych książek, między innymi o konflikcie w Irlandii, wojnie w Libanie czy sytuacji w Algierii). Robert Fisk był zaciekłym krytykiem bliskowschodniej polityki USA i Wielkiej Brytanii, a izraelskie działania na okupowanych terenach palestyńskich otwarcie nazywał „zbrodnią wojenną". Zawzięcie, poprzez swoje liczne publikacje, próbował też przekonać turecki rząd do uznania ludobójstwa Ormian w 1915 roku. Jako dziennikarz, był wielokrotnie nagradzany i honorowany przez uniwersytety, jako człowiek, przez całe swoje życie pozostawał pacyfistą i nigdy nie brał udziału w wyborach! Kiedyś powiedział, że dziennikarz musi „kwestionować autorytety, wszelką władzę, zwłaszcza gdy rządy i politycy prowadzą nas na wojnę".



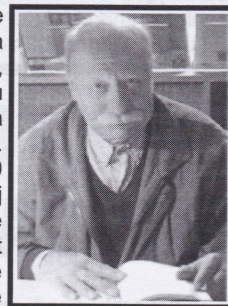
3 listopada odeszła 70-letnia **Jerimarie Liesegang**, długoletnia działaczka transpłciowa, rewolucyjna anarchistka z Connecticut. Najpierw była aktywna w kilku ogólnokrajowych organizacjach ruchu LGBTQ+, lecz w latach dziewięćdziesiątych postanowiła skupić się na działalności w rodzinnym stanie Connecticut. Założyła pierwszą polityczną organizację w tym stanie, It's Time Connecticut, a później Connecticut TransAdvocacy Coalition, która co roku organizowała konferencję „Transgender Lives: The Intersection of Health and Law". Wraz ze swą żoną Anją Schaedler, pomagała w organizacji pierwszego Dnia Pamięci Transseksualistów w Connecticut w 2002 roku, zaledwie cztery lata po pierwszym takim wydarzeniu w Bostonie, co później miało miejsce w całych Stanach. Miała ogromny wpływ na zmiany prawa stanowego dotyczące dyskryminacji osób transpłciowych, co w 2011 roku doprowadziło do podpisania ustawy stanowej, chroniącej takie osoby. Była współzałożycielką Queers Without Borders, organizacji osób LGBTQ, która działała na rzecz pokoju, prawa do mieszkania, praw osób niepełnosprawnych, praw reprodukcyjnych, imigrantów, bezpłatnej opieki medycznej, ochrony środowiska, jak i wspomagającej więźniów politycznych. Jerimarie była płodną publicystką, a jej twórczość była szeroko czytana i komentowana, współpracowała również wieloma innymi grupami i organizacjami, jak choćby: Free Chelsea Manning, Love Makes a Family, Connecticut Women's Education and Legal Fund, LGBTQ Legal Advocates & Defenders, PFLAG oraz Hartford Gay and Lesbian Health Collective. Była osobą, która nie tylko walczyła o prawa społeczności lesbijek, gejów, osób biseksualnych, transpłciowych, queerowych i interseksualnych, ale także w pełni rozumiała, że walki te są splecione ze wszystkimi innymi społecznościami, które walczyły o swoje podstawowe prawa. Pozostawiła pogrążoną w żałobie żonę, trójkę dzieci oraz byłą partnerkę, która opiekowała się nią w ostatnich tygodniach życia.



19 listopada, we własnym domu, w Medford, na obrzeżach Bostonu, zmarł w wieku 85 lat **Robert (Bob) D'Attilio**, włosko-amerykański anarchista (jego rodzice pochodzili z Navelli w regionie Abruzzo w południowych Włoszech). Zapamiętany został przede wszystkim, jako strażnik pamięci o Sacco i Vanzettim, dwójce włoskich anarchistów, straconych w nocy z 22 na 23 sierpnia 1927 roku w więzieniu w Charlestown. Bob uczęszczał do Medford High School i był absolwentem Inżynierii Elektrycznej w Massachusetts Institute of Technology. Poza anarchizmem, jego miłością była sztuka, uwielbiał jazz i operę a przez wiele lat pracował jako kierownik sceny w miejscowym teatrze w Cambridge. Jednak niemal całe swe dorosłe życie poświęcił sprawie Sacco i Vanzettiego oraz włoskiemu anarchizmowi. Z anarchizmem zetknął się po poznaniu Raffaele Schiavina (znanego również jako Max Sartin), włoskiego anarchisty, którego życie mogłoby stanowić niezły scenariusz filmowy. Schaviani, tuż przed wybuchem pierwszej wojny wyemigrował do USA, już jako młody anarchista, gdzie od razu włączył się w działalność, współpracując z Luigi Galleanim przy gazecie *Cronaca Sovversiva*. W 1920 roku razem z Galleanim zostali deportowani do Włoch, gdzie między innymi zakładali bojówki Arditi del Popolo w regionie Vercelli, później D'Attilio działał w Paryżu na rzecz uwolnienia Sacco i Vanzettiego, poczym nielegalnie przedostał się do Stanów, by redagować gazetę *L'Adunata dei Refrattari* oraz walczyć o życie swych przyjaciół. Tak w skrócie wyglądała lekcja anarchizmu udzielona D'Attilio. Bob odwdzięczył się staremu anarchiście dozgonną opieką, aż do jego śmierci w 1987 roku. Sprawa dwóch włoskich anarchistów na tyle go poruszyła, iż postanowił poświęcić jej całą swą uwagę. Bob stał się prawdziwym międzynarodowym ekspertem w tej dziedzinie, pisywał artykuły, brał udział w spotkaniach i konferencjach, skrupulatnie zbierał wszelkie materiały dotyczące tego mordu w imieniu prawa, przeszukiwał wszelakie archiwa. Szukał najmniejszych i wydawałoby się nieważnych informacji. Mamy nadzieję, że zebrane przez dziesięciolecie przez Boba materiały nie zostaną zaprzepaszczone i przez długie lata będą służyć badaczom anarchizmu. Bob D'Attilio był również aktywnym członkiem lokalnych organizacji, jak Community Church of Boston, Dante Alighieri Society of Massachusetts oraz Sacco and Vanzetti Commemoration Society.

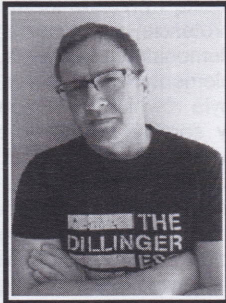


29 listopada w pobliżu Waldo na Florydzie, w wypadku samochodowym zginęła anarchistka i aktywistka ruchu antywięziennego **Karen Smith**. „Dla tak wielu była iskrą, która podpaliła Florydę i klejem, który trzymał nas razem. Matką, siostrą, wściekłością, a przede wszystkim miłością" - tak pisał o niej Gregory „King" Enegess, partner Karen, który odsiaduje wyrok w więzieniu na Florydzie. Karen najbardziej skupiała się na wspieraniu więźniów oraz nieustannych atakach na system więziennictwa, działając między innymi we Florida Prisoner Solidarity. Była zdecydowana abolicjonistką i przeciwniczką kary śmierci. Jej obecność na niemal każdym proteście pod więzieniami stanu Floryda czy jakiejkolwiek innej demonstracji sprawiała, iż stawała się najjaśniejszym i najgłośniejszym elementem protestu. Jako matka dwójki dzieci, Jacka i Sloane-a-bear'a, była również niesamowitym przykładem rodzica, który angażując się w sprawy społeczno-polityczne, równoważy to ze zobowiązaniami wobec własnych dzieci. Jako radykalna i rewolucyjna kobieta, na równi kochała „sprawę", jak i dzieci. Być może największym komplementem dla jej pracy i poświęcenia jest świadomość, że tak wielu strażników i personelu więziennego na Florydzie i poza nią, przeklinało jej imię, z pewnością zastanawiając się, czy jest prawdziwą osobą, czy jakąś fikcyjną, wszechobecną siłą, która chce skopać im tyłki. Ale Karen nie tylko zajmowała się sprawami więźniów i opresyjnym systemie penitencjarnym. Była zaangażowana również w inne projekty społeczne, jak choćby programy żywnościowe dla biednych czy pracę w poradni prawnej dla osób dotkniętych przemocą domową. Jako kobieta, zdecydowana przeciwniczka zachowań seksistowskich, niejednokrotnie podejmowała ostre dyskusje, zmuszając swych adwersarzy do unikania seksistowskich wyrażeń. Na początku XXI wieku, Karen wydawała również zina o tytule *10-20-Life*. W sercach wielu aktywistów i aktywistek antywięziennych pozostanie na zawsze.



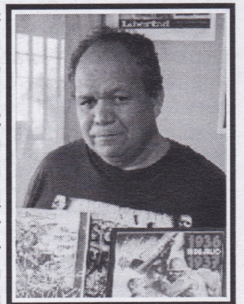
W ostatnim tygodniu 2020 roku, a dokładnie 23 grudnia, zmarł rosyjsko-francuski anarchista i wybitny historyk ruchu anarchistycznego, **Alexandre Skirda**. Urodził się w 1942 roku w emigracyjnej rodzinie, gdzie matka była z pochodzenia Ukrainką, a ojciec Rosjaninem. W czasie trwania wojny w Algierii, gdy miał 19 lat, wraz z Rolandem Biardem (który później również został historykiem zajmującym się anarchizmem), założył Groupe d'Etudes et Action Anarchiste, która była aktywna w czasie protestów przeciwko konfliktowi. Jednak to nie aktywizm a badania historyczne stały się główną domeną Skirda. Z racji znajomości języka rosyjskiego i zapewne pochodzenia, skupił się ona na utrwaleniu pamięci o rosyjskim i ukraińskim anarchizmie, ze szczególnym uwzględnieniem machnowszczyzny oraz powstania w Kronsztadzie, co zapewne jeszcze do dziś drażni popleczników Trockiego, którzy nie zapomną mu tego, iż wyjawił, że to właśnie z jego rozkazu Armia Czerwona zmiażdżyła kronsztadzki bunt, który miał znamiona Trzeciej Rewolucji, opartej na federalizmie i demokracji bezpośredniej. Jego książka *Kronstadt 1921: prolétariat contre bolchévisme*, swe pierwsze wydanie miała w 1971 roku, później kilka razy ją wznawiano w wersji rozszerzonej. W 1973 roku ukazała się jego kolejna książka poświęcona rosyjskiemu anarchizmowi, *Les Anarchistes dans la Révolution russe*. Z kolei losom Nestora Machno i walki ukraińskich chłopów-anarchistów z białą i czerwoną zarazą Skirda poświęcił książkę *Nestor Makhno, le cosaque de l'Anarchie, la lutte pour les soviets libres en Ukraine 1917-1921* wydaną w 1982 roku (wydanie angielskie nosi tytuł: *Nestor Makhno: Anarchy's Cossack: The Struggle for Free Soviets in the Ukraine*), która również doczekała się

później poszerzonych wznowień. W 1987 roku napisał ogólną historię anarchizmu: *Autonomie Individuelle et Force Collective: Les Anarchistes et l'Organisation de Proudhon a nos Jours* (wydanie angielskie: *Facing the enemy: a history of anarchist organization from Proudhon to May 1968*), później znów powrócił do wschodnich tematów, pisząc w 2000 roku *Les Anarchistes russes, les soviets et la révolution de 1917* oraz wychodząc już poza anarchistyczne tematy *La traite des Slaves: l'esclavage des Blancs du VIII au XVIII siècle* (2010) i *Les Russies inconnues, Rouss, Moscovie, Biélorussie, Ukraine et Empire russe: des origines, 862, à l'abolition du servage, 1861* (2014). Ostatnią swą książką: *Un plagiat "scientifique": le copié-collé de Marx: Victor Considerant, Le manifeste de la démocratie (1843) - Karl Marx, Le manifeste communiste (1848)* powrócił do tematu, zarzucając Marksowi, iż tworząc swój *Manifest Komunistyczny*, działał metodą „kopiuj-wklej", plagiatując w ten sposób *Manifest Demokratyczny* Victora Considerant. Prócz tego napisał kilka książek współpracując z innymi naukowcami. Razem z Jacquesem Baynac i Charlesem Urjewiczem wydali *La Terreur sous Lénine (1917-1924)*, z Marcelem Body opublikował *Un piano en bouleau de Carélie. Souvenirs de Russie, 1917-1927, Au cœur de la Révolution: mes années de Russie 1917-1927* i *Un ouvrier limousin au cœur de la révolution russe: mes années de Russie 1917-1927*. Natomiast z André Bösiger opublikował *Souvenirs d'un rebelle, soixante ans de luttes d'un libertaire jurassien*. Alexandre Skirda zasłużył się również jako tłumacz z rosyjskiego na francuski, dzięki czemu francuskojęzyczni anarchiści i anarchistki mogli przeczytać wspomnienia i pisma publicystyczne Nestora Machno, wspomnienia z Kronsztadu Jefima Jarczuka czy w końcu zbiór tekstów polsko-rosyjskiego rewolucjonisty, Jana Wacława Machajskiego.



Gdy już ten pechowy, 2020 rok się zakończył, myśleliśmy, że gorzej już być nie może... A jednak. Zaraz na początku nowego roku, 5 stycznia, odszedł lubelski punk i anarchista **Paweł „Bocian" Sikora**. Był nierozerwalną częścią lubelskiej sceny hardcore punk, doktorem filozofii oraz indywidualistycznym anarchistą. „Bocian" urodził się w 1971 roku, w drugiej połowie lat 80. związał się ze sceną niezależną a w 1989 roku zaczął grać na gitarze w zespole Amen, jednej z najważniejszych kapel pierwszej połowy lat 90. Hasłem przewodnim zespołu było: „Wegetariański świat. Ateistyczna kultura. Anarchistyczne społeczeństwo". Paweł z całą pewnością podpisywał się pod nim do końca swych dni... Po rozpadzie Amenu, grał w wielu innych projektach, by wymienić: Antichrist, Bold and the Beautiful czy Poor but Loyal. W latach 90. wraz z „Mrówą" i „Pałą", członkami Amenu, prowadził niezależne wydawnictwo Lagart Factory Rec., oraz zina *Kultura Nędzy*, którego ukazało się pięć numerów. W zinie tym, poza tematyką związaną ze sceną punk, można było przeczytać teksty „Bociana" o kinie, jak i coraz częściej pojawiające się tematy anarchistyczne. Jego teksty pojawiały się również w anarchistycznym magazynie *Mać Pariadka* a na początku XXI wieku był współredaktorem anarchoindywidualistycznego/libertariańskiego pisma *MindFuck*, którego w sumie ukazało się trzy numery. „Bocian" zazwyczaj zajmował się tam muzyką i filmem. W ostatnich lata dość regularnie pisywał do anarcho-punkowego zina *Chaos w Mojej Głowie*.

Paweł w 2003 roku obronił pracę doktorską *Drogi ontologii egzystencjalnej. Perspektywy filozofii Istnienia: Hegel - Heidegger* z filozofii na lubelskim UMCS. Od 2012 roku był redaktorem internetowego pisma *Kultura i Wartości*, a w 2016 roku został doktorem habilitowanym nauk humanistycznych w dziedzinie filozofii. Podstawą była jego monografia *Pojęciowa treść percepcji w filozofii nowożytnej* opublikowana w tym samym roku. Ponadto był autorem kilkudziesięciu artykułów naukowych z dziedziny filozofii czy libertarianizmu. Na uczelni był bardzo lubiany przez studentów, którzy w jego pożegnaniu napisali: „Jako jeden z niewielu przedstawicieli społeczności akademickiej otwarcie wspierał studentów w walce o ich prawa, wypowiadał się i brał udział w wydarzeniach organizowanych przez młodszych kolegów, za każdym razem stojąc po stronie młodych. Zawsze w nas wierzył i nam pomagał". Jego przedwczesna śmierć była ogromnym ciosem dla wielu przyjaciół z anarchistycznego i punkowego środowiska...



W zasadzie gdy już kończyłem pisać powyższe pożegnania, nadeszła kolejna smutna wiadomość, tym razem z dalekiego Meksyku. 10 stycznia, w wieku 56 lat z powodu koronowirusa zmarł **Héctor Daniel Hernández Becerril**, wszystkim anarchistom, anarchistkom i anarcho-punkom bardziej znany jako Tobi Libertario. Od ponad 25 lat, wraz ze swą partnerką Martą, zajmował się jedną z największych bibliotek anarchistycznych w Ameryce Łacińskiej, Biblioteca Social Reconstruirm znajdującą się w stolicy kraju. Biblioteka ta została założona w 1980 roku przez Ricardo Mestre Ventura (1906-1996), hiszpańskiego anarchistę, który od 1939 roku żył na emigracji w Meksyku. Mester należał do CNT i Iberyjskiej Federacji Młodzieży Wolnościowej, współpracował z gazetą *La Estela*, był sędzią pokoju oraz organizował w czasie wojny domowej pierwsze wolne, rewolucyjne śluby i rozwody. Mimo, iż odcinał się od wszelkich religii, wierząc jedynie w braterstwo i sprawiedliwość społeczną, to w czasie wojny uratował życie kilku księżom. Po wojnie udał się na wygnanie, gdzie po kilku latach znów zaczął działać w ruchu anarchistycznym. Był zagorzałym przeciwnikiem stalinizmu, jak i reżimu Castro na Kubie. Po jego śmierci, opiekę nad biblioteka przejęli Tobi i Marta, którzy przez wszystkie te lata nie tylko uzupełniali zbiory, ale również dbali o to, by zdobyć pieniądze na czynsz i inne wydatki. W bibliotece organizowali wiele spotkań z wolnościowcami z całego świata, wystawy czy inne wydarzenia. Tobi zaangażowany był również w lokalną scenę anarcho-punkową, organizował benefitowe koncerty, często pojawiał się również na punkowym targowisku Chopo. Jego niepotrzebna śmierć jest ogromnym ciosem dla meksykańskiego i latynoamerykańskiego ruchu anarchistycznego.

Oprac. **JKK**

POMOCY WZAJEMNEJ. ŚWIETLISTY CZYNNIK ROZWOJU: WPROWADZENIE

Czasami choć niezbyt często szczególnie przekonujący argument przeciwko panującemu porządkowi (ang. *common sense*) politycznemu stanowi dla systemu taki szok, że aby go obalić konieczne staje się stworzenie całego zbioru teorii. Takie interwencje same w sobie stanowią wydarzenie w sensie filozoficznym; odsłaniają wcześniej niewidoczne aspekty rzeczywistości, które raz ujawnione wydają się tak całkowicie oczywiste, że nigdy już nie mogą pozostać niezauważone. Spora część intelektualnej pracy Prawicy sprowadza się do identyfikacji i mierzenia się z takimi właśnie wyzwaniami.

Podajmy trzy przykłady.

W latach osiemdziesiątych XVII wieku, Huron-Wendat - mąż stanu imieniem Kondiaronk, który będąc w Europie dobrze poznał francuskie i angielskie społeczności osadników, zaangażował się w serię debat z francuskim gubernatorem Quebecu i jednym z jego głównych pomocników, niejakim Lahontanem. Przedstawił w nich argument, zgodnie z którym prawo karne i cały aparat państwowy istnieją nie z powodu jakiejś fundamentalnej skazy ludzkiej natury, ale dzięki istnieniu innego zestawu instytucji: własności prywatnej, pieniędzy, które ze swej natury prowadzą ludzi do działania w taki sposób, aby środki przymusu były konieczne. Równość jest zatem warunkiem jakiejkolwiek znaczącej wolności - twierdził. Debaty te przybrały później kształt książki Lahontana, która w pierwszych dekadach XVIII wieku odniosła ogromny sukces. Stała się sztuką graną przez następnych dwadzieścia lat w Paryżu i odwoływał się do niej chyba każdy myśliciel Oświecenia. Ostatecznie argumenty te oraz szersza, rodzima krytyka społeczeństwa francuskiego stały się tak potężne, że obrońcy istniejącego porządku społecznego, jak Turgot i Adam Smith, musieli wymyślić bezpośrednią i skuteczną odpowiedź w postaci koncepcji ewolucji społecznej. Wysuwając tezę, że społeczeństwa ludzkie mogą być zorganizowane według stopni rozwoju, z których każdy ma specyficzne sobie technologie i formy organizacji, dobrze wiedzieli czego chcą. „Każdy kocha wolność i równość" zauważył Turgot. Pytanie brzmi, które z nich zgodne jest z rozwiniętym społeczeństwem komercyjnym opartym na wyszukanym podziale pracy. Powstałe w ten sposób teorie ewolucji społecznej zdominowały XIX wiek i w nieco zmodyfikowanej formie nadal są z nami.

Pod koniec XIX i początku XX wieku, anarchistyczna krytyka liberalnego państwa, głosząca że rządy prawa ostatecznie opierają się na arbitralnej przemocy, a finalnie na zsekularyzowanej wersji wszechmocnego Boga, który mógł stworzyć moralność, ponieważ stał na zewnątrz była brana na tyle poważnie przez obrońców państwa, że prawicowi teoretycy prawa, jak Karl Schmitt, ostatecznie wymyślili intelektualny szkielet dla faszyzmu. Schmitt kończy swoje najsłynniejsze dzieło, *Teologię Polityczną*, wygłoszeniem tyrady przeciwko Bakuninowi, którego odrzucenie „decyzjonizmu" - arbitralnej władzy tworzenia porządku prawnego, ale także jego zawieszania było ostatecznie, jak twierdził, w każdym calu tak samo arbitralne jak władza przeciwko której Bakunin występował. Sama koncepcja teologii politycznej Schmitta, fundamentalna dla prawie całej współczesnej myśli prawicowej, była jedynie próbą odpowiedzi na *Boga i Państwo* Bakunina.

Wyzwanie, jakie stawia *Pomoc Wzajemna jako czynnik rozwoju* Kropotkina, jest prawdopodobnie głębsze, ponieważ nie chodzi tu tylko o naturę rządu, ale naturę natury, czyli rzeczywistość jako taką.

Teorie ewolucji społecznej, które Turgot początkowo ochrzcił „postępem", mogły rozpoczynać się jako sposób rozbrajania wyzwań rodzimej krytyki, jednak wkrótce zaczęły przybierać bardziej zjadliwą formę, gdy hardcorowi liberałowie, jak Herbert Spencer, zaprezentowali ewolucję społeczną nie tylko jako kwestię rosnącej złożoności, różnicowania i integracji, ale jako rodzaj Hobbesowskiej walki o przetrwanie. Wyrażenie „przetrwanie najlepiej przystosowanych" (ang. *Survival the fittest*) zostało faktycznie ukute w 1852 r. przez Spencera, aby opisać historię ludzkości i ostatecznie, jak się zakłada, usprawiedliwić europejskie ludobójstwo i kolonializm. Darwin podjął je dopiero jakieś dziesięć lat później, kiedy w *O pochodzeniu gatunków* wykorzystał jako sposób opisu form doboru naturalnego, jakie rozpoznał podczas słynnej wyprawy na Wyspy Galapagos. W czasach gdy pisał Kropotkin, latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku, idee Darwina zostały podjęte przez liberałów rynkowych, notorycznie wręcz przez jego „buldoga" Thomasa Huxleya i angielskiego przyrodnika Alfreda Russela Wallace'a, aby przedłożyć to, co często nazywane jest „gladiatorskim spojrzeniem" na historię naturalną. Gatunki rzucają się na siebie jak bokserzy w ringu lub handlarze obligacjami na rynku; zwyciężają najsilniejsi.

Odpowiedź Kropotkina, że współpraca jest równie ważnym czynnikiem w doborze naturalnym jak rywalizacja nie była całkowicie oryginalna. Zresztą nigdy nie udawał on, że tak jest. W rzeczywistości czerpał nie tylko z najlepszej dostępnej wówczas wiedzy biologicznej, antropologicznej, archeologicznej i historycznej, w tym również z własnych badań Syberii, ale także z alternatywnej rosyjskiej szkoły teorii ewolucji (ludzi takich jak „Kessler, Siewiercow, Menzbir, Brandt - czterech wielkich rosyjskich zoologów i piąty mniejszy, Poliakow, oraz ja, prosty podróżnik"), która utrzymywała, że angielska szkoła hiperrywalizacji opiera się na, jak to ujął, „tkance absurdów".

Mimo to musimy przyznać Kropotkinowi uznanie. Był kimś znacznie więcej niż prostym podróżnikiem. Człowiek taki jak on, skutecznie ignorowany był przez angielskich darwinistów w okresie rozkwitu imperium i w rzeczy samej, przez prawie wszystkich innych. Jednak strzał Kropotkina nie był chybiony. Po części, było to bez wątpienia spowodowane tym, że swoje odkrycia naukowe przedstawiał w szerszym kontekście politycznym, w formie, która uniemożliwiała zaprzeczanie, tak samo jak panująca wersja darwinowskiej nauki, sama w sobie nie była tylko nieświadomym odzwierciedleniem przyjętych za pewne, liberalnych kategorii. (Jak słynnie ujął to Marks: „Anatomia człowieka jest kluczem do anatomii małpy"). Była to próba katapultowania poglądów klas uprzywilejowanych na ogół. Darwinizm w tamtych czasach był nadal świadomą, wojowniczą interwencją polityczną mającą na celu przekształcenie powszechnego porządku, insurekcji centrum - można by rzec, a może lepiej - niedoszłej insurekcji centrum, odkąd miała na celu stworzenie nowego centrum. To nie był jeszcze powszechny porządek (ang. *common sense*), ale była to próba stworzenia nowego, uniwersalnego powszechnego porządku. Jeśli ostatecznie nie okazała się ona całkowitym sukcesem, to w pewnym stopniu z powodu samej siły kontrargumentu Kropotkina. Nietrudno dostrzec, co tak niepokoiło tych liberalnych intelektualistów. Rozważmy słynny fragment z *Pomocy Wzajemnej*, który naprawdę zasługuje na zacytowanie w całości: „Nie miłość to, ani nawet współczucie (w ścisłym znaczeniu tego wyrazu) doprowadza stada przeżuwających lub koni do tworzenia koła w celu obrony przed wilkami; nie miłość doprowadza wilki do tworzenia stada podczas polowania; nie miłość skłania kocięta lub jagnięta do zabawy i nie miłość skłania dziesiątki gatunków młodych ptaków do wspólnego spędzania dni jesienią; również nie miłość i współczucie osobiste doprowadza tysiące danieli, rozrzuconych na przestrzeni tak wielkiej jak Francja, do tworzenia stad, zmierzających wszystkie do jednego miejsca, w celu przeprawienia się przez rzekę. Mamy tu do czynienia z uczuciem nieskończenie szerszym, niż miłość i współczucie osobiste; - jest to instynkt rozwinięty stopniowo pomiędzy zwierzętami i ludźmi w ciągu nadzwyczajnie długich okresów rozwojowych, instynkt, który nauczył zwierzęta i ludzi oceniać tę siłę, którą czerpać mogą z pomocy wzajemnej, instynkt, który dał im poznać radości, płynące z życia społecznego. [...] Atoli społeczeństwo ludzkie nie na miłości jest oparte i nawet nie na współczuciu. Oparte jest ono na solidarności ludzkiej - choćby nawet występowała ona na poziomie instynktu. Mamy tu do czynienia z nieświadomym uznaniem tej siły, którą każdy człowiek czerpie z pomocy wzajemnej; mamy do czynienia ze ścisłą zależnością szczęścia każdego od szczęścia wszystkich; wreszcie z poczuciem sprawiedliwości, które doprowadza jednostkę do stawiania praw każdego ze swych bliźnich na równi z prawami własnymi. Na tej szerokiej i koniecznej podstawie założone są wyższe uczucia moralne." (Kropotkin Piotr, *Pomoc wzajemna jako czynnik rozwoju*, tłum. J. Hempel, Warszawa 1921, s. 19-20)

Wystarczy wziąć pod uwagę zjadliwość reakcji. Co najmniej dwa kierunki studiów (co prawda nakładające się na siebie) socjobiologia i psychologia ewolucyjna zostały od tamtego czasu stworzone specjalnie po to, by pogodzić argumenty Kropotkina na temat współpracy pomiędzy zwierzętami z założeniem, że wszyscy ostatecznie jesteśmy kierowani, jak finalnie ujął to Dawkins, naszym „samolubnym genem". Kiedy brytyjski biolog J. B. S. Haldane stwierdzał, że byłby skłonny oddać życie aby ocalić „dwóch braci, czterech przyrodnich braci lub ośmiu kuzynów", po prostu parodiował rodzaj „naukowego" rachunku, który został wprowadzony wszędzie, aby odpowiedzieć Kropotkinowi, w ten sam sposób w jaki „postęp" został wymyślony, aby zastopować Kondiaronka, a doktryna stanu wyjątkowego Bakunina. Fraza „samolubny gen" nie została wybrana przypadkowo. Kropotkin ukazał zachowania w świecie przyrody, które były dokładnym przeciwieństwem samolubstwa: od tego momentu, cała gra darwinistów polega na wynajdowaniu powodów, jakichkolwiek powodów, aby nadal upierać się przy tym, że nawet najbardziej zabawne, kochające, narwane, heroicznie ofiarne, lub towarzyskie zachowania są koniec końców samolubne.

Wysiłki intelektualnej prawicy, by sprostać ogromowi wyzwania jakie stawia teoria Kropotkina, są zrozumiałe. Jak już wskazaliśmy, dokładnie to powinni robić. To właśnie dlatego są dla nas „reakcjonistami". Tak naprawdę nie wierzą w twórczą siłę polityki jako wartość samą w sobie - w rzeczywistości uważają ją za niezwykle niebezpieczną. W rezultacie, prawicowi intelektualiści są nimi głównie po to, by reagować na idee przedłożone przez lewicę. Ale co z intelektualną lewicą?

I tutaj sprawa zaczyna się komplikować. Podczas gdy prawicowi intelektualiści usiłowali zneutralizować ewolucyjny holizm Kropotkina poprzez rozwój całych systemów intelektualnych, marksistowska lewica udawała, że jego interwencja nigdy nie miała miejsca. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że marksistowska odpowiedź na Kropotkinowskie znaczenie federalizmu spółdzielczego polegała na dalszym rozwijaniu tych aspektów teorii samego Marksa, które najostrzej szły w przeciwnym kierunku: najbardziej produktywistycznym i postępowym. Wnikliwe spostrzeżenia z *Pomocy Wzajemnej* zostały w najlepszym razie zignorowane, a w najgorszym wymiecione protekcjonalnym chichotem. W badaniach marksistowskich, a co za tym idzie, ogólnie w badaniach lewicowych, istniała tak trwała tendencja do wyśmiewania „socjalizmu łodzi ratunkowej" i „naiwnego utopizmu" Kropotkina, że znany biolog Stephen Jay Gould czuł się zmuszony podkreślać w słynnym eseju, że „Kropotkin nie był głupkiem".

Istnieją dwa możliwe wyjaśnienia tego strategicznego pominięcia. Jedno to czyste sekciarstwo. Jak już wspomniano, intelektualna interwencja Kropotkina była częścią większego projektu politycznego. Przełom XIX i XX wieku złożył podwaliny pod państwo opiekuńcze, którego kluczowe instytucje, tak naprawdę powstałe głównie dzięki grupą wzajemnej pomocy, całkowicie niezależnie, zostały następnie stopniowo przejęte przez państwo i partie polityczne. Większość prawicowych i lewicowych intelektualistów idealnie się w to wpasowała: Bismarck w pełni przyznał, że stworzył niemieckie instytucje opieki społecznej jako „łapówkę" dla klasy robotniczej, aby nie stali się socjalistami; socjaliści nalegali, aby wszystko, od ubezpieczeń społecznych po biblioteki publiczne, było kierowane nie przez sąsiedztwo i grupy syndykalne, które faktycznie je stworzyły, ale przez odgórne awangardowe partie . W tym kontekście obie strony spisały etyczno-społeczne propozycje Kropotkina na rolę aktualnie obowiązującego wygłupu. Warto też pamiętać, że - częściowo z tego właśnie powodu - w latach 1900 - 1917 anarchistyczne i libertariańskie idee Marksa były znacznie bardziej popularne wśród samej klasy robotniczej, niż marksizm Lenina i Kautskiego. Dopiero zwycięstwo frakcji leninowskiej w Bolszewickiej partii Rosji (wówczas uważanej za prawe skrzydło bolszewików) oraz stłumienie Sowietów, Proletkultu i innych oddolnych inicjatyw w samym Związku Radzieckim, pozwoliło wreszcie zakończyć ten spór.

Istnieje jednak inne możliwe wyjaśnienie, które więcej ma wspólnego z tym, co można by nazwać „pozycjonowaniem" zarówno tradycyjnego marksizmu, jak i współczesnej teorii społecznej. Jaka jest rola intelektualnego radykalizmu? Spora część intelektualistów nadal przyznaje się do bycia radykalnym w taki czy inny sposób. W teorii wszyscy oni zgadzają się z Marksem, że nie wystarczy zrozumieć świata; chodzi o to, aby go zmieniać. Ale co to właściwie oznacza w praktyce?

W jednym z ważnych paragrafów *Pomocy wzajemnej* Kropotkin oferuje sugestię: rolą radykalnego uczonego jest „odzyskanie właściwej proporcji między konfliktem a współdziałaniem". Może to brzmieć mętnie, ale dalej wyjaśnia. „[...] zmuszeni jesteśmy zagłębić się w drobiazgową analizę niezliczonych faktów powszednich, musimy zwrócić uwagę na wspomnienia, przypadkowo zachowane w tym, co pozostało z czasów dawnych; wszystko to zestawiać musimy przy pomocy etnologii porównawczej. W ten sposób, zbadawszy to, co powiedziano nam o czynnikach rozdzielających ludzi, usiłować należy odtworzyć cegiełkę po cegiełce te instytucje, które łączyły ludzi." (Kropotkin P., *Tamże*, s. 101).

Jeden z autorów wciąż pamięta młodzieńczą ekscytacje po przeczytaniu tych wersów. Jakże różni się to od drętwej nauki w zorientowanej na państwo akademii! Zalecenie to należy czytać wespół z Marksowskim, którego energia skupiła się na zrozumieniu organizacji i rozwoju kapitalistycznej produkcji towarowej. W *Kapitale*, jedyną istotną uwagą na temat współpracy jest badanie aktywności współpracy jako form i konsekwencji produkcji fabrycznej, gdzie pracownicy „jedynie kształtują specyficzny sposób istnienia kapitału". Wydawać by się mogło, że te dwa projekty bardzo dobrze się uzupełniają. Kropotkin chciał zrozumieć czym dokładnie było to, co stracił wyalienowany robotnik. Ale integracja tych dwóch oznaczałaby zrozumienie, w jaki sposób nawet kapitalizm jest ostatecznie oparty na komunizmie („pomocy wzajemnej"), nawet jeśli jest to komunizm, którego nie uznaje; że komunizm nie jest abstrakcją, odległą ideą, niemożliwą do utrzymania, ale żywie doświadczaną rzeczywistością, w której wszyscy, w różnym stopniu, codziennie uczestniczymy, i że nawet fabryki nie mogłyby bez niego funkcjonować - nawet jeśli zazwyczaj działa on skrycie, pomiędzy trzaskami, zmianami, lub nieformalne, pomiędzy słowami albo całkowicie wywrotowo. Ostatnio modne stało się stwierdzenie, że kapitalizm wszedł w nową fazę, w której stał się pasożytem form twórczej współpracy, głównie w Internecie.

Jest to nonsens. Było tak zawsze.

To wartościowy intelektualny projekt. Z jakiegoś powodu jednak prawie nikt nie jest nim zainteresowany. Zamiast badać, w jaki sposób relacje hierarchii i wyzysku są odtwarzane, odrzucane i uwikłane w relacje pomocy wzajemnej, jak relacje troski idą w parze ze stosunkami przemocy, utrzymując razem systemy przemocy, by nie rozpadł się całkowicie, tradycyjny marksizm, jak i współczesna teoria społeczna uparcie odrzucały prawie wszystko, co przypomina o wielkoduszności, współpracy lub altruizmie, jako rodzaj jakiejś burżuazyjnej iluzji. Konflikt i egoistyczne kalkulacje okazały się bardziej interesujące niż „wspólnota". (Podobnie, akademiccy lewacy dość często piszą o Carlu Schmidcie lub Turgocie, podczas gdy prawie niemożliwe jest znalezienie tych piszących o Bakuninie i Kondiaronku). Jak narzekał sam Marks, w kapitalistycznym sposobie produkcji istnienie oznacza gromadzenie. Od kilkudziesięciu lat słyszeliśmy niewiele poza bezlitosnym nawoływaniem do cynicznych strategii stosowanych w celu zwiększenia naszego kapitału (społecznego, kulturowego lub materialnego). Są one traktowane jako krytyka. Ale jeśli wszystko, o czym jesteś gotów rozmawiać to, to przeciwko czemu się rzekomo sprzeciwiasz, jeśli wszystko, co możesz sobie wyobrazić to, to przeciwko czemu się rzekomo sprzeciwiasz, to w jakim sensie faktycznie się temu sprzeciwiasz? Czasami wydaje się, że akademicka lewica skończyła jako wynik stopniowej internalizacji i reprodukcji wszystkich najbardziej niepokojących aspektów neoliberalnego ekonomizmu, któremu rzekomo się sprzeciwiała, do tego stopnia, że czytając wiele takich analiz (będziemy mili i nie wymienimy żadnych nazwisk), można by zapytać, jak bardzo to wszystko tak naprawdę różni się od socjobiologicznej hipotezy, że naszym zachowaniem rządzą „samolubne geny!"

Trzeba przyznać, że ten rodzaj internalizacji wroga osiągnął swój szczyt w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kiedy globalna lewica znajdowała się w całkowitym odwrocie. Sprawy poszły jednak dalej. Czy Kropotkin jest znów aktualny? Cóż, oczywiście, Kropotkin zawsze był aktualny, ale ta książka została wydana w przekonaniu, że istnieje nowe, zradykalizowane pokolenie, które nie miało wiele bezpośredniego kontaktu z tymi ideami, ale które wykazuje wszelkie oznaki bycia zdolnym do bardziej klarownej i trafnej oceny globalnej sytuacji niż ich rodzice i dziadkowie, choćby dlatego, że wiedzą, że jeśli tego nie zrobią, świat, który ich czeka, wkrótce stanie się absolutnym piekłem.

To już zaczyna się dziać. Polityczne znaczenie idei głoszonych po raz pierwszy w *Pomocy Wzajemnej* jest na nowo odkrywane przez nowe generacje ruchów społecznych na całej planecie. Na trwającą rewolucję społeczną w Demokratycznej Federacji północno-wschodniej Syrii (Rojava) głęboki wpływ wywarły pisma Kropotkina na temat ekologii społecznej i federalizmu spółdzielczego, po części poprzez prace Murraya Bookchina, po części przez powrót do źródeł, w dużej mierze także czerpiąc z własnych kurdyjskich tradycji i rewolucyjnych doświadczeń.

Kurdyjscy rewolucjoniści podjęli się zadania skonstruowania nowej nauki społecznej, przeciwstawnej strukturom wiedzy kapitalistycznej nowoczesności. Osoby zaangażowane w zbiorowe projekty socjologii wolności i *jineoloji* (Kurdyjska nauka wyzwolenia kobiet) rzeczywiście zaczęły „odbudowywać kamień po kamieniu" instytucje, które kiedyś jednoczyły ludzi i walki. Na Globalnej Północy, wszędzie, od różnych ruchów okupacyjnych po projekty solidarnościowe w obliczu pandemii Covid 19, pomoc wzajemna stała się kluczowym określeniem używanym zarówno przez aktywistów, jak i dziennikarzy głównego nurtu. Obecnie, do pomocy wzajemnej odwołują się w mobilizacje solidarnościowe migrantów w Grecji oraz w organizacje społeczeństwa Zapatystów w Chiapas. Podobno nawet naukowcy czasami jej używają.

Kiedy *Pomoc Wzajemną* wydano po raz pierwszy w 1902 roku, niewielu naukowców było na tyle odważnych, by zakwestionować pogląd, że kapitalizm i nacjonalizm są zakorzenione w ludzkiej naturze lub, że władza państw jest ostatecznie nienaruszalna. Większość z tych, którzy to zrobili, została uznana za wariatów lub, jeśli byli zbyt ważni, aby ich w ten sposób odtrącić, jak Albert Einstein, jako „ekscentryków", których poglądy polityczne miały równie duże znaczenie jak ich niezwykłe fryzury. Jednak reszta świata idzie naprzód. Czy naukowcy, a być może nawet socjologowie wreszcie dołączą?

Piszemy to wprowadzenie podczas globalnej fali ludowej rewolty przeciwko rasizmowi i przemocy państwa, gdy władze publiczne plują jadem przeciwko „anarchistom" w taki sam sposób, jak za czasów Kropotkina. Wydaje się, że jest to szczególnie odpowiedni moment, aby wznieść kieliszek za tego starego kompana, pełnego „pogardy dla prawa i własności prywatnej", który zmienił oblicze nauki w sposób, który nadal ma na nas wpływ. Nauka Piotra Kropotkina była staranna i barwna, wnikliwa i rewolucyjna. Postarzała się nadzwyczaj dobrze. Odrzucenie przez Kropotkina zarówno kapitalizmu, jak i socjalizmu biurokratycznego, jego przewidywania co do tego, dokąd ten ostatni może doprowadzić, były wielokrotnie powtarzane. Patrząc wstecz na większość argumentów, które szalały w jego czasach, tak naprawdę nie ma wątpliwości, kto miał rację.

Oczywiście nadal są tacy, którzy tej kwestii zajadle się sprzeciwiają. Niektórzy nadal marzą o pokładach statków, które dawno już odpłynęły. Inni są dobrze opłacani za myślenie o tym, co robią. Jeśli chodzi o autorów tego skromnego wprowadzenia, parę dekad po pierwszym spotkaniu z tą natchnioną książką, po raz kolejny jesteśmy zaskoczeni tym, jak głęboko zgadzamy się z jej głównym przesłaniem. Jedyną realną alternatywą dla kapitalistycznego barbarzyństwa jest bezpaństwowy socjalizm, wytwór jak przypomina nam wielki geograf „tendencji, które jawią się teraz w społeczeństwie" i które „w pewnym sensie, zawsze obecne są w teraźniejszości. "

Tylko odkrywając ponownie to co jest i co zawsze było tuż przed naszymi oczami, możemy stworzymy nowy świat.

David Graeber, Andrej Grubačić



Niniejszy tekst stanowi wstęp do kolejnego angielskiego Wydania książki Piotra Kropotkina *Pomoc Wzajemna jako czynnik rozwoju*, jaka ma się ukazać W maju 2021 roku nakładem amerykańskiego wydawnictwa PM Press. Tłumaczenie: **Krzysztof Linda**

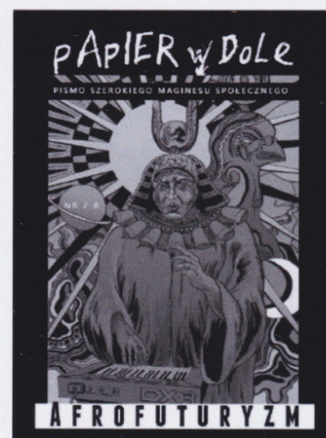
wydawnictwo
papierwdole

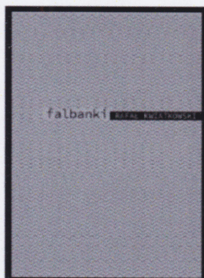
PAPIER W DOLE

Katalog Press {K}

Papier w dole. Pismo szerokiego marginesu społecznego
Nr 7–8/2020

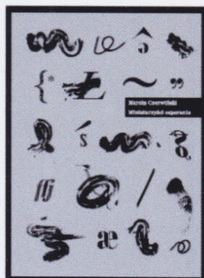
afrofuturyzm (Sun Ra, Anthony Joseph, Drexciya, RZA, Onoe Caponoe), poezja afroamerykańska, dub poetry, Pandadread Sound System, Detroit techno, AACM i free jazz, funk, Czarne Pantery, najnowsza literatura polska, Los Loveros, Piotr Madej;
ilustracje: Gerald Jenkins, Dominik Podsiadły, Michał Będkowski i inni.





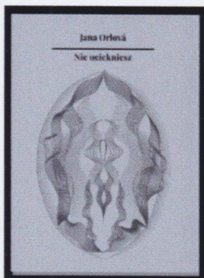
Rafał Kwiatkowski – Falbanki (seria Katalog)

Drugi tomik poety-samotnika z Wielkopolski. Maniakalno-depresyjne lingwistyczne dociekania, wetknięte niczym mocno naładowane sigile gdzieś w szczeliny między poezją a filozofią, penetrujące granice języka i myśli ekstremalnej.



Marcin Czerwiński – Miniaturzyści esperanto (seria Tropy)

Czerwiński serwuje nam carskie danie, będące też rollercoasterem. W dobrym tempie i na różne sposoby patrzą nam z tej książki w twarz: las, cały kosmos, koniec świata, śmierć i rozkosz, z nimi duch, teorie i praktyki podważające osądy i schematy, które utarły się być właściwymi.
(Ilona Witkowska)
Trwanie... Zdarzenia, odstępy między zdarzeniami. Skradanie się istot. Leśnych, miejskich. Kora i uzębienie. Loty nad wielką płytą. Czwarta współrzędna? Łóżko jest wygodne albo z wystającym gwoździem. (Grzegorz Wróblewski)



Wkrótce ukażą się:

Jana Orlová – Nie uciekniesz (seria Stopy)
Magdalena Dampz – Szał na latawce (seria Błystki)
Roman Bromboszcz – [skry] (seria Katalog)

W przygotowaniu:

Ilona Witkowska,
Karel Tůma,
Jonáš Hájek,
Niall McDevitt,
Eugene Thacker,
magazyn “Annexia”,
seria ‘Z głodu’

fb/papierwdole666
fb/katalogpress

papierwdole2012@gmail.com

Dystrybucja:

Bractwo Trojka
www.bractwotrojka.pl

PAPIER W DOLE – MARGINALNY GŁOS W TWOIM DOMU!

KRONSZTAD 1921 PAMIĘTAMY!



Kronsztad padł. Jednak wypełnił zadanie i to się liczy. W skomplikowanym i mrocznym labiryncie, który otwiera się przed zbuntowanymi masami, Kronsztad jest światłem przewodnim, wskazującym właściwą drogę. To nie ważne, że w okolicznościach, w jakich się znaleźli, buntownicy nadal mówili o władzy (władzy rad), zamiast pozbyć się tego słowa razem z jego ideą i mówić zamiast tego o koordynacji, organizacji, administracji. Był to ostatni hołd złożony przeszłości. Kiedy tylko robotnicy zdobywają wolność dyskusji, organizacji i działania, kiedy tylko odnajduje się prawdziwą drogę niezależnej działalności ludowej, reszta nieuchronnie przyjdzie sama. Nieważne, że gęsta mgła wciąż zasnuwa światło i drogę, którą ono wskazuje. Raz zapalone, to światło nigdy nie zgaśnie. Zbliża się dzień być może bliski, kiedy ujrzą je miliony ludzi.

-Wolin, *Nieznana rewolucja 1918-1921*